

Dante Alighieri
BOSKA KOMEDIA

Przekład: Edward Porębowicz

ver. 1.0 by JKorr (www.jkorr.toxic.pl)

UWAGA !!!

Tekst został przeze mnie zeskanowany i potraktowany programem OCR. Może zawierać błędy (literówki, itp.) Będę wdzięczny za wszelkie uwagi i komentarze.

PIEKŁO

PIEŚŃ I

W życia wędrowce, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi,
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

Jak ciężko słowem opisać ten srogi
Bór, owe stromych puszczy pustynne dzicze,
Co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi.

Gorzko — śmierć chyba większe zna gorycze;
Lecz dla korzyści, dobytých z przeprawy,
Opowiem lasu rzeczy tajemnicze.

Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy,
Bo mną owładła senność jakaś duża
W chwili, gdy drogi zaniechałem prawej.

Gdym jednak przybył do góry podnóża,
Którą zaparty owy wądół kona,
Stąd się, jak rzekłem, taki strach wynurza,

Podniósłszy głowę, widzę, a ramiona
Góry już swymi promieniami stroi
Gwiazda wodząca tuziemskie plemiona.

Więc się z widoku tego uspokoi
Przestrach, w jeziorze serca rozkiełzany
Przez noc bolesnej bezotuchy mojej.

A jak człek z morza na ląd ratowany
Z piersią dyszącą staje i z daleka
Oczyrna jeszcze bada groźne piany,

Tak, było, duch mój, podczas gdy ucieka,
Pogląda za się na przebyłą drogę,
Co nie przepuści żywego człowieka.

Więc gdy mdłe ciało odpoczynkiem wzmogę,
Znów po bezludnych progach stopy nużę,
Wciąż niżej mając wyprężoną nogę.

Wtem tam, gdzie ścieżka strzelała ku górze,
Znienagła mi się zjawiała u stoku
Zwinna Pantera o plamistej skórze.

Ta z mej osoby nie spuszczała wzroku
I tak męczyła w moim wstępowaniu,
Że kilka razy chciałem wracać kroku.

Była to właśnie chwila na zaraniu:
Wschodziło słońce z onym gwiazd orszakiem,

Co z nim świeciły, gdy w pierwozadrganiu
Świata Pramiłość wiecznym pchnęła szlakiem
Przepiękne twory; więc ta pora świeża
I wiosny bliskość były dla mnie znakiem,
Że przecież ujdę pstrokatego zwierza;
Ale tuż trwogę poczułem niemałą,
Gdy Lew przede mną wyrósł u pobrzeża.

Głowę podnosił i jak mi się zdało,
Szedł prosto na mnie, taki wściekły z głodu,
Że przerażone powietrze truchlało.

Potem Wilczyca, nabrzmiała od płodu
Żądz wszelkich, mimo że chuda i sucha,
Sprawczyńni nieszczęść mnogiego narodu,

Swoim widokiem zgnębiła mi ducha
I w takie wreszcie strąciła rozpaczę,
Że dojścia szczytu szczęła mi otucha.

A jak z wygranej ucieszeni gracze,
Kiedy przeciwny zasię wiatr powieje,
Bledną i wszystka myśl się w nich rozpłaczę,

Tak ja od zwierza porywczości mdleję
I, odpychany, cofam się ze skały
W stronę przepaści, gdzie słońce niemieje.

Już moje stopy w dół się obsuwały,
Gdy przed oczyma kształt się zjawił mglisty,
Jakby milczeniem długim spowietrzały.

Gdym go obaczył w puszczy opoczystej:
„Pożal się, proszę — wołam do zjawienia —
Cień-li czy człowiek jesteś rzeczywisty!”

„Nie człowiek, jednak z ludzkiego plemienia;
Ojców Lombardów miałem — rzekła mara —
Z mantowańskiego oboje nasienia.

Urodziłem się za Jula Cezara,
A za Augusta cnego żyłem w Rzymie,
Gdy panowała bogów iclamnych wiara.

Poetą byłem i w epicznym rymie
Uszłego z dumnej Ilionu ruiny
Anchizowegom syna głosił imię.

A ty, przecz wracasz w nieszczęsne doliny?
Czemu nie śpieszysz na górę, rodzice
Wesela, gniazdo radosnej nowiny?”

„Więc Wergilego oglądam? Krynice,
Skąd płynie słowa strumień tak obficie?" —
Odezwałem się, zasromawszy lice.

„O ty, poetów światło i zaszczycie!
Niech mię zalecą miłość i uwaga,
Com z nią na myśli twojej szedł wykrycie.

Ty jesteś Mistrz mój, ty moja Powaga:
Przez cię jedynie styl mój nabył piętna
Sztuki, skąd dzisiaj moja cześć się wzmaga.

Płoszy mię bestia, przejściu memu wstrętna:
Dopomóż, mędrco sławny! Oto ginę
Z trwogi i żywiej dygocą mi tętna".

„Ścieżki potrzeba obrać tobie ine —
Rzekł, widząc oczu moich zapłakanie —
Jeżeli przebrnąć życzysz tę gęstwinę.

Bo owa bestia, co mię wołasz na nią,
Nikomu drogą swoją przejść nie daje:
Póty przeszkadza, aż w nim dech ustanie.

A tak złośliwe chowa obyczaje,
Że zachłannością jej chciwość się mnoży
I tym głodniejsza, im się bardziej naje.

Rozliczny jest zwierz, z którym cudzołoży
I dotąd będzie, aż nadejdzie żwawy
Chart, co ją na śmierć w boleściach umorzy.

W glebie ni kruszcu nie poszuka strawy,
Jedno w rozumie, mocy i miłości;
Ojczyzna jego: pośród Feltr dzierzawy.

Nędznej Italii on wybawi włości,
Dla których Turnus, Kamila dziewica,
Euryjal, Nizus położyli kości.

Odeń ścigana z grodu w gród Wilczyca
Na powrót w piekiel dostanie się władze,
Skąd ją przysłała zawiść zazdrośnica.

A ja tak dbale o twym dobru radzę,
Żeć przewodnikiem będę; skroś tej góry
Przez wiekuiste miejsca przeprowadzę,

Kędy usłyszysz rozpaczliwe chóry,
Przyjrzyj się duchów przebolesnej rzeszy,
Co z wszystkiej piersi woła o skon wtóry.

Potem tych ujrzysz, których płomień cieszy,

Rozradowując nadzieją niepłoną,
Że się ich wniebowstąpienie przyśpieszy.

A gdy zejść zechcesz aż tą jasną stroną,
Godniejszej zdam cię, niżli moja, pieczy
Na dalszą drogę, gdzie iść mi wzbroniono.

Bo owy Władca i Król wszystkich rzeczy,
Za me prawdziwej wiary nieuznanie,
Wstępu do miasta swojego mi przeczy.

Wszędy rząd jego, lecz tam królowanie;
Tam ma stolicę, tam wysokie trony;
Szczęsny, w wyborze kto mu się ostanie".

„Poeto — rzekę, takim zachęcony
Słowem — przez Boga nie znanego tobie,
Bym z tej i gorszej doli był zbawiony,

Tam, gdzie powiadasz, wiedźże mię w tej dobie;
Niechaj obaczę te Piotrowe progi
I tych, co mówisz, że jęczą w żałobie".

Ruszył — ja za nim w trap dźwignąłem nogi.

PIEŚŃ II

Już dzień uchodził, mrok szarej godziny
Już odwoływał padolne zwierzęta
Od pospolitych trudów —ja jedyny
Gotowałem się na bój, nie na święta,
Z trudem podróży, z litości katuszą;
Skreśli je pamięć, co jej błąd nie pęta.

Wesprzyjcie, muzy, krzep mię, twórcza duszo!
Pamięci moja, widzeń mych zwierciadło,
Dzisiaj się mocy twe objawić muszą.

„Ty, co mię wiesz w krainę przepadła,
Znaszli me serce dość silnym i dzielnym,
Aby na wielkim przejściu sobą władło?

Mówisz, że w ciele jeszcze skazitelnym
Rodzic Sylwiusza odwiedził te szlaki
I nieśmiertelność czuł ciałem śmiertelnym.

To, że wróg złego był mu łaskaw taki,
Wiedząc, jak ważny skutek dzieło czeka,
I ważąc, kto zacz miał zeń wyjść i jaki,

Chyba nie zdziwi rozumnego człeka;
Gdyż on rzymskiemu państwu i Rzymowi
Na patryjarchę był naznaczon z wieka,

Który i które, że się tu wysłowi
Prawdę, dla świętych miejsc są stanowione,
Gdzie dzisiaj siedzą dziedzice Piotrowi.

Przez owo zejście w twej pieśni sławione
Zrozumiał rzeczy, po których przyczynie
On wziął zwycięstwo, a papież koronę.

Po nim apostoł, Wybrane Naczynie,
Skróś przewędrował te zaziemskie smugi,
By wzmocnił wiarę, zbawienia dawczynię.

Lecz ja co? Skąd mi Łaska? Jam nie drugi
Eneasz ani Pawła hart posiadam,
Nikt ni sam do się nie znam tej zasługi.

Więc gdy me pójście na twą wolę składam,
Drzę, czy zamiaru nie roję szalenie;
Ty, mędrzec, pojdziesz lepiej, niż powiadam".

Jak człek, co, chciawszy, znów odmienia chcenie,
Aż w postanowień kolejnych szeregu

Zgoła odwróci pierwotne życzenie,
Taki ja byłem na ponurym brzegu,
Kiedy rozmyśłem starłem chęci skore
I w pierwszej chwili ochocze do biegu.

„Jeśli twą tajną myśl ze słów rozbiore —
Rzekł wielkoduszny cień — widzę na oczy
Wnętrze twej duszy nędnym strachem chore,
Który tak czasem człowieka omroczy,
Gdy się zapalił do zacnego dzieła,
Że jak płochliwy zwierz przed nim uskoczy.

By się odwaga z tej trwogi ocknęła,
Opowiem rozkaz dany mi w otchłani
W on czas, gdy litość nad tobą mię zdjęła.

Siedziałem w duchów wątpliwych przystani,
Gdy przyszła piękna, święta białogłowa,
Tak piękna, żem jej rzekł: »Rozkazuj, pani!«

Wzrok jej lśnił jaśniej niż gwiazda wschodowa;
Słodka i cicha była i w mówieniu
Anielska; ta w te ozwała się słowa:

»O ty uprzejmy mantowański cieniu,
Którego imię trwa i pełne chluby
Trwać będzie, póki żywota stworzeniu,
Oto miły mój, a losom nieluby,
Takie przekory napotkał w swej drodze
Na pustych progach, że nie wytrwał próby,
Wracał i zbłądził; a lękam się srodze,
Słyszając, co o nim powiadano w górze,
Czy mu niepóźno z posiłkiem przychodzę.

Więc z ozdobnymi słowy pośpiesz, nuże!
Niechaj go zbawi twa pomoc i rada
I niech ja o nim więcej źle nie wróżę.

Jam Beatrycze, która do cię gada;
Z miejsc idę, które znów oglądać życzę;
Miłość mię wiodła i teraz mną włada.

Kiedy powrócę przed pańskie oblicze,
Chwalić cię będę i często, i szczerze«.
Zamilkła, a ja do niej: »Beatrycze,

O władcza pani, z której jedno bierze
Tę moc ród ludzki, że przeszedł stworzenia
Żyjące w nieba najwyższego sferze,

Tak mię ochota służby rozplómienia,
Że nie usłużę nigdy nadto wcześniej,
I tutaj dość mi jednego skinienia.

Lecz powiedz przecie: nie wzdragasz się w cieśnie
Naszej śródziemnej zstępować otchłani
Z szerokich dziedzin, gdzie ci radość wskrześnie?«

A na to rzekła mi ta jasna pani:
»Pokrótce zadość twej chęci uczynię.
Bym zejść się bała, nikt mi nie przygani;
Bać się należy tych rzeczy jedynie,
Z których się szkoda niepowrotna lęze,
Ale nie innych, których groza minie.

Ja z łaski Bożej mam takie pawęże,
Że ni się nędzą waszą nie poplamię,
Ni mię płomieni waszych żar dosięże.

Jest łaski pełna Pani w bożym chramie:
Przeciw zawadom chce pomagać tobie
I oto górne twarde prawo łamie.

Więc Łucję do się przyzywała w tej dobie
I rzekła: „Sługę twego nęka trwoga;
Pośpieszaj, twojej zlecam go osobie”.

A Łucja, wszelkiej surowości wroga,
Zeszła, gdzie pobyt mam z Rachelą starą:
„O Beatrycze, prawa chlubo Boga! —

Tak przemówiła do mnie —jakaż miarą
Nie śpieszysz wesprzeć swego miłośnika,
Co się dla ciebie wzniosł nad ciżbę szarą?

Czyli cię łkanie jego nie przenika?
Czyli nie widzisz, jak śród fali wzdętej,
Chełpliwszej morza, z śmiercią się potyka?”

Nikt nie miał większej na pośpiech zachęty,
Kto szuka zysku lub się szkody boi,
Niż ja, gdym głos ten usłyszała święty.

Z błogosławionych zstąpiłam podwoi,
Ufna w wymowie twej zacnej i chesnej,
Co równie ciebie jak słuchaczów stroi«.

A dokonawszy słów tych, wzrok bolesny
Słonecznych oczu ku mej twarzy skłania;
Jam też czym prędzej biegł, by przybyć wczesny.

I oto jestem wedle rozkazania;

Wydarłem ciebie bestii, co na cudną
Górę najprostszej ścieżyny zabrania;
Więc cóż? Przecz stopę zatrzymujesz żmudną,
Dlaczego strachem serce twoje chorze,
Czemu odwaga i zapały chłodną,
Skoro już jesteś na niebieskim dworze
Tak bardzo luby trzem błogosławionem
I gdy ja tobie tyle szczęścia wróżę?"
Jak kwiatki, nocnym powarzone szronem,
Stulone gną się, aż gdy je odbieli
Słońce, wraz czołem się wznoszą i łonem,
Podobnie we mnie otucha wystrzeli,
A serce taka umocni odwaga,
Że wołam jako człek, co się ośmieli:
„O, przelitośna ta, co mię wspomaga!
I ty litośny, że długiej namowy
Nie używała do cię jej powaga.
Ty swoim przyjściem i swoimi słowy
Takie w mym sercu wzbudziłeś pragnienie,
Żem znowu silny, żem znowu gotowy.
Pójdźmyż, niech dwojga jedno będzie chcenie;
Ty Mistrzem moim, ty Wodzem, ty Panem".
Zmilkłem, on ruszył; na jego skinienie
Poszedłem krajem trudnym i nieznanem.

PIEŚŃ III

„Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia.

Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.
Wzniosła mię z gruntu Potęga wszechwłodna,
Mądrość najwyższa, Miłość pierworodna;

Starsze ode mnie twory nie istnieją,
Chyba wieczyste — a jam niepożyta!
Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...”

Na odrzwiach bramy ten się napis czyta,
O treści memu duchowi kryjomej.
„Mistrzu — szepnąłem — z tych słów groza świta!”

A on mi na to, jak człowiek świadomy:
„Tu oczyść serce podłością zatrute,
Tu zabij w sobie wszelki strach znikomy.

Do miejsc my przyszli, gdzie czynią pokutę
Owi, com mówił, boleści dziedzice,
Duchy ze skarbu poznania wyzute”.

Dłoń mi na dłoni położył i lice
Ukazał jasne, duchem natchnął śmiałem,
Po czym wprowadził w głębin tajemnice.

Stamtąd westchnienia, płacz, lament chorałem
Biły o próżni bezgwiezdnej tajniki:
Więc, już na progu stając, zapłakałem.

Okropne gwary, przeliczne języki,
Jęk bólu, wycia, to ostre, to bledsze,
I rąk klaskania, i gniewu okrzyki

Czyniły wrzawę, na czarne powietrze
Lecącą wiru wieczystymi skręty,
Jak piasek, gdy się z huraganem zetrze.

Nieświadomości skrepowany pęty:
„Mistrzu — spytałem — skąd ten chór boleści,
Kto ów lud taką snadź rozpaczą zdjęty?”

On rzekł: „Męczarnię takiej podłej treści
Znoszą w tym miejscu te dusze mizerne,
Które bez hańby żyły i bez cześci.

Są zaś wmieszane między owe bierne
Rzesze aniołów, które samolube

Żyły, ni wrogie Bogu, ni też wierne.

Niebo ich nie chce, gdyż niosłyby zgubę
Jego piękności; piekło je wyklucza,
Gdyżby z nich gorsi mogli zyskać chlubę".

Ja znowu: „Mistrzu, co im to dokucza,
Że tak biadają głosami rozpaczy?"

A on wysłuchał mię i tak poucza:

„Wiedzą, że skonu dzień im się nie znaczy,
A ciemnym bytem tak są tutaj mali,
Że wszystko inne przenieśli by raczej.

Świat nie dopuścił, aby w sławie trwali;
Litość ni sąd się nimi nie opieka;
Nie mówmy o nich; popatrz i pójdź dalej".

A wtem proporczyk ujrzałem, z daleka
Mknący tak szybko, jakby go nosiła
Dłoń niegodnego spoczyнку człowieka.

Za nim niezmierna czerń smugą się wiła;
Nigdy bym nie był uwierzył na słowo,
Że tyle ludu śmierć już wytraciła.

Poznałem kilku między bezcechową
Ciżbą; pośród nich szła mara człowieka,
Co z trwogi wielką skaził się odmową.

Więc zrozumiałem, że tu śmierć zawleka
I tłoczy razem owe podłe sotnie,
Których Bóg i czart równo się wyrzeka.

Nędznym, co w świecie żyli nieżywotnie,
Rój os i przykra kąsa ciało mszyca;
Jęczą, gdy ból im do żywego dotnie.

Od tych ukąszeń krew tryska na lica,
Którą u stóp ich łzami napojoną
Kłęb glist natrętnych kałduny nasycą.

Potem, gdy inną wzrok posłałem stroną,
Nad wielką rzeką ujrzę ludu ławy.

„Mistrzu — powiadam — niech mi dozwolono

Będzie zapytać: Kto są? Jakie sprawy
Każą im śpieszyć? Ile zmierzch dozwoli
Rozeznać, widzę, że krok niosą żwawy".

A on: „Na powieść o nich przyjdzie kolej,
Kiedy staniemy razem z nieszczęsnymi
Nad Acherontem, strumieniem niedoli".

Więc wzrok ze wstydu spuściwszy ku ziemi,
Zamilkłem, nie chcąc dłużej być natrętem.
I tak do rzeki brzegów szliśmy niemi.

Wtem spojrzę, w łodzi mknie owym odmětem
Starzec kędziorów sędziwych i brody,
Wołając: „Gorze wam, duchom przeklętym!

Nie pójdziecie wy na niebieskie gody:
Przybywam przewieźć was po czarnej strudze
W ciemności wieczne, na żar i na chłody.

A ty, co jeszcze ciało masz w posłudze,
Duch żyw! Co robisz w umarłych narodzie?..."
Kiedy zaś widział, że z odejściem żmudzę:

„Z innej przystani i po innej wodzie
Jest wyznaczony szlak twojej podróży,
Wypada tobie lżejszej szukać łodzie".

„Niech się, Charonie, w tobie gniew nie burzy! —
Rzekł Mistrz — tak życzą tam, gdzie śladem chcenia
Zaraz czyn kroczy; wara pytać dłużej!"

Więc lic kosmatych surowość odmienia
Przewoźnik, włodarz czarnowodnej rzeki,
W krąg ócz mający obrączki z płomienia.

Ale tym nagim i znużonym szczęki
Dzwoniły, w lica strach zachodził siny,
Gdy usłyszeli swój los niedaleki.

Boga, rodziców, ludzkość, narodziny
I dzień, i miejsce swych narodzin klęli,
I syny swoje, i swych synów syny.

Potem się sparli, łkając nad topieli
Brzegiem, skąd wszyscy pójda na męczarnie,
Co żyć w bojaźni bożej nie umieli.

Bies Charon ócz swych zaświeca latarnie,
Drogę wskazując i kupą ich goni,
A gdzie nie idą w ład, tam wiosłem garnie.

Jako pod jesień drzewo liście roni
Jedno po drugim — aż się konar wdowi
Nagim, ze stroju wyzutym, odstłoni,

Tak ci dziedzice grzechu Adamowi
Jedno po drugim zlatają mu w sudno,
Niby na wabia sokół w dłoń łowcowi.

I jadą przez toń ciemnościami brudną,

A nim na brzeg je przeciwny wysadzi,
Po tamtej stronie znów od gości ludno.

„Synu mój — tak Mistrz swoją rzecz prowadzi —
Lud, co umiera w nieprzyjaźni bożej,
Z ziemi wszech krańców tutaj się gromadzi.

Co rychlej wszyscy rzekę przebyć skorzy,
Bo tak ich boska sprawiedliwość bodzie,
Że zmniejsza lęku, a pragnienie mnoży.

Nie chodzą duchy dobre ku tej wodzie;
Wiesz teraz, czemu, widząc cię w ich kole,
Chciał tobie Charon stawać na przeszkodzie”.

Gdy skończył mówić, całe czarne pole
Drgnęło tak mocno, że kiedy przypomnę,
Jeszcze mi dzisiaj znój stawa na czole.

Z pola łez wianie buchnęło ogromne,
Przeleciał po nim gromu błysk czerwieny
I omdlały mi zmysły nieprzytomne,
I padłem, jako pada człowiek senny.

PIEŚŃ IV

Silny huk gromu wyrwał mi spod powiek
Senność kamienną, tak że się wzdrygnąłem
Niby gwałtownie przebudzony człowiek.

I wypoczęte oczy tocząc kołem,
Wyprostowany, patrzałem po stronie,
Aby rozpoznać miejsce, gdzie stanąłem.

Otom się, widzę, znajdował na skłonie
Owej bolesnej, piekielnej doliny,
Co nieskończonych echa jęków chłonie.

Loch był bezdenny, mgławcy, czarnosiny;
Żrenice moje, wysłane na zwiady,
Niczego dobyć nie mogły z głębiny.

„Zejdziemy teraz — rzekł Wieszczy cały blady —
W otchłanne ślepych światów zakomory;
Ja pójdę pierwszy, a ty w moje ślady”.

Widząc, że pobladł: „Jakże iść mam skory —
Rzekłem — gdy w tobie odwaga ustaje,
Co mi w zwątpieniach użyczasz podpory?”

„Każń ludu, co te zamieszkiwa kraje —
Rzekł — twarz mi czyni równą białej chuście
Z barw litowania, co-ć się lękiem zdaje.

Idźmyż: daleki cel ma nasze pójście”.
Ruszył; tu pierwsze przekroczyłem za nim
Koło, z tych, które biegną nad czeluście.

Głos, co mi słuchu doszedł, był nie łkaniem,
Lecz szeptem westchnień, który skróś stuleci
Powietrze wzruszał bezustannym drganiem.

Szedł zaś z cierpienia, które mąk nie nieci,
A które znoszą wielkie ludu ławy,
Gromada mężów i niewiast, i dzieci.

Rzecz Wódz do mnie: „Aż nie ciekawy
Tłumu, co smętne te wydaje gwary?
Nim stąd odejdzem, masz poznać ich sprawy.

Bezgrzeszni oni są, ale z tej miary
Jeszcze się zasług zbawienia nie bierze:
Stanowi o nim chrzest, brama twej wiary.

Chociaż w pogańskiej przyszli na świat wierze,
Czci potem Bogu nie złożyli winnej;

Do ich gromady oto sam należę.

Dla tej usterki, nie dla winy innej,
Pobyt znosimy tutaj bezkatuszny,
W tęsknocie żyjąc próżnej i beczynnej".

Tedy mi serce żal ogarnął słuszny,
Bo w tym przedśionku, na wątpliwe trwanie
Skazan, poznałem poczet wielkoduszny:

„Powiedz, o Mistrzu mój, powiedz, o Panie —
Spytałem, chcąc mieć tę pewność niezbitą,
W której jest wszego błędu zaniechanie —

Wyszedłli który stąd, czy z własnej, czy to
Z cudzej zasługi — i był w niebo-brany?"

A on, odgadłszy mowę mą zakrytą:

„Krótco przed moim rozstaniem z ziemiany
Mocarz tu zstąpił niebiańskiego lica,
Znakiem zwycięstwa ukoronowany.

On z państw tych wywiódł pierwszego rodzica,
Abla, Noego; pośród innych wiele
Abram posłuszny, Mojżesz, praw krynica,

Dawid stąd wyszedł i ród Izraela
Stary; to jest on i ojciec, i syny,
I wysłużona pasterstwem Rachela.

Ich wyprowadził w niebieskie krainy;
A wiedz, że przed tym dostojnym wyborem
Żaden nie zaznał zbawienia człek iny".

Podczas gdy mówił, szliśmy dalszym torem,
Prując się czernią lasu bez ustanku,
Chcę rzec: przechodząc gęstym duchów borem.

Małośmy uszli po okólnym ganku,
Kiedym obaczył blask, niby ognisko
W grubych ciemności gorejące wianku.

Było daleko jeszcze, lecz dość blisko,
Ażebym poznał w pomroków prześwicie,
Że zacne duchy miały tam siedlisko.

„Mistrzu mój, wiedzy i sztuki zaszczycie,
Któż oni i czym dostąpili prawa,
Że wiodą tutaj wywyższone życie?"

Tak pytam. „Czesna — rzekł — i głośna sława,
Co ich wyniosła pomiędzy ziemiany,
Czyni, że niebo tu im wyższość dawa".

Wtem głos się rozszedł echem powtarzany
I brzmiał: „Przed wieszczem najwyższym chyl czoła!
Wraca cień jego, co był nam zabrany!”

A gdy się echo uciszyło zgoła,
Ujrzę idące cztery wielkie cienie:
Twarz ich ni smutna była, ni wesoła.

Rzeczce Wódz dobry: „Obróć swe spojrzenie
Na tego, który mieczem w dłoni toczy,
A co go inni w takiej mają cenie;
To król poetów, Homer; ten, co oczy
Ma uśmiechnięte, mistrz satyr, Horacy;
Owidiusz trzeci; Lukan czwarty kroczy.

Że dostojnością wszyscyśmy jednacy,
Hołd mnie złożony wszystkich w sobie brata:
Więc słuszna, że mi są łaskawi tacy”.

Widziałem zatem słynną pośród świata
Szkolę księżęcia najszczytniejszej pieśni,
Co nad innymi, jak orzeł, polata.

Gdy pogwarzyli z sobą ci rówieśni,
Uprzejmej ku mnie obracali twarzy.
Wódz się uśmiechał... A jeszcze mię cześniej

Przyjmie ta rzesza i większym obdarzy
Zaszczytem, bo mię w swym gronie pozdrowi
Jako szóstego śród słowa mocarzy.

Roztrząsaliśmy, idąc ku ogniowi,
Rzeczy, o których z równego powodu
Tam się mówiło, jak tu się nie powie.

Do stóp my doszli wspaniałego grodu,
Otoczonego murem siedmiorakim
I piękną rzeczką; choć nie było brodu,
Przeszliśmy tędy, niby suchym szlakiem;
Potem bram siedmią na świeże murawy,
Gdzieśmy się z nowym spotkali orszakiem.

Lud był szanownej, dostojnej postawy,
Powściągliwego, poważnego wzroku,
A mowy cichej, skąpej i niezwawej.

Zeszliśmy stamtąd od jednego boku
Na połoninę widną i przestronną,
Gdzieśmy ich wszystkich mieli na widoku.

Tam na zielonej darni mi zjawiono

Duchy, co dawniej były chwałą ziemi;
Gdy wspomnę, drży mi uniesieniem łono.

Druhów Elektry widzę; między niemi
Poznaję wielu: Hektora, Eneja,
Cezara w zbroi z oczyma orlemi.

Z Kamilą widna mi Pentezyleja,
A obok ojca swojego, Latyna,
Lawinia, w której Włoch była nadzieja.

Brutusa widzę, co wygnał Tarkwina;
Lukrecję, Julię, Marcję i Kornełę,
I samotnego z boku Saladyna.

A gdy oczyma nie opodał strzelę,
Mistrza spostrzegam mężów pełnych wiedzą,
Na filozofów siedzącego czele.

Cześć mu oddają, skinień jego śledzą
Sokrat z Platonem, z nimi mędrców świta;
Ci dwaj najbliżej u boku mu siedzą;

Przypadkowości głoścę, Demokryta,
Anaksagora, Diogena, Talesa,
Empedoklesa, Zena, Heraklita

Poznaję; znawcę ziół Dioskorydesa
I Euklidesa, i Ptolemeusza,
I Avicennę, i Hipokratesa,

Galiena, cnego Senekę, Linusza,
Tuliusza; przy nich skał i drzew pieśniarza,
Który zwierzęta lirą swoją wzrusza.

I Awerroesa, twórcę Komentarza —
Przedmiot rozległy, pióro me nie rące,
Nie wszystko, com tam oglądał, powtarza.

Z sześciorga — dwu nas zostało w rozłące;
Nowym Wódz dobry szlakiem ruszył ze mną
Z cichego świata w światy wiecznie drżące,
W nową dziedzinę, nieśmiertelnie ciemną.

PIEŚŃ V

W obręb drugiego wstąpiłem koliska,
Które zamyka szczuplejsze obszary,
Lecz boleśniejszy z duchów jęk wyciska.

Tu żywie Minos, ów sędzia prastary;
Zgrzytając, grzechy roztrząsa u proga,
Sądzi i chwostem znaczy stopnie kary.

To jest, gdy przed nim zjawi się nieboga
Dusza, spowiada swoje grzeszne czyny;
Więc obliczywszy, którądy jej droga,
Ów rozeznanca biegły ludzkiej winy
Tylekroć biodra ogonem obwinie,
Na ile stopni ma zapasć w głębiny.

Czerń niezliczona duchów przedeń płynie:
Każdy z kolei przybywa przed sędzię,
Wyzna, wysłucha i już na dół chynie.

„Hej, ty, coś kaźni przekroczył krawędzie —
Zawołał Minos, spostrzegłszy człowieka
I zatrzymał się w ponurym urzędzie —

Bacz, jako wchodzisz i co cię tu czeka;
Swoboda wstępu niechaj cię nie zdurzy!"
A Wódz mój: „Czemu gęba twoja szczeka?

Nie czyń ty wstrętu koniecznej podróży:
Życzajej w miejscu, kędy, czego życzą,
Wraz się i staje; wara pytać dłużej!"

A wtem mi w uszach jęki zaskowycząj
A wtem doszedłem do miejsca, gdzie duchy
Płacem ogromnym nieustannie krzyczą.

Stanąłem w jamie ciemnościami głuchej,
Która jak morze w huraganie ryczy,
Gdy nim przeciwne wstrząsną zawieruchy.

Piekielny orkan, puszczone ze smyczy,
Dusze w gwałtownym ponosi upuście,
Szarpie i kole, i ościeniem ćwicz.

A kiedy lecą razem nad czeluście,
Jęk z jękiem gada, wrzask z wrzaskiem się kłóci,
Błuźnierstwom wolne otwierając ujście

Przeciwko mocy Bożej; tak rozsuci
Na wolę wiatrów boleją zmysłowi,

Co nad rozsądek wywyższyli chuci.

Jak szpaki, gdy je wiatr jesienią łowi,
Snują w powietrzu długie, zbite chmary,
Tak się miotają, poddane wichrowi,

W górę, w dół, tam i sam nieszczęsne mary;
A nigdy nędznych losu nie poprawi
Bodaj nadzieja łagodniejszej kary.

I jak, zawodząc pieśń swą, klucz żurawi
Długim się sznurem po niebiosach wlecze,
Tak się mym oczom smutna rzesza jawi,

Płynące smugą burz duchy człowiecze,
Więc pyta: „Kto są i jaką się winą
Splamiły, że je czarny wiatr tak siecze?...”

„Pierwsza z mar — odrzekł — co przed nami płyną,
Skoro chcesz wiedzieć o niej, panowała
Nad wielogwarych narodów dziedziną.

W grzech rozwiążności popadła i zwała
Swawolę wołą, aby swe bezprawie
Pozorem prawa z hańby ratowała.

To Semiramis; wiesz o jej niesławie:
Była Ninusa dziedziczką, wprzód żoną;
Jej państwo dzisiaj w sułtana dzierzawie.

Ta z siebie żagiew zrobiła czerwoną,
Prochom Sycheja nie dotrwawszy w statku".
Więc Kleopatrę widzę; uwiezioną

Helenę, powód Trojanów upadku;
Widzę Achila, chrobrego hetmana,
Co dla miłości walczył do ostatka.

Widzę Parysa i widzę Tristana;
Tysiąc miłosnym zatraconych szaleń
Dusz tu poznaję z ust mojego Pana.

A gdy do końca Mistrza wysłuchałem,
Co mi wskazywał damy i rycerze,
Litość mię zmogła i zmieszany stałem.

„Poeto — rzekłem — oto chęć mię bierze
Przemówić do tych dwojga, co się miecą
Na wietrze tam i sam, jak lotne pierze".

A on mi na to powie: „Czekaj nieco;
Skoro się zbliżą, proś w imię kochania,
Które je niesie, a one przylecą".

Więc gdy je wichru przywiały smagania,
W głos zawołałem: „Dusze umęczone,
Przemówcie do nas, jeśli nic nie wzbrania!”

Jako gołębie, miłością wabione,
Na wyprężonym skrzydle, jedną partę
Chęcią, w lubego gniazda lecą stronę,
Tak z Dydonowej gromady wydarte,
Snadź rzewną prośbę słysząc, mimo wrzaski
Leciały, na wiatr stęchły rozpostarte.

„O ty istotą czuła, pełna łaski,
Że raczysz witać w tej ciemności sinej
Nędznych, których krew ziemskie broczy piaski;

Gdyby nam sprzyjał Król świata dziedziny,
Prosilibyśmy o spokój twej duszy,
Żeś się użalił nieszczęśliwej winy.

Chceszli przyczynę znać naszej katuszy,
Pytaj i słuchaj, co-ć powiemy o niej,
Póki nas burza znów nie zawieruszy.

Kraj mój położon jest nad brzegiem toni,
Którą nurt Padu z utęsknieniem wita,
Bo tam ma spokój od rzek swych pogoni.

Miłość, co łatwo serc zacnych się chwyta,
Skula go czarem mej ziemskiej postaci;
Wzdrygam się, pomnąc, jak była zabita.

Miłość, co zawsze miłością się płaci,
Tak mi kazała w nim podobać sobie,
Że go nie zgubię już ni on mię straci.

Miłość nas śmiercią położyła w grobie...
Morderca niechaj Kainy się lęka!"
W takim duch do nas przemówił sposobie.

Więc ja, poznawszy, jak wielka ich męka,
Zwiesiłem głowę i trwałem w tym stanie,
Aż wieszcz zapytał: „Co za myśl cię nęka?"

Ja się ocknąłem i rzekłem: „O panie!
Jakie tęsknoty i jakie zachcenia
Na to nieszczęsne wiodły ich kochanie?"

Za czym zwróciłem się znowu do cienia:
„Franciszko — rzekłem — pokutnico biedna,
Do łez mię twoje wzruszyły cierpienia.

Lecz gdy wam z westchnień chęć się rwała jedna,

Skąd wam tej chęci pierwsze przysły wieści
I jak wykryła się, dotąd bezwiedna?"

A ona: „Nie ma dotkliwszej boleści
Niżli dni szczęścia wspominać w niedoli,
I mistrz powiada o tym w swej powieści,
Lecz skoro mię tak chęć twoja niewoli,
Poznasz, skąd poszły nasze niepokoje,
Wyznam, jak człowiek, co mówi, choć boli.

Raz dla zabawy czytaliśmy boje,
Gdzie wpadł Lancelot w miłosne więzienie;
Byliśmy sami, bezpieczni oboje.

Czasem nad księgą zbiegło się spojrzenie
I zdejmowało z lic barwy rumiane —
Ale nas zmogło jedno okamgnienie.

Kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane
Rycerz całował w nieowładnej chęci,
On, z którym nigdy już się nie rozstanę,
Drżący do ust mych przywarł bez pamięci;
Księga i pisarz Galeottem byli —
W ten dzień jużśmy nie czytali więcej".

Gdy jeden mówił, drugi cień w tej chwili
Szlochał; a jam czuł, że coś się rozkłada
We mnie i duch się mój ze śmiercią sili...

I padłem, jako ciało martwe pada.

PIEŚŃ VI

Gdy się zbudziła myśl stulona w sobie
Od mąk widoku, w jakich krewne dusze
Mdląły, i gdym się w mej ocknął żałobie,
Nowych skazańców i nowe katusze
Naokół siebie widzę w mrocznym dole,
Gdzie bądź popatrzę i gdzie bądź się ruszę.

W trzecim, wieczystych dżdżów, stanąłem kole:
Deszcz chłodny, ciężki, ciągły i przeklęty
Wciąż jedną modłą siecze, żga i kole.

Śnieg, brudna woda i grad w bryły ścięty
Wala się strugą na ów kraj ucisku;
Cuchnie skróś ziemia brzydkie ssąca męty.

Cerber, zwierz dziki o potrójnym pysku,
Warczy i szczeka, i jak pies się dąsa
Na lud w okropnym pławiony bagnisku.

Wzrok toczy krwawy, czarne kudły wstrząsa,
Kłęb ma wydęty i szponiaste ręce;
Drze pazurami i targa, i kasa.

Od deszczu, jak psi, w ciągłej wyją męce;
Jeden bok drugim ciągle zasłaniają;
Prędko się zwijać muszą potępieńce!

Gdy nas gad duży ujrzał między zgrają,
Paszczkę rozwarł i zęby wyszczerzył;
Wszystkie w nim mięśnie jednym dreszczem drgają,

A wódz mój pięści ku ziemi przymierzył
I, w obie garści nagarnawszy błota,
W sam środek gęby żarłocznej uderzył.

Jak kundys chciwie do jadła się miota
I wraz ucichnie, gdy mu rzuca strawy,
Bo już chuć głodu w nim się nie szamota,

Podobnie naraz umilkł pysk plugawy
Czarta Cerbera, co na dusze łaje,
Rade ogłuchnąć, by nie słyszeć wrzawy.

Stąpamy, depcąc widem gęste zgraje,
Dżdżem katowane i stawiamy pięty
Na ich marności, co się kształtem zdaje.

Leżały wszystkie pogrążone w męty,
Lecz jedno, w chwili kiedy je mijamy,

Siadło i, prężąc kadłub wydzwignięty,

Rzekło: „Ty, któryś wszedł za piekiel bramy,

Wiedz: przed mą trumną była twa kołyska;

Spójrz i rozpoznaj, com zacz, bo-ć się znamy”.

Więc ja: „Każń twoja taką się odciska

Zmianą na licach, że mi w niej zakrywa

Pamięć twojego ziemskiego nazwiska,

Powiedz, kto jesteś, duszo nieszczęśliwa,

Na której piekło taką złość wywarło,

Że choć są większe, żadna tak dotkliwa!”

A on: „Twe miasto, które napęczyało

Zawiścią jak wór przepełniony ziarnem,

Na jasnym świecie swym mię synem zwało.

Przezvisko Ciacco nosiłem nad Arnem:

Za grzech obżarstwa, brzydki i zwierzęcy,

Jako tu widzisz, w deszczu moknę czarnem.

Nie sam tu cierpię, ale wśród tysięcy,

Wszystko męczarnią karanych jednaką

Za równe winy”. Zmilkł i nie rzekł więcej.

Na to ja: „Tak mię twój stan boli, Ciacco,

Że oto z ócz mych słona płynie woda.

Lecz powiedz jeszcze: czyli wiesz, na jaką

Niedolę kłótnia głupich mieszczan poda?

Jestże kto prawy w mieście? I jak na to

Przyszło, że tak je rozdarła niezgoda?”

A on: „Gdy w zwadzie długie minie lato,

Zbroczą orężę i nareszcie dzicy

Wypędzą drugich z krwi wielką utratą;

W trzy słońca padną, a ich przeciwnicy

Wzniosą się, męża wzięwszy za narzędzie,

Co się dziś łasi podły i dwulicy.

Długo stronnictwo to panować będzie

I trzymać tamtych pod grozą obucha,

Płaczu i gniewu nie mając na względzie.

Dwaj sprawiedliwi są, nikt ich nie słucha;

Z trzech iskier: chciwstwa, zawiści i pychy,

Na wszystkie serca niegodziwość bucha”.

Tu uciał smutną wieść i stał się cichy.

„Niechże twe usta reszty mi nie tają —

Rzekłem — słów kilka dołoż prośbie lichej:

Gdzie Farinata siedzi? Gdzie Tegghiaio?
Gdzie Rusticucci, Arrigo i Mosca
Z innymi, którzy tak o dobro dbają?

Powiedz, bo serce me o nich się troska,
I wiedzieć pragnę, czy ich piekło smali,
Czyli ich w niebie chowa Łaska Boska?"

„Między ciemniejsze duchy się dostali —
Odparł — winy ich przeważały bowiem;
W sam czas obaczysz, postąpiwszy dalej.

Gdy na świat luby z całym wrócisz zdrowiem,
Proszę, głoś o mnie i o mej torturze;
Więcej nie rzekę i więcej nie powiem".

Oczy wywrócił w zez i w tej posturze
Popatrzał na mnie, łeb wsunął w ramiona
I za innymi ślepcy padł w kałużę.

„Już on nie wstanie, aż się czas dokona —
Rzekł Wódz — gdy zabrzmia trąby archaniołów,
Wróg złego swoje objawi znamiona.

Wróci z innymi do grobowych dołów,
Wziąć ciało i kształt, by w pełnej istocie
Wysłuchać wiecznych wyroku mozołów".

Tak my szli, stawiając po mieszanym błocie
Z duchów i deszczu kroki powściągliwe
I rozmawiając o przyszłym żywocie.

„Mistrzu — pytałem — te kary straszliwe
Od wielkiej chwili, gdy wyrok zahuczy,
Mniejsze-li będą czy równie dotkliwe?"

A on: „W tym wiedza twoja cię pouczy:
Im doskonalszy jest byt, tym mu więcej
Dobro dogodzi, a boleść dokuczy.

A choć karani tutaj potępieńcy
Nigdy nie dojdą udoskonalenia,
Bliżsi go będą niż dziś, czasu jeńcy".

Takeśmy poszli naokół pierścienia,
Gwarząc ze sobą więcej, niż powtórzę,
Aż kędy w głębsze schodzi się podsienia:

Tam Plutus, wielki rozbój ca, ma stróżę.

PIEŚŃ VII

„Pape Satan, Pape Sałan, aleppe!" —
Zaryczał Plutus ze swej chryplej krtani;
A On, wszystkiego świadom: „Niech cię ślepe
Strachy nie zwodzą — mówił — bo szatani,
Choć wielką mają władzę, nie przekażą,
Byś nie miał zstąpić z tych skał do otchłani".
Potem do wzdętych gęb zwrócił się twarzą,
Wykrzyknął: „Zamilcz mi, wilku przeklęty.
Sam w sobie żrej się zaciekłością wrażą.
Wara koniecznej drodze czynić wstręty;
Życzajej w górze, gdzie nad nieowładną
Zgrają wziął pomstę niegdyś Michał święty!"
Jak jednym razem zwiną się i padną
Żagle, skoro maszt przełamie się w połu,
Tak padł złośliwy potwór; a my na dno
Czwartego zatem zstąpiliśmy dołu,
Głębiej się drążąc w bolesne dziedziny,
Co wszystko świata złe mieszczą pospołu.
O Sądzie Boży! Mogłżeby kto inny
Skupić tak razem przeliczne męczarnie?
Przecz nas tak sieką nasze własne winy?...
Jak nad Charybdą fal spienione psiarnie
Ławą wypadną i na siebie skoczą,
Tak się w tym lochu tłum na tłumy garnie.
Liczniejsze, niżli indziej, tu się tłoczą
Zgraje i, wyjąc, wszystkiej piersi mocą
Ogromne głazy przeciw sobie toczą.
Pręc, wpadną na się, potem się obróćą
I cofną, w groźnym wciąż łając pomruku:
„Po co wstrzymujesz?" — „A ty piszczysz po co?"
Tak po pierściennej drogi ciemnym łuku
Z obu stron dążą na kres przeciwległy,
Śród ciągłych obelg i głazów postuku.
Zaledwie swoje półkole obiegly,
Znów się wracają zgięte kształty cieni:
Więc łzy współczucia rzęsę mi obiegly.
„Mistrzu mój — rzekłem — jak się lud ten mieni?
Z kościoła przyszli czy z klasztornej celi

Owi na lewo, wszyscy podgoleni?"

A Mistrz mój na to: „Wszyscy oni mieli
Umysł tak kosy za ziemskiego trwania,
Że w dóbr rządzeniu miary zapomnieli,

Co łącno z psiego wysłyszysz łajania,
Gdy się na krańcach przeciwnych odwiną,
Dokąd ich zbrodnia przeciwna pogania.

Owi, co nagą łyskają łysina,
To kardynali, papieże, kapłani,
Grzesznego chciwstwa obarczeni winą".

Więc ja: „Mistrzu mój, tuszę, że w otchłani
Rozpoznam kogoś z gromady nikczemnej
Tych, co są taką winą pokalani?"

A on mi rzecze: „Szukać trud daremny;
Pozacierany w bycie ładajakiem
Kształt ich twym oczom i tu będzie ciemny.

Na wieki tłuc się będą onym szlakiem,
Aż dzień ostatni wszystkich odmogili:
Tych łysków i tych z zamkniętym kułakiem.

Że źle dawali i że źle dzierżyli,
Raju nie dojdą, na wieczne poswarki
Skazani, jako w tej oglądasz chwili.

Patrz, synu, jaki bierze termin szparki
Mienie, fortuny dziecię, co dlań ludzie
Ustawną pracą wysilają barki.

Ot, wszystko złoto, jeszcze skryte w rudzie
Lub już dobyte, nie ulży strudzonej
Duszy, ażeby odpoczęła w trudzie".

„Mistrzu, w tym jeszcze chcę być pouczony:
Fortuna i jej dziwne kołowroty
Czym są, że piękny świat tak wzięły w szpony?

A on mi na to: „O głupie istoty,
Nieświadomości i nieuctwa dzieci!
Posłuchaj, że cię wywiode z ciemnoty:

Ten, czyja wiedza blask najwyższy nieci,
Stworzył niebiosą i tych, co je wodzą
Tak, że część każda każdej cząstce świeci,

A światła wszędy równo się rozchodzą;
Podobnie ziemskim blaskom, ziemskiej doli
Nadał mistrzynię, która za swą wodzą

Znikome dobra wciąż obsyła w kolej
Z ludów na ludy, z rodzin na rodziny,
A której ludzki rozum nie zniewoli.

Jeden szczep rośnie, gdy drugi w perzyny
Pada, jak łosem władczyni przyniesie,
Której sąd skryty, by wąż pośród trzciny.

Próżno wasz rozum jej przeciwieć chce się;
Ona przeziera, roztrząsa, rozstrzyga,
Jak każdy inny Wied w swoim zakresie.

Ciągle jest w ruchu, nigdy nie ostyga,
Z koniecznych przyczyn nieodmiennie chyża
I stąd tak często doła dołę ściga.

Oto fortuna, której: »Winna krzyża!« —
Woła niejeden, zamiast sławić raczej,
I krzywdzącymi słowy ją poniża.

Lecz ona, szczęśna, ucha dać nie raczy
I między innych pierwoworów grono
Błogosławione swoje biegi znaczy.

Na większą litość gotuj teraz łono:
Gwiazdy, co weszły, gdym wyruszał, nisko
Już stoją, a nam żmudzić zabroniono".

Tuśmy przecięli doliny kolisko
I ponad źródłem wyszli, co się pieni,
Padając w ryte swym pędem łożysko.

Woda w nim czarna, lecz krwawo się mieni;
Za czym tą nową drogą w głąb pieczary
Szliśmy, mętnymi nurty prowadzeni.

Ta smutna struga brzeg podmywa szary,
Jadem ziejący i w bagno rozwlekły,
Styksem nazwane; gdym w te zakamary

Rzucił spojrzenie, ujrzałem ociekły
Błotem ogromny lud z nagimi ciała
I z twarzą srogą, jakby z gniewu wściekły.

Już nie rękoma na się uderzały
Duchy: nogami i piersią, i głową;
Zębami siebie darły na kawały.

Tu dobry Mistrz mój rzecze do mnie: „Owo
Ci, których w świecie złość przemogła licha;
I to wiedz pewnie, że tam, pod osnową
Mokradła, równie mnóstwo ludu wzdycha;

Gdziekolwiek okiem rzucisz po przestrzeni,
Poznasz po bańkach, które nurt wypycha,
Brnąc, jęcząc: »Smutkiem byliśmy karmieni
Na lubym świecie, który się weseli
W słońcu; gnuśnymi dymy napelnieni,
Więc smutek żre nas w tej błotnej topieli!« —
Tak odzywają się w bagnie bełkotem,
Co zajękliwie pluska im z gardzieli".
Okrążyliśmy moczar wokół potem,
Z prawej dół mając, a z lewej wybrzeże,
I poglądali na ciekących błotem,
Ażeśmy przyszli pod jakowąś wieżę.

PIEŚŃ VIII

Mówię: dalekie jeszcze wśród wądołu
Majaczyły nam wieży czarne węgły,
A już mi oczy zbiegły ku jej czołu,
Do dwu płomyków, co się tam wylęgły
Przeciw trzeciemu w takiej odległości,
Że ich zaledwie źrenice dosięgły.

Więc ja, wpatrzony w Morze wszechmądrości,
Pytam, co znaczą te ogniste gwary,
Kto nimi gada na tej wysokości.

„Już się przybliża — odrzekł — przez moczary,
Na co czekamy, i wnet się odsłoni,
Jeśli-ć widoku nie skryją opary”.

Nie takim szybkim lotem pewnie goni
Bełt, gdy napięta puści go cięciwa,
Jako w tej chwili ujrzę, a po toni

Maleńkie czołno ku brzegom dopływa:
Jakiś duch ciemny był sternikiem nawy
I wołał: „Tuś mi, duszo niegodziwa!”

„Flegiasz, ej, Flegiasz, tym razem ty sprawy
Nie wygrasz! — tak Pan do niego zakrzyczy. —
Tyle my twoi, ile tej przeprawy”.

Jak człowiek, co go, kiedy na coś liczy,
Rozczarowanie do głębi ubodzie,
Taki był Flegiasz, pozbawion zdobyczy.

Za czym Wódz podszedł, wstąpił i do łodzie
Mnie wezwał; teraz dopiero, ciężary
Mymi zważony, ponurzył się w wodzie

I przez odmęty pomknął czołn prastary,
Głębiej się dzióbem wrzynając, niż skoro
Przewoził w sobie bezcielesne mary.

Wtem, gdy przez mętne płyniemy bajoro,
Jeden topielec do oczu mi skacze:
„A ty kto — wrzaśnie — coś tu wszedł przed porą?!”

Ja na to: „Wszedłem, lecz zostać nie raczę.
Kto zaś ty jesteś, oszpecony kałem?”
A on: „Wszak widzisz; jestem, który płaczę”.

„Duchu przeklęty — na to zawołałem —
Zostanie tutaj w płaczu i żałobie;

Choć zbłoconego, przecież cię poznałem!"

Więc mara na bort kładła ręce obie,
Lecz Mistrz, podbiegłszy, strącił piekielnicę:
„Psi rodzie — krzyknął — idź precz, wara tobie!"

Wziął mię za szyję i całując w lice
Powiadał: „Duszo, pełna oburzenia,
Błogosławione łono twej rodzice!

Ten był w swej pysze pełen zaślepienia;
Żaden czyn jemu nie zdobi pamięci,
Przeto nie znalazł pokoju dla cienia.

Iluz to królów, co państwem nadęci,
Tutaj ugrzęzną, jak wieprze w kałuży,
Wprzód w sercach ludzkich na wieki przeklęci".

„Mistrzu — powiadam — pragnę, nim podróży
Naszej dokona sternik przez bagniska,
Widzieć, jak nędznik w błocie się zanurzy".

„Nim łódź drugiego brzegu będzie bliska,
To, czego życzysz, obaczysz na jawie:
Zacne pragnienie nagrodę pozyska".

Niebawem oczy taką rzezią bawię,
Sprawioną widmu od tłuszczy przeklętej,
Że jeszcze dzisiaj za nią Boga sławię.

„Daj go! — wrzeszczała. — Filipa Argenti!"
Bezsilny przeciw napastników chmarze,
Gryzł sobie ręce florentczyk zawzięty.

Już go nie wspomnę, zostawię w moczarze...
Wtem mię uderzył jakiś jęk złowrogi:
Więc oczy baczniej w czarną pustkę wrażeń.

Mistrz rzekł: „Tu, synu, koniec wodnej drogi;
Oto gród Disa przed nami odkryty:
Liczne i groźne w nim siedzą załogi".

A ja: „Widne mi jego moszej szczyty,
Umalowane kolorem czerwieni,
Jak w hutnym piecu rozpalone płyty".

Więc on mi na to: „Od wiecznych płomieni
Z wnętrza wykwiła pas barwy ognistej,
Którym się niższe to piekło rumieni".

Wtem barka nasza wbiegła w rów kolisty,
Który krainę beznadziejną grodzi;
Mur nad nim zdał się barwy żelazistej.

Sternik nasz krążył, zanim dał swej łodzi
Wbiec do przystani; nareszcie przybija:
„Wysiądźcie — krzyknął nam — tędy się wchodzi!”

Spojrzę, nad tysiąc czartów się uwija
U wrót i woła głosy zjadliwemi:
„Kto jest ten śmiałek — pytają — i czyja
Stopa za życia w martwych staje ziemi?”
Więc Wódz roztropny ku nim jeno skinie,
Że pragnie coś rzec słowy tajemnemi.

Na to ich pycha zaraz się ochynie:
„Pójdź sam — wołają — lecz ten niechaj wraca,
Krom prawa w naszej stający kramie!

Niechże z powrotem błędnie drogi maca;
Ty zostań, coś go wiódł w tę norę ciemną,
Tobie stąd wynieść nadaremna praca!”

Pomyśl, słuchaczu, co się działo ze mną,
Gdy usłyszałem przeklęte wyrazy:
Samemu drogi stąd szukać daremno!...

„Wodzu mój luby, coś nad siedem razy
Krzepił otuchę i zwalczał zawady
Stojące w drodze mojej dla obrazy,

Niech nie zostanę słaby i bez rady;
Skoro moc wyższa przeszkodą nam staje,
Co prędzej wróćmy za własnymi ślady”.

Lecz Pan mój, co mię w owe przywiódł kraje,
Rzekł: „Zbądź obawy; nikt nie jest dość silny,
Aby nam bruździł, gdy Bóg wolność daje.

Tu na mnie czekaj i pokarm posilny
Nadziei spożyj, i niech myśl się cuci,
Wiedząc, że twego bezpieczeństwa pilny”.

Za czym odejdzie i samego rzuci
Mój słodki Piastun; zawahany stałem.
Bowiem „tak” i „nie” w mej głowie się kłóci.

Nie wiem, jakim się świadczył trybunałem,
Ale za chwilę piekielne załogi
Wszystkie do grodu nazad biegły cwałem.

I zatrasnęły bramę nasze wrogi
W pierś Pana mego; więc od wrót powoli
Wracał, stawiając opieszale nogi.

I onieśmielił mu się wzrok sokoli

W ziemię spuszczone; idzie i powiada:

„Kto mię nie puszcza do domu niedoli?”

A do mnie rzecze: „Że mną gniew owłada,
Nie dbaj i nie bój się; zwalczę przekory,
Jakabykolwiek stawiała je zdrada.

Nie pierwszy raz to brużdżą krnąbrne zmory:
Wszak próbowały buntu u mniej skrytej
Bramy, co nosi pęknięte zawory.

Widziałeś napis śmierci na niej ryty:
A już tamtędy z kamiennych poroży
Skróś kół piekielnych przybywa bez świty
Ten, co nam zejście w nowy kraj otworzy”.

PIEŚŃ IX

Gdy ujrzał Wódz mój, że z jego kłopotem
Na twarz mi wpęzła blada bezotucha,
Śmiałość na lica przywołał z powrotem.

Stanął i czekał, jak człowiek, co słucha,
Bo najbystrzejszy wzrok tam nie przebrodzi
Z dymu i mgławic czarnego wańtucha.

„Ten nowy szkopuł zwalczyć nam się godzi —
Szepnął — a gdy nie... czekać zmiłowania;
Jakże mi dłuży się, że nie nadchodzi!"

Snadziem ja dostrzegł, że początek zdania
Myśl doufniejszą, niżli reszta, mieści,
Tak że z nich razem sprzeczność się wyłania.

Toteż strach na mnie padł od nowej wieści;
Ze strzępów mowy, niepewny, co znaczą,
Możem dobywał nazbyt groźnej treści.

„Zstąpili w smutną tę jamę ślimaczą
Kto z duchów, które pierwszy stopień winy
Pragnieniem nieba beznadziejnym płaczą?"

Tak pytam, a Wódz: „Śród naszej drużyny
Niewielu tylko wolność otrzymało
Deptać te oto podziemne ścieżyny.

Raz ja tę podróż odprawiłem całą,
Gdy prośbą dzikiej Erykto zakłęty,
Co była zdolna wskrzeszać trupie ciało,

Wnet potem, kiedym zzuł doczesne szczęty,
Wstąpiwszy tutaj, zabrałem tajemnie
Ducha, co w kręgu Judy był zamknięty.

To są najgłębsze, najczarniejsze ciemnie,
Najdalsze nieba, gdzie trwa źródło ruchu;
Dobrze znam drogę, miejże ufność we mnie.

Ten staw okropny, siedziba zaduchu,
Twierdzę boleści dzierży pośród fali:
Teraz tam wkroczym z wielkim gniewem w duchu".

Już nie pamiętam, co powiadał dalej;
Wszystką uwagę ściągnąłem do góry,
Ku szczytom wieży, co się krwawo pali

I gdzie od razu nad pąsowe mury
Trzy krwawe Furie wyrosły pospołu:

Kobiece kształty miały i postury,
Zielenią gadów opasane w połu;
Z żmij i padalców ukręcone bicze
Za włos pokładły surowemu czołu.

A on, co znał już obrzydłe oblicze
Służebnic pani wieczystego jęku,
„Patrz — wołał — oto Erynie zbrodnicze.

Oto Megera, ta po lewym ręku;
W prawo Alekto wyje; Tyzyfony
Kształt w środku widzisz". Zmilkł i stał bez dźwięku.

Spojrzę, pierś sobie drą własnymi szpony
I w dłonie klaszczą, i jęczą; ja cały
Drzę, do Poety boku przytulony.

„Bywaj, Meduza! Zmień go w kawał skały! —
Przebite ku mnie wołają diablance. —
My Tezeusza niegdyś ugłaskały!"

„Obróć się prędko, zakryj dłońmi lice,
Niechbyś się dostał na oczy Gorgonie,
Już nie ujrzałyby dnia twe źrenice".

Twarzą mię zwrócił ku przeciwnej stronie
I na mych oczach, pełen nieufania,
Jeszcze położył swoje własne dłonie.

O wy, jasnego zdolni rozeznania!
Patrzcie nauki, która z osłoniętej
Niezwyczajnie mowy tajną myśl wyłania...

A już się zbliżał przez brudne odmęty
Szum, od którego dwa brzegi dygocą:
Przerażające jakoweś tętenty.

Tak wyzwolone sprzecznych prądów mocą
Tłuką się wiatry po lasu rubieży,
Szarpia konary, z pniami się szamocą,

Rwą i unoszą kwiat; a po grabieży
Dumnie odchodzą w kurzawy obłoku,
Pędząc przed sobą trzody i pasterzy.

Z oczu mi dłonie zdjął. „Teraz moc wzroku —
Rzekł — wyteż, gdzie mgła po fali się wije
Gryząca, zgęśla w oparów natoku".

Jak przed zjawieniem jadowitej żmije
Stado żab w wodzie nagle się rozprószy
I do dna tonie, i tam w grunt się ryje,

Tak więc tysiączne, skazane katuszy,
Zbiegły przed Jednym przerażone duchy,
Który po Styksie stąpał jak po suszy.

Z twarzy odganiał przygęsłe zaduchy,
Wionąc lewicą, ale zdał się zgoła
Nieutrudzony, jeno tymi ruchy.

Więc niebieskiego w nim zgadłem anioła;
Spojrzę na Mistrza, a on znak mi dawał,
Abym stał cicho i pochylił czoła.

O, jakżem pełnym wzgardy go poznawał...
Podszedł do bramy i dotknięciem wici
Otworzył; nikt mu przeszkodą nie stawał.

„Niebios wyrzutki, sromotą okryci —
Rzekł przestępując próg okropnej parni —
Czym się ta krnąbrność w sercach waszych syci?!

Przecz owej Woli stawacie niekarni,
Której zamiarów żaden nie umorzy,
A tylko własnej powiększa męczarni?

Przecz się buntować konieczności bożej?
Próbował Cerber: ku wiecznej przestrodze
Kark ma i gardziel zdarte od obroży".

Rzekł i powracał po błotnistej drodze,
Na nas nie patrząc zgoła, z miną człeka,
Którego wcale inna troska głodze

Niżli o tego, co jej chciwie czeka;
A myśmy weszli skróś czarnego wzvodu,
Czuając, że można nad nami opieka.

Już nam gwałt niczyj nie wzbraniał przechodu,
A ja, com ciekaw był przekroczyć progi
I poznać wreszcie treść krwawego grodu,

Wzrokiem zatoczę i widzę rozłogi
Po stronie lewej i po stronie prawej,
Pełne rozjęków i katuszy srogiej.

Jak w Arles, gdzie Rodan rozlewa żuławy,
Lub w Pola, gdzie wzdłuż Quarnera wybrzeży
Morze podmywa italskie dzierżawy,

Pole się groby kamiennymi jeży,
Tak tu grobowców sterczą nagie skały,
Lecz gorycz tamtych z tą niech się nie mierzy!

Pośrodku mogli płomienie pełzały;

Na skroś je żarka przejmowała spieka,
Większa niż wszelkie hutnicze upały.

Grobowców były uniesione wieka;
Przerażające szły z głębi lamenty,
Niby z nędznego na mękach człowieka.

Więc ja do Mistrza: „Kto ten lud zamknięty
I pochowany w granitowe leże,
Na taką rozpacz bolesną przeklęty?”

Na to on do mnie: „Tu cierpią kacerze
Wszelakiej sekty; z nimi naślednicy
Mnodzy; żadną ich liczbą nie przemierzę.

Równi z równymi legli; dla różnicy
Win w różnym stopniu żłoby trumien płoną”.
Tutaj skrećwszy w prawo, wzdłuż ulicy
Męczeńskiej szliśmy, pod murów osłoną.

PIEŚŃ X

Wąską ścieżyną, między miasta mury
Szliśmy a owe upalne katownie:
Mistrz mój na przedzie, a ja za nim wtóry.

„O szczytna Siło, co mię tak cudownie
Wodzis po niecnej krainie nędzarzy —
Rzekę —jednogom ciekaw niewymownie:

Owy lud, co się wewnątrz grobów praży,
Możnaż oglądać? bowiem uchylone
Są wieka trumien, a nie widzę straży".

Na to Mistrz do mnie: „Zatrzasną się one,
Gdy z Jozafata dolin liczną zgrają
Przybędą duchy w ciała obleczone.

W tej okolicy swe cmentarze mają
Epikur i tych jego uczniów świta,
Co duszę wspólnie z ciałem zabijają.

Ale myśl, w twoim pytaniu spowita,
Wnet w jednej trumnie znajdzie rozwiązanie,
A za nią inna chęć przede mną skryta".

„Serca mojego nie zakrywam, Panie,
Gdy chcesz w nie wejrzeć; lecz milczeć się zdało,
Bo takie było twoje rozkazanie..."

„O Toskańczyku, który żywe ciało
Przez gród ogniowy niesiesz i tak cześnie
Przemawiasz, zostań tutaj chwilę małą.

Już mi twa gwara zdradziła, że nie śnię:
Snadź ciebie rodzi ta ziemia sławiona,
Której jam może zaciążył boleśnie".

Te słowa wyszły z krzemiennego łona
Grobu; toż większa trwoga na mnie padnie,
Do mego Wodza przytulam ramiona.

„Obróć się, co ci? — tak Mistrz mię zagadnie.
Patrz, Farinata wstał w niszy kamiennej:
Od głów po biodra obaczysz go snadnie".

Wzrokiem chwyciłem jego wzrok trumienny;
On wznosił piersi i czoło surowe,
Jakby miał piekło w pogardzie bezdennej.

Wtem ręce Wodza mego piorunowe
Pchnęły mię, kędy ten cień sterczał blady:

„Zwiążlą do niego — rzekł — obracaj mowę”.

Gdy u grobowca stanąłem posady,
Popatrzał na mnie, a potem mi rzucił
Dumne pytanie: „Kto są twoje dziady?”

Ja, bym się z Mistrza przestrogą nie skłócił,
Co chciał, krótkimi wyznałem wyrazy;
Więc on brwi nieco ku górze obrócił

I mówił: „Chciwi byli mojej skazy,
Na ród mój wojnę od wieków zażegli,
Toż w polu pomstę z nich brałem dwa razy”.

„Choć zwyciężeni, przecież się postrzegli —
Odparłem — wzięli zasię gród zabrany;
Twoi w tej sztuce byli mało biegli”.

Wtem oczom moim wstał wyprostowany,
Widny po brodę, duch z bliskiej mogiły;
Myślę, że klęczał w swej trumnie kolany.

Jał się rozglądać, jakby jakiś miły
Gość miał mu z moją zjawić się osobą,
I nagle oczy mu się zasępiły.

Płacząc rzekł: „Skoro ku ośleptym grobom
Wielkoduszne cię wiedzie przyrodzenie,
Kędyż jest syn mój i czemu nie z tobą?”

„Nie własne tutaj pchnęło mnie zachcenie —
Rzekłem — tam stoi mąż, co mną się para:
Twój Gwido, rzkomo, miał go w małej cenie”.

Zarówno słowa widma, jak i kara
Dosyć mi o nim powiedziały wieści,
Stąd przemawiałem świadom. A wtem mara

Powstała nagle i pełna boleści:
„Jak to: miał, mówisz? Czyżby już nie bawił
Na jasnym świecie, gdzie blask oczy pieści?”

A gdym go nie dość pośpiesznie odprawił,
Duch, rozumiejąc, że odpowiedź kryję,
Na wznak padł w trumnę i już się nie zjawił.

Tymczasem cień ów dostojny, na czyje
Skinienie-m czekał, postawy nie zmienia,
Bioder nie skręci, nie obróci szyje,

Lecz jakby kończył swego przemówienia:
„Że tego kunsztu nie znali w niedoli,
Bardziej dolega niż łożę z kamienia.

Zanim pięćdziesiąt razy twarz wykoli
Pani, co dźrzy tu czasu rachubę,
Sam ty doświadczysz, jak ta sztuka boli.

A że powrócić masz na światło lube,
Mów: przecz nas lud ten ukazami smaga?
Czemu nastaje wciąż na naszą zgubę?"

Więc ja mu na to: „Rzeź i ta zniewaga,
Co Arbii dała fale rubinowe,
W zakonie naszym odwetu wymaga".

A on, westchnąwszy i zwiesiwszy głowę:
„Wszak nie sam byłem, kiedy was wyparto;
Nie wszedłbym z nimi bez przyczyny w znowę.

Za to sam jeden, kiedy się zażarto
Zmienić Florencję w kupę rumowiska,
Broniłem miasta z przyłbicą otwartą".

„Niechajże plemię twoje mir odzyska! —
Rzekłem — a teraz rozwikłaj pętlicę,
Która mi władzę poznania zaciska.

Jak widzę, wzrok wasz sięga za granicę
Zdarzeń dziejących się w obecnej porze,
Lecz obecności zakryte wam lice..."

„Jak w dalowidztwie wzrok nasz dostrzec może
Jedynie tylko odsuniętych rzeczy,
Tyle nam łaski daje Światło Boże;

Lecz bliskich lub już obecnych nam przeczy;
Toż póki z inąd wieści nie zaznamy,
Skryty przed nami jest wasz stan człowieczy.

Stąd łąco możesz wniesć, że postradamy
To świadomości dobro niewątpliwie,
Skoro przyszłości zatrzasną się bramy".

Więc ja mą winą cały się roztkliwię:
„Powiedzcie temu, co wpadł w trumnę z głazu:
Syn jego pośród żywych jeszcze żywie.

Żem odpowiedzi nie dał mu od razu,
To przeto, żem był w błędzie uwikłany,
Teraz mi widnym z twojego dokazu".

A wtem już Mistrza głosem przyzywany,
Spiesząc się, ducha poproszę goręcej,
By mię pouczył, kto z nim pogrzebany.

„Leżę tu — odparł — pośrodku tysięcy:

Ze mną Fryderyk drugi i kardynał,
I jeszcze... ale nie chcę mówić więcej".

Tu zapadł w trumnę; a jam iść poczynął
Ku prastaremu mojemu Wieszczowi
I ową przykrą wróżbę przypominał.

Ruszył; po małej chwili tak mi powie:
„Co to za troska, widzę, tobie ciąży?"
Więc ja wyznałem, tusząc, że uzdrowi.

„Coś przeciw sobie słyszał, niech się stęży
W twojej pamięci! — tak Mędrzec mi każe; —
A teraz bacz tu! — i palec wypręży. —

Kiedy obaczysz blasków jasne zarze
Tej, której wdzięczny wzrok przegląda wszędy,
Ona ci drogę żywota ukaże".

W lewo zawrócił Mistrz mój i już tędy,
Mur porzuciwszy, ścieżką coraz głębiej
Szliśmy w dolinę, skąd wstrętnymi swędy
Aż ku nam ogień wewnętrzny się kłębi.

PIEŚŃ XI

Idąc okólną ścieżką po wiszarze,
Co go tworzyły ściany w gruz rozbite,
Nad okropniejsze przyszliśmy cmentarze.

Powietrze było tak zaduchem syte,
Co w przepaścistej otchłani się wszczyna,
Żeśmy się skryli za grobową płytę,

Na której napis ryty wypomina:
„Tutaj spoczywa papież Anastazy,
Zwrócony z drogi prawej od Fotyna”.

„Z wolna — Mistrz rzecze — schodźmy między głązy;
Niech nawyknieniem zmysł się ubezpieczy,
Po czym już dalej pójdziesz bez odrazy”.

Na to ja proszę: „A tymczasem k'rzeczy
Żmudę mą innym wynagrodzić zyskiem...”
„Właśnie — odpowie — to miałem na pieczy.

Synu mój, w dole pod głazów urwiskiem
Trzy koła, jak te, co nam z ocz znikają,
Wciąż zwięzającym się biegną łożyskiem.

Wszystkie przeklętą wypełnione zgrają;
Lecz, by ci potem spojrzeć wystarczało,
Dowiedz się tutaj, przecz i jak się kają:

Wszelka złość, którą niebo obrzydziło,
Celem ma krzywdę: zrządzić ją się stara,
Godząc w drugiego podstępem lub siłą.

Lecz podstęp, człeczka jedynie przywara,
Jest niezbożniejszy, toteż w niższym kole
Ślęczą podstępni, których srozsza kara.

W pierwszym się mieszczą gwałtownicy kole;
Lecz że gwałt trzema sposobami chodzi,
Więc rozdzielony na troiste pole.

W Boga, bliźniego lub siebie gwałt godzi,
A to w osoby, mówię, albo rzeczy,
Jako się z dalszej mej treści wywodzi.

Gwałtem zabija się albo kaleczy
Bliźnich osobę, a dobra i mienie
Pożarem gubi, rabuje, niweczy.

Stąd skrytobójców i morderców cienie,
Zbrodniów, złodziei oddzielną komorą

Dostali pierwszy krąg na posilenie.

Może obrócić człowiek rękę skorą
Na siebie lub swój majątek; więc społem
W drugim okręgu beznadziejną biorą

Każń, co się sami rozstają z padołem,
Marnują dobra, trwoniąc je bez miary,
I płaczą tam, gdzie trzeba być wesołem.

Gwałt Bogu zadać można brakiem wiary
Albo bluźnierstw, lub gdy się wyróżni
Od praw przyrody, lub gardzi jej dary.

Więc w mniejszym kręgu cechą z piekieł kuźni
Sodomski znaczon ród i kaorzany,
I ten, co Bogu w sercu swoim bluźni.

Podstęp, w sumieniu sprawiający rany,
Krzywdzi tak tego, co na wierność liczy,
Jak co ufnością nie był warowany.

Ostatni owych jeno więzów tyczy,
Które natura na ludzi nakłada,
Przeto się kołem drugim ograniczy

Obłud, złodziejstwa i symonii zdrada;
Tu więc pochlebcy, fałszerze, znachorzy,
Rufiani, szachry i inna szkarada.

Poprzedni miłość przyrodzoną morzy
I to, co z taką miłością się splata,
A co związkami swymi ufność mnoży.

Więc w mniejszym kole, gdzie jest środek świata
I kędy się Dis okropny rozsiada,
Zdrajcom wieczysta znaczy się odpłata".

„Wykład twój — rzekłem — jasno opowiada
I jasno dzieli piekielne koliska
I lud, co w piekła głębokościach biada.

Lecz powiedz: owi z błotnego bagniska
I których tnie deszcz, i których wiatr gamie
I czerń, co na się ciągle klątwy ciska,

Czemu w szkarłatną nie popadli parnię,
Skoro ich nie ma Bóg w litości swojej;
Jeżeli zaś ma, skąd te ich męczarnie?"

„Przecż — odparł — myśl twa w obłędzie się znoi,
Taką niezwykłą złudą opętana?
Czyli że może kędy indziej roi?

Zbiegłaż z pamięci twojej prawda znana,
Którą ci jasno wyklada Etyka,
O trzech nałogach, obrzydzeniu Pana?

To niewściągliwość, złość, zwierzęcość dzika:
Jako ta pierwsza mniej Boga obraża
I przeto z mniejszą karą się spotyka?

Jeżeli dobrze rozum twój to zważa,
Przypominając razem, kto są owi
Cierpiący zewnątrz parnego cmentarza,
Pojmiesz, że im się odmienne stanowi
Miejsce niż zdrajcom; że kary mniej wstrętne
Znoszą, bożemu wydani gniewowi".

„O Słońce, które wzroki leczysz mętne:
Tak mi się umysł z twych rozjaśnień złoci,
Że w nich wątplenia stają się ponętne.

Lecz niech twa dobroć — rzekłem — myślą wróci
I tę zawilość jeszcze mi wyłoży:
Jak lichwa z ujmą jest bożej dobroci?"

„Ten filozofa błąd w tobie umorzy —
Odparł — wszak nieraz powtarza w swym wątku
Jako natura bierze źródło w bożej

Sztuce, z bożego wynika rozsądku;
A zaś kto pilnie w Fizyce poszuka,
Znajdzie w jej księgach zaraz na początku,
Że za naturą dąży ziemską sztuka,
Jako w mistrzowe uczeń dąży ślady;
Że więc jest ona jakby boża wnuka.

Jeśli na pamięć znów przywiedziesz rady
Z Księgi Rodzaju, wiesz, że brać wypada
Z obu porządek życia i zasady.

Zaś lichwiarz właśnie karność wypowiada
Naturze i tej, co w trop za nią bieży,
Skoro gdzie indziej nadzieję zakłada.

Teraz pójdź za mną; pośpieszać należy;
Na horyzoncie już zamigotały
Ryby, nad Kaurem Wóz już pewnie leży,
A nam nie tędy przyjdzie zejść ze skały".

PIEŚŃ XII

Grań, którą schodzić mieliśmy po stoku,
Tak była dzika, przy tym pełna wstrętu,
Że pierzchał ludzki zmysł od jej widoku.

Jak w usypisku, co z tej strony Trentu
Spezło w Adygę, czy własnym ogromem,
Czyli od wstrząśnień podziemnych tętentu,

Od stóp do szczytu rozdartym wyłomem,
Tak się bok góry zrobił niedostępny,
Że cud był, ścieżka po urwisku stromem —

Podobnie sterczał gościniec posepny;
A na wierzchołku strzaskanej głowicy
Kreteński leżał brzydki gad, w występny

Sposób z kłamanej spółdron jałowicy;
Ledwo nas ujrzał, cielsko kłem rozporze,
Jak ten, w którym gniew tajony zaryczy.

Wtem Mędrzec krzyknie doń: „Rozumiesz może,
Iż tu ateńskie ksiązę na cię godzi,
Co cię zadławił na kreteńskim dworze?

Odstąp precz, bestia, bo ten nie przychodzi
Jak ów, od siostry twojej nauczony,
Lecz mu każń waszą obaczyć się godzi".

Jak buhaj, ciosem śmiertelnym raniony,
Szarpnie się głową, na kolana pada
I, wstać nie mogąc, dryga w obie strony,

Tak się miotła kreteńska szkarada,
Więc Wódz mój krzyknął: „Zbiegnij po krawędzi,
Wymiń go, póki sam sobą nie włada!"

Za czym po piargach szliśmy, w każdej piędzi
Czując spod stopy zmykające głązy,
Co je w dół ciężar niezaznany pędzi.

Szedłem w zadumie. „Dziw ci, jakie razy
Wycięły zrąb ten, strzeżon strachem złości,
Którą moimi zgromiłem wyrazy?

Wiedz, gdym raz pierwszy schodził tutaj w gości,
Dążąc do piekła najniższego dziczy,
Jeszcze ta góra sterczała w całości.

Lecz jeśli dobrze pamięć moja liczy,
Niewiele wprzód, nim tu zszedł Obrońca,

Co zbawił Disa dostojnej zdobyczy,
Drgnęła w posadach dolina cuchnąca,
Tak iż sądziłem, że to wszechstworzenia
Dreszcz i że Miłość świat odradzająca,
Jak niegdyś, naprzód w chaos go zamienia;
Owej to chwili runęły w zwaliska
Tu i gdzie indziej pagóry z kamienia.

W dół spojrzysz: oto krwi rzeka już bliska,
Gdzie w kotłujące zanurzon jest piany,
Kto gwałtem bliźnich na ziemi uciska".

Chciwości ślepa, gniewie wyuzdany!
Przecz na doczesnym żgacie nas padole,
Aby na wieczność w takie wtrącać stany!...

Był rów szeroki, żłobiony w okole,
A jak Wódz twierdził, świadomy budowy
Piekła, ogarniał sobą całe pole.

Nad fosą wpodłuz ściany granitowej
Łuczne centaury biegały w orszaku,
Jako tam w górze, chodzący na łowy.

Gdy nas ujrzały, stanęły na szlaku,
Zaś trzy potwory skoczyły przed tłuszcą,
Gotując groty dobyte z sajdaku.

A jeden wołał: „Na jakie w tę puszcę
Schodzicie męki, hej, z gór przychodniowie?
Odpowiadajcie albo bełt wypuszczę!"

Na to Mistrz odparł: „Sam Chiron się dowie,
Co my za jedni, jakie nasze sprawy;
Prędką chęć nigdy nie szła ci na zdrowie".

Tknął mię i szepnął: „To jest Nessus żwawy,
Co go zgubiła piękna Dejanira
I co sam pomścił swojej śmierci krwawej.

Ten średni, który na swą pierś spoziera,
Chiron, Peleusowego piastun syna;
Ów Folus; za gniew piekło go potyra.

Tysiąc ich łuki nad fosą napina
I godzi w duszę, co się z krwi wychynie
Więcej, niżeli pozwala jej wina".

Ku szybkonogiej poszliśmy drużynie,
Chiron bełt wyjmie i końcem pocisku
Brodę kosmatą pod szczęki podwinie.

A odłoniwszy kły w okropnym pysku:
„Uważcie — mówi — wtóry z tych, co schodzą,
Stąpając wzrusza głazy w usypisku.

Chyba on żyje lub mię zmysły zwodzą..."
Mistrz podszedł; łona sięgał mu ciemieniem,
Gdzie się dwa stany w ludozwierzu godzą.
„Żyw on — tak mówił — a tych jaskiń cieniem
Ze mną samowtór idzie, prowadzony
Nie ciekawością, ale przeznaczeniem.

By mi go zlecić, swoje antyfony
Przerwała Pani o niebiańskiej twarzy;
Ni on jest zbrodzień, ni ja duch splamiony.

W imię Potęgi, przez którą się waży
Ma stopa w dzikie ścieżki tego grodu,
Jednego z twoich dodaj nam dla straży.

Niech nam pokaże, którędy do brodu,
A jego niechaj weźmie na swe bary,
Bo nie jest z duchów uskrzydłonych rodu".

W prawo stał Nessus; Chiron, do poczwary
Zwrócon, rzekł: „Ruszaj i bądź przewodnikiem,
I odpędź, gdy im drugie zajdą chmary".

Za czym ruszyliśmy z wiernym strażnikiem
Nad tonią wrzątku, co się pąsem krwawił,
I gdzie pękały bańki z głośnym sykiem.

W strudze lud mnogi aż po brwi się pławił.
„To jest tyranów ród — centaur powiada —
Co się łupiestwem i mordem splugawił.

Tu się za srogie krzywdy odpowiada;
Aleksy tu jest z Dionizym społu,
Co nań tak długo Sycylia biada.

Przypatrz się temu z kruczym włosem czołu:
To jest Azzolin; ów, co włos ma płowy,
Obizzo d'Este; z ziemskiego padółu

Zły syn go strącił w ten nurt rubinowy".
Chciałem coś pytać, lecz Mistrz: „Już ja z boku
Pójdę — rzekł — niech cię Wódz prowadzi nowy".

Cokolwiek dalej centaur wstrzymał kroku
Nad rzeszą, która zdawało się tonie
Po samą szyję we wrzącym potoku.

Widmo ukazał samotne na stronie

Mówiąc: „Wielbione nad Tamizy wałem
Serce on rozsiekł u Boga na łonie”.

Dalej tłum czerniał wynurzony ciałem,
Głowę wznoszący, widny aż po brzuchy;
Pośród mar ludzkich niejedną poznałem.

Coraz to płycej szedł nurt wrzącej juchy,
Tak, aż nareszcie stóp im ledwie tyka;
Tuśmy przez fosę przeszli na brzeg suchy.

„Jak z tego końca coraz się umyka
Wrzątek, że ledwie dno łożyska myje,
Masz wiedzieć — brzmiały słowa przewodnika —
Że z drugiej strony niżej w grunt się ryje,
Aż wreszcie ową kończy się głębina,
Gdzie okrucieństwo wiecznym jękiem wyje.

W tej głębi własną zatraceni winą
Cierpią: Attyla, ów bicz boży ziemi,
Sekstus i Pyrrhus; tam łzy z oczu płyną,

Gdy się ich śluza warem krwi otworzy,
Obu Rinierom, co gnębili srodze
Ziemię i byli postrachem rozdroży”.

Zwrócił się i w bród wracał po swej drodze.

PIEŚŃ XIII

Jeszcze nie przebył krwawego potoku,
Gdyśmy się w leśne dostali gęstwiny,
Gdzie żadna ścieżka nie świeciła oku.

Liść nie zielony tam, lecz jakiś siny;
Gałąź nie gładka, lecz jakaś żylasta;
Zamiast owoców — zatrute jeżyny.

Nie tak się płące i nie tak zarasta
Między Kornetem a Cecyną puszcza,
Gdzie zwierz się chowa, wróg sioła i miasta.

Tu gniazda wije brzydkich harpii tłuszcza,
Która, Trojanom obmierziwszy żydła,
Z czarną ich wróżbą na wędrówkę puszcza.

Ludzkie oblicza mają, duże skrzydła,
Pierzaste brzuchy i szpony jastrzębie;
Z dziwnych drzew jęczą dziwaczne straszyla.

Rzekł Mistrz mój dobry: „Zanim w lasu głębie
Wejdiesz, masz wiedzieć, że to krąg jest wtóry
I będziesz w jego zostawał obrębie,

Aż na okropne natrafisz piachury;
Teraz patrz pilnie, pomny, com powiadał,
Rzeczy obaczysz niezwyklej natury”.

Po boru echem jęk ogromny biadał,
Ale kto jęczyć mógł, nie wypatrzyłem,
Więc stałem, a strach z głosów na mnie padał.

Sądziłem, że Mistrz sądził, że sądziłem,
Jakoby głosy owe szły z gęstwiny
Od duchów, które sobą wystraszyłem.

„Spróbuj — powiada mi — urwać z krzewiny
Jedną gałązkę; kiedy się odłamie,
Mniemania twoje obrót wezmą iny”.

Ja usłuchałem i, ściągawszy ramię,
Gałązkę z dużej ułamałem śliwy.
„Czemu kaleczysz?” — jęknął pień, a znamię

Ciemną czerwienią podbiegło krwi żywej,
I znowu biadał: „Czemu rwiesz mi trzewa?
O, jakież w tobie duch nielitościwy!

Byliśmy ludzie, dziś jesteśmy drzewa,
Ale się z czulszą litością spotyka

Bodaj gadziny dusza..." Tak się gniewa

Widmo i na kształt żywego patyka,
Gdy płonie z jednej, płacze z drugiej strony,
A od przeciągu i skwirczy, i syka,

Ów szczątek słów i łkań wydawał tony;
Zatem mi z ręki wypadła chabina
I stałem, patrząc, jak człek przerażony.

„Duszo rozdarta — Mistrz mówić zaczyna —
Gdyby on mógł był uwierzyć w te dziwy,
Które ma stara powieść wypomina,

Nie byłby ściągnął ręki popędliwej;
Żle mi radziło cudu podobieństwo,
Żem go do próby popchnął niegodziwej.

Lecz powiedz, ktoś ty, aby, za męczeństwo
Zadane, blasku przyczynił twej sławie,
Gdy między ludzkie wróci społeczeństwo".

Więc duch: „Tak słodko prosisz i łaskawie,
Że nie lża milczeń; a niech nie zniechęcę,
Jeśli was dłużej powieścią zabawię.

Jam jest, masz wiedzieć, ten, com trzymał w ręce
Obadwa klucze od serca Frydryka,
W którym, bywało, tak pochlebnie kręcę,
Że już nade mnie nie zna powiernika.
Ta moja w służbie przychylność i wiara
Sen mi odbiera i grób mi odmyka.

Bo nierządnica, co od wrót cezara
Nigdy wszetecznych oczu nie odwróci,
Dworów zakała i zaguba stara,

Wszystkie przeciwko mnie zapala chuci,
A gniew Augusta od nich tak rozpłonie,
Że świetność moja w kiry się przerzuci.

Więc oburzenia smak poczuwszy w łonie,
Ja, prawy, krzywdę sobie zadawałem,
Tuszając, że śmiercią wzgardy się uchronię.

Lecz na tę korę, co dziś jest mym ciałem,
Przysięgam: panu, tak godnemu chluby,
Nigdy powinnej wiary nie złamałem.

Który z was obu na świat wróci luby,
Pokrzep mą pamięć, co w bezczeńść popada
Z zawiści wrogów żądnych mej zaguby".

Wieszcz chwilę czekał, a potem powiada:

„Nie zwlekaj; pytaj, póki czasu stanie,
O czym twa dusza jeszcze wiedzieć rada”.

Na to ja rzekłem: „Sam go pytaj, Panie,
O to, co myślisz, że mi wiedzieć płuży,
Bo mnie już w piersiach dławi litowanie”.

A on: „Jak tuszę, że druh mój usłuży
W tym, w czym go kolwiek twoja prośba wzywa,
O cieniu drzewnej powierzony stróży

Tak racz nam wykryć, przez jakie przedziwa
Duch wasz się wplata w te zakłęte sęki
I czyli kiedy więzy swe rozrywa?”

Więc z pnia się nagle odezwały jęki,
A szmerem westchnień ta się mowa wlekła:
„Krótco wyłożę sposób naszej męki:

Gdy dusza nasza, sama na się wściekła,
Pożegna ciało na pobyt jej dane,
Minos ją zsyła do siódmego piekła.

Śród lasu, w miejsce wprzód nie wyszukane
Pada przygodnie, jak ją wiatr ułowi;
Padłszy, kiełkuje, niby ziarnko lniane.

Wypuszcza pędy, drzewkiem się odnowi;
Harpie, liść jego szczypiąc, srogie katy,
Ból jemu czynią, a okna bólowi.

Kiedys po ziemskie nasze wrócim szaty,
Ale ich na się żaden z nas nie wdzieje:
Nie lża odzyskać własnowolnej straty.

Tu je przywleczem; pośród smętnej knieje
Nasze cielesne zawisną łupiny,
Każda na drzewie, gdzie duch jej gnuśnieje”.

Zamilkł, a podczas gdy jeszcze nowiny
Jakiej czekamy z ust dziwnego krzaku,
Chrzęst nas uderzy idący z gęstwiny,

Jako myśliwca, gdy stojąc na szlaku,
Tupot odyńca słyszy i ogary,
I trzask gałęzi, i hałas orszaku.

Wtem z lewej strony wybiegły dwie mary
Nagie i krwawe skórą obszarpaną:
Biegnąc, łamały chrusty i konary.

„Przyjdź, śmierci!” — wołał przedni; za zdyszaną

Duszą w te-ż tropy drugi próżno ręce
Wyteżał nogi, wołając: „Hej, Lano,
Mniej prędko biegłeś po tieppijskiej łące!”
Wtem tchu mu brakło; niechawszy zdobyć,
Przypadnie i z krzem w jeden kłęb się splące.
A las za nimi psiarnią zaskowyczy;
Sfora suk czarnych w okropnym obcesie,
Jakby na łowach puszczone ze smyczy,
Do ukrytego w krzaku ducha rwie się,
Potem drugiego porwie na paszczękę
I nędzne szmaty rozwłóczy po lesie.
Tedy przewodnik mój wziął mię za rękę.
I wiódł do krzewu, co daremnie biada
I krew z ran sączy za niesłuszną mękę:
„Jakubie da Sant' Andrea — krzak gada —
Czemu się moją ratujesz przyczyną?!
Za grzech twój czemu kara na mnie spada?”
Więc przystanąwszy Wódz mój nad krzewiną
Spytał: „Kto jesteś, co-ć tyloma usty
Krew i westchnienia jedno z drugim płyną?”
„Istoty, którym dziwnymi dopusty
Rzeź była wstrętna przed oczy stawiona,
Co pniowi memu pozzdzierała chrusty,
U stóp smutnego zgarnijcie je trzona:
Jam dziecię grodu, który na Baptystę
Zamienił swego dawnego patrona,
Za co ów gniewy poprzysiągł wieczyste.
I gdyby nie to, że zeń most na Arno
Po dziś dzień szczątki chowa, to ojczyste
Mury, co dłonią wznosili ofiarną
Obywatele z Attyli pogromu,
Pewnie stawiane byłyby na marno.
Wiedz, jam obwiesił się na własnym domu”.

PIEŚŃ XIV

Przejął mię taki żal rodzinnej ziemi,
Żem zebrał liście i oddał je pniowi,
Który stał z usty od skarg zemdlonemi.

Przyszliśmy w miejsce, co miedzę stanowi
Trzeciego kręgu i modłą cierpienia
Okropnie świadczy bożemu gniewowi.

Dla dokładnego rzeczy wyjaśnienia
Powiem: na suche przyszliśmy ugory,
Gdzie żadne ziele nie puści korzenia.

Wkoło nich smutny las i ptasie zmory,
Sam okolony wstrętnymi ukropy;
Na skraju krok nasz zatrzymujem skory.

Spostrzegam miałkie, piaskowe zatopy;
Tak owe muszą wyglądać pustynie,
Skróś których brnęły Katonowe stopy.

O boża zemsto, jakże cię uczynię
Straszną grzesznikom, kiedy im ukażę,
Co się mym oczom odsłoniło ninie!

Zgraje dusz nagich ujrzałem; nędzarze
Płaczem żalonym wszyscy zawodzili,
Różnymi kształty w jednej cierpiąc karze.

Ci na wznak w piasku położeni wyli,
Ci z sterczącymi siedzieli kolany,
Ci ustawicznie tam i sam chodzili.

Liczniejszy był tłum na chody skazany;
Mniejszy tych, którzy leżeli pokotem,
Lecz język mieli bardziej rozpętany.

Na step piaskowy płomienistym miotem
Padały żaru rozczepione kiście,
Jako na ciszy w górach, równym lotem.

Tak Aleksander w Indiach ognio-liście
Widział lecące na ludzi i konie,
Przy ziemi jeszcze płonące jarzyście.

Za czym je kazał deptać na wygonie,
Jako że łącniej zarzewie się zgłuszy,
Póki osobno, a nie w kupie płonie.

Podobnie tutaj wieczny ogień prószy,
A piach się żarzy tak, jak się sczerwienia

Próchno od skałki, i zwiększa katuszy.

Nędzne ramiona, młyńcem bez wytchnienia
Trzepiąc się, bronią ciała złudnej kory
Od kasań zawsze świeżego płomienia.

„Mistrzu — zacząłem — co wszystkie przekory
Piekielne zwalczasz, prócz tej, którą duchy
Stawiały hardzie u Disa komory:

Kto jest ten olbrzym dumny i bezruchy,
Co się w kłęb zwinął, ani się nie miota,
Jakby nie mięknął pod żarkimi puchy?"

Na dźwięk mej mowy olbrzym zadygota;
Poczuł, że o nim się pytam, i rzecze:
„Takim po śmierci, jaki za żywota.

I choćby ten, co piorunowe miecze
Kuje dla Zewsa, który w te otchłanie
Stracił mię, ciało przebiwszy człowiecze;

I choćby wszyscy pomdleli tytanie
Zamknięci w kuźni Mongibelu czarnej;
Choćby Zews wołał znów: »Bywaj, Wulkanie!...«

I choćby mię znów, jak w elementarnej
Bitwie pod Flegrą, ciął śmiertelnym ciosem,
Smak jego zemsty jeszcze byłby marny!"

Tedy zawołał Mistrz mój wielkim głosem,
Jakom go jeszcze nie słyszał w tej dobie:
„O Kapaneo, sprawiedliwym losem

Za kata pycha własna służy tobie,
Bo żadna boleść nie dorówna wrażej
Szałowi dumy w piasków parnym żłobie!"

Obrócił ku mnie łagodniejszej twarzy:
„To jeden z siedmi — rzekł — co wznieśli bronie
Przeciwko Tebom; Boga lekceważy,

Jak dawniej nie chciał trwać w jego zakonie;
Własna mu krnąbrność najciężej dolega,
Słuszny, jak rzekłem, szął wzniecając w łonie.

Teraz pójdź za mną, a niech się wystrzega
Stopa wysunąć na żarkie piaszczyska;
Idź tuż pod lasem, trzymając się brzegu".

Milcząc my doszli aż tam, gdzie wytryska
Potoczek źródłem ukrytym w gęstwinie;
Strach wspomnieć krwawy nurt, co w nim się ciska.

Jak w Bulicame struga waru płonie,
Który grzesznice niżej w dzbany biorą,
Tak zdroj ów płynął przez piasków pustynię,
Kamienną stoki i dno kryjąc korą;
Tędy spojrzałem, rozumiejąc k'rzeczy,
Że to jest droga pośród pól, co gorą.
„Z wszystkich aż dotąd zjawionych ci rzeczy,
Odkąd za groźne weszliśmy podwoje,
Których przystępu żadna moc nie przeczy,
Godniejszej oczy nie spotkały twoje
Niżli ten strumień, obecnie widomy,
Na którym gasną ogniopłatków roje”.
Tak mówił do mnie; za czym ja łakomy
Proszę, aby już nie skąpił mi stawy,
Do której takiej nabrałem oskomy.
„Leżą śród morza puste łądów ławy —
Mówił Mistrz — ostrów Kretą się nazywa;
Za jego króla świat był cny i prawy.
Tam góra Ida, bywało, opływa
W wody i gaje, w łąki pełne krasy;
Dziś ona martwa, niby rzecz nieżywa.
Kolebką Zewsa była w tamte czasy,
Gdy Rei strzec go przed ojcem wypadło;
Płacz dziecka kryły Kuretów hałasy.
Śród góry sterczy olbrzymie widziadło:
Starzec, w Damiatę plecyma podany,
A w Rzym wpatrzony, niby we zwierciadło.
Głowa z litego złota, bez odmiany;
Srebrne ramiona i barki olbrzyma,
Stąd do rozkracza z mosiądzu jest lany.
Nogi z żelaza, w którym skazy nie ma;
Jedynie prawa stopa z terakoty,
Lecz ona cały gmach na sobie trzyma.
Wszystek pęknięty oprócz głowy złotej,
Którym pęknięciem łązy ustawnie płyną;
Złączone żłobią wnętrze onej groty
I z góry spadłszy biegną tą doliną:
Z nich się Acheron, Styks, Flegeton rodzi.
Potem wpłynąwszy w ciasny wąwóz giną,
Tam zapadając, skąd się już nie schodzi;

Ujrzysz je zlane w zmarzłe topieliska
Kocytu; tu ich wspomnieć się nie godzi".

Na to ja: „Skoro strumień ten wytryska,
Jak mówisz, pośród ziemskiego padołu,
Czemuż dopiero tu widzimy go z bliska?"

„Miejsce to, jak wiesz, ma formę okołu,
A choć już drogi zbiegłeś kawał spory,
Ciągłe na lewo idąc i ku dołu,

Jeszcze w krąg całej nie zwiedził komory;
Więc gdy rzecz nowa zjawia się na oczy,
Strzeż się objawiać podziw każdej pory".

„Gdzież — pytam — rzeka Letejska sio toczy,
O której milczysz? Gdzie Flegeton łzawy
Zlany z wód, które owy kolos broczy?"

„Ciesz mi — odrzekł — twój umysł ciekawy;
Lecz nazwa rzeki, w której płyną wary,
Już była winna wskazać strumień krwawy.

Letę obaczysz, gdy z piekieł pieczary
Wyjdiesz; w niej myć się chodzi duch człowieczy,
Skoro okupi grzechy pełnią kary".

I dodał: „Z lasem pożegnać się k'rzeczy;
Teraz pójdź za mną po skalnej cembrzynie,
Co ci przed pieką stopy ubezpieczy:

Nad nią żar ogniów padających ginie".

PIEŚŃ XV

Krok teraz niesiem po cembrzynnej skale,
A para, co się unosi nad strugą,
Broni od ognia i brzegi, i fale.

Jako więc między Guizzantem a Brugą
Flamandczykowie morzu czynią wstręty
I odpierają przyływ tamą długą

Lub padewczycy po wybrzeżu Brenty
Gdy ochraniają swe miasta i grody,
Nim Chiarantana od wiosny poczętej

Roztaje — taki biegł wał brzegiem wody;
Lecz niższy tudzież na grubość mniej spory,
Dzieło rąk mistrza tajemnej przyrody.

Gdzieś w tyle został z dziwnymi upiory
Gaj i już zniknął z widnokręga wzroku
Niedostrzegalny; a wtem przez ugory

Piasków spostrzegam wzdłuż tamy potoku
Dusz grono ku nam idące z daleka
I wpatrujące się w nas, jak o zmroku

Na nowiu człowiek patrzy się w człowieka;
Tak nam te widma wzrok wlepiały w twarze
Jak stary krawiec w igłę, gdy nawleka.

A gdy podeszli, gdzieśmy stali w parze,
Jeden, poznawszy mię, za suknię chwycił
I zadziwiony wołał: „Czy ja marzę?”

Więc ja do ducha, który tak mię witał
Ściągnięciem dłoni, obróćcę powiekę
Dość blisko, żem z lic, kto był zacz, wyczytał.

Potem do twarzy, przez piekielną spiekę
Skróś przepalonej, twarzy mej nachylę:
„Czy to wy, panie Brunetto?” — tak rzekę.

„Synu mój — odparł — zechciej przyjąć mile,
Że przy twym boku Brunetto Latini
Kęs pójdzie, orszak zostawiając w tyle”.

„Jak chcesz — powiadam — niech się tak uczyni;
Usiądźmy razem, jeśli życzysz, panie,
A on pozwoli, Wódz mój w tej pustyni”.

Tedy on: „Kto tu na chwilę przystanie,
Za karę leżąc musi stoma laty

Bezbronny znosić ogniowe smaganie.

Ale idź naprzód, a ja w ślad twojej szaty,
Aż tłum dopędzę, co ze spiekłym ciałem
Kroczy, wieczystej żaląc się zatrąty".

Jam zstąpić nie śmiał i wciąż szedłem wałem,
Który me stopy od żarów odgradza,
Lecz jak człek pełen czci — głowę schylałem.

On rzekł: „Jakiż traf czy przeznaczeń władza
Przed dni ostatkiem na ten szlak cię miecie
I kto jest owy, co cię przeprowadza?"

Więc ja mu na to: „Tam na jasnym świecie
Zabłąkałem się w boru nieprzebytem,
Nim się spełniło moje pełnolecie.

Wyniść zeń chciałem wczoraj rannym świtem,
Alem nie zdołał, aż mię wziął pod stróżą
On i tym ujściem oto wiedzie skrytem".

„Byłeś gwiazd słuchoł — rzekł — które ci służą,
Do zaszczytnego wpłyniesz portu, skoro
Znaki o tobie, pomnę, dobrze wróżą.

A ja gdybym był nie umarł przed porą,
To widząc one gwiazd nad tobą śluby,
W spełnieniu dzieła byłbym ci podporą.

Lecz ten złośliwy lud i samoluby,
Który z fieżolskich zszedł kamiennych progów
I tak jak one jest twardy i gruby,

Odplaci tobie jak najgorszy z wrogów;
A słusznie wcale, bowiem nie wypada,
By figa owoc rodziła wśród głogów.

Ślepymi stara powieść ich powiada:
Rasa zawistna, chciwa, w złości żwawa...
Niechże na tobie ten trud nie osiada.

Tobie się taka z losu znaczy sława,
Że cię ułaknie, kto dziś prześladowe;
Lecz niech od kozła z dala rośnie trawa.

Niechże się wzajem na barłóg tratuje
Trzoda fieżolska, ale niech się strzeże
Dotykać ziela, jeśli gdzie kiełkuje

Na tym śmieciuku, wyrosłe z macierze
Rzymskiej, z tych Rzymian, co tam mieli chaty,
Gdy powstawało nieprawości leże".

„Gdybym — powiadam — otrzymał przed laty,
O com się modlił, ty, ziemi banita,
Nosiłbyś dotąd człowieczeństwa szaty.

W pamięci mojej żyje tak wryta,
Jak dziś bolesną widzę, twoja postać
I twa nauka, z której mi wyświta,

Nieśmiertelności jako można dostać.
Jeśli żyć będę, świat z mych dzieł obaczy,
Jak pragnę łasce twej wdzięcznością sprostać.

To, co powiadasz, że z gwiazd mi się znaczy,
Z tym, co mi inne wróżyły znachory,
Dobra mi pani, da Bóg, wytłumaczy.

To jedno pewnie wiedz, że każdej pory,
Byłem w sumieniu swym miał wartownika,
Słuchać przeznaczeń głosu jestem skory.

Już mię raz drugi ta wróżba potyka;
Jak trzeba, niech się woła losu święci
Fortunie koło, a chłopu motyka".

Tu Wódz mój głowę na prawo przekręci,
Pogląda na mnie bystro, wreszcie powie:
„Dobrze ten słuchał, kto chowa w pamięci".

Ja przecież ciekaw, nowe wieści łowię,
Brunettowego idąc bokiem cienia,
I kto są jego znaczniejsi druhowie,

Pytam. „Jedni — rzekł — godni przypomnienia,
Drudzy niech lepiej będą nie nazwani;
Czas broni wszystkich wyliczać z imienia.

Wiedz: wszystko wielcy mędracy i kapłani,
Których świat w liczbę najślawniejszych kładzie,
A wszyscy jednym grzechem pokalani.

Tam Pryscjan chodzi w bolesnej gromadzie,
Także Franciszek z Accorso z nim drugi;
Gdybyś się bliżej przyjrzał tej szkaradzie,

Ujrzałbyś kogoś, co z rozkazu sługi
Sług był znad Arna ślan nad Bacchiglione,
Gdzie zezuł członki, żadne złej posługi.

Więcej bym mówił, ale w waszą stronę
Nie wolno dalej iść, bo oto świeże
Spostrzegam dymy z piasku podniesione;

Lud idzie mnogi, kędy nie należę.

Lecz przecie, zanim odejdę, w rozłące
Skarb mój, gdzieś żywy jest, tobie powierzę".

 Za czym się zwrócił i rozpuścił ręce

Nogi, sposobem biegnącego męża

O płaszcz zielony na werońskiej łące:

 A biegł tak szybko, jak ten, co zwycięża.

PIEŚŃ XVI

Doszliśmy miejsca, kędy fala dudni
W niższego kręgu pędząc zakamary,
A huczy jak ul, skoro się zaludni.

Wtem my znienacka ujrzeni trzy mary,
Jak, zostawiwszy w tyle jedną zgraję
Uciekającą pod ostrymi żary,

Biegły, gdzie owe szumiały ruczaje.
„Czekaj, żeś z naszej bezbożnej ojczyzny —
Wołały duchy — po sukni poznaję!”

Aj, jakie rany i oparzelizny
Świeże i dawne po ich członkach broczą!
Strach przypominać przeokropne blizny.

A Wódz spostrzegłszy, że wprost ku nam kroczą,
„Czekaj! — rzekł, stając i zwracając twarzy. —
Tych przyjąć trzeba cześnie i ochoczo.

I gdyby nie ten ogień, którym praży
Przyroda miejsca, winien by człek grzeszny
Pierwszy biec witać takich luminarzy”.

Wtem oni lament swój podnieśli wieczny,
A skoro bliżej podeszli, o dziwo,
Spletli się i krąg stworzyli taneczny

Jako więc nadzy i lśniący oliwą
Szermierze krążą, upatrując pory,
Zanim rozpoczną walkę zapalczywą,

Tak się toczyły kołem dziwne stwory,
A twarze ciągle obracane wsteczą
Zda się z nogami wiodły przekomory.

Ozwał się jeden: „Jeśli nieczłowieczo
Twarz odmieniona i brzydota kaźni
Sprawia, iż prośby ucho twe kaleczą,

Dla dawnej sławy spójrz ku nam przyjaźnie
I mów, kto jesteś, co w piekielne czady
Cielesną stopą wkraczasz bez bojaźni?

Patrzaj: ten oto, czyje depcę ślady,
Goły golizną szkaradnej wyliny
Większy, niż mniemasz: wnuk dobrej Gwaldrady.

Gdy zamieszkiwał padolne dziedziny,
Gwidona Guerry przyobłóczył miano,

Mądrością wstawion i chrobrymi czyny.

Tuż za mną depce ziemię tę przegrzaną
Tegghiaio Aldobrandi; ten jest warty,
Aby go w świecie wdzięcznie wspominano.

A ja, wspólnymi płomieniami żarty,
Wiedz, Rusticucci jestem, przez złą żonę
Wpędzon w grzech i tu posłan między czarty".

Gdybym miał wówczas od żaru osłonę,
Między nich skoczyć byłbym się odważył,
A Mistrz mój, widząc, jaką chęcią płonę,
Nie byłby wzbraniał; lecz piasek tak prażył,
Że chociaż drżałem do nich w tej minucie,
Strach we mnie czułość i tęsknotę zwarzył.

„Nie wzgardę — rzekłem — lecz ból i współczucie
Budzi to kształtów ludzkich wykrzywienie,
W pamięć zaryty znak strasznej pokucie,
Od pierwszej chwili, gdy Mistrza skinienie
I słowa poznać niezwłocznie mi dały,
Że w was dostojne zbliżają się cienie.

Wasz rodak jestem; dzieła pełne chwały,
Imiona wasze, które w sercu liczę
Do najzacniejszych, zawsze mię wzruszały.

Po żółci mam pić owocu słodyczne;
Nimi, Wódz mówi, mój trud się nagrodzi;
Lecz przejść mi trzeba przez centralne dzicze".

„Niechaj że długo członkom twym przewodzi
Dusza — odrzekło widmo — a jasnota
Sławy po śmierci niechaj nie zachodzi.

Lecz powiedz, proszę: czy dzielność i cnota
W stolicy naszej zawsze jeszcze żywa?
I nie wygnano jej dotąd za wrota?

Bowiem Borsiere, który tu przebywa
Od dni niewielu i miejsc tych jest bliski,
Powieścią o niej serce nam rozrywa".

„Florencjo, nowy lud i nagłe zyski
Zbytek i pychę zrodziły takową,
Że czuć zaczynasz gorzko ich uciski!" —

Tak zakrzyknąłem, wznosząc twarz surową;
A oni, widząc tę o miasto pieczę,
Spojrzel na się, przytakując głową.

„Jeśli-ć i nadal tak łącno, człowiecze,
Dozwolą prawdy obnosić orędzie,
Szczęsny, że możesz mówić, co cię piecze.

Więc gdy za ciemnic tych wyjdiesz krawędzie
I wrócisz pięknych gwiazd oglądać jawę,
Gdy rzec: »Tam byłem«, pociechą ci będzie,
Przed ludźmi czasem wspomnij naszą sławę".
Wtem nagle pierzchli, wyrwawszy się z koła:
Furknęły nogi, jak na skrzydłach żwawe.

Wprzód niżli „amen" człek wymówić zdoła,
Owe się duchy z widnokręgu zwały,
A Mistrz już naprzód idzie i mnie woła.

Ruszyłem za nim: kęs my uszli mały,
A szumy fali tak już były blisko,
Że prawie mowę naszą zagłuszały.

Jak rzeka, własne co żłobi łożysko
Po apenińskich gór lewej połaci
Od Monteveso na wschód i nazwisko

Ma Cichej Wody, zanim ubogaci
Doliny, niższym rzucając się torem,
Już zaś od Forli swoje miano traci

I huczy w wąwóz lecąc nad klasztorem,
Co w Benedykcie świętym ma patrona,
A zmieścić może tysiąc mnichów dworem —

Tak od granitów piersi odrzucona
Owa kaskada purpurowa brzmiała:
Myślałem, że mi słuch od huku skona!

Sznur, com go nosił związany wpół ciała,
Gotowy użyć w nieszczęsną godzinę
Na pstrą Panterę, co mi zagrażała,

Teraz na rozkaz Wodza z biodr odwinę
I, zmiąwszy w garści, podaję go karnie
Do rąk, jak w kłębek zwiniętą gadzinę.

A on się nieco na prawo odgarnie
I zaciśnięty kłębek puszcza z dłoni
Daleko brzegu w przeotchłąną parnię.

„Jakieś tu nowe cudo się wyłoni" —
Myślałem, patrząc na ten znak dziwaczny,
Który on, zda się, okiem w pędzie goni.

O, jakże człowiek winien być opatrny

Przed tymi, którzy nie tylko naocznie
Sądzą, lecz w serca zmysł kierują baczny!
„To, na co czekam, zjawi się niezwłocznie —
Rzekł — co się tobie w mglistych kształtach marzy,
Na jawie oczom twoim uwidocznę”.

Prawdzie, co kłamstwu jest podobna z twarzy,
Niech człek niechętnie ust świadectwo niesie,
Bo mimowolny wstyd mu z niej się zdarzy.

Lecz tutaj zmilczeć nie mogę i klnę się,
Słuchaczu, na tę Komedję, o której
Niech sława głosi w najpóźniej szym czasie,
Że przez mgieł gęstwą i skłębione chmury
W górę się parła jakaś rzecz straszliwa,
Przerażającej i dziwnej postury,

Właśnie jak nurek, co z toni wypływa,
Bywszy po kotew głazem hamowaną
Lub morskim zieleń i w takt się podrywa,
Pierś wyprężając, a kurcząc kolano.

PIEŚŃ XVII

„Oto zwierz, co chwost ponosi kolczaty
Po górach, twierdze i zbroje druzgoce,
Wstrętnym oddechem zapowietrza światy" —

Rzekł Mistrz i skinął czarciem wywłoce,
Ażeby do nas przybliżył się, skrzydły
Dźwignąwszy w górę ku samej opoce.

A owy zdrady pierwowzór obrzydły
Do brzegów tułów i głowę wypręża,
W dół opuszczając ogoniaste widły.

Twarz jego, niby twarz zacnego męża,
Ufność budziła składając się szczerze,
Lecz resztą cielska przypominał węża.

Łapy kosmate miał do pach, jak zwierzę,
A boki jego, grzbiet i przepuklina
Były upstrzone w węzły i puklerze.

Żaden kunszt Turka ani Tatarzyna
Tak barwnym haftem nie zdobi dywanów
Ani tak kwitła Arachny tkanina.

Podobien owej sterzącej z bałwanów,
A pół w nadbrzeżny piasek wrytej łodzi,
Lub bobru w kraju żarłocznych Germanów,
Kiedy na czatach do pół ciała brodzi,
Zwierz przylgnął piersią tam, gdzie brzegu spadek
Tamą kamienną morze piasków grodzi.

Potwór nad próżnią wykręcał pośladek
I jadowity ogon rozszczepany
Widlasto w górę prężył jak niedźwiadek.

Wódz rzekł: „Tu z drogi naszej dla odmiany
Zboczymy, aby dostać do smoku,
Co się tam rozparł złośliwy i szczwany".

Zasłiśmy zatem od prawego boku
I brzeżkiem uszli kroków dziesięciuro,
Strzegąc od żaru stóp swoich i wzroku.

Gdyśmy stanęli prawie ponad stworą,
Widzę opodał lud, co obsiadł pole
Kaźni, nad czarną schylony komorą.

„Ażebyś poznał wszystkie w tym tu kole
Duchom występny naznaczone kary,

Idź naprzód — rzekł Mistrz — obacz ich niedolę.

Niech będą krótkie twoje z nimi gwary;
Ja zaś do zwierza podejść i każę,
Aby nam podał swoje mocne bary".

Za czym sam jeden, by się nowej karze
Przyjrzeć, po rąbku siódmego koliska
Szedłem, gdzie owi siedzieli nędzarze.

Męczarnia łzami spod powiek im tryska.
Spojrzę, a każdy to rękoma strząsa
Żar, to się broni ogniom legowiska.

Podobnie latem pies gniewny się dąsa,
Paszczęką kłapie albo łapą bije,
Gdy go pchła lub bąk, lub też mucha kąsa.

Po twarzach, które deszcz płomienny myje,
Wzrok toczę; wszystkie obce się wydały;
Lecz wszyscy mieli ustrojone szyje

W jakoweś mieszki czy też futerały,
Kreślone w barwy i tarcze herbowe,
W które się duchy pilnie wpatrywały.

Jednego widzę znamię lazuruowe
W żółtej woreczka tarczy malowane,
Mające niby lwia postać i głowę.

Znów potoczywszy okiem w krąg, przystanę
Na mieszkach znacznym krwawymi kolory:
W herbie gęś białą prześcigła śmietanę.

A wtem duch, co miał błękitnej maciory
Znamię kreślone na woreczku białym,
Rzekł do mnie: „Po coś wszedł do strasznej nory?

Idź stąd, a skoro żywym wrócisz ciałem,
Wiedz: dla sąsiada mego, Witaliana,
Tu z lewej strony miejsce zachowałem.

Padewczyk jestem sam, lecz mi przydana
Ta czerń florencka; głuchnę od jej krzyku;
»Czekamy — wrzeszczą — na wielkiego pana,
Który trzy dzioby ma w herbowym szyku...«"

Skrzywił się, język wyciągnął plugawie,
Podobien nozdrza liżącemu byku.

Ja zaś zalękły, że nad nimi bawię
Dłużej, niż Mistrza mego brzmiała rada,
Wracam, a biedne duchy tam zostawię.

Wróciwszy, spojrzę, a Wódz już zasiada
Na karku zwierza potwornej urody;
„Mężnym i silnym teraz być wypada —
Rzekł — takie tutaj w głąb prowadzą schody;
Usiądź na przedzie, ja na środku krzyża,
By ci smok żądłem nie wyrządził szkody”.
Jak ten, którego paroksyzm się zbliża
I już mu w febrze paznokcie zsiniały,
Drży na myśl samą chłodu, tak się zniża
Moja odwaga; wtem się zbiorę cały,
Wstydem skrzepiony z jego napomnienia,
Jako z łaskawej mowy rab nieśmiały.
Siadłem ma karku straszego stworzenia;
Chcę wołać Pana mego, niech mię broni!...
Głos w gardle utkwiał i nie wydał brzmienia.
Lecz on, co z gorszej ratował mię toni,
Prośby nie czekał; za ledwo się wspiąłem,
Sam mię przygarnie i jeszcze osłoni.
Potem zawoła: „Gerion, ruszaj dołem!
Czujnie, nowemu ciężarowi gwoli
Spuszczaj się z wolna i szerokim kołem”.
Jak łódź, gdy z brzegu wyrwać się mozoli,
Potwór się cofnął wstecz i odbił o wał;
Aż kiedy poczuł się całkiem na woli,
Tam, gdzie wprzód była pierś, ogon kierował
I niby węgorz, kręcąc w obie strony,
Łapami pod się powietrze zajmował.
Nie był Faeton bardziej przerażony
W momencie, kiedy z rąk wypuszczał wodze,
Od czego nieba strop jest przepalony,
Ni Ikar, kiedy w słonecznej połodze
Uczuł od ramion zlatujące skrzydła
I krzyk rodzica: „Na zły jesteś drodzie!”,
Niż ja w przestworzu niesion od straszyny,
Widząc, że wkoło mnie jeno powietrze,
A przed oczyma poczwara obrzydła.
Bujanie smoka było coraz lepsze;
Krążył i spadał, lecz jam nie czuł spadu,
Jeno na licach po bijącym wietrze.
W głębi, na prawo, tętent wodospadu

Słyszę, który się w ciemne rzuca kraje,
Więc głowę na dół chylę z szyi gadu.

W pędzie okropnym strachu mi przydaje,
Że widzę ognie, słyszę jęków tony;
Za czym lęklawiej kurczę się i czaję.

Teraz dostrzegłem, że byłem niesiony
Okólnym lotem, albowiem dokoła
Jawia się każnie i z tej, i z tej strony.

Do zmęczonego podobien sokoła,
Co nie czekając ptaka ni przynęty
Złata, aż łowiec: „Już to wracasz?” — woła,

Tak jak wprzód bujał, nad obłoki wspięty,
Teraz zemdlony z daleka usiada
Od sokolnika, gniewny i nadęty,

Nagle nas Gerion u stóp skały składa,
U strzaskanego granitów kościelca,
I, zdjąwszy brzemień, do góry przepada,
Jak wypuszczona strzała z łuku strzelca.

PIEŚŃ XVIII

Jest miejsce w piekle Złymi Doły zwane,
Całe z kamienia, ale barwy rdzawej,
Takimże wkoło murem opasane.

Na samym środku złośliwej dzierzawy
Zieje cembrzyna przepastnej grążeli:
W swym czasie skreślę jej kształt i ustawy.

Przestrzeń od onej studziennej gardzieli
Aż do stóp skały ma postać pierścienia,
A ten na dziesięć znów jarów się dzieli.

Jako dla murów zamkowych chronienia
W krąg biegną fosy napełnione wodą,
Coraz z większego zajęte promienia,

Podobną jary te krążyły modą.
A jak na zamek w krąg od każdej bramy
Mosty zwodzone powyż fosy wiodą,

Tak od stóp góry szły kamienne tamy,
Przecinające w poprzek wszystkie jary
Aż do chłonnaej je studziennej jamy.

Tu, wysadzeni od zwierza-poczwary,
Stajem; poeta wprzód, ja za nim ruszę;
W lewo idziemy ponad nowej kary

Krainą: z prawej odmienne katusze,
Nowym oprawcom cały dół podległy,
A pełen kaźni; spojrzę, nagie dusze

Grzeszników dołem we dwa rzędy biegły:
Wolniejsze ku nam obracały głowy,
Prędsze kierunek brały przeciwnie.

Właśnie Rzymianie w jubileuszowy
Rok, dla mnogości ludu, co się tłoczy
Na moście, sposób przyjęli takowy,

Że jedną stroną idą ci, co oczy
Na zamek mają i ku Bazylice,
A druga fala ku Wzgórzom się toczy.

Porozstawiani przez czarną ulicę
Rogaci biesi, zbrojni w pęki biczy,
Z tyłu ćwiczyli mary pokutnice.

Aj, jak z pierwszego zacięcia skowyczy
Zgraja i nogi zbiera, i nie czeka,

Rychło ją kańczug powtórnie oćwicz!

Wtem się me oczy natknęły z daleka
Na kształt znajomy. „Bogdaj się nie mylę —
Zawolałam — znałem ten duch w ciele człeka”.

Aby rozpoznać, co zacz, oczy siłę;
Więc Wódz przystanął ze mną i słodkimi
Słowy pozwolił zostać nieco w tyle.

Owy smaganiec snadź rozumiał, że mi
Ujdzie, gdy spuści łeb; liche wykręty!...
„Hej, ty, co wzrokiem dziury wiercisz w ziemi,

Jeśli mię cień twój nie zwodzi przekłety —
Krzyknąłem — Caccianemica poznaję:
Za cóż ty sieczon takimi praszczęty?”

„Wstyd mi wymówić — odparł — lecz nie taję,
Bowiem mię jasna twa mowa niewoli,
Co przypomina podstępne kraje.

Ja jestem owy, com z pięknej Ghizoli
Pastwę uczynił dla markiza chuci,
Choć różnie mówią o mojej w tym roli.

Jam nie jedyny bolończyk, co kłóci
Te sfery jękiem; ci, co »sipa« rzeką,
Pewnie mieszkają mniej gęsto rozsuci

Pomiędzy Reno a Saweny rzeką.
Jeśli-ć świadectwo moje mało waży,
Pomyśl: tak chciwych szukałbyś daleko”.

Jeszcze nie skończył, kiedy go oprzy
Diabeł batogiem, krzyząc: „Hej, rajfurze,
Precz stąd; nie ma tu dziewczek do sprzedaży!”

Stanąłem przy nim, co mię wziął pod stróżę,
I szliśmy aż tam, kędy głąz wystrzeli,
Tworzący przełęcz po okólnym murze.

Bez trudu-śmy się na grzbiet jego wspięli
I, w prawo szorstką zboczywszy szeżują,
Z tych kół wieczystych wreszcieśmy wybrnęli.

Tam, gdzie się skały dołem rozstępują.
By puścić mary chroniące się bicza,
Wódz rzekł: „Niech dobrze oczy twe wyczują

Gnanych w tę stronę skazańców oblicza;
Nie znasz ich jeszcze, bowiem równoległa
Z nami szła dotąd fala pokutnicza”.

Na moście staliśmy, patrząc, jak biegła
Przeciw nam duchów rozpędzonych rzeka,
Wszystka oprawców kańczugom uległa.

A Wódz, co mego pytania nie czeka:
„Widzisz olbrzyma wśród mar, co k'nam suną?
Trwa w bólu, ani zadrży mu powieka.

Jaką królewską dotąd bije łuną!
To Jazon, dzielny w sercu, chytry w mowie,
Który z Kolchidy wykradł złote runo.

Niegdyś w lemneńskim wysiadłszy ostrowie,
Kraju występnych, śmiałych dziewczek, co to
Doszczętnie męskie wybiły pogłowie,

Obłudą zakłęb i słówek pieśczętą
Zwiódł Izyfilę młodziuchną, co raczej
Ślub złamać woli niż zostać sierotą.

Rzucił brzemienną, samą i w rozpacz;

Za ten czyn cierpi każń uwodzicieli;
Taż mu się kara za Medeję znaczy.

Tłum równie winnych równą każń z nim dzieli:
Na takie zatem skazani cierpienia
Ci, co w głąb dołu pierwszego zabrnęli".

Wąskąmy ścieżką doszli rozramienia
I w tym stanęli miejscu na przełęczy,
Gdzie się łuk wspiera pierwszego sklepienia.

Lud postłyszemy, co w parowie ślęczy
Drugiego dołu i wciąż gębą pryska,
Po ciele dłońmi się tłucze i jęczy.

Ściany wąwozu pleśń obiegła śliska;
Węch i wzrok mdlały rażone oparem,
Który się stęchły wznosił z trzęsawiska.

Wzrok dna nie zgonił przepaścistym jarem,
Aż gdy się doszło przełęczy chochołu,
Co nad przepaścią przegiał się wiszarem.

Tam gdy staniemy, w samej głębi dołu
Widzę lud w strasznym pławiony kanale,
Jakby wszech kloak brud mieścił pospołu.

Okiem powiodę i ujrzę łeb w kale
Tak umazany ciężkim i smrodliwym,
Że ksiądz czy laik, nie rozeznać wcale.

„Czemu — zakrzyczał — wzrokiem uporczywym

Na mnie pogładasz, nie na inne duchy?"

„Bo pomnę — rzekłem — żem cię widział żywym

Na świecie, gdyś włos nosił jeszcze suchy;

Jesteś Aleksy Interminej z Luki,

Przeto ciekawszyś dla mnie niż tve druhy".

A on w łeb się bił, pięści zjawszy w tłuki:

„Pochlebstwa to mię takim bagnem karzą;

Cierpię, żem nie brał języka w munsztuki".

Wtem Wódz przemówił: „Wychyl no się twarzą

Za krawędź i spójrz w przeokropne kadzie,

I niechaj oczy w oblicze się wrażą

Niechlujnej dziewczki z włosami w nieładzie;

Drze się paznokciem umazanym w łajno,

Kładzie się, wstaje i znowu się kładzie.

To Tais nierządna; tej, jak ci nietajno,

Gdy pytał gamrat: »Znajduję ja w tobie

Podziękę?«, rzekła: »O, i nadzwyczajną!«

Lecz dajmy oczom odpocząć w tej dobie".

PIEŚŃ XIX

Szymonie Magu, nędzni świętokupcy,
Co rzeczy boskie, które winny z cnotą
Żenić się, jako chciwcy i porubcy

Gwałćcie podle za srebro i złoto!
Teraz wam, w ten dół trzeci potępionem,
Pieśń ma zahuczy wieczystą sromotą.

Jużeśmy doszli po progu sklepionem
Drugiego rowu, tam kędy okropnie
Nad środkiem jamy ostrym sterczy pionem.

Mądrości Boża, jakże Ty roztropnie
Niebo i ziemię, i to miejsce kary
Wyznaczasz, w słuszne rozkładając stopnie!

Ujrzałem stoki i żłób skały szarej,
Usiane gęsto w wyżłobione jamy,
Wszystkie okrągłe, wszystkie jednej miary.

Krój ich i wygląd był właśnie ten samy,
Jak u lubego mi Świętego Jana
Dotąd studzienki chrzcielne oglądamy.

Jedną ja niegdyś, za co mi przygana
Niesłuszna, stłukłem, ratując dziecinę;
Niechże niewinność ma będzie uznana.

Z każdego dołu wyzierały sine,
Dziwnej postury piszczcele grzesznika,
Utkwione w jamie po samą pęcinę.

Od płomiennego lizane języka
Wyprężały się te ciała kawalce
Tak, że zerwałyby najtrwalsze łyka.

Jako to pełza puszczone na smalce
Ogień, że tylko po powierzchni liże,
Tak chodził płomień od pięty po palce.

„Kto on zacz, Mistrzu, co gwałtowniej strzyże
Nogami niż z nim cierpiący pospołu
I piętę mu ssą krwawsze błyski ryże?”

„Chceszli, bym stokiem spadnistym ku dołu
Zniósł cię, opowie sam duch, co się kaje,
Kim jest, i wyzna przyczynę mozołu”.

Więc ja: „Na wszystko, jako chcesz, przystaję,
Panie mój, ty wiesz, jak mam słuch otwarty

Na twe rozkazy; wiesz nawet, co taję".

Tedy wszedł ze mną na ów pomost czwarty,
Skręcił na lewo i schodził po wale
W żłób zdziurawiony i ścianami zwarty.

Nie wprzód mię z bioder zdjął i wrócił skale,
Aż był nad duchem, który modłą nową
Nogami dziwne te zawodził żale.

„Ktokolwiek jesteś, wbrew naturze głową
W ziemię wetkwiona, jak pał, duszo licha,
Jeżeli-ć wolno — proszę — przemów słowo!"

Stałem tam, na kształt spowiednika mnicha
Nad zbrodniem, który, po szyję wkopany,
Woła o spowiedź, bo póty oddycha.

A duch zawołał: „Już to tam u ściany
Sterczysz? Spieszno ci, Bonifacy, pono!
Patrz, o lat kilka jestem oszukany.

Jużeś tak rychło syt ową mamoną,
Co cię skusiła zostać pięknej Pani
Mężem, by pastwić się nad uwiedzioną?"

Jam stał jak ludzie nieprzygotowani,
Gdy nie zrozumiał, co się do nich mówi,
Jakby stropieni i jakby zmieszani.

„Żwawo! — Wergili rzecze. — Niech się dowie
Duch, że się w twojej pomylił osobie".
Jam go też ostrzegł posłuszny Mistrzowi.

A mara nogi wtem wykręci obie,
Westchnie i pyta żalonym językiem:
„Więc czego żądasz ode mnie w tej dobie?

Wiedz, skoroś po to przebrnął jarem dzikiem,
By poznać, co tu za dusza się biedzi:
Jam był wielkiego płaszcza dostojnikiem.

Z miana i z dzieła syn byłem niedźwiedzi,
Nazbyt o dobro swych niedźwiadków dbały;
Jak tam me złoto, tu duch w saku siedzi.

W głąb niższą dusze tych pozapadały,
Którzy przede mną skarb kupczyli święty,
Głową w dół wbite przez otwór tej skały.

I ja zarówno skryję kiedyś piętę,
Skoro tu spadnie i w głąb mię przeważy
Ten, za którego właśnie byłeś wzięty.

Ale ja dłużej w dół nachylam twarzy
I dłużej w ogniu pięta mi się smali,
Niż temu będzie, co ją po mnie sparzy.

Wnet bowiem przyjdzie od zachodniej dali
Pasterz niegodny, mistrz podlejszej sprawy;
Ten mnie i jego zarazem przywali.

Jak Machabejski Jazon niecnej sławy
Był od monarchy swego ulubiony,
Tak temu będzie Francji król łaskawy".

W mej porywczosci może zbyt szalony,
Na to mu taką przymówką dokuczę:

„Hej, powiedz no mi, jakiej to mamony

Żądał od Piotra Pan, zdając mu klucze,
I jakimi to skarby się z bogacał?...

»Chodź za mną — prosto rzekł. — Tobie je zruczę«.

Nie żądał równie Piotr, by się opłacał
Złotem Mateusz, kiedy mu przydzielił
Urząd, co zdradą Judasza doń wracał.

Siedźże tu, wpadłeś bowiem, gdzieś wycelił,
I niech ci mile kruszec w uszu dzwoni,
Który cię przeciw Karłowi ośmielił.

A gdyby nie to, że szacunek broni
I wzgląd na owe klucze przedostojne,
Coś tam na jasnym świecie dzierżył w dłoni,

Słowa by moje ostrzej były zbrojne,
Bo chciwość wasza mir świata uboży,
Lichych wynosząc, dobrym głosząc wojnę.

Was w objawieniu wytknął Pisarz boży,
Gdy o niewieście przepowiadał owej,
Która z królami ziemi cudzołoży;

Co się zrodziła, dziw siedmiorogłowy,
I moc swą z rogów ciągnęła dziesięci,
Dopóki grzech jej nie zgubił mężowy.

Czymże bo od was różnią się wyklęci
Poganie, w kruszcu swe mający bogi,
Jak, że im jeden, a wam się stu święci?

O Konstantynie, jakżeś się stał wrogi
Światu, nie przez chrzest, lecz przez darowiznę,
Którą się pasterz zbogacił ubogi!"

Podczas kiedy nań takim szydem bryznę,

Snadź gniew lub żarły go w sumieniu grzechy,
Duch obu łydek wytrząsał goliznę.

A Wódz mój widno był pełen uciechy,
Że się obrażam na bezecną winę,
Bo usta swoje przystroił w uśmiechy.

Za czym na ręce wziął mię jak dziecinę,
A kiedy dobrze ogarnął w ramiona,
Jak zszedł, tak znowu piął się na wyżynę.

Ani nie przestał tulić mię do łona,
Aż tam wysadził, gdzie przełęcz porogi
Mościła, na wał piąty przerzucona.

Ostrożnie złożył ciężar sobie drogi
Na wirchu grani stromym i Wysokiem,
Gdzie by kozica nie odkryła drogi...

Tu jar zaczerniał nowy przed mym wzrokiem.

PIEŚŃ XX

O nowej kaźni rym ułożyć muszę
W pierwszego śpiewu tej dwudziestej pieśni:
Śpiewu, co głosi potępieńcze dusze.

Już byłem gotów zajrzeć w otchłań cieśni,
Która zionęła usta okropnemi
I którą łzami myli ci boleśni.

W okólnym rowie ujrzałem ich. Niemi
Szli i płaczący, podobnymi chody,
Jak tam procesje na powierzchni ziemi.

A gdy tak śledzę cieniów korowody,
Widzę u wszystkich szyje przekręcone
W miejscu, gdzie kadłub odbiega od brody.

Twarz odwróciły od piersi i w stronę
Oczom przeciwną szły pomimo chęci,
Mając z oczyma stopy powaśnione.

Może gdy kogo paraliż wykręci,
To go zamienia w takiego kalekę;
Ale nie sądzę ani mam w pamięci.

Jeśli, słuchaczu, na tym, co tu rzekę,
Bóg ci pozwoli uczyć się przykładzie,
Pomyśl, czy mogłem suchą mieć powiekę,
Widząc człowieczą godność w tej szkaradzie
Tak upodloną, że woda, co ciecze
Z ócz, żłobem pleców spływała po zadzie!

Toteż płakałem, aż Mistrz do mnie rzecze,
Com stał na głazu oparty ociesie:
„I tobie żal ich, niemądry człowiecze?

Litość zatłumić — tu litością zwie się,
Bo i któż ciężiej od zuchwalca grzeszy,
Co z sądem przeciw sądom bożym rwie się;

Podnieś więc głowę; niech się wzrok nacieszy
Tym, co go grunt pod tebańskimi mury
Schłonał, aż poszedł krzyk od wrogów rzeszy:

»Amfijarao, do jakiej to dziury
Umykasz z placu?!...« A on leciał w wieczny
Grób, w Minosowe okropne pazury.

Patrz: gdzie miał piersi, ma pacierz napłeczny;
Że nazbyt chyżo przedtem w przyszłość godził,

W tył patrzeć musi i krok niesie wsteczny.

Ówdzie Tyrezjasz, co się to przerodził
W niewiastę, męża zezuwając postać,
I wzrok członkami zmienionymi zwodził;
Gdy zaś poprzednich kształtów pragnął dostać,
Tedy dwa węże uściskiem splecione
Musiał poprzednio chabiną ochłostać.

Na kłąb mu patrząc w naszą idzie stronę
Aruns, któremu śród Lunejskiej góry,
Gdzie kararyjczyk w głąb zapuszcza bronę,
Pieczar mieszkaniec, śnieżyste marmury
Dały siedzibę, skąd wolnym polata
Wzrokiem na morze, gwiazdy i lazury.

Owa, co kosę na piersi rozplata,
Których nie widzisz, bo je kark zasłania,
A zaś od piersi cała jest kosmata,
To Manto; ona, syta wędrowania,
Osiadła niegdyś w gnieździe mej młodości;
Słuchaj, co o niej gadają podania;

Kiedy jej rodzic w ziemi złożył kości,
A gród Bachusa w cudzej legł obierzy,
Długo śród ziemskich wędrowała włości.

Jezioro w górnej Italiji leży
U stóp alpejskich, Benaco z nazwiska,
Niemiec granica u tyrolskich leży.

Tysiącem źródeł na Apenin tryska,
Od Kamoniki po Gardyjskie grody,
Nurt, co się dalej w to jezioro ciska.

W pośrodku, gdyby zeszli się z przygody
Trentu, Werony i Brescji pasterze,
Mogliby swoje błogosławić trzody.

Gdzie brzeg się łukiem zgina, sterczą wieże
Peskiery silnej, co pewną osłoną
Kraj przed Bergamem i przed Brescją strzeże.

Czego Benaku nie pomieści łono,
To wodospadem się rzuca i płynie,
W strumień zebrane, przez łąkę zieloną.

A ledwo głowę do biegu wychynie,
Już nie Benaco, Mincjo się nazywa
Aż po Governo, kędy w Padzie ginie.

Kęsy mały zbiegłszy, na doliny spływa
I tam się w moczar rozlane zamyka;
Śmiercią zeń zionie para zaraźliwa.

Tędy przechodząc, owa dziewczka dzika
Spotkała wyspu jałowe ostępy,
Nagie, nietknięte lemieszem rolnika.

Z dała od ludzi osiadłszy wśród kępy,
Ze służbą swoje święciła sabaty
I tam cielesne porzuciła strzępy.

Ludność, co wokół osiadła przed laty,
Widząc siedzibę bagnem warowaną,
Ściągając zewsząd, budowała chaty.

Na kościach zmarłej gród ufundowano
I już wróżbitów nie czekając zgody,
Od pierwszej pani Mantową nazwano.

W liczbę wzrastała ludność bez przeszkody,
Dopóki fałszem nie oszukał gładkiem
Chytry Pinamont głupstwa Kassalody.

A to powiadam, bo gdyby przypadkiem
Inne mniemania tę powieść prześcigły,
Moje świadectwo przeciwstanie świadkiem".

„Mistrzu, twe słowa wątpliwość rozstrzygły
I tak się wiarą w ich prawdziwość poję,
Że reszta mi jest jak węgiel wystygły.

Lecz spójrz na owe przechodzące roje:
Jestże gdzie godna pamięci pokuta?
W to jedno godzą wszystkie myśli moje".

Na to Mistrz: „Owy, co mu broda suta
Na ciemne barki puszcza kędzior kręty,
Był wieszczkiem w Grecji, gdy z mężów wyzuta,

Została bronna samymi chłopięty.
On to z Kalchase na wiatr wyblągany
Pierwsze w Aulidzie z lin odciął okręty.

Za życia on był Eurypilem zwany;
Śpiewałem niegdyś jego ziemskie trudy:
Z tragedii mojej, wierę, tobie znany.

Owy cień drugi, w biodrach taki chudy,
Michała Szkota jest dusza wyklęta:
Ten w czarodziejskie bawił się obłudy.

Tu Bonattiego, tam widzisz Asdenta,

Co rad by wrócił do dratwy i szydła,
Lecz się za późno w piekle opamięta.

A tam wróżbitki, co od motowidła,
Igły i szpulki poszły w czarownice
I z figur, i z ziół czyniły mamidła.

Lecz chodźmy; już się chyli za granicę
Dwu półsfer Kain, co pęk cierni niesie
I pod Sewillą w morzu topi lice.

Wczorajszej nocy księżyc w pełnym kresie
Wszedł; na blask jego pątnik się nie żali;
Sam wiesz, coś wczoraj w ciemnym bładził lesie.

Podczas gdy mówił do mnie, szliśmy dalej.

PIEŚŃ XXI

Górą przełęczy, gwarząc bez ustanku
O rzeczach, które w powieści pominą,
Szliśmy, aż doszli najwyższego ganku,
By stamtąd zajrzeć w następną szczelinę
Złych Dołów i jej marne poznać żale:
Spojrzę, w ciemnościach dziwnych okiem ginę.

Jako w weneckim zimą arsenale
Wre lepka smoła w kotłach na zaprawę
Okrętów, których uszkodziły fale:

Więc kiedy jeden nową stawia nawę,
Drugi rozbitej przez długie podróże
Pakuł boki zatyka dziurawe;

Więc jeden reje, drugi sztaby, trzeci struże
Wiosła, a czwarty zasię kręci liny;
Ów żagle łąta i małe, i duże —

Tak mocą bożą, bez ognia przyczyny
W padolnym żłobie smoła wrzała zgęśła
I ośliniała całą głąb kotliny.

Widziałem jeno tyle, że się trzęsła
W bańkach powierzchnia bulgocąca wrzątku:
To się wzdymała w kozuch, to znów kłęśła.

A gdym tak patrząc czekał zdarzeń wątku,
Wódz mój zawołał nagle: „Wara! Wara!”
I ściągnął z miejsca, gdzie stanął z początku.

Więc się zwróciłem jak człek, co się stara
Wytrwać i poznać strach, który go pędzi,
A choć w nim bojaźń odwagę rozpara,
Ucieka wprawdzie, ale kroków szczędzi:
Ujrzałem postać czarnego straszydła,
Biegnącą mimo po skalnej krawędzi.

Aj, jaka mara to była obrzydła!
Jak mi się wydał czart w swym iściu srogi
Na lekkiej nodze, rozłożywszy skrzydła!

Z bark, co przeżyły pyszne ostre rogi,
Zwisał mu grzesznik na wznak wywrócony;
On, pazurami dzierżąc go za nogi,

Z naszego mostu krzyczał: „Hej, Złe Szpony!”
Oto starosta jeden z Zyty grodu;

Weźcie go pod się, a ja w tamte strony

Wracam do miasta, gdzie ich mam jak lodu;
Oprócz Bontura chłop w chłopa filuty,
Za dzięgi z »nie« — »tak« robią bez zachodu".

W przepaść go rzucił i po skale lutej
Wracał, a gonił, nie stawiając pięty,
Szybciej niż kundys w złodzieja poszczuty.

Ów spadł i grzbietem wypływał, wpół zgięty,
A czarci, stojąc pod mostem, krzyczeli:
„Nie kłaniaj! Tu nie Wizerunek święty!

Inszej tu zażyj niż w Serchio kąpieli;
Jeśli z łap naszych nie strach ci zadzierki,
Bacz, żebyśmy cię więcej nie widzieli!"

Wtem stoma widły pokłuli mu nerki,
Krzyząc: „Po ciemku płasaj sobie w warze
I po omacku czyń swoje szacherki!"

Właśnie tak samo kuchcikom kucharze,
Aby po wierzchu mięso nie pływało,
Każąje topić widelcami w garze.

A Wódz mój rzecze: „By się nie wydało,
Że jesteś tutaj, obierz sobie głązy
Za mur i skryj się, przysiadłszy za skałą;

A jakiegokolwiek doznałbym obrazy,
Bądź no spokojny, że im się obronię:
Raz już mię takie spotkały przekazy".

Potem most przeszedł; gdy po drugiej stronie
Docierał, gdzie się poczyyna wał szósty,
Zaprawdę, musiał nieść odważne skronie!

Z jaką wściekłością i z jakimi szusty
Zgraja kundysów wypadnie na dziada,
Aż krzyczy: „Ratuj!" — drżąc białymi usty,

Tak tu czerń diabłów spod mostu wypada,
Grożąc widłami; lecz on na kaduki
Krzyknął: „Wara wam! Ta nie płuży zdrada!

Zanim poczniecie dzióbać, czarne kruki,
Sam tutaj który! Słysz, co się mnie tyczy!
Potem już dam się potargać na sztuki".

„Hybaj, Zły Chwoście!" — czereda zakrzyczy.
Więc jeden wyszedł, reszta w miejscu stoi;
Podbiegł i pytał Mistrza, czego życzy.

„Myślisz, Zły Chwoście, że mógłbyś tu mojej
Osoby w piekle zażywać widoku
I że mógłbym wam oprzeć się krom zbroi
Bożego sądu i losów wyroku?

Zatem puszczaj mię! Niebo rozkaz dawa,
Bym komuś drogę ukazał śród mroku".

Tedy runęła czarta duma żwawa;
Z rąk mu narzędzie męki wyleciało
I rzekł do czerni: „Żgać nie mamy prawa!"

A Wódz mój do mnie: „Ej, ty, co za skałą
Siedzisz, kamiennym zasłonięty wałem,
Powstań i do mnie tu powracaj śmiało!"

Za czym się ruszę i popędzę cwałem;
Wszyscy szatani zabiegli mi drogę,
A ja już się ich niekarności bałem.

Pamiętam twierdzy poddaną załogę:
Śród wrogich szyków, pod paktem z Kaprony
Wychodząc, równą czuć musiała trwogę.

Do boku Wodza cały przytulony,
W gromadę czartów, co z takim wypadła
Złowrogim gestem, wzrok miałem wlepiony.

Zniżając haki, piekielne widziadła
Szeptały do się: „Kuper mu zdziurawię!"
I podjudzały: „Kól go aż do sadła!"

Lecz ten, co w naszej pośredniczył sprawie,
Prędko do czarta przyskoczy i powie:
„Żdziebełko! Hola, hola, nie tak żwawie!"

A do nas: „Niech wam nie postoi w głowie
Kołować dalej po tej skały grzbiecie;
Łuk szósy leży skruszony w parowie.

Lecz skoro naprzód koniecznie iść chcecie,
Tym tu wyłomem drogę przedsięweźcie;
Blisko most stoi, którędy przejdziecie.

Lat się spełniło właśnie tysiąc dwieście
Sześćdziesiąt i sześć wczoraj o tej porze,
Więcej pięć godzin, jak się owo przejście

Zapadło; czarcią z wami poślę stróżę
Zajrzeć, czy gdzie duch głowy nie wytyka;
Pokorę dla was i rygor im wdrożę.

„Niech Tłumiroś z Wiłą naprzód zmyka! —

Wrzasnął. — Psia Morda za nimi w sie czasy;
Kudłacza daję wam za dziesiętnika.

Nadto ruszajcie, Smoczy Pysk i Łasy,
I Ostry Pazur, i Knurec Zębaty,
I ze Szalejem Opętaniec Krasy.

Nad wrzącą smołą rozstawić mi czaty;
Tym mają dane być glejt i opieka
Do mostu, co się nie zapadł przed laty".

„Biada — krzyknąłem — co nas tutaj czeka?!

Odejdźmy sami, gdyś szlaku podróży
Świadom; ja wolę widzieć ich z daleka.

Przezorny byłeś dotąd, bądźże dłużej;
Nie słyszysz, jak to zgrzytają im kielce?
Brew namarszczona rzecz niedobłą wróży".

A Mistrz mój na to: „Lękliwy żeś wielce!
Niechże się marszczą i zgrzytają zdrowi;
Na prażące się pomstują topielce".

Wtem ku lewemu pierchnęli wałowi,
Wprzód wyciągnąwszy języki przed starszem,
Zębem przycięte, znak dziesiętnikowi.

A on im z kupra zagrał przed wymarszem.

PIEŚŃ XXII

Widziałem w życiu wojowników roty
Na bój idące; widziałem ataki
Hufców, przeglądy wojska i odwroty;

Widziałem na harc wodzone rumaki,
Aretynowie, i rycerskie gony,
W turniejach kopie kruszone i znaki,

Podczas gdy trąby huczały i dzwony,
I bębny, i twierdz wołające strażę,
I hasła swojskie albo z cudzej strony —

Nigdy nie widział przy takiej fujarze
Wymarszu pieszych ni jezdnych, ni floty,
Gdy się jej hasło do drogi ukaże.

Szliśmy wśród biesów dziesięciorga roty,
Straszna kompania!... Ale cóż? W kościele
Siedzis przy świętych, w karczmie wśród hołoty.

Ja wszystką baczność na wrzątku zestrzele,
By lud ogarnąć w tę fosę wchłonięty
I w smole straszne biorący kąpiele.

Jako delfiny, kiedy grzbiet wygięty
Z podmorskiej fali jawią marynarzom
Na znak, aby się chronili z okręty,

Tak ci, by ulżyć mąk, w których się prażą,
Coraz to plusną, skryją się i znowu
Grzbiet szybko, jak błysk piorunu, ukażą.

Albo jak żaby w kałuży, gdy z rowu
Nad wodę pyszczki prężą za oddechem,
A kryją nogi i resztę tułowu,

Tak wysterczali ci skalani grzechem;
Ale gdzie Kudłacz przejdzie, zaraz sami
We wrzątku toną, zmykając z pośpiechem.

Wtem, na wspomnienie jeszcze serce drga mi,
Jeden się spóźnił, jak żaba w bagnisko
Gdy nie uskoczy za towarzyszkami.

Lecz Ostry Pazur, który stał tu blisko,
Śmignął, za zlepy włos hakiem do góry
Podniósł, jak wydrę obmokłą i śliską.

Z imienia znałem już diabelskie ciury,
Bo werbowanych znałem w pamięci

I uważałem, jak się wabił który.

„Hej, Opętańcze, nie szczędź mu dziesięci
Szponów i nadrzej no porządnie łyka!" —
Tak jednym głosem wołali przeklęci.

„Mistrzu — do mego rzekę Przewodnika —
Spytaj, gdy wolno, o imię maskary,
Którą tak wrogo czerń oprawia dzika".

Więc Wódz natychmiast przystąpił do mary
I pytał, co zacz, a duch krzyknął z dołu:
„Urodziłem się w królestwie Nawarry;

Matka mię moja u dworskiego stołu
Służyć oddała, zrodziwszy z hultaja,
Co strwonił mienie z żywotem pospołu.

Dobry król Tybalt łaskaw mi jest, a ja
Wnet szalbierstwami żywot swój zachwaszczę,
Za które w smole teraz duch się kaja".

Tu diabeł, co miał uzbrojoną paszczę
W parę sterczących kłów, jak dzikie knury,
Zaraz mu jednym dał poczuć, jak głaszcze.

Popadła biedna mysz w kocie pazury!
Lecz Kudłacz, ducha objąwszy ramiony,
Rzekł: „Póki dzierzę, wara mu od skóry!"

Potem do Mistrza pyskiem obrócony:
„Pytaj, co jeszcze chcesz wiedzieć — powiada —
Nim go rozerwą tamci swymi szpony".

Więc Wódz zagadnął: „Śród topielców stada
Jest tu z łaćńskiej włości ziomek jaki?"

Duch na to: „Krajów łaćńskich sąsiada
Jeno com widział w głębi smolnej młaki;
Bogdajbym przy nim warem się napawał,
Nie straszyłby mię pazur i bosaki".

A Łasy: „Dość-em cierpliwie wystawał".
I, wysunąwszy nagle harpun chwytki,
Z ramienia mięsa mu odszarpnął kawał.

Smoczy Pysk znowu widłami do łydki
Rwał się, dziesiętnik jednak skoczył żwawy
I dookoła wzrok zatoczył brzydki.

Gdy uciszyli nieco wielkiej wrzawy,
Tego, co ranę swą oglądał, spyta
Mój dobry Piastun, niemieszkając sprawy:

„Kto owa dusza, tak dobrze ukryta,
Coś ją porzucił, i z lichej porady?"

Odpowie widmo: „Jest to brat Gomita,
Z Gallury rodem, naczynie wszej zdrady,
Który miał wrogów swego pana w saku,
A tak ich użył, że każdy mu rady.

Brał od nich dzięki, wypuszczał bez braku;
W innych urządach zdzierstw popełnił sporo;
Słowem, był bo łotr wysokiego znaku.

Z nim siedzi Michał Zanche z Logodoro;
Tam o Sardynii gawędzą do syta:
Skoro raz zaczną, kończyć im nieskoro.

Aj, tamten, słyszę, kłami na mnie zgrzyta!
Rzekłbym coś jeszcze, alem pełen strachu,
Że mi się zębem głowizny dopyta!"

Więc na Szaleja, co go trzymał w szachu
I białkiem toczył, stając jak do sztyku,
Dziesiętnik wrzasnął: „Precz, złośliwy ptachu!"

„Gdyś rad usłyszeć coś o Toskańczyku
Albo Lombardzie — rzekł duch zastraszone —
Zaraz ci przyślę; jest ich tam bez liku.

Lecz niech się nieco odsuną Złe Szpony,
Bo tamci wyjrzeć nie śmia, w strachu kary;
Ja, tu pod skałą sobie przyczajony,

Za mnie jednego zwabię całe chmary,
Gdy tylko świsnę, co u nas jest znakiem,
Że wolno głowę wyścibić nad warty".

Psia Morda, słowem oburzony takim,
Łbem zaczął kiwać, uniósłszy paszczęki:
„Patrzcie, co zmyślił, aby ujść przed hakiem!"

A on, co w głowie nosił kruczków pęki,
Powiada na to: „Ha, dowcipnie wcale,
Że towarzyszy dam na większe męki!"

Wiła na przekór krzyknął: „Doskonale!
Spróbuj no czmychnąć, omyliwszy warty,
Ja w zakład idę: nie zgonię we cwale,

Lecz w locie ponad smołą rozpostarty
Dopędzę; pójdź tu i stań za urwiskiem,
Obaczym, czyś co więcej od nas warty".

Nowym, słuchaczu, zdziwię cię igrzyskiem.

Wszyscy się biesi tyłem obrócili,
A on najpierwszy, Psia Morda nazwiskiem.

Chytry Nawarczyk dobrał sobie chwili,
Odbił się piętą na urwiska spadku,
Szusnął, a diabli zabawę pokpili.

Na brzegu stali, markotni z wypadku,
Ale najbardziej ów pokpiwca sprawy;
Prędko się porwał, krzyknął: „Mam cię, bratku!",
Lecz nadaremnie, strach był bardziej żwawy;
Spadł potępieniec w smołę i dał nura,
A szatan wracał, prężąc skrzydeł stawy.

Tak sokół, kiedy poluje kaczora,
Już, już go sięga, gdy ten w wodzie znika,
A sokół wraca, opuściwszy pióra.

Wściekły, lecz i rad z tej psoty grzesznika,
Powstrzymał druha w locie Tłumirośa,
Bo uśmiechała mu się bijatyka.

Więc kiedy oszust czmychnął im sprzed nosa,
Wbił w towarzysza szponiaste ostrogi
I zwiśł, gdzie wrzątkiem parowała fosa.

Ale i ów był raróg nad rarogi,
Więc pazurami zadzierzył go krzepko,
Aż razem wpadły w war zacięte wrogi.

War zapaśnikom prędką był rozczepką,
Ale nie mogli wygrzebać się z młaki,
Bo skrzydła smołą kleiły się lepką.

Kudłacza skwasił kłótni obrót taki;
Pchnął czterech lotem na drugi brzeg jaru,
Wszystkim kazawszy wziąć widły i haki.

W różnych zlecieli miejscach i z wiszaru
Widły podając, przybyli ratunkiem
Diabłom, wpieczonym już w skorupę waru.

I zostawiliśmy ich z tym frasunkiem.

PIEŚŃ XXIII

Samowtór szliśmy, samotni i niemi;
Mistrz mój na przedzie, ja po jego tropie,
Sposobem Braci Mniejszych pośród ziemi.

Ja, zatrzymawszy myśli na Ezopie,
W bitwie diabelskiej do bajki o szczurze
I żabie dziwne podobieństwo tropię.

Bo mniejszy związek dwu członów w figurze
Logicznej niż tu, kiedy, z punktów wiele
Zważając, skutek po przyczynie wróżę.

A jako z myśli druga myśl wystrzela,
Tak się rachuba ma z rachubą składa
I podwójnym mię lękiem onieśmiela.

Rozumowałem tak: diabelska zwada
Przez nas powstała, przez nas owa psota;
W czartach się musi burzyć złość nie lada.

Gdy jeszcze podstęp na gniew się namota,
Wnet na nas wścieklej wpadną czarcie złaje
Niż charty w polu poszczute na kota.

Toż czułem, że mi włos na głowie wstaje;
Za Mistrzem stojąc i piekielnej wrzawie
Podając ucha: „Mistrzu, mnie się zdaje —

Rzekłem — że jeśli stąd się nie wybawię,
Sfora Złych Szponów prędko nas dopadnie;
Ja ich tak czekam, że już czuję prawie".

„Choćbym zwierciadłem był, tak się dokładnie
Twój kształt zewnętrzny we mnie nie wyświeci,
Jak się wewnętrzny tu przede mną kładnie.

Dwie myśli nasze spod jednej pieczęci
W tej chwili wyszły, jednakowym śladem
Ryjąc powstałe w obu sercach chęci.

Jeśli pozwoli prawy stok swym składem
Do następnego opuścić się rowu,
Przed spodziewanym umkniemy napadem".

Ledwo dał wyniść z ust otuchy słowu,
Gdy spojrzę, skrzydła wyprężając skore,
Lecą szatani w nadziei obłowu.

Ale Przewodnik pochwycił mię w porę:
Tak matka, nocnym zbudzona rozruchem,

Gdy ujrzy, że dom nad jej głową gore,
Porywa dziecię i ucieka duchem,
Więcej o skarb swój niż o siebie dbała,
Zaledwie jednym odziana rańtuchem...

Na wznak się rzucił i ciężarem ciała
Sunął po zboczu stromego urwiska,
Którym się druga fosa zamykała.

Nie tak się rączy wyrывa z łożyska
Potok, kamienie obracać u młyna,
Nawet kiedy już na koła się ciska,
Jak Mistrz, gdy niósł mię, gdzie owa ruina
Sterczy, na piersi położywszy swoje
Nie jak współnika drogi, lecz jak syna.

A ledwo stanął na dnie, diabłów roje,
Spojrzę, nad nami biegną samą granią,
Lecz już się teraz ich złości nie boję.

Opatrność, co ich nad piątą otchłanią
Postanowiła naczelnymi pany,
Nie pozwoliła wychylać się za nią.

Tuśmy znaleźli naród farbowany;
Płacząc, powolnie włókł się wokół góry,
Zdał się znużony bardzo i znękany.

Odzian był w płaszcze i niskie kaptury
Na oczy, krojem i miarą takowe,
Jak w Kolnie noszą zakonników chóry.

Złożony kaptur krył grzesznikom głowę,
Wewnątrz tak grubo ołowiem podbity,
Że słomką przy nim hełmy Frydrykowe.

O wiekuistych udręczeń habity!...
W lewo skręcamy, chcąc pójść w równej mierze
Z nimi, wsłuchani w ból płaczem niesyty.

Lecz snadź im straszne ciężły pancerze,
Bo szli tak wolno, że przy każdym ruchu
Mieliśmy coraz towarzystwo świeże.

Więc ja do Mistrza: „Spójrz, w cieniów łańcuchu
Rozpoznaj kogo, w krąg podawszy głowę,
I o jakim mi sławnym powiedz duchu”.

Wtem jeden, który tokańską znał mowę,
Wykrzyknął do nas: „Wstrzymajcie się w pędzie,
Wy, przez powietrze biegnący kirowe;

Może ja ciebie objaśnię w tym względzie".
Wódz się obrócił: „Stań, gdy prosi o to,
I niech krok jego twemu miarą będzie".

Stanę i widzę dwu, partych ochotą
Dojścia mnie, lecz krok niosących powłokiem,
Wagą wstrzymany i drogi ciasnotą.

Wreszcie podeszli, popatrzyli bokiem,
Potem do siebie, jakby zawahani,
Szeptali, obcym zdziwieni widokiem:

„Że jeden żyje, widno z ruchu krtani;
Lecz choćby zmarli, przez jakie przejrzenie
Przychodzą w ciężki habit nie ubrani?

O Toskańczyku, w smutne zgromadzenie
Obłudnych takim zapędzony cwałem,
Niech cię nie płoszy od nas obrzydzenie!"

Więc ja: „Rodziłem się i wychowałem
W przesławnym mieście u Arnowej fali,
A ciało dotąd mam to, które miałem.

Ale wy, co zacz, z których tak się żali
Katusza, iż łzą wytryska na lice
I na kapturach blaskami się pali?"

A widmo rzekło: „Te płowe kapice
Tak są ołowiem ciężkie, że pod niemi
Kość nam, jak waga pad ciężarem, zgrzyce.

W Bolonii zwań nas Braćmi Uciesznemi:
Jam jest Katalan, on Lodryng się zowie;
Urzędy w twojej oddano nam ziemi,

Bo z żadną partią nie zostając w zмовie
Rokowaliśmy pokój; jak wesoly
Nasz pokój, świadczy Gardyngi pustkowicie".

„Bracia! — zacząłem. — Te wasze mozoły..."
Lecz nie skończyłem; uwagę mą skłócił
Nędzarz do ziemi wbity trzema koły.

Kiedy mię ujrzał, okropnie się rzucił
I w brodę ciężko sapał, rozszechany;
A brat Katalan do mnie głos obrócił:

„W faryzeusze ten ukrzyżowany
Wmówił, że godzi się, dla praw powagi,
By człowiek za lud na śmierć był wydany.

Na drodze leży przebity i nagi,

A kto przechodzi tędy, musi wprzód
Dać piersiom jego swej doświadczyć wagi.

Teść jego na też potępiony trudy,
W tym samym dole reszta synagogi,
Która nasieniem była złym dla Judy".

Widziałem, jak się zdziwił Mistrz mój drogi
Marze na własnym krzyżu przygwożdżonej,
Wygнанej na te wieczyste rozłogi.

Potem się ozwał, do mnicha zwrócony:
„Jeżeli wolno i tę łaskę mamy,
Powiedzcie, proszę, czy tu z prawej strony

Nie ma w następny dół wiodącej bramy,
Byśmy bez czarnych pomocy aniołów
Swobodnie mogli z waszej wyjąć jamy".

„Bliżej, niż sądzisz, jest tu most, co z dołów
Studziennych aż do wielkiego koliska
Przecina wszystkie koryta wadołów.

Jedno naszego sobą nie przyciska,
Jako że runął: owym powalonym
Mostem wam drogę uściela zwaliska".

Mistrz stał przez chwilę z czołem pochylonem,
Potem rzekł: „Licho swej użył przekory
Ten, co tam łotrów rozszarpuje szponem".

Mnich na to: „Uczą bolońskie doktory
O czarta złości, a między innemi,
Że ojcem fałszu jest, do kłamstwa skory".

Tu Mistrz wyruszył kroki ogromnemi,
Twarz jego była gniewem pomieszana;
Za czym wyszedłem z obarczonych ziemi

W ślad ukochanej stopy mego Pana.

PIEŚŃ XXIV

W owej to porze młodzięńczego roku,
Gdy słońce włosy na Wodniku stroi,
Noc do długości dnia przymierza kroku,
Gdy szron po polach śnieżnej siostry swojej
Obraz barwami białymi wymości,
Który się jednak długo nie ostoi —

Kmiatek, któremu już głód w chacie gości,
Wstaje i wyrzeć idzie, jak na dworze,
A tam ci niwa calutka w białości.

Tedy po bokach bije się nieboże,
Do izby wraca i z żalu się śłania;
Lecz się zaśmieje i otuchą wmoże,
Widząc zmieniony świat do niepoznania
Za małą chwilę; kostur bierze krzywy
I na pastwiska chudobę wygania.

Tak się załakłem, kiedym frasobliwej
Na czole Mistrza mego dostrzegł chmury;
Lecz on wnet polał na ranę oliwy,

Bo ledwie wstąpił na zwalone mury,
Ku mnie się zwrócił w tak słodkiej postawie
Jak tam raz pierwszy u podnóża góry.

Potem, po krótkiej sam z sobą rozprawie,
Rozjął ramiona, chwycił mię w pół ciała,
Spojrawszy wprzód po ruin dzierzawie.

A jako człowiek, co waży i działa,
Lecz chce, by czyn miał bezpieczeństwa znamię,
Tak on, stawając, gdzie grań wysterczała,

Już mi wskazywał drugą. „Na tym złamie —
Mówił — oprzyj się i dobrze obramień,
A przedtem spróbuj, czy się nie załamie”.

Nie chodzić tędy za zbrodnię omamień
W ołów zakutym, gdy on niewcielony,
Ja podpierany — z kamienia na kamień

Ledwo stąpamy; i gdyby z tej strony
Stok nie był wiele niższy niż z poprzedniej,
To nie wiem, czy on — ja padłbym zemdlony.

Lecz że Złe Doły ku studni ośredniej
Całe się chylą, zatem ściany jarów

Są ułożone w sposób odpowiedni:

Jedna się wznosi, druga zniża w parów.

Jużeśmy doszli tam, gdzie w ruin strzępie

Sterczał ostatni kamień u wiszarów.

Kiedy stawałem na granitów kępie,

Płuca mi wyschły, krok niosłem ołowi

I zaraz unieść musiałem na wstępie.

„Teraz się z lichej gnuśności rozpowij —

Mistrz do mnie rzecze — bowiem pod pierzyną

I w puchach łoża sławy się nie łowi!

A komu bez niej dni na ziemi płyną,

Po takim ślad się padolny rozpyli

Dymem na wietrze i wód szumowiną.

Więc wstań i niemoc niechaj w tobie zmyli

Duch, co zwycięzcą jest w każdej rozprawie,

Chyba go brzemień ciała ubezsili.

Na wyższych schodach ciebie ja postawię;

Nie dość, że ciemne rzucimy katownie:

Wyczerp naukę z tego, co ci prawię".

Wstałem, udając sobą, że cudownie

W członki me siła wstąpiła ognistsza;

„Pójdź — rzekłem — krzepki jestem niewymownie".

Po skalnym łuku ruszyłem w ślad Mistrza;

Perć była wąska i pełna obrazy,

I jeszcze, niżli poprzednie, spadzistsza.

Idę i gwarzę, by nie zdradzić skazy

W odwadze, gdy wtem dosłyszę pomruku,

Co w niewiązane składał się wyrazy.

Nie wiem, kto mówił, choć stałem na łuku,

Co nowej fosy stanowił granicę,

Lecz głos był pełen gniewliwego fuku.

Spojrzałem na dół; żyjące źrenice

Dna dla ciemności nie mogły zgruntować,

Więc rzekłem: „Mistrzu, by zejść w tę ulicę,

Do rogu ściany okólnej mię prowadź,

Bo jak, słuchając, nie słyszę, tak łowię

Wzrokiem, a kształtów nie mogę zmiarkować".

„Czynem — Mistrz odparł — odpowiedź wysłowie,

Bo zacna prośba wysłuchania warta;

Niemy czyn na nią najsnadniej odpowie".

Zeszliśmy zatem, aż gdzie przełęcz zdarta
Na ósmej ścianie oparła się zrębie;
Przedemną otchłań zionęła otwarta,
Gdzie obaczyłem w przeokropnym kłębie
Wężę przeróżnych kształtów i natury;
Myśląc — dziś jeszcze krew mam w żyłach ziębię.

Niech się nie chełpią libijskie piachury,
Że płodzą bestie niezwykle i gady,
Hydry, padalce, niedźwiadki, jaszczury.

Takich złośliwych, z tak różnymi jady
Etiopijskie nie znają obszary
Ani czerwono-morskie ich sąsiady.

Pomiędzy wstrętne i dzikie poczwary
Tam i sam biegał nagi, zastrachany
Tłum, spragniony skałki-niewidka lub szpary.

Na rękach w tyle miał z węzów kajdany:
Powypreżawszy głowy i ogony,
Tworzyły węzeł z przodu zadzierzgany.

Owóz w jednego, co stał z naszej strony,
Nagle wpił się wąż i kłem go uszczypał
Tam, kędy szyja wiąże się z ramiony.

Pewnie mniej szybko z łuku padnie wypał,
Niż ten zapłonął, zgorzał i z pożogi
Prochem się marnym po ziemi rozsypał.

A kiedy leżał taki proch ubogi,
Nagle się zgarnie, pospaja, podniesie
I w dawnym kształcie powstaje na nogi.

Ów ptak bajeczny, co feniksem zwie się,
Podobnie kona i wstaje w popiele
Na pięćwiekowym swego życia kresie.

Nie wykarmia go ziarno ani ziele;
Krople amonu i bursztynu jada,
Z nardu i mirry stos ostatni ściele.

A jako człowiek, co na ziemię pada
Czy w opętaniu, gdy w nim czart się rzuca,
Czy przez humorów sok, co w nim się zsiada,

To potem, gdy się z omdlenia ocuca,
Błędnie wzrok toczy, męką obłąkany,
Ciężkim oddechem pracują mu płuca —

Podobnie grzesznik ów, z pyłu zebrany.

O Sądzie Boży, jakżeś jest surowy,
Gdy za grzech wtrącasz w tak okropne stany!
„Ktoś ty?” — Wódz pytał. Skwapliwymi słowy
Odrzekł: „Z Toskany jestem; dni to świeże,
Jako popadłem w okropne parowy.
Tam nie jak człowiek żyłem, ale zwierzę,
Rówien mułowi; jam jest Vanni Fucci,
Bydlę; Pistoja godne moje leże”.
„Każ mu — powiadam — niech wyznać nie zwłóczy,
Za co tu wtrącon, gdyż między ziemiany,
Wiem, był człek wściekły, co się gniewem tuczy”.
Usłyszał, żal mi zjawił nie udany,
Oblicze na mnie podniósł, gdzie sromota
Zjadliwa w barwie wykwitła rumianej.
„Zaiste, bardziej ból mną tutaj miota,
Że w nędzy tego widzisz mię momentu,
Niż tam na ziemi, w odjęciu żywota.
Skoro wymagasz, wyznam aż do szczętu,
Skąd duch mój głębiej, niżliś czekał, leży:
Jam był złodziejem kościelnego sprzętu
I delatorem fałszywym grabieży.
Lecz byś się z mego nie chełpił widzenia,
Gdy z tego lochu na blask wyjdiesz świeży,
Skupiwszy baczność, słuchaj objawienia:
Naprzód Pistoja Czarnych się pozbywa,
Potem Florencja rząd i ludność zmienia.
Mars z Val di Magra wielki tuman zrywa,
A wtem go chmura niezmierna obwinie,
Za czym się burza podnosi straszliwa
I bój się stacza w Piceńskiej dolinie;
Tuman przebija chmurę w swym rozpędzie
I wszelki Biały w zawierusze ginie.
To mówię, bom rad, że cię boleć będzie!”

PIEŚŃ XXV

Tak powiedziawszy, rabuś pięści obie
W dwie figi złożył i w butnej zajusze
Krzyknął: „Hej, Boże, weź to, daję tobie!”

Odtąd być węzom przyjacielem muszę:
Jeden nań wpełznął. krtani sięgał pyskiem,
Jakby mu groził: „Milcz, bo cię uduszę!...”

Drugi ramiona ciałem oplótł śliskiem,
A łeb z ogonem w kluczkę wiążąc z przodu,
Unieruchomił go takim uściskiem.

Ejże, Pistoja, czemu twego grodu
Nie przeklniesz w popiół rozpaść się na szczęty,
Gdyś gorsza niżli szczep twojego rodu?

Równie bezbożnej, między piekieł skręty,
Nie naszłem pychy, bo nawet u ducha,
Co był z Tebańskich murów gromem zdjęty.

Zbluźnił i umknął z węzem miast łańcucha;
Wtem przypadł centaur, z wściekłości się pieni,
Wołając: „Gdzie jest, gdzie jest?!... Daj tu zucha!”

W Maremmie tyle gadów się nie pleni,
Ile ich lazło po grzbiecie poczwary
I tam, kędy się zwierz w człowieka mieni.

Pod potylicą, wczepiwszy się w bary,
Siedział smok; skrzydeł nastroszył się błoną,
Na przechodzących rzygał krwawe pary.

Mistrz rzekł: „To Kakus, co granitów łono,
Pod Apeninów drążone posadą,
Niejednokrotnie krwią zbluzgał czerwoną,

Nie chadza razem z centaurów gromadą;
On to podstępem Herkulesa pożył,
Gdy z bliskich pastwisk ukradł wielkie stado.

Ale się dowcip jego wnet ułożył
Od strasznych razów maczugi olbrzyma:
Sto ich wziął, ale dziesięci nie dożył”.

Wtem centaur przebiegł i znikł przed oczyma,
A trójca duchów szła dołem. W rozmowy
Toku nie widzimy jej, aż się zatrzyma

I patrząc na nas zawoła: „A kto wy?...”
Więc tu się nasza gawęda urywa,

Ku nim uważne obracamy głowy.

Jam ich nie poznał, ale jak to bywa
I jak się właśnie zdarzyło w tej porze,
Jeden drugiego nazwiskiem przyzywa
Wołając: „Cianfo, gdzieżeś to, nieboże?...”

Ja, żeby ostrzec, że tu coś się święci,
Palec w poprzek ust i brody położę.

Gdybyś, słuchaczu, wierzyć nie miał chęci,
Wcale bym tobie nie dziwił się, skoro
Ja dziś sam własnej nie ufam pamięci.

Poglądam po nich, gdy za jedną zmorą
Wąż sześcionożny bieży; raptem skoczył
I wpił w skazańca swoich nóg sześcioro.

Dwiema średnimi tułów mu otoczył,
Ramiona ujął w przednie nogi obie,
Kłami policzki uszczypał i zboczył.

Tylne po udach ściągnął i w tej dobie,
Chwost między nogi opuściwszy dołem,
Prężył go z tyłu po krzyżowym żłobie.

Nigdy tak powój nie okrąża kołem
Pnia, jak ci obaj ciałmi się szczepili,
Wszystkimi członki powiązani społem.

Potem się jako ciepły воск topili,
Mieszali barwy i jestestw znamiona,
Aż nie pozostał ślad, czym wprzód byli —

Jako więc w ogniu karta przypalona,
Na której barwy tracą czystość swoją:
Czarność nie doszła, a białość już kona.

Więc duchy patrząc na dziwne przestroje:
„Agnelu, co za kształt przybierasz nowy,
Że już nie jesteś ni jeden, ni dwoje?”

W tej chwili obie stopiły się głowy
I dwa ujrzałem lica w jedno zlane,
Ale z istoty śladem dwulicowej.

Dwie pary ramion na jedno zebrane,
Nogi i uda, tułowy i brzuchy
Stworzyły kształty nigdy nie widziane.

Pierwotną postać pokruszyły duchy:
Stwora się zdała ni to czym, a niczem
I powlekła się powolnymi ruchy...

Jako jaszczurka pod słonecznym biczem
Z krzaku do krzaku w dzień kanikularny
Przemyka, niby mknieniem błyskawiczem,

Tak do dwu drugich potępieńców marnej
Postaci żmijka przypadła gniewliwa,
Żółta, czarnymi cętkowana ziarny.

W miejsce, skąd pierwszy pokarm nam przybywa,
Skoczył gad i kłęb cios duchowi zadał,
Potem padł przed nim niby rzecz nieżywa.

Ranny stał prosto, patrzył, nic nie gadał,
Tylko w przeciągłe zapadł poziewanie,
Jakby był w febrze lub go sen napadał.

Żmija na niego, on poglądał na nią:
Ona paszczką, a on kurzył raną,
I łączyło się owo parowanie...

Niech teraz Lukan zamilknie z odmianą
Swego Nassyda albo Sabellona,
Niech tu rzecz zważa bardziej niesłuchaną.

Niech Aretuza i Kadmus Nazona,
Ten zmienion w węża, a tamta w krynicę,
Zbledną; dziw u mnie większy się dokona.

Bo nigdy on tak dwu natur granice
Nie zniósł, by z formą w dwoistej osobie
Razem materię obrócić na nice.

Oto w jakim się złożyli sposobie:
Ogon się w dwoje rozczepił u gadu;
Gdy zaś zranienie skupił stopy obie,

Łydki i uda ze ścisłego składu
Tak się spoiły i tak w siebie wsiękły,
Że ze spojenia nie zostało śladu.

W nogi się zmieniał gadu chwost rozpękły,
Kształt nóg zaś ginął; skóry, co je kryły,
Tutaj twardniały, a tam zasię miękły.

Ramiona coraz w pachy zachodziły,
A łapy stworów, ściągane ku dołu,
Tam ubywały, a tu się dłużyły.

Potem zaś tylne, związane pospołu,
Stały się członkiem wstydliwym człowieka,
A srom nędznika rozczepił się w połu.

Gdy nową barwę na obu wypieka

Dym, razem szerść im zmienia w tymże czasie:
Jednemu zdziera, drugiego obleka.

Więc jeden padał, drugi wstawał zasię,
Lecz wciąż wlepiali w siebie nieczne oczy;
Pod ich spojrzaniem w twarzach zmiana gra się:

Ten, co stał teraz, pysk we skronie wtłoczy,
A zaś, z nadmiaru materii wchłoniętej,
W policzkach para uszu mu wyskoczy.

Z reszty zaś paszczy na tył nie ściągniętej,
Jak twarzy ludzkiej wymaga budowa,
Usta składają się i nos wydęty.

U leżącego wzdłużała się głowa,
Za czym w głąb czaszki uszy się wsuwały,
Jak u ślimaka, kiedy rogi chowa.

Więc język mowny pękł na dwa kawały,
A węża język, rozczepiony, składem
Człowieczym zlał się — i dymy ustały.

Duch, co z człowieka stał się teraz gadem,
Sycząc, umykał w głębokie parowy,
Drugi mamrotał, par skał i biegł śladem.

Wreszcie od niego grzbiet odwrócił nowy
I mówił tamtym: „Niechże Bozo czyni
Jak ja, gdym pełzał po ścieżynie owej”.

Te dziwy w siódmej widziałem pustyni;
Jeśli chybiło nieco moje pióro
Przez rzeczy nowość, niech mię nikt nie wini.

A choć mi oczy zachodziły chmurą,
Choć się zmysł mieszał tą kształtów zatrata,
Nie dość umknęli śpiesznie, by posturą

Nie zdradził mi się Puccijo Sciancato.
On jeden, z trójcy widnej nam przez chwilę,
Został z dawnego człowieczeństwa szatą.

Trzeci — to powód łez twoich, Gaville.

PIEŚŃ XXVI

Hulaj, Florencja, światowładna pani!

Skrzydłami bijesz po świata połaci,

A imię twoje głośne jest w otchłani.

Pośród złoczyńców aż pięciu spółbraci

Znalazłem; przeto we mnie wstyd się burzy,

A chwały twojej to nie ubogaci.

Jeżeli prawdę sen przedranny wróży,

Rychło na sobie poczujesz dłoń kata,

Którym, śród innych, Prato ci posłuży.

A nie za wczesna będzie to zapłata!...

Niechże się dzieje, jako napisano;

Rad bym już widział, bo mi biegną lata.

W górę wracamy opoczystą ścianą

Po węglach; Wódz wprzód, a ja za nim wchodzę

Na schody, ręką wsparty ukochaną.

A potem dalej po samotnej drodze,

Pomiędzy szkarpy i szczyby przełęczą,

Gdzie ręka pomoc musi dawać nodze.

Męczył się duch mój i dziś jeszcze męczy,

Gdy wspomni, com tam w dolnym widział żłobie;

Więc umysł dzierzę w mocniejszej obręczy,

Aby się cnotą rządził w każdej dobie,

A mając dobro z gwiazd lub nieb wyroku,

By tego dobra nie zajrzał sam sobie.

Jak wczasujący rolnik w porze roku,

Kiedy planeta, co blask ziemi nieci,

Dłużej nam swego użycza widoku,

Gdy, w miejsce muszek, ćma komarów zleci,

Z pagórka patrzy w pola i winnice,

A śród nich mrowie świętojanków świeci —

Tak roziskrzoną ujrzałem ciemnicę

Ósmego dołu przepastnej gardzieli,

Z miejsca, skąd mogłem w jar posłać żrenice.

Jak prorok, co miał w niedźwiedziach mścicieli,

Widział w powietrzu wóz Eliaszowy

Z końmi lecący w górę, cały w bieli,

Aż nic rozróżnić nie mógł, wzniosłszy głowy,

Prócz samotnego, wiotkiego płomyka,

Który mknął w górę, jak obłoczek płowy —

Tak migotała jaru szyja dzika;

Nie znać, co kryją ogniste osłony,

A każda sobą zasnuła grzesznika.

Stałem na moście tak w dół przechylony,

Że gdybym nie był trzymał się krawędzi,

To spadłbym w przepaść, nawet nietrącony.

Rzekł Wódz mój, widząc, jaka chęć mię pędzi:

„Płomiennym duchy są odziane strojem,

Każda się mara w ogniu własnym swędzi”.

„Pewność mam — rzekę — w utwierdzeniu twojem,

Że tak być musi, zrozumiałem ja ci

I chciałem spytać: kogo swym zawojem

Otula płomień, co w górnej połaci

Jest rozszczepiony, jakby bił ze stosu,

Który tebańskich obu schłonał braci ?”

„Ulisses tutaj gore — rzekł — od losu

Skazan z Diomedem na wspólne cierpienie,

Jak był współnikiem do zdrady i ciosu.

Jęk im wyciska Trojan omamienie

I brama, koniem udanym zdobyta,

Skąd wyszło Rzymian szlachetne nasienie.

Tu płaczą zdrady, przez którą zabita

Jeszcze Achilla skarży Dejdamię;

Za Palladionu rapt cierpią do syta”.

„Jeśli z płomienia, który ich spowija,

Wolno im mówić, Mistrzu, proszę mile,

Chętna-li prośbie mej łaskawość czyja,

Racz się zatrzymać jeszcze małą chwilę,

Aż tu podejdzie pochodnia dwurożna;

Patrz, z ciekawości już cały się chylę”.

A on mi na to: „Prośba twa niezdrowna,

Owszem chwalebna, też ci jej nie ganię;

Lecz milcz, odzywać się tobie nie można.

Zgadłem twe chęci, wyłuszczyć żądanie.

To Grecy: przyjąć gotowi by dumnie

I pogardliwie twoje odezwanie”.

Więc gdy tak blisko płomień podszedł ku mnie,

Że doń przemówić stosownym się zdało,

Te słowa posłał ognistej kolumnie:

„Wy, których pożar w jedno ubrał ciało,
Jeślim zasłużył się — skromnie powiadał —
Jeślim zasłużył się wielce lub mało,

Kiedym dostojne o was rymy składał,
Stójcie; a jeden podejdź do kamienia
I mów, gdzieś błdził i gdzie życie stradał?"

Tedy róg wyższy starego płomienia
Poszepce i swym szczytem zamigota
Jak płomień świecy z wiatrowego tchnienia.

A jasny kiścień tam i sam się miota,
Jakby to język ludzki przezeń gadał,
Aż wyszły słowa z ognistego knota:

„Gdym był od Cyrcy wrócił, gdzie postradał
Wolność, w pobliżu Gaety więziony,
Eneasz imię to grodowi nadał,

Nie mógł powstrzymać syn mój ulubiony
Ni cześć starego ojca, ni miłości
Powinność, niegdyś szczęście lubej żony,

Nie mogły zdusić we mnie ciekawości
Zajrzenia w świat roboty misterne,
Poznania błędów ludzkich i dzielności.

Więc na głębokie morze, na niezmierne
W jednej się puszczam łodzi; druhów grono
Ze mną, do końca posłuszne i wierne.

Aż po Hiszpanię brzeg podwójną stroną
Zwiedzam; więc Marok, Sardinie i mnogą
Wysp rzeszę, jednym morzem otoczoną.

W starość my wszyscy zaszli żmudną drogą,
Nimeśmy w owe cieśnie się dostali,
Które Herkules piętnował przestroga,

Aby nie ważył się człowiek pójść dalej;
Po stronie prawej została Sewila,
A Ceuta z lewej szarzała na fali.

»Bracia! — mówiłem — wśród hazardów tyła
Zaszli na świata podwieczorne skraje,
Skoro wam jeszcze bodaj jedna chwila

W zmysłów czuwaniu przed śmiercią zostaje,
Nie żmudźcie duszę wydobyć z ciemnoty,
Za słońcem idąc w niemieszkane kraje.

Zważcie plemienia waszego przymioty;

Nie przeznaczono wam żyć, jak zwierzęta,
Lecz poszukiwać i wiedzy, i cnoty«.

A w mej gromadce ta lekka zachęta
Takie pragnienie podróży zapali,
Że się w porywie na nic zapamięta.

Ku wschodowi-śmy rufę obracali,
Prąc skrzydła wioseł na jazdę szaloną
I ciągle w lewo przybierając fali.

Już wszystkie gwiazdy południową stroną
Były nam widne; nasze zaś tak nisko
Zeszły, iż zdało się, że w morzu toną.

Po pięćkroć dołem księżycą kolisko
Blask uszczuplało od czasu, jak nawa
Zapędziła się w groźne topielisko.

Gdy zaś się góra ukazała bława
Od odległości, postaci niezwyklej,
Jak w reszcie ziemi widzieć się nie dawa,

Z krótkiej uciechy prędko łzy wynikły,
Bo przypadł wicher od nowego lądu,
Aż pękł pod ciosem dziób okrętu nikły.

Trzykroć go strącał wir pełnego prądu,
Raz czwarty fala rufę w pion wyparła;
Dziób pornął na dół i z przeznaczeń Sądu
Toń się nad nami wieczyście zawarła".

PIEŚŃ XXVII

Już wyprostował się i zmiłkł ognisty
Język, i z wolna od nas w dal odpływał
Za zezwoleniem słodkiego lutnisty,
Wtem drugi, który w trop za nim przybywał,
Wierzchołka swego niewyraźnym sykiem
Wzrok nasz ku swemu zjawieniu pozywał.

Jak się zdarzyło z sycylijskim bykiem —
W którym, jak słuszna, naprzód zaznał kary
Samże mistrz, co go odlał — skąd porykiem
Wydobywał się z wnętrza jęk ofiary,
Przez co spiżowy potwór zdał się życie
Mieć i męczony być wewnętrznymi żary,

Tak tu nie mając ujścia, należycie
Z naturą ognia, na gwarę ogniową
Zamieniało się potępieńca wycie.

Lecz skoro wyszedł głos płomienną głową
I drganie nadal takie, jak w przeprawie
Wziął od języka, tą nas witał mową

Duch z ognia: „O ty, do którego prawię,
Któryś przypomniał mi lombardzką stronę,
Mówiąc: »Idź sobie, już cię tu nie bawię«,

Choć przyjście moje może jest spóźnione,
Nie przykrzyj sobie kęs pogwarzyć ze mną,
Gdy się nie przykrzy, patrzaj mnie, co płonę.

Jeżeliś popadł w tę krainę ciemną
Z łacińskiej ziemi słodkiej, skąd ja moje
Do piekieł winę przyniosłem nikczemną,

W Romanii, powiedz, pokój-li czy boje?
Wiedz, że pochodzę z gór między Urbinem
A tą przełęczą, gdzie są Tybru zdroje".

Jeszcze schylony uważnie w kotlinę-m
Patrzył, gdy Wódz mój lekko w bok mię trąca,
Mówiąc: „Odezwij się, ten jest Latynem".

A na języku mym odpowiedź rąca
Natychmiast tymi wyrazy zabrzmiała:

„Duszo w płomiennym knocie gorejąca,
Romania twoja nigdy nie bywała
Wolna od wojny w sercu swych tyranów,

Lecz gdym ją żegnał, niby pokój miała.

Rawenna stoi jak za dawnych panów:

Orzeł Polenty tam swe gniazdo ściele

I swymi skrzydły otula Cerwianów.

Ziemia, która prób wytrwała tak wiele,
Darząc Francuzów krwawym cmentarzyskiem,
Zielonym Szponom przypadła w udziale,

Zaś stary kundys z psiakiem Werukijskiem,
Od których poszła Montanii zatrata,
Tam gdzie i dawniej krwawym gryzą pyskiem.

Stołb nad Lamonem i Santernu czata
Lwiątko z białego gniazda sobie wiodą,
Co zmienia wiarę od zimy do lata.

Gród, co mu Savio bok podmywa wodą,
Jak między górą leży a padołem,
Między niewolą żyje a swobodą".

„Teraz mi wyznaj, kto jesteś — zakląłem
Ducha — mniej mi bądź, niż tamci, surowy
I niech twa sława nie ginie z popiołem".

Więc, zaszumiawszy, ów język ogniowy
Na modłę swoją światłem zachybota,
Po czym takimi odzywa się słowy:

„Gdybym przypuszczał, że słucha istota,
Co się z tych ciemnic na słońce wybije,
Nie drgnąłby więcej płomień mego knota.

Lecz że z czeluści tych stopy niczyje
Nie powróciły życiem odzyskanem,
Bez trwogi tobie mą hańbę odkryję:

Jam to z żołnierza został franciszkanem,
Tusząc, że paskiem grzechy życia zmażę,
I Bóg by litość miał nad moim stanem,

Gdy Wielki Kapłan, niechaj bies go karze,
Na powrót w dawne pociągnął mię złości:
Czemu i jak się zdarzyło, pokażę.

Gdym jeszcze kształtem był z mięszu i kości,
Jakom z macierzy łona wyszedł żywy,
Nie lwie, lecz lisie chowałem skłonności.

Wszelkich podstępów, wszelkiej ścieżki krzywej
Świadom, misternie swoje wiodłem czyny;
Po świecie o nich powiadano dziwy.

Gdy życie moje dobiegło godziny
Takiego kresu, gdzie ludziom wypada
Pozwijać żagle i pościagać liny,
Zbrzydła mi uciech marność i szkarada;
Pokutowałem, przysiągłem przystojne
Życie i byłbym ocalał... O, biada,
Faryzeuszów nowy księżę wojnę
Rozpoczął wówczas wieść pod Lateranem!
A nie na Turki ani Żydy zbrojne
Szedł; on wojował jeno z chrześcijanem,
Który z niewiernym Akry nie zdobywał
Ani nie kupczył w krajach pod sułtanem.
Urząd swój skalał, praw świętość pozrywał,
Nie uszanował sznura mojej szaty,
Co zwykł umartwiać, kogo opasywał.
Lecz jak Konstantyn Sylwestra z Sorraty
Wołał, aby mu leczył trądu rany,
Tak ten mię wezwał zza klasztornej kraty,
Chcąc być w gorączce pychy ratowany;
Żądał porady; jam stał oniemiały,
Gdyż był w swej mowie jakoby pijany.
Tedy rzekł: »Ja cię rozgrzeszam; bądź śmiały!
Co czynić, niech się od ciebie nauczę,
Aby upadły Pelestryny wały!
Wiesz, że mam w mocy dwa od Nieba klucze;
Szacunek świadczył im nienależyty
Ten, po kim płaszcz mój dostojny obłóczę«.
Tak poważnymi dowodami zbity,
A przy tym pewny, że milcząc popadam
W błąd jeszcze większy, rzekłem: »Skoro mi ty
Sumienia czystość wracasz, którą stradam,
Radzę-ć: przyrzekaj dużo, czynń niewiele,
Tędy ci pewny triumf zapowiadam«.
Gdym konał, Patron mój stanął przy ciele,
Lecz głos się ozwał czarnego cheruba:
»Nie czynń mi krzywdy, nie przeszkadzaj w dziele!
Już on jest mój rab, już go czeka zguba
Jako zbrodniarza, co złą radą truje;
Już dawno moja dłoń u jego czuba.
Grzechu nie zmaże, kto żalu nie czuje,

Ale żałować — pragnąc, to zamyka
Sprzeczność, którą się ład logiczny psuje«.

Jakże rubaszenie potrząśł mnie, nędznika,
Kiedy uchwycił, mówiąc drwiącym głosem:
»A co? Możesz mnie nie miał za prawnika?«

Tedy, poniosłszy, stawiał przed Minosem.
On twarde biodra osiemkroć obwija
Do krwi gryzionym z wściekłości oczosem

I rzecze: »Ten jest z ognia ducho-kryja«.
Chodzę więc, w szatę ogniwą zaklęty,
Która się we mnie ostrym żarem wpija".

Powieści swojej skończywszy lamenty
Odeszła od nas bolejąca mara,
Wijąc i wiejąc płomiennymi skręty.

Idziemy z Wodzem dalej, wierna para,
Po skał krawędzi, aż tam, gdzie sklepienie
Dół kryje nowy i gdzie tych jest kara,
Co sianiem waśni skalali sumienie.

PIEŚŃ XXVIII

Kto zdoła nawet w niewiązanej mowie
Opisać rany i szkarłatne strugi,
Jakie w następnym ujrzałem parowie!

Choćbym powtarzać chciał i raz, i drugi,
Pojęcia myślom zabraknie, wyrazu
Trafnego ustom braknie do posługi.

Gdyby zgromadzić wszystkich lud od razu
Z Apulii szczęsnej, co krwi rubinowe
Soki rzymskiemu dawał pić żelazu

Lub co przypłacił życiem boje owe,
Gdzie łup obfity pierścieni zebrano,
Jak świadczą wierne księgi Liwiuszowe,

I hufy, co krew wylały rumianą,
Że nie uznały Roberta Gwiskarda,
I tych, których kość zbierasz w Ceperano,

Skąd na Apulii synów pada wzgarda,
I z Tagliacozzo, skąd nabrała sławy
Bitwa bez boju starego Alarda —

Gdyby z nich każdy to kadłub dziurawy,
To kikut zjawił, nie zrównałby snadnie
Szkaradnym rzeziom dziewiętej dzierzawy.

Mniej pluszcze, kiedy kleпка zeń wypadnie,
Ceber niż mara, co stała rozryta
Na skrós od brody aż po części zadnie.

Między nogami wisały jelita,
Widniały płuca z owym smutnym worem,
Gdzie w kał się zmienia potrawa spożyta.

Gdym nań z litośnym poglądał uporem,
Dłońmi roztargał łono duch wyklęty;
„Patrz — rzekł — ręce mi własnym są toporem.

Oto ci widne Mahometa szczęty;
Przedemną, spojrzysz, płacząc idzie Ali,
Od brody przez twarz po ciemię rozcięty.

Wszyscy, co ze mną w ten loch się dostali,
To siewcy schizmy i zgorszenie świata;
Tak połupani, że waśni wzniecali.

W tyle na drodze stoi diabła czata;
Ona to duchy okropnym koncerzem

Siecze, a my raz wraz pod ręce kata

Wracamy, ledwie krąg bolesny zbieżem;

Coraz się blizna ran naszych zasklepia,

On coraz ciosem ją otwiera świeżem.

Lecz ktoś ty, co tam z głazu czaisz ślepia?

Może rozumiesz, że odwleciesz kary,

Którą wyznanie win w tobie zaszczepia?"

„Żyw on, nie zbrodnia w te go wiedzie jary

I nie na krwawą mękę on przychodzi,

Lecz by doświadczeń zaznał pełnej miary.

Mnie, com zmarł, być mu przywódcą się godzi

Przez wszystkie kręgów piekielnych podsienia;

W to wierz, jak wierzysz, że cię wzrok nie zwodzi".

Tak Mistrz... Sto duchów spośród krwi strumienia

Spojrzało na mnie, zatrzymując kroku;

Mąk zapomniały z wielkiego zdumienia.

„Ty, co wnet może na świat wyjdiesz z mroku,

Pośpieszaj bratu Dolcino z przestrogą:

Jeśli nie spragnion naszego widoku,

Niechże się w żywność opatrzy z załogą,

Inaczej zaspy śniegowe Nowarze

Do zbyt łatwego zwycięstwa pomogą".

Z nogą wzniesioną ku łąciu tak każe

Mahomet; skończył, sprostował kolano

I poszedł dalej w ciemne korytarze.

A wtem duch, co miał gardziel wielką raną,

Nozdrza wydarte do samej nasady

I jedną muszlę ucha w szczętę wyrwaną,

W pośrodku stojąc zdumionej gromady,

Na oścież dłońmi rozwarł gwałtownemi

Szyję czerwoną od okropnej szpady.

„O ty, któregom już w łacińskiej ziemi

Oglądał, człecz, coś tu wszedł bez winy,

Nie zwodzisz-li mię kształty kłamliwemi,

Przypomnij, proszę, Piotra z Medycyny.

Jeśli powrócisz w krainę kochaną,

Która z Vercello w Markabu niziny

Chyli się, ostrzeż dwu najlepszych z Fano:

Angiolella i pana Gwidona,

Że ile przyszłość wywróżyć mi dano,

Pod Cattolicą tyran ich dokona;
Z łodzi strąceni będą od wioślarzy,
Mając u szyi kamienne brzemiona.

Nie widział Neptun zbrodni równie wrażej
Na śródładowym swym morzu szerokiem
Śród Argolidów ani śród korsarzy.

Zdrajca, co jednym tylko patrzy okiem,
Pan ziemi, której ktoś z naszego grona
Nie chciałby nigdy karmić się widokiem,
Zwabi ich w dom swój niby dla narady,
A wraz uwolni od ofiarowania
Okupu wichrom fokarskiej posady".

„Poucz mię — rzekłem — ja dla dziękowania
Sprawię to, że świat o tobie usłyszy:
Kto jest ów zbrodzień gorzkiego poznania?"

Więc do jednego w gronie towarzyszy
Wyciągnął rękę, usta rozwarł marze
I rzekł: „Ten ci jest, lecz dziś gada ciszej.

On to wahania przeważył w Cezarze
Z Rzymu wygnany, mówiąc, że kto sprawy
Dojrzałej zwłóczy, los go klęską karze".

Jakże wylękle stało widmo, krwawy
Język i w gardle ukazując ranę:
Curio, do rady niegdyś taki żwawy!

A jeden, co miał dłonie odrąbane,
Prężył kikuty w czarności oparnej,
Na twarz mu strugi lały się rumiane.

„Moskę przypomnij! — wołał. — Ja, człek marny,
Że każda sprawa ma kres, powiedziałem;
Słowo w Toskanie złymi zeszło ziarny".

I na twe plemię będące pujnałem!" —
Krzyknę; więc boleść piętrząc na boleści
Odszedł jak człowiek smutny, zdjęty szalem.

Jam został innych mąk przyjrzeć się treści
I widzę straszną rzecz... krom utwierdzenia,
Nie śmiałbym w mojej powtórzyć powieści.

Ale zachętę słyszę od sumienia,
Dobrego druha, który, w chesnej zbroi
Sam chodząc, śmiałość w człeku rozpłomienia.

Ujrzałem, dotąd na oczach mi stoi,

Tułów bez głowy, cień niegdy człowieka,
Depcący glebę, która krwią się gnoi.

Za kędzior głowę dzierżąc, ów kaleka
Ręką w powietrzu jak latarnią waży
I patrząc na nas: „Gorze mi!” — narzeka.

Własnemu ciału oczy świecą z twarzy
I jedno w dwojgu jest, a w jednym dwoje;
Jak?... On wie, który te cuda kojarzy.

Więc duch, pod mostu podszedłszy wykroje,
Ramię wyciągnął, aby straszne słowa
Wyrażniej w uszy ugodziły moje.

„Patrz na bolesną karę — rzekła głowa —
Ty, co żyw chodzisz śród czerni nieżywej,
I pomyśl, jestże która tak surowa?

Byś między ludzi o mnie poniósł dziwy,
Wiedz: Bertran de Born jestem, królewica
Jana gorszyciel i radca zdradliwy.

Jam jest, com z synem pokłócił rodzica;
Sam Achitofel w sercu Absalona
Ku ojcu równej złości nie podsycą.

Że taka jedność była roztargniona
Z mej winy, własny mózg obnoszę w ręce,
Którego korzeń wewnątrz tego trzona.

Słuszność odwetu widzisz w mojej męce”.

PIEŚŃ XXIX

Od łez tak miałem powiekę nabrzmiął
Z patrzenia na lud i rozliczne rany,
Że mi się stanąć i zapłakać chciało.

Wergili do mnie: „Gdzie wzrok zapomniany
Posyłasz? Na kim czepiasz oczy w tłoku
Rzeszy, ciężkimi ciosy połupanej?

Pierwszy raz widzę taką chęć w twym oku;
Łatwo rachubę stracisz w mar powodzi:
Dwadzieścia dwie mil ten krąg liczy w toku.

Pod stopy nasze już księżyc podchodzi,
Wnet się nam kończy wolność wędrowania,
A jeszcze wiele obejrzyć się godzi".

„Gdybyś przyczynę poznał, co mię skłania —
Rzekłem — tak baczne puszczać w dół źrenice,
Może dłuższego pozwoliłbyś stania".

Wódz już odchodził; krok jego pochwycę
I w drodze, kończąc przemowy, dodaję:
„Oto zapuszczam wzrok w ciemną ulicę

Pomiędzy duchów nieszczęśliwe zgraje;
Może jednego z mych krewnych wyśledzi,
Co tu kosztowną odpłatą się kaje".

A Mistrz mój na to: „Niechże się nie biedzi
Myśl nad krewniaka duszą pokalaną;
Ty indziej patrzaj; on gdzie wpadł, niech siedzi.

Palcem na ciebie pod przełęcz ścianą
Wskazując kinął i groził surowie —
Geri del Bello na niego wołano.

Wzrok miałeś wówczas na uciętej głowie
Altafortowej stanicą barona,
Żeś go nie baczył, potem znikł w parowie".

„Wodzu, myśl moja zaniepokojona,
Że jego gwałtem z żył wypruta dusza,
Od uczestników hańby nie pomszczona,

Wzgardą się na mnie należną obrusza;
Stąd przeszedł milcząc, nasrożywszy lice,
A to mię bardziej do litości zmusza".

Takeśmy gwarząc przyszli na granicę
Wału, skąd zajrzeć można było w głębie,

Gdyby świt jaki rozjaśnił ciemnicę.

Gdyśmy stanęli na ostatnim zrębie
Złych Dołów, ujrzę jaru długą szyję,
A w niej tłum zbity w przeokropnym kłębie.

Lamentów zawierucha ku mnie bije,
W litość okutych, jak groty ze stali;
Przed nimi uszy rękoma zakryję.

Gdybyście wszystkich nędzarzy zebrali
I umieścili w jednej dołu cieśni,
Co śród maremskich, sardyńskich szpitali

I waldichiańskich od lipców do wrześni
Leżą, smród taki buchnąłby z natłoku
Ciał gnuśniejących w zgniliźnie i pleśni.

Jużeśmy zeszli po przełęczy stoku
Na rąbek, w lewym wciąż idąc kierunku,
Za czym brzask żywszy świecił memu oku

W otchłani, kędy bożego rachunku
Wypłacicielka, Sprawiedliwość Święta,
Fałszerzy strąca i żga bez ratunku.

Nie wiem, czy była na większą przekłętą
Plagę Egina z wszystkim ludem chorym,
Tak zarażona, że nawet zwierzęta,

Nawet robaczki dotknięte pomorem
Padały, aż się stare plemię owo —
Mamyli wierzyć za starym autorem —

Z jaj mrówczych rodzić musiało na nowo,
Niż ta skłębiona tłuszcza, duch na duchu,
Zalegająca dolinę morową.

Jeden drugiemu to leży na brzuchu,
To znów na plecach; inny się mozoli
Na raczkach pełznąć po ziemi zaduchu.

Milczący krocym przez środek, powoli
Wzrokiem i słuchem rozbierając kupy
Ciał, którym boleść powstać nie pozwoli.

Wtem wzrok mój pobiegł do dziwacznej grupy
Dwu mar o sobie wspartych jak patelnie
Grzane, pokrytych obrzydłymi strupy.

Zaprawdę zgrzebłem śmigają mniej dzielnie,
Gdy strach im pana, obozowe ciury,
Lub gdy się późno zbudzą poniedziałnie,

Niż ci dwaj palcy krzywymi ze skóry
Dla nieznosnego świądu darli sobie
Ciało, gwałtowne topiąc w nim pazury.

Łuszczyli własną krostę w tym sposobie,
Jako się karpia albo ryby inej,
Szerokołuskiej, grzbiet tasakiem skrobie.

„Ty, co paznokciem drzesz z siebie łupiny
I jak kleszczami targasz — Wódz zawoła —
Jest tu kto z tobą z łacińskiej dziedziny

W kupie ciał zgniłych leżących dokoła?!
A bodaj niech twój paznokrć będzie spory
I niech wieczystej robocie wydoła”.

„Z Lacjum my oba, jednymi pomory
Skarani — płacząc, liche widmo rzekło —
Lecz ty kto jesteś, coś to wiedzieć skory?”

Wódz rzekł: „Z tym oto, co zeń się nie zwlekło
Ciało, pokrętne odwiedzam parowy,
Bo mi należy ukazać mu piekło”.

Więc oni nagle rozjęli tułowy
I odwrócili się, drżący ogromnie,
Z nimi zaś inni na głos takiej mowy.

Dobry Przewodnik skierował się do mnie
I rzekł: „Jako chcesz, objaw im swe chęci”.
Tedy się ozwę, posłuchawszy skromnie:

„Niechaj się mir wasz w człowieczej pamięci,
Życzę, na pierwszym świecie nie rozprasza
I przez słońc liczne obroty się święci.

Mówcie, co wy zacz, gdzie kolebka wasza;
Wstrętnej i przykrej kary upodlenia
Odślonić mi się niech was nie odstrasza”.

„Jam jest z Arezzo — rzekł duch. — Albert w Sienie
Zbrodni mej karę naznaczył ogniową;
Inny grzech strącił między zgnilców cienie.

Prawda, twierdziłem żartobliwą mową,
Iż wiem, jako się na powietrze wspina;
A on, ciekawy, lecz głupi, za słowo
Wziąwszy, Dedalem być się upomina;
Żem tego nie mógł, zemścił się i zdradził
Temu, który go uważał za syna.

Jam alchemiczne na świecie prowadził

Praktyki: Minos, tak słuszny w urzędzie,
Za to mię w dole ostatnim osadził".

Więc ja do Mistrza: „Jestże w ludów rządzie
Lud taki próżny, jako nasz seneski?
Nawet z nim Francuz zrównany nie będzie".

A trędowaty: „Skoro liczysz kreski,
Niech nie zostaje wyłączony Stricca,
Rozrzutnik sławnie ochoczy do kieski;

Oraz Niccolo, po którym praktyka
Nastała — w kuchnię wprowadzać bogatą
Nieznany dotąd aromat gwoździka.

Dolicz też ową zgraję wichrowatą,
Gdzie Caccia d'Ascian wielką schedę trwoni,
A górny rozum zjawia Abbagliato.

Lecz abyś wiedział, kto w takt tobie dzwoni
Przeciwko Sienie, spójrz: kim ci się zdaję?
Niech twarz ci moje nazwisko odsłoni.

Capocchia dusza przed tobą się kaje,
Widzisz fałszerza i topcę metali;
Jeśli mnie pomnisz, a ja cię poznaję,
Wiesz, że mię w świecie słynną małpą znali".

PIEŚŃ XXX

W owym to czasie, gdy z winy Semele
Na krew tebańską rozżarta Junona,
Co swoją pomstę w dzikim zjawia dziele,
Na Atamancie tym razem dokona
Gniewu, szał bowiem taki w nim roznieci,
Że, widząc z dwojgiem niemowląt u łona
Małżonkę, krzyknął: „Zastawiajmy sieci
Na szlaku, chwycim lwicę ze szczenięty!” —
Po czym bezbożną ręką jedno z dzieci,
Synka Learcha, chwycił i na szczęty,
Ręką śmignawszy, strzaskał o granity,
Ona zaś z drugim skoczyła w odmęty.

A gdy fortuna poniżyła szczyty
Wielkości Trojan, na ogniową zgubę
Dawszy, a z państwem wraz król był zabity,

Na smutną, nędzną, niewolną Hekubę,
Gdy Polikseny widziała zabicie,
A na wybrzeżu Polidora lube

Spotkała zwłoki, co uszło z nich życie,
Obłąd przystąpił tak zapamiętały,
Że się jej z gardła psie ozwało wycie.

Lecz ni tebańskie, ni trojańskie szały
Nie były takie dzikie i zajadłe,
Zwierzęty władnąc czy ludzkimi ciałą,
Jak tu dwa cienie nagie i wybladłe,
Co gryząc skalnym goniły wyrębem,
Niby dwa wieprze z karmnika wypadłe.

Jeden, skoczywszy, uczepił się zębem
Karku Capocchia i przyciął go srodze,
Zdusił i taszczył, aż grunt zamiótł kłębem.

Tu aretyńczyk, co stał w wielkiej trwodze,
Rzekł: „Upiór, który na nim pysk posoczy,
Jest Gianni Schicchi: patrz, jak druha głodze”.

„Niechże na tobie zębów nie ubroczy —
Powiadam —jeślim odpowiedzi godny,
Kto jest cień drugi, mów mi, nim uskoczy”.

„To duch prastary Mirry kazirodnej,
Która mieć chciała w ojcu lubownika,

W miłości z prawem i cnotą niezgodnej.

Tak z nim popełnia grzech chytra podwika,
Że sobie cudzej kształt osoby nada,
Właśnie jak tamten, który już umyka,
Co, by dla siebie zdobyć panią stada,
W Buosa Donati postać się przemieni.
I po swej woli testament układa".

Skoro już pierzchli oba pobieszeni,
Na których oczy me wieszałem smutnie,
Do innych wzrokiem biegnę po przestrzeni.

Jeden duch kształtem przypominał lutnię,
A raczej takim fantazji się zjawi,
Gdy mu się w myśli obie nogi utnie...

Wodna puchlina, która miąższ w nim trawi,
Stosunek członków znosi u nędznika,
Potworny rozmiar lic i brzucha jawi.

Choroba wargi obie mu rozmyka,
Górną wzdymając, obciągając dolną,
Niby spieczona usta suchotnika.

Wy, co wam w smętnym świecie chodzić wolno,
Nie pojmę czemu, krom katuszy wszelkiej,
Pójdźcie i patrzcie na mękę mozolną

Mistrza Adama, co był taki wielki
Za życia, pełen bogactw, syt wygody,
A dzisiaj, ot, dżdżu pożąda kropelki!...

W zieleni stoków szeleszczące wody,
Od Cassentyna które bieżą w Arno,
Dając wybrzeżom i pulchność, i chłody,

Niepróżno dzisiaj na pamięć się garną;
Od ich widzenia wysycha mi cera:
Srożej je czuję niżli spiekę parną.

Oto jak twardej Sąd kary dobiera:
Czyniąc narzędziem mąk scenę mej winy,
Gorętsze jęki z gardła mi wydziera.

Jam to w Ronienie fałszował floryny,
W podłym metalu bił Chrzcziciela godło,
Za co na stosie poszedłem w perzyny.

Lecz by gdzie z duszą Gwidonową podłą
Cień Aleksandra spotkać i ich brata,
Oddałbym całe Fontebrandy źródło.

Pierwszy podobno w piekle się kołata:
To jedna mara zbieszona przerzekła;
Cóż, gdy mię niemoc wiąże i przygniata!...

Bogdaj mi w członki taka siła ściekła,
Iżbym co sto lat uszedł bodaj piędzi,
Już bym się puścił szukać go wśród piekła
W tłumie tej, którą wrzód i krosty swędzi
W krąg jedenastu mil zbitej gawiedzi,
A pół od jednej do drugiej krawędzi.

Przez nich to duch mój pośród zgniiców siedzi:
Oni skusili, abym bił czerwienice,
Co zawierały trzy karaty miedzi".

„Kto są — spytałem — ci dwaj potępieńce?
Kurzą, jak w zimie dłoń wyjęta z wody,
I siedzą razem po twojej prawej ręce".

„Przede mną wpadli w piekielne zagrody
I odtąd żaden nie drgnął — rzekła mara —
Ani drgnie, aż w dzień ostatniej nagrody.

Owa — przewrotna żona Putyfara,
Ów — Sinon, co się w Troję wkradł sromotnie;
Gorączkę poci z nich cuchnąca para".

Tu zgnilec, który słuchał nieochotnie,
Że go wspomniano z takim obrzydzeniem,
W brzuch wypuczony mówcę pięścią grzmotnie.

Jak bęben zabrzmiał brzuch pod uderzeniem;
Za to mistrz Adam w gębę trzasnął ducha,
Na odlew ciężkim zwaliwszy ramieniem.

„Choć moje ciało zgnilizna bezrucha —
Mówił — ochocze na taką robotę,
Jeszcze me ramię rozkazania słucha".

A Sinon: „Mniejszajawieś ochotę,
Gdzieś widział, że stos dla cię układali,
Niż gdyś z mosiądzu bił czerwone złote".

A spuchlec: „Prawdę rzekłeś, co się chwali,
Aleś podobno tak świadczyć nie śpieszył,
Gdy cię pod Troją o prawdę pytali".

A na to Sinon: „Jeślim kłamstwem grzeszył,
To raz; tyś każdym złym kłamał dukatem:
Żaden czart nigdy tyle nie nabreszył".

Znowu odpalił ów z brzuchem pękatym:

„Konia przypomnij sobie, kłamco wraży,
I cierp, że się fałsz nie ukrył przed światem”.

„I ty cierp, niech cię ta gorączka praży —
Rzekł Grek — i trawi ta wodna puchlina,
Co z twego brzucha płot zrobiła twarzy”.

A mincarz: „Gęba znów latać zaczyna
I zjadliwością zwykłą mi dogryza;
Jeśli ja puchnę, jeśli schnie mi ślina,
Ty wewnątrz goresz i pęka ci łyza;
Długiej by pewno nie trzeba namowy,
Ażebyś cmoktał zwierciadło Narcyza!”

Stałem zajęty zelżywymi słowy,
Gdy Mistrz mój: „Patrzże, patrz na głupie cienie!
Jeszcze się z tobą poważnić gotowy”.

Gdym z głosu poznał Mistrza rozdrażnienie,
Oblicze moje wstydem się pokryło;
Wspomniawszy, jeszcze dzisiaj się rumienię.

Jak ten, co marzy jakąś rzecz niemiłą,
Śniąc, życzy, aby to był sen, nie jawa,
I pragnie, aby to, co jest, nie było,

Tak pomieszanie gdy mówić nie dawa,
Chcący tłumaczyć się, nie zauważę,
Iż się milczenie już wymówką stawia.

„Większa się wina mniejszą skrucą maże —
Ozwał się Pan mój w łagodnym sposobie —
Niechże jej smutek tak ciężki nie karze.

Gdyby cię losów zmiana w której dobie
Między podobnych kłótników przywiodła,
Pamiętaj czynić, jakbym był przy tobie.

Słów obelżywych słuchać chęć jest podła”.

PIEŚŃ XXXI

Tenże sam język naprzód mię skaleczył,
Aż krwią się moje lica zrumieniły,
I tenże prędko zadraskę wyleczył.

Podobna miała być czarownej siły
Włócznia Peleusa i Achillesowa,
Że od niej własne rany się goiły.

Za nami ziemia została morowa;
Okalającym ją kamiennym wałem
Szliśmy, nie mówiąc do siebie ni słowa.

Nie było nocą, nie było dniem białym
I zmysł mozolnie w mroku się przekradał,
Gdy dźwięk tak gromki trąby usłyszałem,
Że przy nim wszelki inny głos przepadał;
Więc przeciw niemu od skalnego progu
Wzrok posyłany głęb czeluści badał.

Po smutnej klęsce, gdy, zdradzony wrogu,
Padł w bitwie święty poczet Karlomana,
Nie grzmiał tak strasznie Roland na swym rogu.

Zwróciłem głowę: skróś cierniów тумana
Ujrzałem niby wysokie wieżycy;
„Co za gród taki?” — pytam mego Pana.

„Oczy, puszczone w mroczną okolicę,
Dalekiej mety wypatrzyć nie mogą,
Więc zaludniają mrzonkami ciemnicę.

Skoro za naszą tam zajdziemy drogą,
Poznasz, jak przestrzeń ludzi wzrok wątpliwy,
Jeno śpiesz i sam bądź sobie ostrogą”.

Tak rzekł i dłoń mą ujął piewca tkliwy,
Dodając: „Zanim staniemy nad nimi,
Byś nie otwierał oczu jak na dziwy,

Wiedz, że nie wieże to są, lecz olbrzymi;
Z pośrodku jamy, w głęb piekielną wklęsłej,
Tułowy sterczą wyprostowanymi”.

Jak w chwili gdy się mgły z powietrza strzęsły,
Wzrok wyłuskiwać zacznie kształtów ziarno,
Które wprzód przed nim taił obłok zgęśły,

Tak gdy spojrzeniem wiercę gęstwą czarną,
W miarę jak krocym do studziennej dziury,

Złudzenie pierzcha, a strachy się garną.

Jako wieńczące Montereccion mury
Wokół u szczytów basztami się stroją,
Tak w cembrowiny wnętrzu, w pół postury,

Na wzór wież, kołem wielkoludy stoją;
Ich to, dziś jeszcze, kiedy huczy burza,
Gniewem Jowisza gromy niepokoją.

Już mi się jedna, druga twarz wynurza;
Spostrzegam barki, piersi, wypuklinę
Brzucha, po bokach zwieszone ramiona.

Że na potwory takie stłukła glinę
Natura, błądzi, kto się temu dziwi:
Marsowi groźną zabrała drużynę.

Jeśli po dziś dzień wieloryby żywi
I słonie, uzna, kto rzecz lepiej bada,
Że tu zrobiła mądrzej i godziwiej.

Bo gdzie z rozumem połączy się zdrada,
A taka przemoc przystąpi do złości,
Tam słaba ludzkość zostaje bezrada.

Jako Piotrowa szyszka, tej wielkości
Była ogromna głowa wielkoluda;
W równym stosunku do niej inne kości.

Brzeg, co mu służył przepaską na uda,
Ośłaniał cały wierzch strasznej poczwary;
Trzem Fryzom czuba sięgnąć się nie uda,

Choć staną jeden drugiemu na bary;
Od miejsca szyi, gdzie płaszcz zapinany,
Trzydzieści piędzi liczył naszej miary.

„Rafel may amech zabi almi” — z jamy
Zaryczał, dziką dręczony katuszą:
Takimi psalmy biją piekieł chramy.

A wtem go zgromił Wódz mój: „Głupia duszo,
Dzierż się swej trąby, niechże przez nią wyje
Gniew i te wszystkie pasje, co cię duszą.

Duszo zbieszona! Ściągnij dłoń, u szyje
Trafisz na ramię trąby wartownika,
Co wokół piersi wielkich ci się wije”.

Potem rzekł do minie: „Ten, co tak poryka,
Już sam się zdradził: oglądasz Nemroda,
Co pychą jedność zatracił języka.

Zostaw, niech stoi, słów ci tracić szkoda;
Jak on niczyjej mowy, tak nawzajem
Jego nie pojmie nikt, choć ucha poda".

Idziemy przeto dalej murów skrajem
I, postąpiwszy na odległość strzały,
Dłuższego jeszcze olbrzyma zastajem.

Związać go, nie wiem, kto był dosyć wdały;
Prawe do grzbietu, lewe ramię ducha
Do piersi szczelnie przywarte sterczały,

Przymocowane żelazem łańcucha,
Co szedł od szyi i pięćkroć krępował
Kadłub odkryty cały aż do brzucha.

„Ten śmiałek możnych sił swoich próbował
Na arcybogu w zuchwałym obcesie —
Rzekł Wódz mój — za to tak go Jowisz skował.

Efialt mu mianem; wojował w tym czasie,
Kiedy to bogów straszili olbrzymi;
Ramion, co przeżył, więcej nie podniesie".

„Wolno-li — mówię — chciałbym dziwo ziemi,
Briareusza, nieludzkiej wielkości,
Ujrzyć i zmierzyć oczyma własnymi".

Odrzekł: „Tu jeno Anteja na wolności
Mieszka, używa naszego języka;
Ten nas wysadzi na dno wszelkiej złości.

Ów, o kim mówisz, równie wzięty w łyka,
Stoi od miejsc tych odległy niemało;
Twarz jego bardziej ohydna i dzika".

Nigdy trzęsienie tak nie zatargało
Dreszczem gwałtownym posad wielkiej wieży,
Jak się zatrzęsło Efialta ciało.

Tedy śmiertelny strach we mnie uderzy
I pewnie skonałbym z bojaźni samej,
Gdybym go w takiej nie widział obierzy.

Znowu się nieco naprzód posuwamy,
Aż Anteusza najdziem; ten do pięci
Sążni, nie licząc głowy, sterczał z jamy.

„Mieszkańcze dolin szczęśnych, gdzie pamięci
Scypiona schedę dziedziczyły dzieje
W dniu, co się klęską Hannibala święci
I gdzieś z tysiąca lwów pobrał trofeje,

Byś był w Tytanów boju, jak niektórzy
Chcą, z braćmi niebios szturmował wierzeje,
Wyszliby może zwycięzcami z burzy
Synowie ziemi; weź nas i staw na dnie,
Gdzie się Kocytu toń od chłodu mruży.

Nie każ nam innych szukać; ten tu snadnie
Pragnieniu twemu wygodzi na świecie;
Schyl się i nie krzyw lica tak szkaradnie.

On ci tam wawrzyn z rozgłosu uplecie;
Jeśli mu Łaska Boża żyć pozwoli,
To jeszcze przejdzie życia pełnoiecie".

Tak rzekł Mistrz. Olbrzym ruszył ku nam k'woli
I wziął go dłonią ręki wyciągniętej:
Poznał Herkules, jak jej uścisk boli!...

Gdy się Wergili poczuł w garść ujęty,
Rzekł: „Niech twa kibić pod mą dłonią będzie”,
I tak się ze mną złożył jak dwa pręty.

Jak gdy ustawisz się przy Garysendzie
I oczy zwrócisz na niebieski pował,
Szczyt ci umyka przeciw chmurom w pędzie,
Tom miał widzenie, gdym się przypatrował
Anteuszowi, jak się giął, niezmierny;
I jużem drogi tym szlakiem żałował.

On lekko złożył nas na dnie cysterny,
Gdzie z Lucyperem Judasz w męce stężał;
A nie trwał długo w zgięciu piastun wierny,
Lecz się jako maszt okrętu wyprężał.

PIEŚŃ XXXII

Gdybym znał rymów twarde, chryple zgrzyty,
Jako się godzi kreśląc smutną norę,
Na której wszystkich kół ciężą granity,
Może bym wyżał soki bardziej spore
Z mego przedmiotu; lecz że niebogata
Mowa, ze strachem pieśń tę przedsębiorę.

Bo to mnie lada rzecz opisać świata
Wszystkiego środek, i językiem jeszcze,
Który zaledwie jąka: „Mama, tata”.

Wiersz mój niech wesprą owe panie wieszczce,
Co grodzić Teby wsparły Amfiona;
Niech w swoich słowach swoją treść pomieszczę.

O wy, nad wszystko wyklęte plemiona
Z miejsc, które tyle opisać mi trudniej —
Szczęśliwsza owca na wolą puszczona!

Już my stanęli na dnie ciemnej studni,
Niżej strażnika z piekielnej załogi,
A jam na mury patrzył; wtem zadudni

Odgłos mówiący: „Ostrożnie staw nogi,
Bo pięta, w której snadź litości nie ma,
Depcesz po czaszkach twej braci ubogiej!”

Obróciwszy się, widzę przed oczyma
I pod stopami zamarzłe jezioro,
Szklane od mrozu, co je w więzach trzyma.

Nigdy tak grubą nie kryje się korą
Don, co chłodnymi strefami przebiega,
Ni austriacki Dunaj mroźną porą.

Gdyby Tambern timer z pól, które zalega,
Tu spadł lub całą Pietrapana mocą,
To nie zachrupałby lód nawet z brzegu.

A jako żaby, gdy w stawie rechocą,
Pyszczki wyścibią w on czas, gdy to żniwo
Wieśniaczkom częściej przyśniwa się nocą,

Tak aż do miejsca, co pierwsze wstydliwą
Barwą się krasi, klekając jak bociany,
Sterczały duchy wbite w lodu szkliwo.

Głowy ku szybie gięły zwierciadlanej;
Wargi mrozowi, oczy każdej zmory

Męce świadczyły niewypowiedzianej.

Spojrzę naokół, potem w dół komory,
I pod stopami widzę dwu nędzarzy
Tak spiętych, że łbów plątali kędziory.

„Kto wy i co wam tak piersi kojarzy?” —
Pytam; więc oni szarpną głowy zleple
I obracają ku mej stronie twarzy.

Z ócz tryskające dwa strumienie ciepłe,
Na twarz się tocząc, stygły i, w powłoce
Lodu, na klamry wyrastały skrzeple.

Nie tak się hakiem spinają dwa kłoce,
Jak ci dwaj; za czym jak tryki na stepie
Ze złości głową druh druha łomoce.

Inny z dziurami miast uszu w czerepie
Mrozem wyżartych w dół głowę pochyli
I pyta: „Czemu tak wytrzeszczasz ślepie?

Chcesz poznać, kto są ci sobie niemili?
Ową dolinę, gdzie Bisenzio płynie,
Wiedz, naspół z ojcem Albertem dzierżyli.

Z jednej macierzy obaj; byś w Kainie
Najdłużej szukał, duch tu się nie chowa
Godniejszy marznąć w piekieł zakrzeplinie;

Nawet ten, co mu strzała Artusowa
W piersi i w cieniu wraz otwarła ranę;
Ani Focaccia, ni ten, czyja głowa

Taką przed wzrokiem stworzyła mi ścianę,
A który zwie się Sassol Mascheroni:
Kto był, wiesz, mając ojczyznę Toskanę.

Ja, skoro mię już twe natręctwo goni,
Jestem Camicion de'Pazzi; Karlina
Czekam, on wielką mą zbrodnię przysłoni".

Co stąpnę, z lodu twarz mię straszy sina;
Odtąd nie mogę na zmarzłe bajora
Patrzyć, bo mi się strach ten przypomina.

Idziemy dalej, gdzie piekielna nora
Zbiega do środka wszelkiego ciążenia;
W mroku się z lękiem dusza moja pora.

Z bożej-li woli, z trafu, z przeznaczenia,
Nie wiem: stąpając po zamarzłej fali,
Nogą trąciłem łeb jednego cienia.

„Czemu mię kopiesz? — płacząc, duch się żali. —
Czy może, abyś przyczynił mej nędzy,
Za Montaperti tutaj cię przysłali?"

„Wstrzymaj się, Mistrzu — powiadam — niech między
Duchami tego wyświecę dowodnie,
Potem już pójdę, jako życzysz, prędeż".

Stanął; do ducha skrzepłego za zbrodnię,
Co wciąż klątwami miotał, obelżywy,
Krzyknąłem: „Ktoś jest, który łżysz przechodnie?"

„A ty kto — odparł — tak Nielitościwy,
Śród Antenory piętą ludzkie twarze
Hańbiący, jakby człek nie umiał żywy?"

„Jeszcze ja żyję — tak odrzekłem marze —
A mogę miłym stać się, kiedy wieści
O tobie światu śród innych przekażę".

A on: „Ja tutaj nie pożądam cześci;
Źle umiesz schlebiać jeńcom tego dołu,
Idź precz ode mnie i oszczędź boleści!"

Tedym mu ręką zatargał chochołu:
„Zaraz mi wyznaj swój ród i swe losy,
Lub zdejmę wszystkie włos podłemu czołu!"

A mara: „Za to, że mi targasz włosy,
Nic ci mnie wyznam ani się odkryję;
Niczego tutaj nie wymogą ciosy".

Więc krzywe palce w kudły jemu wbiję
I już niejeden kędzior wydrę w czubie;
Duch oczy spuszcza ku dołu i wyje.

A wtem głos ozwał się w lodowym łubie:
„Co ci to, Bocca ? Nie dość dzwonić w szczękę,
Jeszcze i wyjesz? Jaki czart cię dzióbie?"

„Teraz już możesz nie gadać — tak rzekę —
Zdrajco ohydny! Już twojej osławy
Wstyd nieśmiertelny na światło wywlekę".

„Idź precz, głoś sobie, gdzie chcesz, moje sprawy,
A jeśli wyjdiesz stąd za czyją wodzą,
Nie zamilcz o tym, co miał język żwawy.

Za Francji złoto łzami mu zachodzą
Powieki; zdrajca z Duera się kryje,
Opowiedz, w lochu, gdzie się mary chłodzą.

Chceszli usłyszeć jeszcze imię czyje?...

Beccheria siedzi tu pod szybą szklaną:

Florencja jemu poderżnęła szyję.

Gian de'Soldanier ma tu być i Gano,

I Tebaldello, przez którego padła

Twierdza Faenzy, kiedy jeszcze spano".

Gdy odchodzimy, w rowie dwa widziadła

Spostrzegam taką zwarte zawziętością,

Że głowa głowie za kaptur przypadła.

Jak się do chleba rwie człek zdjęty czczością,

Tak wyższy, leżąc niższemu na grzbiecie,

Wpił się w kark, ponad pacierzową kością.

A jako Tydej w pomściwym odwecie

Zębami szarpał łeb Menalippowy,

Tak ten darł czaszkę i ssał mózg w szkielecie.

„O ty, którego zwierzęce narowy

Świadczą, że wroga tutaj ząb twój głodze,

Odpowiedz: przeczżeś taki dlań surowy?

Ja, gdy wybadam przyczynę i zgodzę

Grzech z karą, znając was i wasze dzieje,

Na jasnym świecie tobie wynagrodzę.

Jeśli mi wprzód język nie skośnieje!"

PIEŚŃ XXXIII

Usta oderwał od okropnej stawy
Ów potępieniec i z chciwej paszczęki
Włosami wroga skrzep ocierał krwawy.

Potem rzekł: „Srogie chcesz odnawiać męki,
Których myśl sama już rani boleśnie,
Zanim się jeszcze przelała we dźwięki.

Lecz że opowieść moja ziarnem wskrześnie,
Skąd temu zdrajcy ma wyrość niesława,
Słów mych i płaczu słuchaj równocześnie.

Nie wiem, kto jesteś ni z jakiego prawa
Wszedłeś tu, jeśli nie wiodła cię wina;
Aleś florentczyk, język cię wydawa.

Widzisz przed sobą hrabię Ugolina;
Ten jest Ruggieri; był arcybiskupem,
A oto mojej mściwości przyczyna:

Zbytńia powtarzać, jak stawszy się łupem
Podstępny, zwabion złudnymi wyrazy,
Uwięzion, w każy z głodu padłem trupem.

Lecz, co więzienne zataiły głązy,
Okropne skonu mojego momenty
Opowiem, ty sądz, czym doznał obrazy!

Przez wąski otwór w klatce tej wycięty,
Co po mnie zwie się: głodowa ciemnica,
Gdzie będzie jeszcze niejeden zamknięty,

Liczne-m już widział odmiany księżycy,
Gdy raz mi nocą sen był ukazany,
W którym przyszłości prysła tajemnica.

Śniło mi się więc, że ten pan nad pany
Polował wilka i młode wilczęta
W górach, co kryją Lukę przed Pizany.

Goland, Gismondi, Lafranchi, panięta
Pizańskie, biegli na orszaku czele,
Z nimi suk sfora chuda i zawzięta.

Lecz pomęczeni nie ubiegli wiele
Ojciec i dziatwa; wnet na nich obławy
Spadły, kły ostre topiąc w wilczym ciele.

Zbudzon przed świtem do bolesnej jawy,
Słyszę, a przez sen dzieci me, katuszy

Mej towarzysze, łkają, prosząc stawy.

Srogi, jeśli się nie przerazisz w duszy

Tego, co senna wróżyła mi zmora,

Gdy tu nie płaczesz, to coś cię poruszy?

Już się ocknęli; nadchodziła pora,

Gdy zwykle jadło podawały straże,

Od snów nam wszystkim dusza była chora.

Szczęk z dołu straszną prawdę mi ukaże:

Drzwi zagwożdżono! Zamknięto nas w grobie...

Tedy spojrzałem, niemy, w synów twarze.

Jam nie zapłakał, skamieniałem w sobie;

Lecz chłopcy łkali, mój Anzelmek mały:

»Ojcze — rzekł — patrzysz tak dziwno po tobie?«

Jam nie zaszlochał, milczałem dzień cały

I noc, do chwili, kiedy gwiazdy gasną;

Aż gdy po nocy tej nastał dzień biały

I kiedy w klatce zrobiło się jasno,

W cztery oblicza spojrzę i, tak na nie

Wzrok kładąc, twarz w nich odgaduję własną.

Więc ręce sobie z bólu do krwi ranie,

A oni, myśląc, że to ból ze czczości,

Nagle się dźwigną: »Ojcze nasz i panie —

Wołają do mnie — oszczędzisz żałości

Z ciał naszych jedząc; tyś nas oblókł niemi,

Wolno-ć je zezuć z naszych nędznych kości!«

By ich nie płoszyć, zmiłkłem i tak, niemi,

Trwaliśmy dwa dni z nadziei zatrąą.

Czemuś nie pękło, twarde łono ziemi?...

Aż kiedy czwarty dzień błysnął za kratą,

Gaddo do kolan moich się przywlecze

I woła: »Czemu nie ratujesz, tato!...«

Wołał i konał; jak mnie tu, człowiecze,

Widzisz, tak każde z mych dzieci konało

Do dnia szóstego; więc mi wzrok wycieczce

W strugach krwi; poprzez każde martwe ciało

Pełzam i dwa dni wołam na nieżywe...

Potem się życie głodem dokonało".

Skończył i białka wyrócił straszliwe,

I zęby w czerep znów zapuścił siny,

Twarde i jak psie — krwawej kości chciwe.

O Pizo, pięknej zakało krainy,
Gdzie brzmi lubego „si” nuta pieszczona:
Gdy się nie kwapią sąsiadów twych syny,
Niech cię Capraia porwie i Gorgona;
U Arnowego ujścia tamą wspięta,
Potopem zguby twych mieszczan dokona!
Bo jeśli piekło słusznie to pamięta
Ugolinowi, że wydał twe grody,
Czemu skazywać na mękę chłopięta?
O nowa Tebe, wszakże sam wiek młody
Usprawiedliwił Brigatę, Hugona
I tych dwu, których już nazwałem wprzód!...
Poszliśmy dalej, gdzie złodowacona
Toń inną rzeszę otula w pieluchy,
W których zastygła, na wznak wywrócona.
Płacz nie pozwala, by płakały duchy:
Boleść w głąb wraca, napotkawszy tamę
I wzmaga srogie cierpień bezotuchy.
Bowiem łyzy pierwsze wyszły przez ócz bramę
Zmarzły i szklaną stworzyły przyłbicę,
Pod powiekami ócz oszklwszy jamę.
Wtem, choć od mrozu stężało mi lice
I jak naskórek, kiedy otwardnieje,
Straciło czucie, dech wiatru pochwycę,
Który z nieznanej strony ku mnie wieje.
Więc pytam: „Gdzie źródło mroźnego oddechu?
Czyliż tu tchnienie wszelkie nie tężeje?”
A Mistrz mi na to: „Czekaj, bez pośpiechu!
Wnet się twym oczom własnym uwydatni,
Skąd ten wiatr dmucha i z jakiego miechu”.
Wtem jeden nędzarz spod lodowej matni
Zawołał do nas: „Duchy tak zbrodnicze,
Że wyznaczono wam okrąg ostatni,
Zdejmijcie łuskę z ócz mych; niech użyczę
Otuchy sercu w okropnym mozole,
Zanim zakrzepnie znów od łez oblicze!”
„Powiedz, kto jesteś, pewnie cię wyzwolę —
Rzekłem do mary, co hełm straszny dźwiga. —
Niech tak polegnę w lodowatym dole!”
„Widzisz — odparła — brata Alberyga;

Żem jadowite owoce miał w sadzie,
Tym mi daktylem nagrodzona figa".

„Ha — wykrzyknąłem —jużeś to w gromadzie?!"

A on: „Zewłoka moja jeszcze żywa

Na ziemi — nie wiem, w jakim żyje ładzie.

Bo Ptolomeja tej łaski używa,
Że czasem ludzka dusza tutaj spada,
Nim jej dokona Atropos przedziwa.

Abyś zaś chętniej łód, co się układa
Z łez przestarzałych, obłuskał mi z twarzy,
Wiedz, że w monencie, gdy się spełnia zdrada

Jako ta moja, czart staje na straży
Ciała i póki śmiercią nie ochłódnie,
Do tego kresu sam w nim gospodarzy.

Dusza od razu przelata w tę studnię;
Niejedno ciało do świata należy,
Którego cień tu swe odprawia grudnie.

Uważne oczy zwróć, przychodzień świeży,
Na Brankę d'Oria, o którym ci powiem,
Że tu duch jego od wielu lat leży".

„Chcesz mię, jak widzę, okłamać — odpowiem —
Bo Branka d'Oria nie umierał zgoła;
Je, pije, sypia i cieszy się zdrowiem".

„W Dole Złych Szponów — odrzekł — gdzie wre smoła,
Jeszcze się Michał Zanche nie pojawił,
Kiedy już Branka czarnego anioła

Na swoje miejsce w zewłoku zostawił;
Podobnie krewniak jego, jeszcze żywy,
Który się zbrodnią wspólnie z nim splugawił.

Lecz ściągnij rękę! Zdejm te z ocz pokrywy!"...
A jam zostawił mu na oczach brzemię;
Surowość moja — tam był czyn cnotliwy.

Genuieńczycy, przeniewiercze plemię,
Wrogowie cnoty, zbrodniami skalani,
Przecz wam pozwala los zaludniać ziemię?!

Otom z najgorszym zbrodniarzem Romanii
Naszedł jednego z was, którego dusza
Występna krzepnie w Kocytu otchłani,
Podczas gdy ciało żywe czarta słusza.

PIEŚŃ XXXIV

„Vexilla regis prodeunt inferni...

Patrz i uważaj — Przewodnik mój rzecze —

Czy w dalekości już On się nie czerni".

Jak kiedy ziemię tuman mgieł oblecze

Lub gdy półsfery naszej noc jest blisko,

Wiatrak wygląda, co skrzydłami siecze,

Tak wyglądało potworne zjawisko.

Więc się cofałem, drżąc w zimnym powiewie,

Za plecy Wodza, jedyne schronisko.

Stałem już, ledwo śmiem powtórzyć w śpiewie,

Tam, gdzie tłum cieniów pod korą lodową

Przeświecał niby żdźbła w szklanej polewie.

Jedne poziomo, a drugie pionowo

Sterczą lub w linię przełamane krzywą;

Jedne nogami w górę, drugie głową.

Gdyśmy podeszli tak, iż się możliwą

Zdało Mistrzowi, ażeby mi zjawił

Twarz cudotworu, dawniej urodziwą,

Przystanął i mnie za sobą postawił.

„Oto Dis, oto miejsce, gdzie w odwadze

Trzeba — powiada — byś serce zaprawił!"

Jakem tam skośniał, w członkach stracił władzę,

Wyobraź sobie, słuchaczu życzliwy:

Nie mówię, bowiem słowy nie poradzę.

Anim padł martwy, anim został żywy:

Jeżeliś bystry, to oblicz, jak między

Dwoma stanami stan mój był wątpliwy!...

Cesarz, władnący nad krainą nędzy,

Z lodu wysterczał do połowy łona,

A olbrzym ze mną porówna się prędzej

Niż z olbrzymami jego dwa ramiona;

Jakiż ogromny, jeśli miara kości

Była w nim całym równo rozmierzona!

Jeśli tak brzydki, jakiej był piękności,

Gdy przeciw Stwórcy stroszył brew do góry —

Słuszna, iż zwie się źródłem wszelkiej złości!

O, jakiż mi się jawił cud natury!

Ujrzałem troje lic w jednym istnieniu:

Jedno na przedzie, koloru purpury,
A zaś dwa drugie każdemu ramieniu
Odpowiadały, razem tworząc głowę,
Co się kończyła w grzebień na ciemieniu.

Prawe oblicze było bladopłowe,
Lewe, jak szczepu, który się wywodzi
Z krain, gdzie wody wpadają Nilowe.

Pod każdym licem, jako to się godzi
Takiemu ptaku, po dwa skrzydła wioną:
Żagl równie duży po morzach nie chodzi.

Jako nietoperz, miał nieupierzoną
Skrzydeł pokrywę, a gdy nimi śmigał,
Trzy wiatry budził pod okropną błoną.

Od tego wiania Kocyt w lód zastygał;
Z ócz sześci łzami ciekł i na trzy szczęki
Ustawnie śliną zakrwawioną rzygał.

Z ust każdych sterczał grzesznik i jak pęki
Trawy w miętlicy na miazgę był tarty:
Te jednocześnie trzej cierpieli męki.

Skazaniec przedni, nie dość że w zażartej
Tkwiał paszczy, szarpan Disowymi szpony,
Raz po raz łpał ze skóry obdarty.

Rzecz Mistrz: „Zbrodzień najsrożej męczony,
Dowiedz się, Judasz jest Iskariota;
Wewnątrz ma głowę, na zewnątrz nóg trzony.

Z głową na zewnątrz, ten, który przez wrota
Sterczy lic czarnych, cień jest Brutusowy,
Słowa nie rzecze, tylko sobą miota;

Kasjusz ten trzeci, ogromnej budowy.
Lecz już wieczorne rumienią się zarze,
Widziałeś wszystko, teraz bądź gotowy!"

Za szyję Mistrza chwytam, jak mi każe;
On, upatrzwszy i miejsca, i pory,
W momencie, gdy Dis rozchylił wachlarze

Skrzydeł, za boków chwycił go kędziory
I, kudł po kudle, spuszczał się szczeliną
Pomiędzy żebra a lód zmarzłej nory.

Gdy ze mną doszedł tam, gdzie uda giną
W biodrach i w jamę wrastają lędźwiową,
Z widoczym trudem, z twarzą lękiem siną,

Gdzie Dis miał stopy, Wódz zwracał się głową,
Jak człek, co pnie się; a jam myślał: „Biada,
Oto mię w piekło prowadzi na nowo!”

„Trzymaj się mocno — tak do mnie powiada,
Jak człek zmęczony, dysząc. — Takie wraże
Schody, żegnając Złe, brać nam wypada”.

Skalną wyszedłszy jamą, na wiszarze
Usadowił mię, na krawędzi skały,
Po czym mi przełaz niezwykły ukaże.

Podniosłem głowę, osłupiałem cały:
Miał Lucypera twarzy, nagle m zoczył
Nogi potwora, jak w górę sterczały.

Czym się naówczas załękł i zamroczył,
Niech tłum pomyśli ciemny, co jest zgoła
Nieświadom, jakim punkt ziemi przekroczył.

„Powstań na nogi! — Mistrz do mnie zawoła. —
Droga daleka i zła; do spełnienia
Słońce przebiegło już część szóstą koła”.

Nie w pałacowe, zaiste, podsienia,
Lecz w naturalną weszliśmy jaskinię,
O chropowatym dnie i pełną cienia.

„Nim mi piekielna otchłań z oczu zginie —
Rzekłem do Mistrza, dźwignąwszy się z głazu -
Pozwól, że kilka zapytań uczynię:

Gdzie się staw lodu podział? Śród przełazu
Przez on na wywrót sterczy? I jak z mroku
Słońce ku zorzy przebiegło od razu?”

„Sądzisz, że jesteś na centralnym szlaku
Z tej strony osi, gdzie się do pieczary
Spuszczał po ziemię wiercącym robaku;

Byłeś tam, pókiś twarz widział poczwary;
Gdym się obrócił, przekroczyłeś ziarno
Ziemi, gdzie wszystkie ściągają ciężary,

I wszedłeś w sferę naprzeciwpolarną,
Odwrotną owej, co lądy obleka,
Których środkowy szczyt widział ofiarną

Śmierć poczętego bez winy Człowieka;
Stopy twe stoją na małej półsferze,
Której odwrotnym licem jest Giudecca.

Tutaj jest ranek, gdy tam podwieczerze;

Ów, czyje kudły schodami nam były,
Sterczy tam ciągle w tej, co dawniej, mierze.

Z nieba od razu spadł do swej mogiły;
Łądy leżące tutaj w onej porze
Ze strachu przed nim w fale się pokryły.

Na naszą sferę wypchnęło je morze;
Umknął się bodaj ląd i po tej stronie
Pod sobą próżne zostawiając łoże.

Czeluść ta, w ziemskim wydrążona łonie,
Ciągnie się, jak grób Belzebuba długi,
Oczom niewidna, a jedno po tonie

Rozpoznawana bulgocącej strugi,
Która przepływa skalnym wydrążeniem,
Lekko skłanionym na piekielne smugi".

Owym mię skrytym Wódz powiódł podsieniem
I szliśmy, by wnet wyrzeć na lazury.
Idziem i w drodze wcale się nie lenim.

Wciąż wyżej: pierwszy on, ja za nim wtóry,
Aż obaczyłem niebios światła cudne
Przez krągły otwór migocące z góry.

Tędyśmy na świat wyszli, witać gwiazdy...

CZYŚCIEC

PIEŚŃ I

Ku łagodniejszej fali wzdyma płótno
Łódź mego ducha i na cichsze morze
Wpływa, za sobą mając toń okrutną.

A ja o wtórnym z królestw śpiew ułożę,
Gdzie się duch ludzki z grzesznej myje pleśni,
Gotując stanąć na niebieskim dworze.

Lecz tutaj, martwa poezyjo, wskrześnij!
Słudze waszemu dodajcie natchnienia
Wy, Muzy Święte! Kalliope, wstań w pieśni,
Posil ją echem potężnego brzmienia,
Co to sroczymi ukarało pióry
Nędznych śpiewaczek niepokorne pienia.

Wschodnim szafirom podobne lazury,
Co się zebrały jak gdyby powłoka
Sfery miesięcznej na niebie bez chmury,
Radość mym myślom wróciły z wysoka,
Ledwie Mistrz z martwych stref mię wyprowadzi,
Ciężkich dla piersi i smutnych dla oka.

Piękny płaneta, co na miłość radzi,
Całą wschodową rozpogadzał ścianę,
Blask zwyciężając Ryb, swojej czeladzi.

Zwrócę się w prawo i okiem przystanę
U podbieguna; gwiazd tam ujrzę czworo
Po pierwszych ludziach późniejszym nieznane.

Niebiosa od nich — zda się — jasność biorą:
O ty północny widnokręgu wdowi,
Któremu nigdy te światła nie gorą!...

Potem wzrok zdejmę z niebieskich wezgłowi
I patrzę w stronę, kędy Niedźwiedzica
Zaszła, już memu niewidna wzrokowi.

Samotny starzec tam stał; jego lica
Dostojną były kraszone zasługą;
Cześć dlań poczułem jak syn dla rodzica.

Brodę sędziwą miał i bardzo długą,
Tej samej barwy co włosów pierścienie,
Która spływała w dół podwójną smugą.

Owego czworga gwiazd święte promienie
W twarz blaskiem takiej biły mu urody,

Że jaśniał niby słoneczne zjawienie.

„Kto wy jesteście, co ślepej skroś wody
Przed niepożytą uszliście męczarnią —
Rzekł, wiejąc pierzem swej czcigodnej brody. —

Kto wyprowadził was? Kto był latarnią
Rozchylając bezdenne pomroki,
Którymi piekieł doliny się czarnią?

Czy to otchłanne skruszono wyroki
Lub z Nieba wolność potępieńcom dano
Na moich pieczar wdzierać się opoki?"

Tedy Wódz żywo ujął mą podaną
Dłoń, za czym mową i ręką, i ruchy
Brew mi ukorzył moją i kolano.

„Nie z mej go chęci wiodę między duchy;
Niebieska Pani — Wergiliusz odpowie —
Zszedłszy, kazała dodać mu otuchy.

Lecz skoro pragniesz poznać szczegółowie,
Kto my zacz i skąd przychodzim w tej porze,
Nie lza, jeno ci posłusznie wysłowie:

Ostatnie jemu nie zagasty zorze,
Ale, z płocności, kresu niedaleki
Prawie już wchodził na życia rozdroże.

Przeto podparłem chód jego kaleki,
A żadna droga w te nie wiodła kraje
Prócz onej jednej, przez ogniste steki.

Już potępieńcze przebrnęliśmy zgraje,
Za czym mu rzeszę innych mar ukażę,
Która pod twoją zwierzchnością się kaje.

Jak go tu wiodłem, prędko nie wyrażę;
Z wysokich dziedzin schodzi na mnie władza
Czyniąca, że z nim do ciebie się ważę.

Mile go przyjmij, bo-ć go tu sprowadza
Wolności żądza; jak się drogo ceni,
Wie ten, co za nią krew oddać się zgadza

I z dobrowolną śmiercią się nie leni,
W Utyce ziemskie rzucając zewłoki,
Co je dzień wielki kiedyś rozpromieni.

Nie starte dla nas odwieczne wyroki:
On jeszcze żyje, mnie Minos nie zмага;
Przebywam w kręgu Marcji jasnookiej,

Co spojrzeniami — zda się — ciebie błaga,
Byś ją przygarnął na swe święte łono.

Niechże cię skłoni tych oczu powaga

Puścić nas w górę siedemkroć toczoną;

Pochwał na ciebie odniosę jej siłą,

Jeśli pozwolisz, że cię tam wspomioną".

„Marcja mym oczom tak bywała miła —

Rzekł — póki ziemskie dzierżyło mię pęto,

Że wszelkich życzeń zawsze dostąpiła,

Lecz dziś, gdy mieszka za rzeką przekłętą,

Jej prośby wagę tracą skutkiem prawa

Działającego, odkąd nas rozjęto.

Skoro mu z niebios Pani tak łaskawa,

Jako powiadasz, prośba tu nie k'rzeczy;

Dość mi, że przez cię taki rozkaz dawa.

Idź przeto, a on niech się ubezpieczy

Paskiem z sitowia, wodą zmyj mu lice,

Niechaj zeń spłynie wszystek brud człowieczy.

Nie lza, by w jego zamglone źrenice

Patrzali święci tych dziedzin stróżowie,

Którzy przedrajskie obchodzą granice.

Tam gdzie najniższe miejsce na ostrowie,

Gdzie brzeg wysepki ciągłe fale piorą,

W miękkim namule wyrasta sitowie;

Roślina, liściem obrosła i korą,

Nie zdoła w grunt ów zapuścić korzeni,

Bo ją bijące fale wnet rozbiorą.

Po innej ścieżce wyjdziecie z zieleni

I poszukacie lżejszej w górę drogi,

Wciąż idąc torem słonecznych promieni".

To rzekłszy, zniknął, a jam wstał na nogi,

Bezmownie Wodza czepiając się boku

I oczy wznosząc doń, pielgrzym ubogi.

„Synu — tak zaczął — pilnuj mego kroku;

Zejdźmy z powrotem, kędy do podnóża

Równina spływa po pagórnym stoku".

Szare mgły ranne zwyciężała zorza,

Pędząc przed sobą, za czym już z daleka

Rozpoznawałem migotanie morza.

Szliśmy po puszczy, podobni do człeka,

Co nim ślad znajdzie ścieżki obłąkanej,
Rozumie ciągle, że go próżno czeka.

Gdyśmy przybyli, gdzie szron rosy ranej
Ze słońcem walczy, ale się nie trwoni,
W cieniu na czerstwym gruncie uchowany,

Mistrz mój łagodnie ku ziemi się skłoni
I rąk swych muszle zwilży na murawie.
Ja wiedząc, czego z lubych czekać dłoni,

Spłakane jemu jagody podstawię:
Więc twarz mi obmył i barwy pierwotne
Wrócił przyćmione w piekielnej kurzawie.

Stąd na wybrzeże wyszliśmy samotne,
Którego wody nie zaznały wiosła
Zdolnego szlaki odnaleźć powrotne.

Tu trzcinę, która za falą się niosła,
Jak starzec życzył, wiązał mi na ciele:
O cudo, gdzie szczknął, trawa wraz odrosła,
Nie uszczuplało się poddane ziele!

PIEŚŃ II

Wstawalo słońce i niosło się mimo
Skraj widnokregu, który południka
Swego szczyt wiesza nad Jerozolimą.

A noc, co w kole odwrotnym pomyka,
Szła z wód Gangesu, dzierżąc wagi w ręce,
Co rwać się, kiedy nocorówni tyka.

Więc lic zorzanych białość i rumieńce
Przez słońca bliskość, w miejscu, skąd patrzyłem,
Ten miały pozór, co zbladłe czerwieńce.

Staliśmy ciągle nad fal morskich wałem,
Jako podróżni do drogi gotowi,
Myślą śpieszący, a żmudzący ciałem.

Wtem jak o świcie, gdy się ma ku dniowi,
Mars się w oparach czerwonością krwawi,
Morze zachodnie mając u wezglowi,

Tak mi się zjawił — bodaj jeszcze zjawi —
Blask, co po wodnej ścieżce w szybkim gonie
Leciał, jak żaden lot ziemskich żurawi.

A ledwo że się ku Wodzowi skłonię,
By spytać, co to, już on na topieli
Rośnie i coraz ogromniejszy płonie.

Wtem po dwu bokach zjawienia wystrzeli
Jakowaś białość, a dołem dokoła
Drugi się jakiś płat śnieżny zabieli.

Mistrz jeszcze słowa nie wymówił zgoła,
Gdy błysła skrzydeł para białopiana,
Aż wtem żeglarza pozna i zawoła:

„Prędziej, o prędziej, padaj na kolana!
Anioł to boży, złóż ręce, skłoń lice,
Wnet ujrzysz więcej takich rabów Pana.

Patrz, jak on sztuki ludzkie ma za nice:
O żaglach nie dba ani dba o sterze,
Na skrzydłach mierząc tak wielkie granice.

Patrz, jak powietrze nimi pod się bierze,
Parą wieczystych żagli strzygąc z góry,
Co nie padają jak to ziemskie pierze".

Potem, gdy bliżej ptak z boskimi pióry
Podleciał, takim pożarem zapłonął,

Że znieść nie mogąc, mój ziemskiej natury
Wzrok szukał ziemi; on zaś dalej wionął
Do brzegu czółnem tak lekkim, że w wodzie
Nawet rąbeczek jego dna nie tonął.

Sternik na tyłach stał — w takiej urodzie,
Że mi wyglądał jak osoba święta;
Więcej sta duchów siadło w głębi łodzie.

„Egipskie Izrael kiedy rzucał pęta...”
I to, co dalej stoi w księdze, społem
Śpiewały zgodnie duchy niebożęta.

Anioł krzyż kreślił, więc padają czołem
I na wybrzeżnym piasku się pokładają,
A on jak przybył, tak i pierzchł sokołem.

I przyglądają się górskim posadom
Na tej nieznanej rzucone krawędzi,
Jak człowiek lądu nowego nieświadom.

Już Koziorożca spośród niebios pędzi
Słońce i belty ognistymi praży,
Śląc swoje żary każdej świata piędzi,

Gdy obca rzesza k'nam obróci twarzy:
„Pokażcie w górę drogę, jeśli znacie” —
Powiada do nas. Więc takim ją darzy

Mistrz dobry słowem: „Zapewne mniemacie,
Żeśmy świadomi drogi w tej krainie;
W pątniczej idziem, jako i wy, szacie.

Chwilką przed wami przez takie pustynie
Szliśmy i takich urwisk zawieruchy,
Że wyjście w górę fraszka będzie ninie”.

A wtem, zaledwie spostrzegły się duchy
Po mym oddechu, iżem człowiek żywy,
Stanęły; podziw opętał im ruchy.

Wraz jak do posła, co z różdżką oliwy
Przybył, tłum śpieszy i coraz to większy
Kupi się, staje, ciśnie, nowin chciwy,

Ów orszak, chwilką tylko się ulększy,
Podbiegł i stanął; oczyma mię mierzy,
Zapominając iść, gdzie duch się piększy.

Wtem jedna postać zerwie się i bieży
Z gestem tak lubym przed rzesze podróżne,
Iż czułem, że jej odpłacić należy.

O mary, oczom tylko od mar różne!
Trzykroć się na niej ręce me wiązały,
Trzykroć do piersi mych upadły próżne.

Snadź się me lica dziwem malowały,
Gdyż duch uśmiechnął się i cofnął wsteczą,
A jam się rwał biec, wychylony cały.

Rzekł słodko: „Nie sil się nad próżną rzeczą!”
Tedy poznawszy, usta doń obróćę,
Prosząc, by ze mną pogadał człowieczo.

„Jeślim cię kochał, w doczesnej zewłóce
Bywszy, dziś niemniej kocham, toż pogwarzę;
Lecz jakie ciebie pchnęły tutaj moce?”

„O mój Casella, ja tu iść się ważę,
Bym mógł powrócić znowu w te dzierzawy,
Ale kto tobie zwłokę cierpieć każe?”

On na to: „Nikt mi nie wzbraniał przeprawy,
Jedno, kto bierze, kogo chce, do łodzi,
Ten na mnie dotąd bywał niełaskawy.

Snadź z wolą bożą anioł swoją godzi...
Od trzech miesięcy jednak niewątpliwie
Na pokład jego każdy wolno wchodzi.

Toż gdym nad morza brzegiem czekał chciwie,
Gdzie Tybru rzeka swoje nurty soli,
Zostałem odeń przyjęty życzliwie,

Teraz odleciał nową odbyć kolej
Do portu, kędy oczekują roje
Duchów, piekielnej niezdanych niewoli”.

„Pieśniarzu — rzekłem — jeśli tutaj twoje
Odczłowieczenie więzów nie nakłada
Na śpiew, co we mnie koł niepokoję,

Ni na moc ową, co pamięcią włada,
Pociesz mą duszę, która, obleczona
W cielesne szaty, z trudu już upada”.

„Miłość śród myśli moich rozgwarzona...”
Rozpoczął głosem tak słodkiego brzmienia,
Że echo jego dotąd mi nie kona.

Ja, Mistrz i duchy pełni upojenia
Tak chciwie jemu daliśmy posłuchy,
Że w nas pamięci nie zostało cienia.

Jemu poddany, a na resztę głuchy

Stałem; tłum ze mną. A wtem starzec na nie

Zawoła: „Ejże, opieszale duchy,

Co to za żmuda, za leniwe stanie?

Bieżajcie z łuski osmuknąć źrenice,

Która wam Boże opóźnia poznanie!"

Jak kiedy dziobiąc proso i pszenicę,

Pozbywszy dumy, co nią pióra stroszą,

Drobno stąpają ciche gołębice,

Skoro się nagle jakim strachem spłoszą,

Naraz od smacznej odlecą wieczerzy,

Bo już ważniejszą w sobie troskę noszą —

Tak, widzę, śpiewu zaprzestał ów świeży

Poczet i wszystek rozpierzchnął się po stoku,

Jak człek, co bieży, ni wie, dokąd bieży;

A my też za nim, nie hamując kroku.

PIEŚŃ III

Gdy tak po polu rozbiegła się rzesza
Tęsknym spojrzeniem w szczyty zapatrzona,
Dokąd rozumem duch wiedzion pośpiesza,
Ja się tuliłem do wiernego łona;
I jakże mógłbym sam jeden pozostać?
Któż by pod górę podparł me ramiona?
Lecz on miał człeka zgryzionego postać:
O ty, sumienie zacne, trwożne błędu,
Najłżejszą winą każące się chłostać!...
Gdy stopy jego powolniły pędu,
Co wszystkim sprawom dostojeństwo kradnie,
Pragnienie moje z ciasnego oprzędu
Skupionej myśli szerszy krąg owładnie;
Za czym źrenice obracam na górę,
Co wyżej wszystkich ziemskich gór się kładnie.
Słońce, co z tyłu czerwonością gore,
Przedemnie rzuca złamane promienie,
Spotkawszy w mojej osobie zaporę.
Myśląc, żem został sam, bo nie dwa cienie,
Lecz tylko jeden widniał plamą ciemną,
W bok przestraszone rzuciłem spojrzenie,
A mój Cieszyiciel: „Czemu drżysz daremno? -
Szepnął, postacią zwróciwszy się całą. —
Nie ufasz, żem tu? Nie idziesz to ze mną?
Podwieczerek schodzi, gdzie spoczywa ciało,
Co odeń dawniej padał cień ten samy;
Neapolowi Brindisi je dało.
Ze kształt mój ciemnej nie odrzuca plamy,
Nie dziw się bardziej niż niebiosom, kędy
Nie kładzie promień promieniowi tamy.
Niemniej ból cierpieć i mrozy, i swędy
Ciałom, jak moje, każe Moc żywota,
Niewybadana ludzkimi obłądy.
Darmo się człowiek w tej nadziei miota,
Że swym rozumem szlaki poodwija,
Którędy działa Trójjedna Istota.
Rodzie człowieczy, dość tobie ad quia!
Gdyby wszechwiedzą ludzkość była mocna,

Przecż by Synaczka rodziła Maryja?

Znana ci mężów tęskność bezowocna,
W których by mogła być uspokojona
Tą wiedzą, a tak przejmuję ich do cna —

Arystotela myślę i Platona
I innych wielu..." Czoło schylił blade,
Zmilkł, a twarz jego była zasępiona.

Wtem już pod góry przyszlismy posadę.
Spojrzę, opoka takim pionem sterczy,
Że stopy po niej darmo piąć się rade.

Najdziksza między Turbią a Lerici
Droga wyda się, że jak schody proście
Wstępuje, wobec tej spadzistej perci.

„I któż odgadnie, którędy tam dojście —
Wykrzyknął Wódz mój, zatrzymując kroku —
Gdy komu pierze u ramion nie roście?"

A kiedy stał tak, nachyliwszy wzroku,
I badał drogę, ścieżki nieświadomy,
Mnie, którym patrzył po kamiennym stoku,
Zjawił się w lewo od ścieżyny stromej
Czet duchów; spojrzę, prosto ku nam kroczy
Tak wolno, że się wydał nieruchomy.

„Podnieś — do Mistrza mówię — podnieś oczy:
Oto się zbliża, skąd ci rada znidzie,
Skoroś nieświadom tych skalistych zboczy".

Spojrzał, nie barwił lic w fałszywym wstydzie,
Lecz rzekł: „Podejdźmy, zbyt kroczą pomału;
A ty miej, synu, nadzieję na widzie".

Jeszcze dalekość onego oddziału
Liczyła milę rzymskiego mierzenia,
Czyli odległość procarskiego strzału,

Kiedy się nagle skupił u kamienia
I sparł o góry wysoczystą ścianę,
Jak czekający ktoś, pełen wątpienia.

„O błogokreśne duchy, o wybrane,
Przez uciszenie owo — rzekł Wergili —
Co od was wszystkich jest oczekiwane —

Powiedzcie, gdzie tu stok góry się chyli?
Aby wyjść na szczyt, którą brać nam stronę?
Kto świadom celu, żał mu każdej chwili".

Jak owce schodzą przez koszary brone
Po jednej, po dwie i po trzy, niezwinne,
Postawające, w ziemię zapatrzone:

Co pierwsza czyni, za nią czynią inne,
Na grzbiet się kupią idącej na przodzie,
Nie wiedząc czemu, proste i niewinne,
Tak szli duchowie w onej świętej trzodzie,
Postępujący śladem przewodnika,
W licach wstydlivi i przystojni w chodzie.

Ledwie spostrzegli, że jasność promyka
Po prawej stronie mej cieniem się dzieli,
A cień złamany na krawędzi znika,
Zawahali się i w tył się cofnęli,
A wszyscy inni, którzy szli za nimi,
Nie wiedząc czemu, równie przystanęli.

„Ciekawość waszą, o duchowie niemi,
Uprzedzę; człeka widzicie, nie marę;
Przez niego promień łamie się na ziemi.

Nie dziwujcie się, ale dajcie wiarę,
Że z łaską Bożą, co go prze i broni,
Przychodzi ściany te zwyciężyć stare”.

Tak Mistrz. „Wracajcież przed nami ku toni”,
Mówiła do mnie ta zacna drużyna,
Znak dając grzbietem odwróconej dłoni.

„Ktokolwiek jesteś —jeden z nich poczyrna —
Idąc, odwróć się, spojrzysz w lice moje
I pomyśl dobrze, kogo-ć przypominia”.

Więc spojrzę bystro, źrenice nim poję:
Pański był w ruchach, piękny, z płowym włosom,
Lecz miał brew jedną przeciętą na dwoje.

Toż mu pokornym odpowiadam głosem:
„Nie znam cię”. — „Patrzaj — rzekł pan jasnobrody
I pierś ukazał naznaczoną ciosem. —

Wiedz — dodał, kraszac uśmiechem jagody —
Jam jest Konstancji wnuk, Manfred, a tobie
Zlecam, gdy zejdziesz między ziemian grody,

Donieś mej córce, przez którą w ozdobie
Stoi Sycylia i kraj Aragonu,
Żem jest tu, jeśli wątpi. W mej osobie

Gdy dwa utkwily ciosy w chwili skonu,

Do tej, co grzechy przebacza człowiecze,
Łkaniem się wzniosłem, błagając pardonu.

Zbyt ciężkie były me grzechy, nie przeczę;
Lecz łaska Boża, przestronna ogromnie,
Garnie, kto tylko do niej się uciecze.

Gdyby Kosenzy pasterz, co go po mnie
Posłał był Klemens z łowczymi pachoty,
Pamiętał o tym, czego snadź nie pomnie,

Dziś bym leżące widział me popioły
U Benewentu, pod mostu głowicą,
W straży mogilnych głazów; tak na gołej

Ziemi deszcz myje i wiatry je sycą
Wzdłuż Verde rzeki, na obcym majdanie,
Pod zagaszoną rzucone gromnicą.

Lecz się nie mrozi klątwą Prakochanie
Do tyła, aby wesprzeć mię nie miało,
Póki źdźbło bodaj nadziei ostanie.

Prawda, że czyje w klątwie kona ciało,
Choć opamięta się w grzechu nareszcie,
Musi zostawać za czyśćcową skałą,

Ile w uporze trwał, tyle — trzydzieście;
Chyba modłami waszymi skróćcie
Termin katuszy wy, co tam jesteście.

Pomyśl, jak możesz wzmóc mię znamienicie,
Wieści zanosząc mojej drogiej córce
O tym zakazie i mym tu pobycie.

Tak potrzebuję was ziemian — my w górze".

PIEŚŃ IV

Gdy moc rozkoszy albo moc boleści
Jedną z władz naszej istoty pochłonie,
Duch nasz w niej jednej tak się cały streści,
 Że innym władzom nie da postać w łonie:
Przeciw błędowi to wiedz, co orzeka,
Że w nas nad jedną druga dusza płonie.

Gdy się więc na co skłoni zmysł człowieka,
To duszę w takie zapatrzenie wtrąca,
Iż nie spostrzega, jak jej czas ucieka.

Bo insza jest w niej moc spostrzegająca,
A insza, która źródłem jest pojęciu:
Tamtą spętana, ta wolno chodząca.

Tego-m ja doznał w moim duchowzięciu:
Gdym zmysły topił w urodnej istocie,
Słońce dobiegło stopni pięćdziesięciu,

A myśmy zaszli, gdzie w głosów jednocie
Wołała do nas owa święta trzoda:
„Tutaj odpowiedź jest waszej tęsknocie”.

Szersze częstokroć wrotka od ogroda
Rosochatymi cierniami przepina
Kmieć w porze, kiedy dojrzewa jagoda,
 Niżeli była ciasnota komina,
Którędy z Wodzem wszedłem samowtóry,
Skoro nas duchów odeszła drużyna.

Wejść na San Leo, zejść z Nolijskiej góry
I Bismantowy można dojść grzebienia,
Lecz tu potrzeba chyba lecieć pióry,
 Chcę rzec: na skrzydłach pożądnych pragnienia,
I być wiedziony takim drogowskazem,
Co krzepi mocy i rozprasza cienia.

Szliśmy więc na skroś rozłupanym głazem,
Tak że nam z obu stron uciskał boki:
Rąk i nóg było trzeba użyć razem.

Gdyśmy wypełzli na krawędź opoki
I na odkrytą natrafili ścianę,
„Gdzież teraz — pytam — obrócimy kroki?”

„W górę wprost pnij się przez bramy złupane;
Krok od mych śladów niech się nie odrywa,

Aż przewodnika biegłego dostanę".

Szczytu żrenica nie dobiegła żywa
I stromszy był spad granitowej bryły
Niż na promieniu kwadrantu cięciwa.

Zgnębiony byłem, mówiąc: „Ojczy miły,
Obróć się ku mnie i spójrz, jak się nużę,
Stań lub do reszty opuszczą mię siły".

„Synu mój — odparł — podźwignij się, druże!"
I ukazywał kamień w kształcie proga,
Skąd ścieżka węzem wila się po górze.

Tak dzielna była jego słów ostroga,
Żem laźł na raczkach w górę pracowicie,
Aż na tę krętą perć trafiła noga.

Tameśmy oba usiedli na szczycie,
Oczy utkwivszy we wschód, bo przyjemnie
Poglądać człeku na trudów przebycie.

Naprzód spojrziałem na doliny ciemnie,
Potem w wóz słońca; dziwno mi się zdało,
Że z lewej strony blask uderzał we mnie.

Kiedy Wódz ujrzał twarz mą osłupiałą
I wzrok snujący się po słońca szlaku,
Co między nami a północą stało,

Rzekł: „Gdyby Kastor i Polluks w orszaku
Znajdowali się onego zwierciadła,
Co w dwu półsferach chodzi po zodiaku,

Blżej by jeszcze Niedźwiedzicy kładła
Wstęgą Zwierzyńca płomienną obrożę,
Chybaby ze swej kolei wypadła.

Chceszli zrozumieć, jak to dźiać się może,
Wyobraź sobie ów Syjon padolny,
Wyszykowany ku niniejszej górze

Tak, że horyzont posiadają wspólny
W różnych półsferach; więc tor, gdzie swe konie
Żle poprowadził Faeton swawolny,

W jednym kierunku bieży po tej stronie,
A zaś, rachubą już rozwiążesz własną,
W odwrotnym po tej, co ma szczyt w Syjonie".

„Zaiste — rzekłem — nigdy-m ja tak jasno
Nie widział ni tak w pewność był bogatym
Tam, gdzieś już mniemał, że mi oczy gasną.

Śródkole kręgu najwyższego zatem,
Które mędrcomie równikiem nazwali,
Iż między zimą toczy się a latem,

Tu ku północy wybiega nie dalej
Niż tam u Żydów na drugiej półsferze
Ku południowi, co się wiecznie pali.

A teraz proszę, byś mi wyznał szczerze:
Dalekoż tak iść? Perć, co nas prowadzi,
Strzela wysoko, że okiem nie zmierzę".

A on: „Tę górę takie prawo łądzi,
Że zrazu przykro po jej wysoczyźnie,
Ale im wyżej, tym się idzie głódziej.

Kiedy wybiegniesz w takie sfery wyżnie,
Iż czuć przestaniesz, że cię droga nuży,
I będziesz jak łódź, co się z prądem śliznie,

Natenczas koniec obaczysz podróży;
Tam odpoczynek znajdą twoje trudy:
A to wiedz pewnie i nie pytaj dłużej".

Taką zachętą pokrzepił mej nudy,
A wtem głos jakiś tuż blisko zawoła:
„Może ci będzie trzeba usieść wprzód!"

Na dźwięk tej mowy zwracaliśmy czoła
I w lewo biegli oczyma do skały,
Cośmy jej przedtem nie spostrzegli zgoła.

Podejdzim bliżej. Osoby tam stały
W cień zasunięte, co padał od ściany,
Jako zwykł stawać człowiek opieszaly.

Jeden duch jakby trudem pokonany
Siedział, u kolan wiązał ramion sploty,
A lica ukrył pomiędzy kolany.

Więc ja do Mistrza: „O Panie mój złoty,
Spojrzyj na tego, co siedzi w nieruchu,
Jakby był bratem rodnym bezochoty".

Ocknął się, głos nasz przyjąwszy do słuchu,
Siedzący, okiem spode łba w nas godził,
Po czym rzekł: „Idź sam, gdyś dzielny, mój zuchu!"

Poznałem wtedy, kto był; ni przeszkodził
Dech przyśpieszony z ciężkiego zmęczenia,
Żem zatem z wolna ku niemu podchodził.

A kiedym podszedł, głowę od niechcienia

Podniósł i mruknął: „Widziałeś słoneczny
Wóz podchodzący z lewego ramienia?”

Te skąpe słowa i ten gest stateczny
Chwyciwszy, usta rozwarłem w uśmiechu.

„Belacqua — rzekłem —jużeś ty bezpieczny!

Lecz czemu ślęczysz tu w takim nieśpiechu?
Czy przewodnika czekasz? Czyli może
Znów jesteś w dawnym zanurzony grzechu?”

„Bracie, i cóż mi w górę iść pomoże,
Gdy zacząć nie da czyścicowej katusze
Ptak, co u bramy pełni straży boże?

Tylekroć słońca obrót widzieć muszę
Poza tą furta, ilem żył na świecie,
Żem się ociągał w szczerej westchnąć skrusze.

Chyba że tam się modlitwą wesprzecie,
Jeśli z serc w łasce żyjących wynika,
Bo inna w niebie nic nie waży przecie”.

Wódz już odchodził. „Pośpiesz! Południka —
Mówił —już sięga słońce, krążąc w toku,
A noc, po skraju morza idąc, tyka
Czarną swą stopą wybrzeży Maroku”.

PIEŚŃ V

Już, zostawiwszy za sobą gromadę
Mar, w tropy Mistrza parłem się skwapliwie,
Gdy, prężąc palec, jedno widmo blade:

„Patrzcie — krzyknęło — i niech was zadziwię:
Owy kroczący niżej chłonie ciałem
Słońce i stąpa jak człowiek, co żywie!”

Na dźwięk tej mowy lica obracałem.
Spojrzę, tłum duchów ciekawie mię bada,
Zdziwiony owym światła niedopałem.

„Czymże uwagę zaprzątasz? — powiada
Mistrz. — I dlaczego kroczysz opieszalej?
Cóż cię obchodzi, co się tutaj gada!

Żwawo pójdz za mną; ci niech szepcą dalej;
Mocny jak wieża bądź, co się nie zegn timer,
Chociaż się wicher na jej szczyty wali.

Człowiek, co chęcią powyż chęci zbiegnie,
Odwłóczy metę, wróg własnej uciesze,
Bowiem osłabia moc w zamiarów ścięgnie”.

Cóż mogłem na to rzec? Jeno: „Już śpieszę!”,
Na twarz zwołując wstydu barwy szczere,
Który nam czasem przebaczenie krzesze.

Na skos przez ową zaziemską kwaterę
Zbliżał się duchów poczet w naszą stronę
I wiersz po wierszu nucił: Miserere!

Kiedy się spostrzegł, że nieprzeniknione
Słońcem ciemniały me ziemskie osnowy,
Usta rozchylił w „O” długie, tłumione.

A dwaj, jak gońce, gdy przed huf bojowy
Wybiegną, k'nam się przybliżyli cwałem,
Wołając: „Prosim was, powiedzcie, kto wy?”

Na to odpowiedź Mistrza usłyszałem:
„Wracajcie! Swoim donieść to możecie,
Że ciało jego jest prawdziwym ciałem.

Jeśli cień jego wstrzymał ich na mecie,
Ta wieść im winna być wystarczająca;
Uszanujcie go, on wam odda w świecie”.

Nigdy tak szybko gwiazda spadająca
Pierwszych ciemności nocnych nie przepada,

Ni chmur sierpniowych na ubytku słońca,
Jak ci wracali, gdzie widem gromada
Stała, i nowym zaś ku nam zawodem
Współbiegli na kształt bezuzdnego stada.

„Licznym tu będziesz nawiedzion narodem —
Rzekł Wódz — z prośbami do nas dążą, wnoszę;
Nie stawaj, a próśb słuchaj mimochodem”.

„O duszo, która idziesz na rozkosze
W powłoce, co się jeszcze życiem cieszy —
Wołali, biegnąc — zatrzymaj się, proszę!

Może rozpoznasz kogo z naszej rzeszy,
Byś o nim głosił, wróciwszy z powrotem.
Czemu nie staniesz? Czemu ci się śpieszy?

Rozłączyła nas nagła śmierć z żywotem;
Do przedostatnich chwil my w grzechu trwali;
W ostatnich łaski ugodzeni grotem,

Win żałujący, skruszeni i biali
Z ciał swych my wyszli, sprzymierzeńcy Pana,
Co nas widoku swego żądzą pali”.

„Patrzę, nie widzę, by mi była znana
Twarz aby jedna, lecz co wiedzieć płuży,
Pytaj, odpowiem, gromadko wybrana,

W imię pokoju, co mię w mej podróży
Z świata do świata szczytnym celem nęci
I wodzi torem takiej zacnej stróży”.

Tak rzekłem, a on: „Nie trzeba pieczęci
Przysiąg; wierzymy, iż chętna twa wola,
Byleby niemoc nie zwichnęła chęci.

Ja pierwszy proszę: jeśli kiedy pola
Obaczysz moje i ziemskie dziedziny
Między Romanią a krajem Karola,

Nie poskąp ty mi litośnej daniny:
Niech się modłami za mną wstawią w Fano,
Bym mógł odkupić rychlej swoje winy.

Stamtąd ród wiodę; cios, pod którym raną
Wyszła krew, gdzie ja, duch, sprawował życie,
W Antenorydów kraju mi zadano,

Kędym biegł znaleźć bezpieczne ukrycie.
Este mię zgubił, co zawzięciej godził,
Nizeli słuszna, na moje zabicie.

A gdybym nie był ku Mirze pobrodził,
Gdy mię dopadły zbiry pod Oriaco,
Jeszcze bym dzisiaj pośród żywych chodził.

Zbiegłem ku bagnu, lecz, w szuwar i młako
Ugrząwszy, padłem i mej krwi kałuże
Widziałem sprawą wytoczone taką".

Zaś inny mówił: „Niechże cię ku górze
Niosą tęsknoty ku błogosławionym,
Ja zaś litością twą mój cel wysłużę.

Buonconta widzisz, Montfeltru baronem
Byłem; nie dbają o mnie moi doma,
Więc tutaj chodzę z czołem powstydzonem".

„Jakiż przypadek — pytam — lub kryjoma
Moc tak wywlekła twój trup z Campaldinu,
Że nam mogiła twoja niewiadoma?"

Na to cień odrzekł: „U stóp Casentinu
Przepływa rzeczka nazwiskiem Archiano:
Ta nad Pustelnią tryska z Apeninu.

Tam, kędy gubi swe pierwotne miano,
Przybiegłem cięty przeokropnie w szyję;
Pieszom biegł, ślady krwawą znacząc raną.

Tam wzrok mi zagaś; z imieniem Maryje
Na ustach padłem i w niekrytym grobie
Poległo ciało moje, dziś niczyje.

Wróciwszy, prawdę o mej głoś osobie:
Anioł mię boży brał, lecz duch piekielny
Wołał: »Oddaj go, niebieski parobie!

Unosisz jego szczątek nieśmiertelny
Za jedną łezkę; ta mi go wydziera!
Ja drugiej częstce pogrzeb sprawię celny«.

Wiadomo-ć, jak to w powietrzu się zbiera
Para wilgotna i zmienia się w wodę,
Skoro kropelki swe chłodem pozwiera.

Czart, co złą wolę z rozumem na szkodę
Łączy człowieka, mocą swej natury
Wzbudził mgłę, wiatrem zaburzył przyrodę.

Potem dolinę, gdy mrok zapadł bury,
Od Pratomagno aż do gór łańcucha
Tumanem pokrył, pozaciągał chmury:

Deszczem brzemienna spadła zawierucha;

Woda przelana za łożysk krawędzie

Zatopem rośnie i w kotlinie bucha.

Gdy jej posiłku z wielkich strug przybędzie,

W królewskiej rzeki ponosi mię tonię;

Nic jej w szalonym nie powstrzyma pędzie.

Skrzępłe me ciało w podameńskiej stronie

Archian nadybał i w Arno je wtoczył;

Krzyż mi rozwiązał, który z rąk na łonie

Złożyłem w chwili, gdy mię ból zamroczył;

Po dnie i brzegach kości tłukł w szkielecie,

Na koniec mułem osnuł i spowłóczył".

„Ach, gdy wróciwszy, znajdziesz się na świecie,

Gdy żagl wędrowni twojej się pozwija —

Mówiło do mnie teraz widmo trzecie —

O mnie pamiętaj, proszę: jestem Pija.

Siena mię rodzi, Maremma zgubiła;

Jakim sposobem — wie ten dobrze, czyja

Obrączka wdowę ślubem zniewoliła".

PIEŚŃ VI

Kiedy zakończy grę kosterów grono,
Pobity, jeszcze nie wstając od stoła,
Próbuje rzutów z twarzą nachmurzoną.

Zwycięzcę gawiedź prowadzi wesola:
Ten bieży naprzód, a ten z tyłu goni,
Ten mu zabiega z boku, a ten z czoła.

On, idąc, temu i temu się skłoni;
Da na odczepne, gdy kto zbyt naciska,
I tak od ciżby natrętnej się broni.

Tak szedłem, a tłum następował z bliska;
Tu przyrzekając, tam skłaniając głowy,
Umykałem się spośród zbiegowiska.

Oto Aretyn, ten, co mu z surowej
Ręki śmierć zadał Ghin Tacco zuchwały.
Inny utonął, idący na łowy.

Tam ręce w górę wzniosł, błagalny cały,
Frydryk Novello; pizańczyk z nim czwarty,
Który przyczynił Marzukowi chwały.

Widziałem Orsę; przy nim duch wydarty
Ciału, jak świadczył sam, z cudzej potwarzy,
Nie z własnej winy pokarania wartej.

Piotr de la Brosse to był, a niechże zważy
Brabantka, póki ziemski byt ją cieszy,
Aby nie zaszła między brzydsze twarzy.

Gdym z owej duchów otrząsnął się rzeszy,
Co dba tak wielce o modlitwę ludzi
W nadziei, że im zbawienia przyśpieszy,

„O Światło moje — rzekłem — czyż mię ludzi
Słowo twej pieśni, mówiąc: »Przeznaczenie
Cofnąć modłami — próżno człek się trudzi«?

A o to właśnie nawołują cienie;
Czyżby ich prośba miała być jałowa
Lub mi niejasne twej myśli znaczenie?"

Więc Mistrz tak do mnie: „Jasna moja mowa
Ni tych proszących nadzieja omyli,
Jeśli roztropnie wyłożysz me słowa.

Sprawiedliwości szczyt się nie nachyli,
Że czego oni oczekują w kaźni,

Płomień miłości zmyje w jednej chwili.

Gdziem o tych rzeczach rozprawiał wyraźniej,
Tej mieć nie mogła modlitwa krzepkości,
Gdyż módlca działał z Bogiem w nieprzyjaźni.

Dziś nie rozstrzygaj ważnej wątpliwości,
Aż przyjdzie pani, co ci światłem progi
Między rozumem a prawdą wymości.

O Beatryczy mówię; pośród drogi
Ku wierzchołkowi zaznasz jej widoku;
Tam żywot wiedzie radosny i błogi".

„Wodzu mój — rzekłem — przyśpieszajmyż kroku;
Już utrudzenia, jak wprzód, nie doznaję,
A coraz dalej pada cień od stoku".

„Pójdziemy — odrzekł — póki słońca staje
I póki ścieżek noc nam nie zacieni,
Choć podróż dłuższa, niż ci się wydaje.

Nim szczytu dojdiesz, jeszcze się zrumieni
Niebo od słońca, które tak się chyli,
Że już na tobie nie łamie promieni.

Samotną duszę spostrzegam w tej chwili,
Wyglądającą, jakby nas czekała:
Jej nas przewodztwo pewno nie omyli".

Podejdzem. Jakże dumna i wspaniała
Byłaś, z lombardzkiej ziemi maro błada,
W toczeniu źrenic taka opieszła!

Do przechodzących słowem nie zagada,
Puszczając mimo; tylko okiem śledzi
I patrzy jako lew, co się pokłada.

Mistrz, przystąpiwszy, słowa me wyprzedzi,
Prosząc, by drogę wskazała nieznana.
Mara nie raczy dać wprost odpowiedzi,

Ale o kraj nasz zapyta i miano.
Więc Wódz mój: „Mantua..." — zaczął. Na dźwięk ony
Duch, jakby nagle w połu go złamano,

Rzucił się, cały ku nam wychylony:
„Jam Sordel! Mantua wspólna nam rodzica!"
I objął jeden drugiego ramiony.

Biedna Italia, bólu gościnnica,
Śród wielkiej burzy — bez sternika nawa;
O, już nie pani ludów — nierządnica!

Uczcić rodaka, patrz, jak biegła żwawa,
Na samej ziemi radzinnej odgłosy
Pełne słodyczy, jedna dusza prawa!

A twoi żywi wzajemnymi ciosy
Gubią się i żrą nieustannym bojem
W obrębie muru jednego i fosy!

Spojrzyj, nieszczęsna, po wybrzeżu twojem
I murach; potem spojrzyj na swe łono:
Jestże kąt, co by cieszył się pokojem?

Cóż, że ci uzdę krótko przykrojoną
Włożył Justynian, gdy łęk siodła pusty:
Bez tego mniej byś była powstydzoną!

Ludu, coś winien czcić boże dopusty,
Było-ć utrzymać na siodle cesarza,
Pomniszli, co rzekł Bóg Chrystusa usta?

Patrz, jak się krnąbrna stała bestia wraża,
Odkąd ująłeś ręką za jej wodze,
Ale jej w lędźwie nikt kolca nie wraża.

Albercie Niemcze, teraz mści się srodze,
Żeś o niekarnym zapomniał biegunie
I boku jego nie poddał ostrodze.

Sąd sprawiedliwy z gwiazd niech rychło runie
Na krew twą; kary nowość niech zasłynie;
Budź twych dziedziców grozę, leżąc w trunie.

Twojej i ojca przypisać to winie —
U siebie władzy chciwym, że, niestety,
Ogrodzic państwa zamienion w pustynię.

Patrz na Monteki, patrz na Kapulety,
Patrz na Orwieckich panów, gnuśny człecze,
Ci już zdławieni, tym grożą sztylety.

Spójrz, jakie dybią na twą szlachtę miecze:
Przynieś ratunek, ułagodź rozpacze;
Spójrz, jak o siebie Santafor ma pieczę.

Przyjdź i posłuchaj, jak twoja Roma płacze;
Z pustego łóża biada głos jej wdowi:
„Cesarze ty mój, kiedyż cię obaczę?...”

Patrz na poddanych, jak się żreć gotowi;
Jeśli już nie dbasz o krew, co się toczy,
Sromaj się hańby, co twoje imię słowi.

Boski Jowiszu, coś umarł ochoczy

Na krzyżu, przebacz grzeszne me pytanie:
Czyś zwrócił indziej sprawiedliwe oczy?

Lub to jest próba, jaką tu z otchłanie
Twojej rady zsyłasz gwoli zbawczych planów,
Wyżej leżących niż ludzkie poznanie?

Ziemia Italii jest pełna tyranów,
Chłop lada jaki zmienia się w Marcela,
Zaledwie wejdzie między partyzanów.

Florencjo moja, nie trać ty wesela:
Zarzut podobny ciebie nie dotyka,
Dzięki ludowi, co mój głos podziela.

Rozum lada kto ma, lecz go zamyka,
Aby z cięciwy nie wypadł nie w porę:
Twój lud go nosi na końcu języka.

Nie wszystkie barki urząd dźwigać skore;
Twój lud się za to nieproszony zrywa:
„Ciężar podajcie sam!... Na się go biorę!”

To dość dla szczęścia; bądźże mi szczęśliwa!
Masz skarby, pokój masz i masz rozsądek;
Że prawdę mówię, w skutkach się wykrywa.

Aten i Sparty państwowy porządek
Niczym zapewne w porównaniu będzie
Z twoim; ty jesteś podobna do prządek,

Które tak mają pożytek na względzie
I tak opacznie czynią, że rozkręci
Listopad to, co październik uprzedzie.

Ileż to razy za naszej pamięci
Zmianę twych ustaw ludzie już widzieli,
Twoich urzędów, monet i pieczęci.

A jeśli pamięć światła ci udzieli,
Poznasz, żeś jako złożona niemocą
Niewiasta, co się wije na pościeli,
By ulżyć bólom niedospaną nocą.

PIEŚŃ VII

Gdy powtórzyli zacni dwaj rodacy
Ramion ujęcia i krzyki radości,
Sordel się cofnął i rzekł: „Któż wy tacy?”

„Zanim posłano ku tej wysokości
Dusze, co bożej godne są gościny,
Oktawian pogrześć kazał moje kości.

Jestem Wergiliusz; nie z innej przyczyny
Jak tej, że była mi nie znana wiara,
Straciłem niebo” — rzekł Wódz mój jedyny.

Jak kiedy kto rzecz rozpoznać się stara,
Co go zaskoczy nieoczekiwana,
Wierzy, nie wierzy, mówiąc: „Sen czy mara?” —

Tak on przystanął i jak rab do pana,
Oczy powieką zakryte nieśmiało
Spuszczając, giął się ująć za kolana.

„O czci Latynów, w której się poznało,
Ile to nasza zacna mowa zdoła;
Ojczyzny mojej nieśmiertelna chwało,

Czy cię zasługa, czy łaska tu woła?
Godny-m li słyszeć twojej mowy brzmienie,
Powiedz: czy z piekieł i z którego koła?”

„Przez wszystkie kraju boleści pierścienie —
Odrzekł — przeszedłem, zanim tu przybyłem;
Moc mię niebieska przez te pchnęła cienie.

Nie iżbym czynił, lecz że nie czyniłem,
Słońca-m nie ujrzał, co dla ciebie wstanie,
A które ja sam za późno odkryłem.

Są niżej smutne ciemnością otchłanie,
Choć nie męczarnią smutne, gdzie lamentsy
Brzmiały nie jak jęki, ale jak wzdychanie.

Tam z niewinnymi mieszkam pacholęty;
Zęby je śmierci stargały o czasie,
Gdy z nich grzech ludzki był jeszcze nie zdjęty.

Tam mieszkam z tymi, co nie wzięli na się
Trójcy cnót świętych, ale inne znali
I bez obłudy chodzili w ich krasie.

Ty, jeśli drogę wiesz i wolno-ć dalej
Iść z nami, pomóż, byśmy stopą żwawą

Do istotnego czyśca się dostali".

Rzekł: „Wszystką chodzić wolno nam dzierzawą:

Po góry stoku i po jej obwodzie;

Wodzem posłużę wam, dokąd mi prawo.

Ale już oto słońce jest w zachodzie,

A próżno kusić tej drogi o zmroku,

Więc trzeba radzić o dobrej gospodzie.

W prawo tu dusze mieszkają na boku:

Jeżeli pragniesz, do nich zaprowadzę;

Uciechy pewnie zaznasz z ich widoku".

„Jak to — Mistrz pytał — gdyby ktoś, odwadze
Zwierzywszy stopy, chciał wyjść z tych bezdroży,
Będzie wstrzymany lub sam straci władzę?"

Więc Sordel palcem w piasku znak wydroży:

„Patrz, za tę linię ni jednego cala

Nie zrobisz, ledwie słońce się ułoży.

Nie inna siła przytrzyma cię z dala,

Jeno mrok, który twe stopy upłace;

On tutaj wolę niemocą zniewala.

Wolno by było jeno zejść ku łące

Lub wokół góry błąkać się aż do dnia,

Póki nie wyjrzy za horyzont słońce".

Więc Wódz, dziwiąc się: „Niechże nas przewodnia

Ręka twa dzierży i wiedzie do stołu,

Gdzie taka radość czeka na przychodnia".

Postąpiliśmy kęs drogi pospołu,

Gdym zauważył, że była włamana

Góra na sposób ziemskiego wądołu.

„Tam pójdziem — rzekł cień — kędy góry ściana

Stworzyła z siebie łono, łukiem wgięta,

I tam nowego będziem czekać rana".

Ponad wądołem poszła ścieżka kręta

I ta nas wiodła, kędy ku pościeli

Traw na dolinie krawędź biegła ścięta.

Purpura, złoto, srebro, czystość bieli,

Indyjskie drewna światlejsze od zorzy

I szmaragd, kiedy po brzegu odstrzeli,

Do tej doliny przyrównane bożej,

Pobledną nim się żadne z nich obroni,

Jako że mniejsze przed większym się korzy.

Nie same barwy lśnią na onej błoni:
Zapach mię doszedł, w którym się kojarzy
Tysiąc nieznanych, nieujętych woni.

Salve Regina z kwietnych wirydarzy,
Siedząc, śpiewała garść błogosławiona:
Dopiero teraz dostrzec mogłem twarzy.

„Nim się ugnieździ słonecznego łona
Rąbek — tak Sordel odezwał się ninie —
Nie kłóćmy wczasów śpiewaczego grona.

Stąd wam ruch żaden ani gest nie zginie.
I lepiej wszystkich poznać z daleka
Niżeli stojąc tuż blisko w kotlinie.

Ten, co najwyżej siedzi, z twarzą człeka,
Który się czuje opieszalstwa winny
I końca pieśni z niemą wargą czeka,

To cesarz Rudolf, co żmudził bezczynny,
Mogąc Italię ratować w złym kresie;
Dziś chorą leczyć próżno chce kto inny.

Ten, w czyją patrząc twarz, pocieszyć chce się,
Panował w kraju onej wody, co ją
Wełtawa w Elbę, Elba w morze niesie —

Ottokar: ten ci miał pieluchę swoją
Lepszą niż Waclaw słuszny wiek brodaty,
Gdy go rozpusta i lenistwo poją.

Ów krótkonosy, co się trzyma szaty
Tego, który mu posłuchu nie broni,
Zginął w ucieczce, hańbiąc lilii kwiaty.

Patrz, jak się kaja i w pierś pięścią dzwoni;
Tamten westchnieniom ustać nie pozwoli,
Wezgłowie licu uczyniwszy z dłoni.

To ojciec i teść francuskiej niedoli;
Owo występne i pełne brzydoty
Życie tu jeszcze gryzie ich i boli.

Ów gruboczłonki, co zgodnymi nuty
Z tym męskonosym śle pieśń po dolinie,
Opasywał się sznurem wszelkiej cnoty.

I gdyby po nim zdano tron chłopczynie,
Który tam siedzi za jego plecyma,
Dzielność by przeszła z naczynia w naczynie.

Wreszcie dziedziców tej zacności nie ma:

Frydryk z Jakubem wzięli w spadku trony,
Lecz schedy, jak ta, żaden nie otrzyma.

Jako w konaru latorośli płonej,
Cnota się ojca w synach nie utrwała:
Ów, co udziela jej, chce być proszony.

Przygana moja dotyczy nosala
I Piotra, co z nim głosem zgodnym śpiewa:
Pulia się na nich z Prowancją użala.

Nasienie tyle gorsze jest od drzewa,
Ile Margoty mąż lub Beatryczy
Mniej niż Konstancyn czci na żonę zlewa.

Patrzcie, z innymi jak siedzieć nie życzy
Henryk angielski, król pełen prostoty;
Zacniejsze pędy jego konar liczy.

Tego, co niżej siedząc wzrok w namioty
Wbił nieba, grabią Wilhelmem wprzód zwano;
Przezeń to mściwej Aleksandrii roty
Nad Monferratem się pastwią i Kana".

PIEŚŃ VIII

Była to chwila, gdy nagła tęsknota
Wstaje, w żeglarza duszy obudzona,
Ledwie wyjechał za domowe wrota.

Nowym pielgrzymom serce rwie się z łona,
Kiedy usłyszają za wiatru podmuchem
Dzwon, który, zda się, płacze dnia, co kona.

Nagle przestawszy dźwięki łowić uchem,
Ku marze oczy obracałem swoje,
Która o ciszę prosi dłoni ruchem.

Podeszła, w górę rąk podniosła dwoje,
Na wschód oczyma zbiegła, jakby chciała
Powiedzieć Bogu: „O resztę nie stoję”.

Twórco światłości! — nabożnie powiała
Z ust jej modlitwa tak słodkimi tony,
Że mi się prawie duch wyrывał z ciała.

Za nią chór cały korny i natchniony
Wtórzył hymnowi nabożnie i ładnie,
Oczy w niebieskie posławszy regiony.

Słuchaczu, tutaj wzrok naostrz dokładnie:
Zasłona tak jest przezrocza, że w ślady
Mej mowy idąc, zrozumiesz mię snadnie.

Jakby w czekaniu zejścia bożej rady,
Ujrzałem kornie stojące zastępy:
W niebo wpatrzony tłum cichy i blady

I zlatującą na te muraw kępy
Parę aniołów, których miecz ogniście
Gorzał, złamany jednak był i tępy.

Jako więc świeżo rozpowite liście
Były ich szaty; zielonymi pióry
Trącane, wiały w ślad ich powłóczyście.

Jeden nad nami tuż, na skłonie góry,
A drugi spłynął na przeciwnym stoku:
Tak między siebie wzięli duchów chóry.

Jasne ich głowy lśniły na widoku;
Lecz że moc niższa w wyższej się wysili,
W tych blaskach omdlał hart mojego wzroku.

„Obaj tu z łona Maryj i przybyli —
Powiada Sordel — aby strzec doliny

Przeciw wężowi, co wpółnie tej chwili".

Więc ja, nieświadom, skąd czekać gadziny,
Wzrok toczę wkoło i skronią się kładę
U wiernych ramion struchlały i siny.

„Teraz — rzekł Sordel — pod góry posadę
Zejdźmy zaczepić słowem wielkie cienie;
Wiem, że waszemu przyjściu będą rade".

Trzema krokami góry pochylenie
Przebyłem; a wtem jeden kształt bez ciała
Coraz badawcze rzucał mi spojrzenie.

Już właśnie ciemność w powietrzu się słała,
Lecz nie dość gęsta, by mi niewyraźniej
Miała to jawić, co wprzód odsłaniała.

Raźno podeszła i jam podszedł raźniej.
Jakże, poznawszy, że mię wzrok nie mami,
Rad byłem, Nino, żeś był wolen kaźni!

Żadnych nie brakło witań między nami.
Potem zapytał: „Skróś szerokiej strugi
Kiedy przyszedłeś?" „O — rzekłem — drogami

Pełnymi smutku, przez krew i szarugi
Przybyłem dzisiaj, pierwszym życiem żywy,
Wędrowną żywot wysługując drugi".

Gdy te z ust moich usłyszeli dziwy
Sordel i tamten, nagle odrzucone
Głowy przegięli w tył, jak lud płochliwy.

Sordel na Mistrza spojrzął; drugi, w stronę
Oczy zwracając, krzyknął: „Patrz, Konradzie,
Na dziwo, Łaską Bożą dopuszczone —

A do mnie: — Przez tę wdzięczność, którą radzie
Winienne-ś Boga, co tak pilnie strzeże
Pierwszego »Czemu« tajnego w swym łądzie,

Skoro powrócisz na tamto wybrzeże,
Proś mej Joanny, niech o mnie powiada
Tam, gdzie coś ważą dziecięce pacierze.

Matka jej pewnie za mną nie zagada,
Odkąd się w białe czepce nie ubiera,
Które, nieszczęsna, znowu kłaść by rada.

Na niej się widzi, jak prędko umiera
Miłość w kobiecie, z płóchej swej natury,
Gdy jej spojrzenie lub uścisk nie wspiera.

Nie da jej takiej na trunę purpury
Wojewodząca miłańczyków Żmija,
Jakby ją przybrał kiedyś Kur z Gallury".

Tak rzekł, a w twarzy znak mu się wybija
Pieczętny owej żarliwości młotem,
Która statecznie w serce ślad swój wpija.

W niebo wzrok chciwy obracałem potem,
Tam kędy droga gwiazd jest opieszała,
Gdyż bliższym osi biegną kołowrotem.

A Wódz mój: „Synu, przecz w niebieskie ciała
Poglądasz?" Więc ja: „Tę gwiazd trójkę płową
Śledzę, od której cały biegun pała".

On na to: „Gwiazdy, któreś miał nad głową
Dziś rano, teraz są pod nieboskłonem;
Jutro swe miejsce zamienią na nowo".

Wtem Sordel wciągnął go i dotknął łonem,
Mówiąc: „Oto wróg wszelkiej bożej sprawy!" —
I ostrzegał mię palcem wyprężonem.

Z jaru, gdzie z lewym brzeg stykał się prawy,
Dolinę w ciasną zamieniając puszcze,
Pełzał wąż, dawca pierwszej gorzkiej strawy.

Pomiędzy kwiaty sunął gad i bluszcze,
Łeb obracając i po lśniącym grzbiecie
Liżąc językiem jak zwierz, co się muszcze.

Nie uważałem —jeśli wiedzieć chcecie —
Przylotu boskich sokołów, lecz potem
Wylot obydwu dobrzem widział przecie.

Zielonych skrzydeł spłoszona łopotem,
Uszła gadzina i wnet za granicę
Wzroku anieli równym zbiegli lotem.

Cień, co do sędzi szat przytulał lice
Podczas owego aniołów ataku,
U mojej twarzy wciąż wiązał źrenice.

„Niech świeca po tym wiodąca cię szlaku
Tyle ma z ciebie wosku dobrej woli,
Byś po szczyt góry nie zaznał jej braku.

Jeśli wiesz — mówił — w jakiej żyje doli
Lud, co go Magry zamyka dolina,
Mów, byłem niegdyś włodarzem tej roli.

Zwano mię wtedy Konrad Malaspina:

Stary szczep, a ja dziedzicem w rodzinie.

Przesadna troska o nią, to przyczyna

Mojego czyśćca". Więc ja: „W twojej krainie
Nigdy nie byłem, lecz gdzie jest dzielnica,
Gdzie by nie znano, jak wysoce słynie?

Ta sama sława, co twój dom zaszczyca,
Głosi o panach i głosi o kraju,
Że choć kto nie zna, przecież się zachwyca.

A ja przysięgam, jak chcę wejść do raju,
Że ród twój, zacny i mieniem, i szpadą,
Cześć ma od wieka w swoim obyczaju.

Zwyczaj z naturą to mu piętno kładą,
Że chociaż złe wódz rady świata szepce,
On drogą krzywą gardzi, prawej świadom".

„Idź zatem — odrzekł — a nim w tej kolebce
Siedmkroć się słońce ułoży na spanie,
Którą nogami czterma Baran depce,

Takie o rodzie moim grzeszne zdanie
Utkwi ci w głowie mocniejszymi ćwieki
Niżli to moje słabe dziękowanie,

Chyba Bóg wstrzyma wyrok niedaleki".

PIEŚŃ IX

Już nałożnica dawnego Tytona
Białym się rąbkiem ze wschodu wyłoni,
Z objąć lubego kochanka spłoszona,
I klejnotami zabłyśnie na skroni,
W kształt złożonymi onej zimnosokiej,
Co się ogonem od ujęcia broni;
Więc noc z naszego miejsca już dwa kroki
Naprzód zrobiła i, gotując nowy,
Skrzydłem zniżonym wionęła przez mroki,
Gdy ja, spuścizny dziedzic Adamowej,
Nagle zmorzony snem, kędyśmy w pięci
Siedzieli, na ruń nachyliłem głowy.
W godzinie kiedy, bolesnej pamięci
Pełna, jaskółka blisko u przedświtu
Pierwszym kwileniem powietrze zasmęci;
Gdy myśl, władniejsza pani swego bytu
I swobodniejszych wiadoma polotów,
Zdolna jest jakby wieszczego zachwytu,
U lazurowych zwieszony namiotów
Ukazał mi się orzeł złotopióry,
Cały rozpięty, do runięcia gotów.
A śniłem, żem stał na wierzchołku góry,
Skąd był porwany od króla lataczy
Ganimed między olimpijskie chóry.
Dumałem: orzeł w tym miejscu co znaczy?
Może on tu jest na swym żerowisku,
Może skądinąd łupu brać nie raczy?
Kręgi po kręgach zataczał, aż w błysku
Gromu spadł ma mnie ptak przerażający,
Uniósł i w górnym zawisnął ognisku.
Tam nas oboje owiał żar gorący:
Mniemany płomień tak się w ciało wżerał,
Żem się obudzić musiał mimochcący.
Nie inaczej się Achilles wydzierał
Snowi i wznosząc zdumiałe powieki,
Po nieznajomej krainie spozierał,
Gdy wyjętego z Chirona opieki
Matka zanosła pod Skiryjskie straży,

Skąd go dwa sławne wywabiły Greki —

Jakom ja zadrżał, kiedy sen mi z twarzy
Pierzchnął; stanąłem tak bladością siny
Jak człowiek, co go przestrasz mrozem zwarzy.

Przy moim boku Mistrz został jedyny;
Oczy ku toni obrócone były;
Słońce zrobiło w górę dwie godziny.

„Nie miej ty lęku — rzecze Pan mój miły —
Oto kres bliski naszego pochodu,
Zatem nie ścieśniaj, lecz rozprężaj siły.

U czyścowego stanęliśmy wzwołu;
Patrz na przedmurze stok okrążające,
Środkiem spękane jakby dla przechodu.

W chwili gdy jutrznia wywróżyła słońce,
A duch spał w ciało spowity człowiecze
Na umajonej pięknym kwieciem łące,

Przyszła niewiasta ku mnie i tak rzecze:
»Jam Łucja; daj, niech śpiącego zabiorę
I łatwość drogi jemu ubezpieczę«.

Śród zacnych cieniów Sordel pod tę porę
Bawił, gdy wschodnia zabeliała strona;
Łucja szła naprzód, a ja za nią w górę.

Tu cię złożyła, a mnie zaświecona
Ócz jej pochodnia ku tej wiodła bramie;
Potem odeszli razem — sen i ona".

Jak człowiek, co się z domysłami łamie,
Lecz po wahaniu pewność bierze w duszę,
Skoro rzecz zyska rzetelności znamię,

Tak jam się zmienił; więc Wódz, mię w otusze
Widząc, do góry posunął po wale;
Ja tedy za nim ku wyżynom ruszę.

Widzisz, słuchaczu, jak wznoszę pomale
Gmach mej powieści, więc nie miej we wstręcie,
Że tutaj wyższym kunsztem go utrwale.

Jużeśmy doszli i tam w tym momencie
Stali, gdzie ściany jakoby rozwarte
Widział przez owo pionowe pęknięcie.

Brama to była; a do niej przyparte
Kamienne stopnie barw jawiły troje:
Na nich milczącą obaczyłem wartę.

Kiedy w nią baczniej me źrenice wpoję,
Poznam Anioła; na najwyższym głazie
Siedział tak jasny, że rwał oczy moje.

Dłonią miecz goły trzymał, a w żelazie
Taka się jasna paliła poświata,
Żem nie mógł okiem zdzierżyć go na razie.

„Z daleka stojąc, mówcie! — woła czata. —
Co wy za jedni? Kto dróg waszych strzeże?
Baczenie, aby was nie potkała strata”.

„Niebieska Pani świadoma w tej mierze —
Rzekł Mistrz — przed chwilą ukazała wzwody,
Mówiąc: »Wstępujcie w górę, oto dźwierze«”.

„Niechże was wiedzie do celu bez szkody —
Przemówił znowu uprzejmy odźwierny —
Wstępujcie zatem na te nasze schody”.

Pierwszy był biały, gładkości misternej,
Przezysty marmur; jak szkło jednolity,
Powierzchnią obraz mój odbijał wierny.

Schód drugi z ciemnogramatowej płyty,
Powierzchni szorstkiej, słońcem przepalanej,
Wzdłuż i wszerz gęsto szczerbami poryty.

Trzeci zaś stopień, na sam szczyt zwalony,
Barwą porfirów zdał się rozplonięty,
Jak krew, co tryśnie prosto z ran, czerwony.

Na nim swe stopy oparł Anioł święty,
Sam zaś na progu wrót zasiadł na straży;
Próg był tak lśniący jako diamenty.

Po dobrej woli, w powyż trzech poroży
Wszedłem z mym Panem. On rzekł: „Kornym czołem
Uderz i poproś, niechaj ci otworzy”.

Przeto nabożnie padłem przed Aniołem:
„Łaski! Otwórz mi!” — wołając nieśmiele
I w pierś się bijąc. Miecza ostrzem gołem

Odźwierny siedm „P” wyrył mi na czele.
„Bacz — mówił — niech się każda plama splucze,
Podczas gdy będzie hartował się w dziele”.

Popiół lub gleba, gdy ją skwar potłucze,
Równały barwie szat świętej Istoty;
Spod szaty Anioł wydobył dwa klucze:

Jeden był srebrny, drugi szczerozłoty;

Więc najprzód białym, żółtym zaś po chwili
W zamku pracując, koł me tęsknoty.

„Gdy bodaj jeden z tych kluczków omyli —
Mówił — snadź jakiś błąd zachodzi, za czym
Już się ta furta przejściu nie odchyli.

Jeden cenniejszy; drugiego badaczem
Trzeba być lepszym, by bramę otworzył,
Bo on jest właśnie węzła rozdziergaczem.

Piotr mi je w ręce podał i dołożył:
»Raczej litością grzesz tutaj niż wstręty,
Byle się grzesznik u nóg twoich korzył«".

Tedy pchnął Anioł skrzydła bramy świętej.
„Wchodźcie — rzekł — ale wiedźcie, idąc wyżej:
Kto spojrzy za się, będzie odepchnięty".

Ukuta z twardej i brzęczącej spiży,
Na swoich czopach wykręcona cała,
Obróciła się tarcza świętych dźwierzy.

A nie zgrzytnęła tak ni się wzdragła
Odewrzyć, zbywszy Metella obrony
Na ujme skarbów swych, Tarpejska Skała.

Słuchem pobiegłem w nowe regijony:
Te Deum brzmiało za bramyokołem
W głosach zmieszanych z muzycznymi tony.

Takie wrażenie w me zmysły przejąłem
Z owej muzyki, jak to na przemiany,
Gdy z organami śpiew się złączy społem,
To śpiew góruje, to znowu organy.

PIEŚŃ X

Gdyśmy przebyli onej bramy progi,
Którą na częste skazywa zastoje
Chuć, co prostymi mieni krzywe drogi,
Ze szczękiem za mną zapadły podwoje;
Gdybym się jeno obejrzał, ażali
Byłbym okupić zdołał winę moję?

Po wyłupanym żlebie-śmy stąpali,
Którego ściany gięły się w łuczyste
Linie, na sposób rozbujałej fali.

„Wielkiej tu sztuki potrzeba zaiste
Powiada Wódz mój. — Postępujmyż bacznie,
Dłońmi się w ściany wpierając faliste”.

To naszą drogę opóźniało znacznie,
Tak że wprzód księżyc idący po niebie
Rąbkiem w łożysko swe chylić się zacznie,
Nim-eśmy krawędź naszli w onym żlebie.

Wyszędłszy wreszcie na otwarte pole,
Tam gdzie stok góry umyka sam w siebie,
Obaj zbłąkani, ja cały w mozole —
Przystanęliśmy na jakiejś płaszczyźnie,
Pustszej niżeli stepowe podole.

Przestrzeń, od miejsca, gdzie szlak w dół się śliznie,
Potąd, gdzie góra wspina się wysoka,
Równała trzykroć słusznemu mężczyźnie.

Ile zbiec mogło skrzydło mego oka,
Czym w lewo spojrzał, czy na prawo zasię,
Z obu stron droga szła równo szeroka.

Jeszcze nie zrobił kroku w onym czasie,
Kiedym obaczył, że okólne mury,
Co nieprzystępnym pionem po tarasie
Biegły, białymi błyszcząły marmury,
Pokryte rzeźbą, co nie w Poliklecie,
Lecz by zbudziła zazdrość u natury.

Anioł, co ziemi zniósł w bożym dekreście
Mir łzami wieków żądany tęskliwie
I otwarł niebo bronne w dawnym lecie,
W oczach się naszych jawił, tak prawdziwie
Ruch umiłony mając i postawę,

Że się nam wydał istotą, co żywie.

Przysiągłby człowiek, że wymawiał: „Ave!”

A tuż Niewiasta, co nam grzesznym chowa
Miłości Bożej rozwartą dżierżawę.

W geście jej skromnym odbiły się słowa:

„Otom ja Twoja służebnica, Panie!” —

Jakby je pieczęć odbiła woskowa.

„Inne tu dziwy dokoła; spójrz na nie!” —

Mówił Mistrz słodki, z którym szedłem razem
Z boku, który zwą serdecznym ziemianie.

Więc się zwróciwszy twarzą, za obrazem

Maryji ujrzę po prawym ramieniu,
Gdzie szedł ten, co był moim drogowskazem,

Inną historię wykutą w kamieniu;

Obszedłem Mistrza, aby należycie

Uwagę podać nowemu widzeniu.

Były wycięte w marmurowej płycie

Wóz, woły, skrzynia ze świętego drzewa,

Która urzędu karci nadużycie.

Przed nią tłum ludu: a ten się ozewa

Siedmioma chóry, aż słuch, brany w sidło,

To mówił: „Śpiewa”, to znowu: „Nie śpiewa”.

Równie misternie było tam kadzidło

Wyobrażone, że w tejże godzinie

Wzrok mówił: „Jawa”, a zaś węch: „Mamidło”.

W płasach wyprzedzał poświęconą skrzynię

Korny psalmista, skacząc jak pacholę,

Więcej niżli król i mniej w takim czynie.

Na górnym ganku widziałem Mikołę,

Jak w pałacowe patrzyła podwórze

Z wzdardą na ustach i chmurą na czole.

Stamtąd podszedłem ku innej figurze,

Co za postacią Mikoli bielą,ła,

Wyobrażona dłutem na marmurze,

Gdzie wyrzeźbiona była wielka chwała

Księcia, którego cnota zawołana

W szczytnym zwycięstwie Grzegorzowym pała.

Rozumiem tutaj cesarza Trajana:

Za uzdę konia wdoweńka się chwyta,

W geście bolesna, w oczach zapłakana;

Dokoła tłoczy się rycerzów świta,
A chmara orłów złotych ponad pole
Wieje, na wiatry skrzydłami rozwita.

Tedy biedactwo stoi w onym kole,
Prosząc: „O panie, pomścij mi się syna,
Co go zabili na matki niedolę!”

Zaś on jej na to: „Niewczesna godzina;
Czekaj, aż wrócę”. „Panie — wdowa rzecze
Jak człek, w którym się boleść dopomina: —

A gdy nie wrócisz?” „Kto po mnie oblecze
Płaszcz, ten uczyni”. „Po innym nie tuszę,
Jeżeli ciebie ma nędza nie piecze”.

Więc on jej na to: „Bądźże mi w otusze;
Zanim odjadę, dotrzymam ci słowa:
Litość i prawo wypełnia, co słusze”.

On, dla którego żadna rzecz nie nowa,
Rzeźbił te oczom mym wymowne twory,
A dziwne, bo ich kunszt ziemski nie kowa.

Podczas gdym patrzył z lubością na wzory —
Tym droższe, ile że mistrz nad rzeźbiarze
Był ich kowaczem — niezmiernej pokory,

Wódz szepnął do mnie: „Oto po wiszarze
Widzę wlokącą się ku nam gromadę:
Ta na próg wyższy drogę nam ukaże”.

Ja oczy, każdy wypatrywać rade
Cud, kędy jeno nowością się wdzięczy,
Na twarzy Mistrza pytający kładę.

Proszę, słuchaczu, niech cię nie odstręczy
Od zacnej skruchy pokutne narzędzie,
Jakim tam Pan Bóg kających się dręczy;

Kształtu katuszy nie miej ty na względzie.
Myśl o korzyściach; choć i kaźń ugodzi,
Trwać dłużej, niżli po dni kres, nie będzie.

Tu ja krzyknąłem: „Mistrzu, kto nadchodzi?
Spostrzegam twory z dziwacznymi godły:
Dobrze-li widzę? Wzrok-li mię zawodzi?”

A on tak do mnie: „Karą ciężkiej modły
Ich wiotka postać do ziemi nagięta;
Już się też na nich moje oczy zwiodły.

Ale spójrz bystro i niech wzrok rozpęta

Kształty spod gładów widne; patrzaj na nie:
Słuchaj, jak ciężko jęczą niebożęta".

O ubożuchni, pyszni chrześcijanie,
Co, na duchowe zaślepienie chorzy,
We wstecznych krokach macie zaufanie!

Nie wiecie, żeśmy to robak, co tworzy
Dopiero z siebie rajskiego motyla,
Bez osłon na sąd lecącego Boży?

Czemu się duch wasz kokoszy do tyła,
Na kształt gąsienic nieuzupełnieni
Robacy, w których być się nie dosiła?...

Jak podtrzymując dach lub pułap sieni,
Z kolanem w piersi, kamienni siłacze
Gną się ciężarem gzymsu przytłoczeni,

Skąd patrzącemu serce się rozpłacze
Przed złudą prawdy, tak ci przełamani
Chylą się; zadrzę, kiedy to obaczę.

I gną się duchy w bolesnej kompanii
W miarę wielkości brzemienia na grzbiecie,
Ten, co pod gładem giął się najpoddaniej,
Zdał się narzekać: „Omal, a przygniecie!"

PIEŚŃ XI

„O Ty Ojcie nasz, który jesteś w niebie,
Nie, byś w nim mieścił się, lecz dla miłości,
Co pierwotworom stamtąd ślesz od siebie,
Święć się Twe imię i moc Twej wielkości
U wszystkich stworzeń, jako że godziwa
Dziękczynić tchnieniu Twojej łaskowości.

Królestwa Twego mir niech nam przybywa:
Jeśli go łaska Twoja nie udzieli,
Żadna go siła nie zdobędzie żywa.

Jako składają wolę swą anieli
Tobie w ofierze, hymny śląc do nieba,
Tak niech się człowiek wobec onieśmieli.

Nie skąp nam dzisiaj powszedniego chleba;
Bezeń człek rzucon na te ziemskie smugi
Cofa się, gdy mu naprzód iść potrzeba.

A jako my złe, co nam zrządził drugi,
Przebaczać chcemy, tak nam ty nawzajem
Przebacz, ni naszej nie zważaj zasługi.

Hartu, co łatwo pokusie poddajem,
Nie próbuj mocą starego zwodnika,
Lecz zbaw przed jego chytrym obyczajem.

Ostatnia, Panie, prośba Cię potyka
Już nie nam gwoli, bo meta przed nami,
Lecz tym, co jeszcze noszą ziemskie łyka".

Takimi Bogu modląc się prośbami,
Szli nachyleni pod brzemię tak duże,
Jak to, co czasem we śnie zmysły mami.

Nierówny ciężar nieśli i po górze
Z nierówną męką w pierwszym upokorzeń
Szli kole, myjąc z siebie ziemskie kurze.

Gdy nam tak sprzyja czułość onych stworzeń,
Jak winni dla nich być pełni ochoty
Ci, którzy woli mają zacny korzeń,

Dopomagając zbyć ziemskiej brzydoty,
Co ich kałała, by letcy i czyści
Mogli w gwieździste wstąpić kołowroty!

„Słuszność i litość niech wam ulgę ziści
I niech się skrzydeł waszych lot posili,

By was poniosły ku pewnej korzyści.

Mówcie nam, która ścieżka nas nie zmyli
W drodze ku schodom; a gdy ścieżek dużo,
Która się z góry najłagodniej chyli?

Bo mój towarzysz, zmęczony podróżą,
Adamowego jeszcze nie zzuł ciała,
Więc jego chęciom stopy nie dość służą".

Odpowiedź, która w ślad pytania brzmiała
Temu, co zawsze moją był osłoną,
Nie zgadnę, z czyich do mnie ust bieżała,

Tak mówiąc: „Z brzegu przy nas prawą stroną
Pójdźcie; kęs wyżej szczelinę znajdziecie,
By nią człek żywy przeszedł, dość przestroną.

I gdyby nie to brzemień na mym grzbiecie,
Które tak moją postawę odmienia
I pyszną czaszkę mą do ziemi gniecie,

Jemu, co żyje, obcy mi z imienia,
W twarz bym popatrzał, czyli mi nie znana,
I żal wywabił dla mego cierpienia.

Jam Latyn, dziedzic wielkiego Toskana;
Wilhelma z Aldobrandeschich jam synem:
Nie wiem, czy tego świadomości miana?

Dumny dziełami i krwi karmazynem
Mych przodków, tak się panoszyłem w świecie,
Że matki wspólnej nie pomnąc, nad gminem

Władca wzgardliwy, padłem w lat mych kwiecie:
Naród seneski coś rzec o tym umie
I w Campagnatico wie każde dziecię.

Omberto jestem; nie samego tu mię
Wpędziła pycha; krewnych moich dusze,
Podobnie jak ja, kata mają w dumie.

Tę dumę gładząc, pod głazem się kruszę,
Aż bożą pomstę do reszty nasycę:
Nie chciałem żywy, pośród martwych muszę".

Słyszac tę mowę, pochyliłem lice;
Wtem drugi z duchów, idący tuż blisko,
Ciemieniem ciężką podźwignął przyłbicę,

Ujrzał mię, poznał, wymówił nazwisko,
Z wysiłkiem w mą się wpatrywał osobę,
Bo idąc z nimi, głowę niosłem nisko.

„Oderisiego-ż to widzę? Ozdobę
Gubbia i sztuki, którą paryżanie
Alluminacją zową w naszą dobę?"

Tak pytam. „Bracie — rzekł — na malowanie
Spójrz, w bolończyka kunszcie uśmiechnięte!
Przy nim ma chwała ledwo się ostanie.

Mniej skromny byłem, kiedy łono wzdęte
Pożądaniemi wróżącymi sławę
W doskonałości biegało ponętę!

Tym mytem splecam dziś doczesną wrzawę;
A byłbym indziej, lecz, jeszcze śród ciała
Mego mieszkając, czyniłem poprawę.

Ot, człowieczego kunsztu marna chwała!
Jakże trwa krótko zieleń tego drzewa,
Jeśli tuż po niej znów dzicz nie nastała!

Sądził Cimabue, że wszystkich olśniewa,
A dzisiaj Giotto pierwszy staje w rzędzie
I tak, że rozgłos onego przyćmiewa.

Tak jeden Gwido po drugim narzędzie
Wziął stylu, a już może wnet powstanie
Taki, co po nich w ich gnieździe usiedzie.

Bo sława ziemską jest jak wiatru wianie,
Co raz z tej strony, raz z owej zalata:
Zmieni kierunek, to zmienia nazwanie.

Wzmożeszli chwałę, że ta ziemską szata
Późnych lat dotrwa, niż gdybyś zmarł z młodu,
Kiedys wymawiał jeszcze: »papu, tata«?

Cóż za lat tysiąc będzie? Do pochodu
Wieczności one są jak okamgnienie
Do najszerszego sfer górnych obwodu.

Ten, co przede mną wlecze się, był w cenie
Takiej, że wszystka brzmiała nim Toskana;
Dziś się zaledwie o nim szepce w Sienie,

Gdzie władał w czasie, gdy padła stargana
Wściekłość florencka, pyszna od lat wiele,
Jak jest od wczoraj wszeteczeństwem pjana.

Bo wasza sława jest natury ziela:
Wschodzi i ginie; w tym samym płowieje
Słońcu, za którym nieźrzała wystrzela".

Na to ja: „Z mowy twej w me serce wieje

Zdrowa pokora i pychę mą gani,
Ale o kim to głoszą twoje dzieje?"

„Oto jest — odrzekł — Provenzan Salvani;
Dostał się tutaj, że pragnął zbyt śmieie,
By wszyscy w Sienie byli mu poddani.

Zmarł i tu błądzi, odkąd nie jest w ciele,
Bez odetchnienia; pokutuje łzawo,
Kto tam za życia pożądał za wiele".

Ja jemu na to: „Jeśli duch z poprawą
Swoją zwłóczący aż do bytu brzeżka
W przedczyścu bawić ma — ani mu prawo

Wejść tutaj, chyba że ktoś nie omieszka
Wesprzeć modłami — tyle, ile w żywej
Bawił osobie, skądże ten tu mieszka?"

„Kiedy był jeszcze możny i szczęśliwy,
Wielkiej pokory dał znak — duch powiada —
W rynku seneskim wziąwszy obelżywy

I nędzny łachman z żebrzącego dziada:
Na wykup druha z kaźni Karolowej
Do przechodzących drżące dłonie składa.

Wiem, niejasnymi to powiadam słowy,
Lecz niezadługo, rodakom swym dzięki,
Zbyt jasno pojmiesz znaczenie mej mowy.

Tym czynem termin ukrócił swej męki".

PIEŚŃ XII

Jako pod jarzmem woły chodzą w parze,
Tak póki Mistrz mój pozwalał łaskawy,
Jam szedł przy owej obciążonej marze.

Lecz gdy zawołał: „Rzuć go i bądź żwawy;
Tu każdy musi i żagłem, i wiosłem,
O ile umie, popędzać swej nawy!”

Czoło do iścia gotowy podniosłem,
Jeno że teraz pokorniej szy w duchu,
Do mej postawy myślą nie dorosłem.

Ruszyłem, zawsze skory do posłuchu;
A kto by spojrzał na nas w onej porze,
Lekkość by naszą zgadł po samym ruchu.

On rzekł: „W dół spojrzysz, byś obaczył łożę
Stóp swoich i ślad na ścieżce wryty;
To-ć do ulżenia drogi dopomoże”.

Jak wykwitają z grobowcowej płyty
Rzeźbione rysy pod przechodnia nogą,
Pouczające, kto w mogile skryty:

Stąd często oczy łez wstrzymać nie mogą,
Gdy czułą duszę wspomnienie opęta,
Które litośnych jeno jest ostrogą —

Takie u stóp mych kwitły ornamenta,
Jeno cudniejsze, dzieło wszechucznej
Dłoni, gdzie taras tworzy góra ścięta.

Widziałem tego, co był przeznaczony
Nad wszystkie niebios twory jaśnieć chwałą,
Jak padał z nieba, piorunem rażony.

Obok niebieską przewiercone strzałą
Ciężyło, góry zaległszy posadę,
Briareusowe śmiercią skrzepłe ciało.

Widzę Tymbreja, Marsa i Palladę,
Jak zbrojni, z ojcem swoim stojąc w parze,
Mierzą oczyma pobitą gromadę.

U stóp swej wieży Nemrod się ukaże:
Wzrok pomieszany zwraca ku drużynie,
Co z nim grzeszyła pychą w Sennaarze.

I twój, bolesna Niobe, przez boginię
Skarana w dzieciach, co je boga ciosy

Pobiły, obraz widzę na drożynie.

I Saula, jak padł na Gelbojskie wrzosa,
Przebiły mieczem własnym boleściwie,
Co nie zaznały więcej dżdżu ni rosy.

Tobie, szalona Arachno, się dziwię:
Jak to w pajaka twa postać się łamie,
W źle uprzedzonym zasnuta przedziwie.

Już twój nie straszy widok, Roboamie,
Kiedy na wozie swym grodzkimi wroty
Uciekasz, nim cię mściwe sięgnie ramię.

Ukazywały surowe roboty,
Jak to Almeon czerwonymi soki
Matce wypłacał nieszczęsne błyskoty;

Ukazywały, jak lecą otroki
Sennacheryba i, wewnątrz świątnice
Zabiwszy, ojca porzucają zwłoki.

Ukazywały nędzę i krwawicę,
Jaką Cyrusa darzyła Tarnin,
Mówiąc: „Krwę pragniesz, niechże cię nasycę”.

Ukazywały, jak pierzchły Assyry
Po śmierci wodza swego, Holoferna,
A trupów zaległ stos na ziemi szczyrej.

W prochu przede mną leżała mizerna
Troja; o Ilion, w jak smutnej pokucie
Wyraziła cię ta sztuka misterna!

Któryż artysta w pędzlu albo dłucie
Tak oddał kształty i ruchy, że niemi
Podziw się wrażał w patrzącego czucie?

Żyw zdał się żywym, a martwi martwemi;
Nie widział lepiej, kto by widział jawę,
Niż ja, tam idąc z oczyma ku ziemi.

Puszcie się, stroszcie wyniosłą postawę,
Synowie Ewy! Nie schylajcie czoła,
Żeby obaczyć swe ścieżki nieprawe!...

Jużeśmy dalej obeszli dokoła
Góry i torem słońca więcej znacznie,
Niż zaprzątnięty duch ocenić zdoła,

Gdy on, co naprzód wciąż pozierał bacznie,
Powiada do mnie: „Nie pochylaj lica;
W zadumę wpadać teraz nieopatrznie.

Spójrz, oto Anioł Boży cię zaszczyca
Swym nawiedzeniem; spójrz, oto ze straży
Dnia ustępuje szósta służebnica.

Szacunek okaż i w geście, i w twarzy,
By wiódł nas chętnie ku szczęsnym gromadom;
Dzień drugi, jak ten, więcej się nie zdarzy".

Już tak przywykłem mego Mistrza radom
Popędzającym krok mój opieszały,
Że go słuchałem, celów jego świadom.

Anioł szedł ku nam w szacie śnieżnobiałej,
Dorodny kształtem i twarzą, na której,
Zda się, jutrzeńki rannej blaski drżały:

Rozłożył ręce, potem powiał pióry:
„Tu schody — wołał, ukazując w ścianie
Rysę — tą drogą wstąpcie w głąb góry".

Nie wszystkich takie zachęca wezwanie.
O człeczce, na lot stworzony wysoki,
Przecz cię z nóg ścina lekkie wiatru wianie?

Wtem do pękniętej powiódł nas opoki;
Podmuchem skrzydeł wionął mi u czoła,
Po czym pozwolił wstępować bez zwłoki.

Jako na wzgórzu, siedzibie kościoła,
Wzwyż grodu, mądre gdzie siedzą ministry,
Nad mostem, co się Rubakontem woła,

Po prawej stronie stok się gładzi bystry
Szeregiem schodów kutyh w onym czesie,
Gdy pewne były szalki i registry —

Tak się łagodzi stromość, co w ociesie
Wtórego kręgu prawie w pion się kłoni,
Choć w ciasnej szyi skał tyka, kto pnie się.

Ledwo że w górę wyruszymy po niej:
„Błogosławiony jest duchem ubogi". —
Głos jakiś dźwiękiem nadludzkim zadzwoni.

O, ileż miłszy wstęp na rajske progi!
Tu się wstępuje z pieśnią, jak na gody,
Gdy tam do piekieł śród jęków i trwogi.

Tak my na święte wspinali się schody,
A jam się sobie zdał tak lekki, że mię
Chód nie utrudzał jak w nizinach przódy.

„Jakie to — pytam — ze mnie spadło brzemię,

Że znów me członki sobą lekko władną
I że bez trudu prawie depcę ziemię?"

On rzekł: „Gdy reszta »P«, które już bladną,
Lecz zawsze świecą w swej hańbiącej cesze,
Jako to pierwsze, do reszty przepadną,
Takie pragnienie w twych stopach się skrzese,
Że już nie tylko trudu nie uznają,
Lecz dążyć będą do szczytu w uciechu”.

Więc szedłem, jak ci, co w głowie dźwigają
Myśl jakąś, a przyjść nie umieją do niej,
Jeno coś z cudzych znaków przeczuwają.

Aż do pomocy zawezwawszy dłoni,
Znajdą, w co trafić nie umieli zgoła
I czego wzrok im domyślać się broni.

Palec prawicy ściągnąłem do czoła:
Sześć tylko liter wymacałem z cechy
Wrytej dłonią Klucznika Anioła...

Wódz, poglądając, twarz stroił w uśmiechy.

PIEŚŃ XIII

Doszliśmy szczytu kamiennej drabiny,
Gdzie po raz drugi stożek się wycienia,
Co wstępowaniem maże ludzkie winy.

A tam go taras gładki opierścienia,
Bieżący wokół, jak pierwszego razu,
Jeno z mniejszego zajęty promienia.

Figur tam rytych nie ma ni obrazu,
Ale jednego, szarego koloru
Zarówno gładka ścieżka, jak mur z głazu.

„Jeśli czekamy kogoś z tego dworu,
Nim się u niego drogowskaz wyprosi,
Długo tu bawić musim bez wyboru”.

Rzekł i wzrok bystro ku słońcu podnosi;
Bok prawy czyni obrotu ośrodkiem,
A łuk zatacza lewym, jak na osi.

„O słońce — wołał — ty, którego słodkiem
Wiedziony światłem, na tor nowy wchodzę,
Jakim tu trzeba ratować się środkiem,

Poucz; ty grzejesz świat, — ty jego drodze
Świecisz; póki nic nie staje na wstręcie,
Brać trzeba zawsze twe blaski za wodze”.

Jużeśmy uszli po owym zakręcie
Na tysiąc kroków swego rachowania,
Tak nas chęć sama parła w tym momencie,

Kiedy wionęły ku nam skrzydeł wiania
Duchów niewidnych, ale nas przelotem
Zapraszających do stołu kochania.

I był głos pierwszy usłyszany potem:
„Wina nie mają” — wymówił dokładnie
I brzmiał za nami echowym nawrotem.

A nim ten jeszcze w powietrzu poblądnie,
Inny zawoła: „Abyście wiedzieli,
Orestes jestem!” — to rzekłszy, przepadnie.

„Jakiej to, Ojcze, są głosy kapeli?” —
Pytam; a oto duch trzeci zakrzyczy,
Lecąc: „Kochajcie swoich krzywdzicieli!”

Na to Mistrz luby: „W tym kole się ćwicz
Winę zazdrości; tu więc miłość miecie

Razy z jej własnych ukręcone biczy.

Wędzidło z głosów odmiennych się plecie;
Zaznasz ich jeszcze, jeśli mię nie myli
Domysł, nim spoczniesz w przebaczenia mecie.

Teraz niech wzrok twój w przestrzeń się wysili:
Ujrzysz gromadę mar siedzących razem;
Każda pod ścianą kamienną się chyli".

Tedy rozwarłszy oczy za rozkazem,
Popatrzę ku nim; siedzieli opięci
W płaszczce, co barwą zmieszały się z głazem.

Gdyśmy podeszli, owi smutkiem zdjęci
Wołali: „Módl się za nami, Maryja,
Michale, Piotrze i Wy, wszyscy Święci!"

Nie wiem, jestli kto tak surowy, czyja
Litość od tego nie zadrży widoku,
Który się teraz w moje oczy wpija.

Skoro tak blisko podsunąłem kroku,
Że mi ich postać była ukazana,
Żal mi spod powiek trysnął w łez potoku.

Szata ich nędzna, jakoby włosiana;
Jeden drugiemu wspierał się o plecy,
A wszystkich znowu podpierała ściana.

Tak wyglądali jak ślepi kalecy,
Gdy na odpuscie w kościelnej zagrodzie
Żebrzą, głowami wsparłszy się, by leceć

Spółczucie zbudzić w pobożnym narodzie,
Wiedząc, że — niemniej jak skarga — nędzarzy
Widok litością czułe serca bodzie.

A jako ślepcom słońce za nic waży,
Tak i tym duchom do miejsca przykutem
Próżno blask świecił od słonecznych zarzy.

Jak czyni ptasznik z zuchwałym birkutem,
Kiedy nie może nad nim zyskać władze,
Powieki mieli pospinane drutem.

Zdawała mi się rzecz równa zniewadze
Patrząc, niewidny będąc ich wzrokowi;
Więc się oczyma mego Mistrza radzę.

A On, co gestu znaczenie w lot łowi,
Niemieszkający rzeczy: „Niech pospołu
Krótko i jasno twa chęć się wysłowi!"

Wergili przy mnie z tej strony cokołu
Stąpał po ścieżce, skąd łącno spaść można,
Bowiem jej poręcz nie chroni od dołu.

Po mojej stronie ślęczała nabożna
Duchów gromada, którym szwu szczeliną
Łzy wyciskała tęsknica przemożna.

Podszedłszy, tak się ozwałem: „Drużyno,
Owej światłości szczytnej niedaleka,
Która dziś tobie troską jest jedyną,

Niech łaska zmyje pianę, co obleka
Twoje sumienie, aby w nie, bezpieczna,
Prawdziwej wiedzy popłynęła rzeka.

Powiedz, rzecz będzie i luba, i grzeczna:
Jest tu gdzie dusza łacińskiego rodu?
Chęć moja być jej może użyteczna”.

„Bracie, wszystkiego prawdziwego grodu
Obywatelki, rozumiesz pątnicę,
Co żyła pośród Italów narodu?”

Taką odpowiedź lecącą pochwyć
Z miejsca, gdzie cieniów siedziała gromada;
Więc głośniej jeszcze myśl moję wyświecę.

Sądzę, że na mnie jedna dusza błada
Czekała, brodę wysunęła bowiem
Na sposób ślepcy, gdy przechodnia bada.

„Ty, co się znizasz, by wznieść się — tak powiem
Do ducha — twejże głos to odpowiedzi?
Niech o twym kraju i rodzie się dowiem”.

„Sieny mieszkanką byłam; tu się biedzi
Duch nasz — odrzekła — i pył ziemski myje
We łzach, czekając, rychło Bóg nawiedzi.

Głupie czyniłam, choć imię Zofije
Nosząc, bo o swe korzyści nie dbałam:
Radowały mię raczej szkody czyje.

Lecz abyś wierzył, że szczerością pałam,
Słuchaj, szal jaki zrodził się w mej głowie,
Kiedy po łuku życia zstępowałam:

Pod Colle moi gdy stali ziomkowie
Przeciw wrogowi, ja, podnosząc dłonie,
Błagałam Boga, by im stał na zdrowie.

Rozbici poszli po gorzkim wygonie

Ucieczki, a ja, świadek tej przygody,
Niewysłowioną rozkosz czułam w łonie.

I wzniosłam w niebo zuchwałe jagody,
Mówiąc: »Już teraz Ciebie się nie boję!«
Jak ów kos głupi dla trocha pogody.

Pod koniec życia z Bogiem się pokoję;
Ale podobno bogobojne chęci
Nie starczyłyby za powinność moję,

Gdyby nie szczęście, że się mej pamięci
Ruszyła litość w Piętrze Pettignanie:
On w modłach zmniejszył kaźń, która mię smęci.

Lecz ty kto jesteś, co o naszym stanie
Chcesz wiedzieć? Ócz twych niespięta powieka,
A ust twych mowa budzi wiatru wianie".

„I moje oczy równa kara czeka,
Ale niedługa — rzekłem — gdyż na świecie
Zazdrość ode mnie bywała daleka.

Za to się duch mój bardziej lęka przecie
Kary, co w kręgu niższym się wygładza;
Już prawie czuję ciężar, co mię zgniecie".

„Kto on — duch pytał — co cię przyprowadza,
Iż tuszysz wrócić na padolną drogę?"
„To — rzekłem — Wódz mój, ale się nie zdradza.

Żyw jestem; pytaj, czym ci pomóc mogę,
Jeżeli pragniesz, o wybrany cieniu,
Bym ruszył w sprawie twej śmiertelną nogę".

„Rzecz to zaiste dziwna ku słyszeniu;
Poznaję teraz, że ci Bóg łaskawy;
Więc wesprzyj czasem w pobożnym westchnieniu.

Nadto cię błagam w imię świętej sprawy:
Gdy będziesz kiedy deptał grunt Toskany,
U krewnych moich popraw mojej sławy.

Znajdziesz ich między próżnymi ziemiany,
Co w Talamonie dufhi, choć opłacą
Tę dufność drożej niż źródła Dyjany;
Lecz więcej od nich admirałi stracą...."

PIEŚŃ XIV

„Kto on, co kręgi naszej góry tłoczy,
Nim śmierć popchnęła żagle jego łodzi,
I jak chce, zwiera i odmyka oczy?"

„Kto on zacz, nie wiem, lecz nie sam przychodzi;
Ty siedzisz bliżej ku jego osobie,
O ród i miano pytaj go najśłodziej".

Tak więc szeptały, schylone ku sobie,
Dwa widma obok siedzące na prawo
I szyje do mnie wyciągały obie.

Powiada jedna z nich: „Duchu, postawą
Cielesną w niebios kroczący wierzeje,
Miej litość, wieścią pociesz nas łaskawą.

Ktoś jest? Skąd idziesz? Bo twe przywileje
Podziw nasz budzą, jak obca i nowa
Rzecz, która tutaj nigdy się nie dzieje".

„Środkiem Toskany — rzekłem — fale snowa
Strumyk na stokach zrodzon Falterony;
Nie nasycą go droga stumilowa.

Tam jest ojczysty gród mój położony;
Nazwisko moje wymieniać — rzecz marna,
Mej sławy jeszcze nie brzmią głośnie dzwony".

„Jeśli przejrzałem myśl twą aż do ziarna —
Pierwsza się dusza do mnie znów odzywa —
Po twojej mowie domyślam się Arna".

A druga rzecze: „Czemuż on ukrywa
Niedomówione owej rzeki miano,
Jakby w nim rzecz się mieściła brzydliwa?"

Na to głos ducha, którego pytano:
„Pewnie dlatego, iż się lepszą zdało,
Aby jej dolin wiecznie zapomniano.

Bowiem od źródeł, którymi nabrzmiało
Siodło gór, co z nich odpadło Peloro,
A tak, że w świecie bogatszych jest mało,

Po ujście, gdzie się krzepi morze, skoro
Słońce mu nieco słonych wód upije,
Skąd znowu później rzeki pokarm biorą,

Cnotę się z dala obchodzi jak żmiję;
Czy to się dzieje ze złego nawyku,

Czy że ich gleba ten wstręt w sobie kryje.

Tak odmienili obyczaj do zniku
Mieszkańcy biednej tych dolin krawędzi,
Jakby ich Circe chowała w karmniku.

Śród sprośnych wieprzów, godniej szych żołądzi
Niżeli strawy, którą człowiek żywie,
Naprzód ta rzeka nędzne nurty pędzi,
Spotyka dalej, na niższym przepływie,
Głośnieć nad małość łające szczenięta
I usta od nich odwraca wzgardliwie.

Płynąc poniżej, coraz bardziej wzdęta,
Spomiędzy psiarni między wilcze stada
Wlewa się struga licha i przekłęta.

Lisy spotyka, w których mieszka zdrada,
Skoro w najniższe potoczy się kraje;
Daremnie na nie paści się zakłada.

Choć tu człek słucha, sprawy nie zatają;
Dobrze mu będzie, jeśli zapamięta,
Co mu duch prawdy przeze mnie podaje.

Wnuka twojego widzę, jak wilczęta
Dzikię pogromi, wpadłszy na wybrzeże
Okrutnej strugi, i wszystkie popęta.

Na targ poniesie wilcze mięso świeże,
A resztę, jak lew, położy pokotem;
Tak wielom życie, sobie cześć odbierze.

Z nędznego lasu we krwi wyjdzie potem,
Tak spustoszywszy, że w tysiączne lata
Nie zagai się ta puszcza z powrotem".

Jak po złej wróżbie wesołość ulata
Z twarzy człowieka - więc patrzy i słucha,
I tylko czeka, skąd runie zadrata,

Tak spoważniała twarz innego ducha
Podczas tej mowy; nagle stał się rzewny,
Kiedy proroctwo doszło mu do ucha.

Widok jednego, głos drugiego gniewny
Ciekawość moją zwiększyły ogromnie,
Więc kto są, pytam, nazwiska niepewny.

Rzekł duch, co pierwszy odzywał się do mnie:
„Patrz, czego prośba moja nie uzyska
Od ciebie, teraz ty pożadasz po mnie?

Lecz dobroć boża, która tak pobłyska
Z twojej osoby, wyznać mię zniewala:
Gwidona Duki nie pomnisz nazwiska?

Bywało, zawiść tak mię skroś przepala,
Że gdym gdzie w twarzy obaczył wesele,
Z lic moich zaraz krwi pierzchała fala.

Z mego posiewu takie zbieram ziele.
O ludzie, czemu dóbr waszych krynica
W wykluczającym rodzi się podziele?

Oto Rinieri, co sobą zaszczyca
Calbolich plemię skłonne do upadu,
Póki nie najdzie jego cnót dziedzica.

W obrębie morza, Renu, gór i Padu
Nie tylko w biednej krwi już się nie pleni
Zapał do prawdy i pięknego ładu,

Ale porosły na całej przestrzeni
Trujące gąszcze; żadne ich oskardy
Nie wykarczują rychło od korzeni.

Gdzie dobry Lizio i Henryk Manardi?
Gdzie Traversarich i Carpignów plemię?
O Romańczycy zeszli na bastardy!

Fabbro, bolońską ozdobi-ż znów ziemię?
Bernarda Fosco w Faenzy obaczę?
Róźdzkę tak wdzięczną wyda-ż drobne siemię?

O Toskańczyku, nie dziw się, że płaczę!
Gwida da Prata imię mi przytomne
I Ugo d'Azzo do serca kołacze.

Pomnę Tignosa, druhów jego pomnę;
Dom Anastazych i dom Traversarów:
Oba te rody dzisiaj bezpotomne!...

Damy, rycerstwo, świat czynów i gwarów,
Dworności naszej i miłości szkoła
Tam kwitły, gdzie dziś wrósł występku narów...

Wyjdź, Brettinoro, z siebie, gdy dokoła
Właśni panowie twoi precz uchodzą
Śród innych wielu, by nie sromać czoła.

W Bagnacavallo niewiasty nie rodzą,
I słuszna: za to Castrocaro, Conio,
Żle — gdy hrabiątek niegodnych napłodzą.

Pagani lepsi będą, gdy uronią

Swojego »Diabła«, ale trud zbyteczny
Oczyszczać sławę: od plam jej nie schronią.

O Ugolinie z Fantoli, bezpieczny
Będzie twój honor, bo go już nie zaćmi
Czynem niegodnym żaden syn wszeteczny!

Idź, Toskańczyku, teraz idź, bo łkać mi
Chce się — nie mówić; rzewnie płakać muszę,
Tak się me serce ścisnęło nad braćmi".

Widno nam było, że te zacne dusze
Słyszały chód nasz, a że nie ostrzegły,
Po drodze dalej poszliśmy w otusze

Znowu samotni; nagle z przeciwległej
Strony, jak piorun powietrze przelata,
Tak ku nam słowa wołające biegły:

„Ktokolwiek spotkasz, zgładź mię z tego świata!"
I pierzchły jako grom, który pobladnie,
Skoro wprzód obłok na ćwierci rozpląta.

A ledwie znowu słuch sobą owładnie,
Inny głos obok huknął raz za razem
Jako grzmot, który za piorunem padnie:

„Jam jest Aglauro, co się stała głazem".
Cała się postać moja w tył podawa,
Pragnę się ukryć za swym Drogowskazem.

Już teraz ścichła napowietrzna wrzawa,
Gdy Wódz mój rzecze: „Oto twarde pęta,
Co winny dzierżyć was w granicach prawa,

Ale szalonych zbyt wabi przynęta,
Spod której stary wróg na wędę chwyta
Duszę, skoro się nie w czas opamięta.

Woła was niebo; nad wami rozwita
Piękność swe kręgi toczy; cóż, gdy biedna
Żrenica wasza do ziemi przybita!

Tę niemoc karci Siła Wszystkowiedna!"

PIEŚŃ XV

Ile to czasu w obrocie używa
Od zaświtania po godziny trzecie
Sfera niebieska, jak dziecko ruchliwa,
Tyle dopełnić miało ku swej mecie
Biegnące słońce, ze swego obwodu:
Tu wieczór, północ była zaś na świecie.
W sam środek twarzy blask nas raził z przodu,
Bo całą górę obeszlśmy kołem
I podążali prosto do zachodu,
Gdym nagle swoim jął miarkować czołem,
Że mi coś na nie większe blaski roni,
Więc nowej rzeczy dziwić się począłem
I ku szczytowi brwi uniosłem dłoni,
Aby się oczom jak blaskochron kładła,
Co od nadmiaru jaskrawości broni
Jako od wody albo od zwierciadła
Odbita strzała jasnego promienia
W stronę przeciwną odpryska, niż padła,
I — co z nauki albo z doświadczenia
Wiemy — od pionu odchyła się tyle,
Ile wynosił kąt jej uderzenia,
Tak wydawało mi się pod tę chwilę,
Że skądś odbite światło we mnie runie:
Więc twarzy przed tą jasnością uchylę.
„Ojcze mój — pytam — co jest w ognia łunie?
Zasłona dłoni na nią nie poradzi,
A oto, zda się, prosto ku nam sunie...”
„Nie dziw się — odparł — że bożej czeladzi
Widok źrenice twe jeszcze kaleczy:
To poseł, który w górę poprowadzi.
Rychło czas przyjdzie, kiedy ci tych rzeczy
Bliskość nie będzie przykra, ale błoga,
O ile zmysł jej podoła człowieczy”.
Gdyśmy podeszli, gdzie stał poseł Boga,
Radośnie rzekł nam: „Wstępujcież w pokój
Na łagodniejszą stromość tego proga”.
Za czym wstępujem po chwili postoju.
„Błogosławieni miłosierni!” — słyszę;

I znowu: „Raduj się, zwycięzco, w boju!”

Gdy idziem w górę, wierni towarzysze,
Zastanowiłem się i zadumałem,
Jakim pytaniem ważnym przerwać ciszę.

Więc obrócony do Wodza pytałem:

„Jakie to zyski owy duch z Romanii
Wykluczającym nazywał podziałem?”

„Wie dziś, jak cierpią zawiścią skalani —
Wódz rzecze. — Nie dziw, byście wśród żywota
Wy mniej bładzili, on tu sam się gani.

Iż się chuć wasza ku tym rzeczom miota,
Gdzie podział zmniejsza własne posiadanie,
Zawiść westchnieniom wszecz otwiera wrota.

Gdyby wodziła wasze pożądanie
Miłość jedyna ku najwyższej sferze,
Tej byście męki nie znali, ziemianie.

Tu, im spółników więcej, w większej mierze
Miłość powszechna każdemu się święci
I większą każdy częśćkę dobra bierze”.

„Oto pewności łaknę teraz więcej —
Rzekłem — niżeli wprzód, gdy milczałem,
I duszę większa wątpliwość mi męci:

Jak to się bowiem dzieje, że podziałem
Wzbogacić można więcej posiadaczy,
I ktoś jest częśćką bogatszy niż całem?”

„Ponieważ — odrzekł — rozsądek twój baczy
Jedynie ziemskie dobra niestateczne,
Śród prawdy światła jak we mgle majaczy.

Niewymówione owo Dobro Wieczne,
Które jest w górze, ku miłości leci,
Jak w jasne ciało promienie słoneczne.

Ile zapału znajdzie, tyle nieci;
Im większa z kogoś miłość się wydziela,
Tym się w nim jaśniej wieczny skarb rozświeci.

Im większą duchów liczbę uwesela,
Tym szersze wokół zakreśla granice:
Jak żrzadło, jeden drugim ją odstrzela.

Łakniesz-li jeszcze, wrychle Beatrycze
Obaczysz, która więc nauką swoją
Te, a z nią inne, ukoi tęsknice.

O to dbaj jeno, niech jak z tamtą dwoją,
Z resztą siedmiorga skaz grzechu się stanie;
Skaz, mówię, które cierpieniem się goją".

Gdym chciał rzec: „Jużem zaspokojon, Panie”,
Wtóregom kręgu przeszedł wał graniczny,
Więc oniemiło mię oczekiwanie.

Nagle się poczuł w wizji ekstatycznej:
Ramiona moje po powietrzu płyną,
W świątyni stoję pośród rzeszy licznej.

W progu niewiasta z czułością matczyną
Odzywała się, zasmuciwszy lice:
„Dlaczego to nam zrobiłaś, dziecino?

Oto załękli o ciebie rodzice
Szukaliśmy cię..." — tu mówić przestała
I obróciło się zjawisko w nice.

Po niej niewiasta mi się ukazała
Z rosą na twarzy wyciśniętą bólem,
Kiedy od gniewu wielkiego zapala,

I rzekła: „Jeśliś tej stolicy królem,
Co o jej imię spór wiedli bogowie
I co nauki wszelkiej była ulem,

Niechaj zuchwalec odcierpi surowie
Całus na czole złożony dziewiczem,
O Pizystracie!" Więc w łagodnej mowie

Tak odrzekł pan ów ze słodkim obliczem:
„Za cóż się czyja nienawiść policzy,
Jeśli kochanie za występki liczem?"

Potem ujrzałem pośród wściekłej dziczy
Młodzieńca; motłoch głazami weń miota
I podszczuwając: „Zabij, zabij!" — krzyczy.

A on z gasnącym oddechem żywota,
Gdy go na ziemię zwałili mordercy,
Do niebios czynił z oczu swoich wrota,

Modląc się Bogu w tej wielkiej rozterce,
By prześladowcom puścił dzieło krwawe,
Z takim wyrazem, że chwytał za serce.

Gdy dusza moja odzyskała jawę,
Którą zgubiła, sama w się zebrana,
Poznałem wszystkie czyny me nieprawne.

Przeto tam stałem w oczach mego Pana,

Jak człowiek, co się ze snu powstać sili;
Więc rzekł: „Co tobie, że ci drżą kolana?

Oto uszedłeś więcej niż pół mili
Z wzrokiem zamglonym, w nóg nierównowadze,
Jak człowiek, co go sen lub wino zmyli".

„Ojcze mój słodki — rzekłem mej Powadze —
Jeśli posłuchać zechcesz, to-ć wyświecę,
Com widział, kiedym w członkach stracił władzę".

„Choćbyś sto masek — rzekł — włożył na lice,
Oczy me przez nie głąb myśli postrzegą
Ani im będą skryte tajemnice.

To, co widziałeś, widziałeś dlatego,
Byś otwarł serce wodom pojednania,
Które ze źródła wieczystości biegną.

Pytałem nie jak człowiek, co odsłania
Rzeczy cielesne okiem sprzed mogiły,
Niedowidzącym od chwili skonania,

Ale by stopom twoim dodać siły,
Jak się leniwe bodzie i odporne,
Gdy się ich zmysły wreszcie obudziły".

Tak my stąpali pod zorze wieczorne,
W dal pozwalając zapuszczać się oku
Skoś przez promienie żarkie i przekorne.

Nagle się ku nam tumany obłoku
Jęły przybliżać, jako noc czarniawe:
Trudno przed nimi było umknąć kroku.

Aż nam odjęły powietrze i jawę.

PIEŚŃ XVI

Ciemności piekieł albo noc wyzuta
Pod biednym niebem z wszelkich gwiazd widoku,
Gdy się ciemnymi chmurami okuta,
Równą zasłoną nie otuli wzroku,
Jak ta mgła przykra, gęsta i chropawa,
Która zstąpiła nam teraz w obłoku.

Powieka pod nią kamieniem się stawa,
Więc mój Towarzysz doznany i drogi
Zbliża się do mnie i ramię podawa.

Jak w ślad przywódcy ślepiec stawia nogi,
By się nie potknął na ścieżynie krętej
I nie poranił, i nie zbłądził z drogi,

Tak ja stapałem przez mgieł cierpkie męty;
„Uważaj pilnie — głos jego dolata —
Ażebyś nie był ode mnie odcięty”.

W górze gdzieś rzesza śpiewała skrzydlata;
O mir litości w pieśni był proszony
Baranek, który gładzi grzechy świata.

Raz w raz „Barankiem” zaczynał śpiew ony;
A głos falował tak równymi ruchy,
Jakby był zgodnym czuciem nastrojony.

„Wszak ci to — pytam — wyśpiewują duchy?”
„Prawdę-ś powiedział — odrzekł — wiedz, że tędy
Ziemskiego gniewu kruszy się łańcuchy”.

„Ktoś ty, co mgławce przedzierasza oprzędy
I mówisz głosem, który przypomina
Tych, co czas jeszcze dzielą na kalendy?”

Tak mówić do mnie duch jeden poczyną.
„Idź doń — Mistrz rzecze — wieścią się podzielisz;
Spytaj, którądy perć się w górę wspina?”

„Istoto — rzekłem — która tu się bielisz,
By wrócić czysta do Stwórcy swojego,
Dziw ujrzysz, jeśli ku mnie się ośmielisz”.

„Iść z tobą chwilę — prawa mi nie strzegą —
Rzekła. — Jeśli mgieł okiem nie wyruszę,
Myśli przynajmniej za głosem się zbiegą”.

Więc ja ciągnąłem: „Dążę tam w pielusze,
Z której dopiero martwość mię rozpęta;

Wprzód przejść musiałem przez piekiel katusze.

Skoro zaś tak mię łaska dzierży Święta,
Że na swym dworze chce mię przyjąć w gości
Cudem, jakiego człek żyw nie pamięta,

Powiedz, kim byłeś pośród ziemskich włości?
Czyli nie błądzim tą drogą nieznana,
Niech się z ust twoich dowiem dla pewności".

„Lombardem byłem; Marko moje miano:
Znałem świat, honor cenilem nad życie;
K'niemu napinać łuk dziś zapomniano.

Idąc wprost siebie, do celu zdążycie —
Tak rzekł i dodał: — Wdzięczny za mitręgę,
Pomódl się za mnie, gdy będziesz na szczycie".

Ja na to: „Że-ć to uczynię, przysięgę;
Teraz się w jednej niepewności ważę:
Jeśli nie pojmem, w sobie się rozprzęgę.

Wprzód po jednym, teraz na mnie w parze
Runą wątpienia; miesza mię twa skarga,
Skoro ją z dawniej słyszany skojarzę.

Także to świat już związki z cnotą targa,
Jak twoja mowa rozżalona biada,
Tak się to w złości i kala, i szarga?

Gdzie ma przyczynę, powiedz, ta szkarada?
Niechaj, poznawszy, innym podam lepiej;
Jeden ją w niebie, drugi w ziemi składa".

Duch westchnął: boleść te w nim smutki szczepi,
A potem tak się odezwał: „Mój bracie,
Ślepy jest świat wasz i wy na nim ślepi.

Wy, ludzie żywi, przyczynę składacie
W gwiazdnych obrotach, mniemając, jakoby
Wszystko się w tamtym tworzyło warsztacie.

Gdyby tak było, brak by wam ozdoby
Swobodnej woli; brak by z tego względu
Za cnotę szczęścia, a za grzech żałoby.

Gwiazdy są źródłem pierwszego popędu,
Lecz choćby wszystkich, to i w tym przypadku
Światło wam dane na obejście błędu

I wolna wola; ta gdy nie ma statku
I zrazu onych sił ulega wadze,
Dobrze karmiona wygra na ostatku.

Lepszej przyrodzie i wyższej powadze
Wyście poddani; z nich jest w ludzkim tworze
Rozum, nad którym gwiazdy tracą władzę.

Jeśli świat dzisiaj schodzi na bezdroże,
W was jest przyczyna i tej się dowiecie;
Oto ją dla was znajdę i wyłożę:

Dusza, pieszczona w swoim pierwobyć,
Na ziemię schodzi od bożego stoła,
Kwiląc i śmiejąc się jak małe dziecię.

Duszyčka prosta nie pojmuje zgoła
Nic, lecz, byt szczęśny chowając w pamięci,
Popędem dąży, gdzie ją rozkosz woła.

Naprzód ją w świecie marne dobro nęci;
Nieostrzeżona, za tym dobrem bieży,
Jeśli wędzidło nie sprostuje chęci.

Więc praw wędzidło skroić jej należy;
Przełożyć króla, któremu zaświta
W stolicy prawdy bodajby szczyt wieży.

Prawa istnieją, lecz kto o nie pyta?
Przewodnik trzody, choć w zakonie prawy,
Nierozdwojone ma jeszcze kopyta.

Więc lud, gdy widzi, że wódz szuka strawy,
Do jakiej własne łakomstwo go żenie,
Rwie się tam, świętszej zaniedbując sprawy.

Stąd łączno pojdziesz, że złe przewodzenie
Winno jest w świecie grzesznego nałogu,
Nie zaś zepsute niby przyrodzenie.

Rzym, który wyrwał świat wiecznemu wrogu,
Dwojgiem słońc rzucał w dwoje dróg swe blaski:
W drogę ku światu i w drogę ku Bogu.

Jedno zagasło w drugim, miecz do laski
Przywarł pasterskiej, a ta wspólna sprawa
Musiała stworzyć pośród nich niesnaski.

Jeden drugiemu nie ustąpi prawa;
Jeśli nie wierzysz, obacz dla przykładu,
Jak to po ziarnie poznaje się trawa.

Kraj śród Adygi leżący i Padu,
Póki nie wstały kłótnie Frydrykowe,
Był pełen cnoty, dzielności i ładu.

Kto by się dawniej bał wejść w ziemie owe,

By się nie natknąć na uczciwych ludzi,
Dziś by niósł śmiało podniesioną głowę.

Jest troje starców, a tym trwać się nudzi
W nowym zwyczaju i boli do żywa,
Że Bóg z wezwaniem ich do siebie żmudzi.

Konrad z Palazzo, Gherard tam przebywa
Dobry i Gwido z Castel, co z francuska
Także się szczerym Lombardem nazywa.

Głosze: niech ludziom z oczu spadnie łuska;
Rzym, iż dwie władze w jedną rękę chwyta,
Z brzemieniem w błoto wpadł i w nim się pluska".

„O Marku — rzekłem — prawda to niezbita;
Teraz pojmuję, dlaczego wyrzutem
Z tego dziedzictwa miał zostać Lewita.

Lecz kto ów Gherard, co w świecie zepsutem
Pozostał jakby próbą dawnych ludzi,
I zdziżałemu plemieniu wyrzutem?"

„Albo mię kusi głos twój, albo ludzi —
Odrzekł — wszak słyszę, że jesteś z Toskany,
A pamięć jego już się w tobie studzi?

Pod innym mianem on mi jest nieznany,
Chyba je córka Gaja rozesławi...
Lecz idźcie z Bogiem; mój kres u tej ściany.

Oto już obłok prześwieca białawiej,
A ja zawracać muszę z mej podróży;
Anioł już idzie i wnet tu się zjawi".

Skończył i nie chciał ze mną bawić dłużej.

PIEŚŃ XVII

Jeśliś był w górach od mgieł pochwycony,
Przez które tyle dopatrzy spowita
Żrenica, ile kret przez powiek błony,

Przypomnij, gdy ćma wilgotna i zbita
Zaczyna rzednąć, jak słabym i bladym
Światłem tarcz pod nią słoneczna prześwita,

A pojmiesz, idąc wyobraźni śladem,
I tak ci słońce właśnie widne będzie
Jak mnie, kiedym je ujrzał nad zapadem.

Więc stopy moje w jednym stawiając rzędzie
Z Mistrza stopami, wystąpiłem z chmury
W blask, co już dolin porzucił krawędzie.

O wyobraźni, w takie nas wichury
Zdolna porywać, że rogów tysiące
Nie zbudzą duszy rwanej twymi pióry,
Kto tobą rządzi, kiedy zmysły śpiące?!
Snadź rządzi światło o niebiańskiej treści,
Z siebie lub woli wyższej działające.

Bezbożność dziewczki, co swój kształt niewieści
Zmieniła w ptaka, pieśni miłośnika,
W widzeniu moim naprzód się obwieści.

A tutaj duch mój tak szczelnie przymyka
Swe wrota i tak sam się w sobie zwinie,
Że weń z zewnętrznych światów nic nie wnika.

Potem mi w szczytną wyobraźnię spłynie
Krzyżowanego okrutnika zjawa,
Wzgardliwie dumna w śmiertelnej godzinie.

Tuż wielkie widmo Assuera stawa
I przy Esterze Mardoch sprawiedliwy,
Którego mowa jak czyn była prawa.

A skoro prysnął owy obraz żywy,
Jak bańka w światła barwistych ozdobie,
Kiedy jej wodnej nie stanie pokrywy,
Ujrzałem widmo dziewczeczki w żałobie,
Która mówiła: „Z jakiejże przyczyny,
Królowo, gniew twój na śmierć radził tobie?

Umarłaś, aby nie tracić Lawiny,
Przecie daremnie; otom rozżalona,

Matko, twej wprzódki niż cudzej ruiny".

Jak się sen łamie, gdy powiek osłona
Przepuści nagle jasne zorze brzasku,
I chwilę szarpie się, nim całkiem skona,

Tak znikło widmo owego obrazku,
Skoro strzeliła jasność w oczy moje
Od padolnego ogromniejsza blasku.

Obróciłem się, by poznać, gdzie stoję,
Gdy głos mówiący: „Wstępujcie na stopnie” —
Rozprószył wszystkie inne niepokoje.

Pragnieniem dusznym biegłem tak pochopnie
Wypatrzyć mówcę, iż mi się wydało,
Że nie odpocznie, aż swojego dopnie.

A jak się kryje słońca świetlne ciało
Nadmiarem blasków, co nas w oczy rażą,
Tak tu spojrzenie moje nie dotrwało.

„Duch to jest Boży, co nas pod swą strażą,
Nie oczekując prośby, wyprowadzi;
Oczom twym własną zasłania się zarzą.

Rad nam, jak inni samym sobie radzi:
Kto, widząc obcy mus, czeka wezwania,
Taki złośliwie już odmowę łądzi.

Niech zaproszenie doda ci wytrwania;
Przed zejściem nocy trzeba kończyć drogę
Albo na nowo czekać do zarania".

Tak mówił Wódz mój, za czym siły wzmogę
I zwracam kroki na wyniosłe schody.
Ledwie na pierwszym stopniu stawił nogę,

Uczułem z bliska jakby wiatru chłody
Od skrzydeł i głos ten: „Błogosławieni
Pokój czyniący, nie czyniący szkody".

W górze już gasnął ostatek promieni,
Po których zaraz idzie noc na świecie,
I już migały gwiazdy po przestrzeni.

„O siły moje, dlaczego mdlejecie?" —
Mówiłem, czując mocy niedostatek
I drżąc, że nóg mych władza się rozplecie.

Jużeśmy stali, gdzie schodów ostatek
Dochodzi ściany, i o tę granicę
Utknęli, niby zholowany statek.

Nadstawiam ucha, czy skąd nie pochwycę
Wieści, przez nowe te biegnącej kraje,
Za czym powiadam, obróciwszy lice:

„Drogi mój Ojczy, jaki to się kaje
Grzech w okoleniu, gdzie nas stopa wniosła?
Choć stają nogi, głos niech nie ustaje”.

A on: „Tu miłość cnoty, niedorośła
Do obowiązku, prości się i czyści;
Tu raźniej chodzą zapóźnione wiosła.

Posłuchaj pilnie, by ci oczywiściej
Ta rzecz przeze mnie była ukazana;
Tak nie wypadnie zwłoka bez korzyści;

Czy w Stwórcy, czyli w stworzeniu z rąk Pana
Wyszłym, jak to wiesz, miłość tkwi niezbędna,
Wrodzona lub też wyrozumowana.

Miłość wrodzona zawsze jest bezbłędna,
Lecz druga czasem pochybi w wyborze,
To mdła w działaniu, to zbyt nieogłędna.

Tam — póki stawia za cel dobro boże,
Tu — póki sama swe miarkuje chuci,
Zgubnej uciechy źródłem być nie może.

Lecz skoro ku złym myślom się obróci
Lub z niepomierłą troską w dobro godzi,
Zaraz ze Stwórcą stworzenie pokłóci.

Z tego, jak widzisz, jasno się wywodzi,
Że miłość równie cnotę sobą łączy,
Jak wszelką sprawę, która karę płodzi.

Że zaś jest miłość swej własnej korzyści
Samolubnemu stworzeniu konieczna,
Więc nie ma w świecie samonienawiści.

A iżby była rzecz w zasadzie sprzeczna —
Twór niezwrócony ku pierwszej przyczynie,
Nienawiść Stwórcy też jest niedorzeczna.

Ze złych miłości znamy więc jedynie
Złą ku bliźniemu miłość; otóż ona
Trzema sposoby wstaje w ludzkiej glinie:

Ten czeka, rychło czyjś kres się dokona,
Na nędzy bliźnich buduje rachuby,
Chce, by ich wyższość była poniżona;

Ów stracić nierad władzy, cześci, chluby

Przez to, że nadeń wzrośnie wielkość cudza,
I ze zmartwienia bratu życzy zguby;
Tam krzywda w człeku taką wściekłość wzbudza,
Iż jego serce mściwością zażega
I przeciw drugim niecną myśl podjudza.
Te trzy miłości niżej tego brzegu
Kają się; teraz ową ci zwiastuję,
Co się za dobrem niesfornie ubiega.
Każdy bezwiednie i niejasno czuje,
Że jest gdzieś dobro, co duszę pokoi,
Więc go koniecznie dostać usiłuje.
Miłość, co gnuśnie ku nieba ostoi
Dąży, w tym kresie czyśćcowych umorzeń
Po słusznej skrusze męką się wygoi.
Jest inne dobro, co nie zbawi stworzeń,
Bo nie jest szczęściem ni jest w nim zasada
Wszelkiego dobra, ni owoc, ni korzeń.
Miłość takiemu dobru zbytnio rada
W trzech wyższych kołach łzami się opłucze:
Lecz jak się owy trójpodział układa,
Pragnę, byś doszedł sam, więc nie pouczę".

PIEŚŃ XVIII

Koniec położył Mędrzec swej rozprawie,
A chcąc rozpoznać, czym go słuchał chętny,
Oczy mi w twarzy utopił ciekawie.

Ja zaś spragniony rzeczy tak ponętnej,
Milczałem usta, a w sobiem tak gwarzył:
„Czy tylko jemu nie będę natrętny?”

Lecz szczerzy Ojciec mój, gdy zauważył,
Że chęć gorącą z nieśmiałości taję,
Mową ośmielił, bym się mówić ważył.

Więc rzekłem: „Mistrzu, wzrok mój tak się staje
Bystry od światła twojego przyczyny,
Że coś mi podał, wszystko rozeznaję.

Lecz powiedz, proszę, Ojciec mój jedyny:
Co jest ta miłość, przez którą się płodzą,
Mówisz, zarówno dobre, jak złe czyny?”

„Niech — odrzekł — w myśl mą żrenice ugodzą
Twego rozumu; niechaj się rozświeci
Błąd tych, co ślepi, przecież ludzi wodzą.

Duch, co z natury swej na miłość leci,
Do każdej rzeczy przyjemnej się skłania,
Skoro w nim lubość chęć do lotu wznieci.

Wasza pojętność bierze cel kochania
Z rzeczywistości; tu ziemską uroda
W kształtach powabnych duszy się odsłania.

A gdy się dusza na jej zachwyt poda,
To zwie się miłość; w niej się po raz wtóry
Przez rozkosz z wami jednoczy przyroda.

Jako zaś płomień mocą swej natury
Prąc się, gdzie dłużej może trwać w swym stanie
Ogniwym, zawsze podąża do góry,

Tak gdy ogarnie duszę pożądanie,
Które jest ruchem ducha, nie spoczywa,
Aż kochanego przedmiotu dostanie.

Teraz się tobie wyraźnie odkrywa
Błąd, którym, ludzie, często się łudzicie,
Że każda miłość przez się jest godziwa.

Zda się wam, iż treść w takim pierwobycie
Zawsze jest dobra; lecz że wosk bez skazy,

Nie przeto czyste musi być odbicie".

„Myślom śpieszącym za twymi wyrazy
Istność kochania już jest odsłonięta,
Lecz i wątpliwość wzmogła się dwa razy.

Skoro nam miłość duszę z zewnątrz pęta,
A dusza drogą odmienną nie chadza,
Przecż jest ta droga raz prosta, raz kręta?"

Tak rzekłem, więc on: „Póki moja władza,
Wyjaśnię, z resztą czekaj Beatryczy:
To jest rzecz wiary, mnie w tym rozum zdradza.

Wszelki duchowy kształt, co uczestniczy
Ciału, lecz z nim się na wieki dwoiści,
Właściwy przymiot odwiecznie dziedziczy.

Ten bez działania w jawie się nie iści,
Ale się w skutkach objawia, jak w drzewie
Życie się znaczy zielonością liści.

A zatem człowiek tam na ziemi nie wie,
Kiedy w nim pierwsze wyblyska poznanie,
Gdzie się zażęga pierwszych żądź zarzewie.

Są mu właściwe, jak pszczołe zbieranie
Miodu, więc pierwsza ta wasza chęć czynna
Jest niepodległa chwale ni naganie.

Lecz że się do niej wiąże wszelka inna,
Władza wyboru w was odwiecznie tleje;
Ta przyzwolenia progu strzec powinna.

To jest pierwiastek, skąd idą nadzieje
Waszej zasługi, w miarę jak w omłocie
Czynów złe ziarna od dobrych odwieje.

Ci, co badali duszę w jej istocie,
Poznali, że jest do wolności skłonna;
Ci dali światu naukę o cnocie.

Przypuśćmy nawet, że moc nieuchronna
Wszelaką miłość w sercu wam zażęga,
W was samych przecie jest tarcza obronna.

Beatryks uczy, że ta moc polega
W swobodnej woli; gdy ci los podarzy
Z nią mówić, niech to z pamięci nie zbiega".

Księżyc, co późno wstał dla nieba straży,
Błaskiem przerzedził gwiazdy w swej koronie,
Płonąc jak głównia, gdy się cała żarzy.

I biegł po nieba obręczy, po stronie
Prażonej słońcem, gdy dla Rzymianina
Między Sardynią a Korsyką tonie.

Cień ów uprzejmy, co przezeń mieścina
Pietola rozgłos bierze nad Mantową,
Z brzemienia pytań mych swój kark odgina.

Pouczonego jego jasną mową,
Tak mię olśniła prawda niewątpliwa,
Żem stał jak człowiek z odurzoną głową.

Aż z rozmarzenia tego mię wyrывa
Gromada duchów, co za nami goni
I już nas sięga, w biegu popędliwa.

Jak u Ismenu i Azopu toni
Tebanie nocą w tłumnym korowodzie
Krzykiem błagali Bakcha zbawczej dłoni,

Tak się tu sierpem toczą po obwodzie
Pagórka duchy; po czyśćcowym brzegu
Chęć ich i miłość sprawiedliwa bodzie.

Wnet są nad nami, bowiem w pełnym biegu
Ogromna ciżba wstęgą się wywija,
A dwaj biadają, wybiegłszy z szeregu:

„W górę skwapliwie śpieszyła Maryja;
Cezar z szybkością piorunnych płomieni
Obiegł Marsylię, Ilerdę podbija.

Nuże iść w górę, niech się nikt nie leni
Z braku miłości!"; inni zaś wołali:
„Dobra ochota Łaskę uzieleni!"

„O duchy, w których żarliwość się pali
Pewnie, by żmudę nagrodzić i zwłokę,
O wy, w czynieniu dobra opieszali,

Żywą on tutaj przynosi zewłokę
I pragnie w górę piąć się, gdy zaświta:
Powiedzcie, gdzie są wrota przez opokę?"

Takimi słowy mój Wódz je powita.
A na to odrzekł głos jednego cienia:
„Pójdź w tropy: znajdziesz, gdzie brama wybita.

Wszyscy jesteście tak pełni pragnienia,
Że się zatrzymać trudno; przebacż zatem,
Gdy tu rzecz słuszna w niegrzeczność się zmienia,
Jam był Świętego Zenona opatem

Za Barbarossy, po którym w żałobie
Dotąd Mediolan trwa zimą i latem.

Ktoś, co już stoi jedną nogą w grobie,
Zapłacze swojej w tym klasztorze sprawy,
Nierad, że władzę tam przywłaszczył sobie,
Że jego ciałem i duchem koszlawy
Syn, koszlawego równie urodzenia,
Siedzi, gdzie siedzieć winien pasterz prawy".

Nie wiem, czy słowa mówiącego cienia
Tu się kończyły, gdyż był już daleko;
Com słyszał, warte było powtórzenia.

On, który zawsze był moją opieką:
„Obróć się — rzeczy — obaczysz mar dwoje,
Co opieszałość wyrzutami sieką".

Za nami woła głos: „Zginęły roje
Ludu, co środkiem przeszedł morskie wały,
Nim dzieci doszły nad Jordanu zdroje.

I ów lud, który w trudzie niewytrwały
Anchizowego osierocił syna
I sam się podał na życie bez chwały".

Gdy już nam z oczu zniknęła drużyna
I popędziła, wciąż tocząc się kołem,
Nowych wir myśli w mej głowie się wszczyzna

I tak obłądnie snuje się pod czołem,
I takich marzeń rozpowija chmarę,
Że w tym błędzeniu powieki zamknąłem

I dotykálną obaczyłem marę.

PIEŚŃ XIX

Owej godziny, kiedyienne ciepło
Do reszty swego oddechu pozbawi
Noc, wpływem ziemi lub Saturna skrzepłą,
I gdy to wieszczkom wielki los się jawi
W chwili przedświtu, gdzie mrok już opada
Z gościńca, który wnet się rozjaskrawi,
W śnie moim weszła niewieścia szkarada,
Jękliwa w mowie, z wejrzeniem rozokiem,
Bez rąk, z nogami w kabłąk, w twarzy blada.
Wpiłem w nią oczy. Jak zwarzone mrokiem
Na słońcu taje zeszywniałe ciało,
Tak jej odtajał naprzód pod mym wzrokiem
Język i postać prostowała całą,
Aż w małej chwili blade jej oblicze
Lubą miłości barwą pokraśniało.
A z rozchylonych warg takie słodyczne
Pieśni wionęły, że ja, w zachwycenie
Wpadłszy, już od niej odstąpić nie życzę.
„Przypatrzyć się — nuci — pochlebnej Syrenie
Ja marynarzy na manowce wodzę
Urokiem, co go kryje wdzięczne pienie.
Ja Ulissesa wstrzymałam po drodze;
Kto raz do mego przylubił się domu,
Nierad mnie żegna, tak mu w nim dogodzę”.
Jeszcze śpiewała, gdy z szybkością gromu
Święta niewiasta podeszła w tej chwili,
Snadź, aby tamtą nabawiła sromu.
„Kto ona? Mów mi, Wergili, Wergili” —
Rzekła surowie; więc pełen posłuchu
W tę zaciął wpatrzon, krok swój ku niej pili.
Ku tamtej ściągnął dłoń, szatę na brzuchu
Stwory rozdarł... wtem mię sen odleci
Od bijącego z jej łona zaduchu.
Dobry Wergili do mnie: „Po raz trzeci
Wołam: wstań i chodź; pora ruszyć dalej
I szukać, kto nas o bramie oświeci”.
Wstałem, a oto już się pełnym pali
Dniem każdy okrąg onej góry świętej;

Tak my, świt mając w tyle, wstępowali.

Idąc, skroń niosłem, jak człek zaprzątnięty
Jakowąś myślą, co mu w sercu leży,
I miałem postać półarkady zgiętej.

Wtem nagle do nas: „Wejdźcie do tych dźwierzy!” —
Głos wołał słodki, jak ten, co z błękitu,
A nie z padolnych wyleci rubieży.

Tak Anioł wzywał i wabił do szczytu,
Wiejąc swoimi łabędzimi puchy
I stojąc w onych podsieniach z granitu.

I szedł głos między skrzydlate podmuchy:
„Błogosławieni, których we łzach oko,
Dusze ich będą paniami otuchy”.

„Czemuż twe oczy po ziemi się wloką?” —
Do idącego tak Wódz się odzywa,
Nim jeszcze Anioł odleciał wysoko.

„Widzenie nowe myśli me porywa —
Rzekłem — i tak me pociąga źrenice,
Że myśl ku niemu wraca uporczywa”.

„Widziałeś — pytał — starą czarownicę,
Za której sprawą powyżej lud jęczy?
Widziałeś, jak jej złość poszła na nice?

Dosyć już; postąp dalej i ku tęczy
Blasków zwróć oko; Władca niezmierzony
Wabiem ją toczy w wielkich sfer obręczy”.

Jak sokół naprzód spojrzy na swe szpony,
Potem na strzelca głos pióra rozpina,
Pragnieniem strawy do ziemi nęcony,

Tak się porwałem i póki szczelina
Wiodła nas, krokiem, ile można, chyżem
Szedłem do ścieżki, gdzie w krąg iść zaczyna.

Aż gdy na miejsce odkryte się wzwyżem,
Ujrzę leżące podłuż ściany duchy,
Wszystkie do góry obrócone krzyżem.

„Przylgnęła dusza moja!” — ów bezruchy
Lud mówił, takim szarpany szlochaniem,
Że słów zaledwie szept słyszałem głuchy.

„Wybrańcy Boga, co oczekiwaniem
Koicie mękę i miłością Sędzi,
Pouczcie, jak tam wyżej się dostaniem?”

„Skoro pokuty naszej Pan wam szczędzi,
A chcecie drogę wynaleźć niezwłocznie,
Prawicą zawsze bądźcie od krawędzi”.

Tamtymi słowy Wieszcz mój mówić pocznie,
Tymi odpowie widmo ukorzone;
Że się coś kryło, poznałem widocznie.

Oczyrna w oczach mego Pana tonę;
Więc on łaskawym przyzwoleniem darzył
Chęci we wzroku moim wyrażone.

Skorom swe myśli na nowo skojarzył,
Do rozciągniętej powiadam istoty,
Com ją po głosie wprzódzy zauważył:

„Duchu, co łzami kupujesz przymioty,
Bez których nie lza być wam w bożym bycie,
Uspokój dla mnie swej wielkiej zgryzoty.

Kim byłeś? Czemu krzyżem tu leżycie?
Chcesz, że za tobą prośbami się wstawię
Tam na padole, skąd przynoszę życie?”

A on: „Czemu nas Niebo w tej postawie
Mieć życzy, później dowiesz się powodu;
Teraz wiedz: jam miał Piotra tron w dzierżawie.

Między Chiaveri a Siestri ze wschodu
Płynie rzeczułka: od jej miana bierze
Swoją szczyt nazwisko sławne mego rodu.

Niedawno w pełnej doświadczyłem mierze,
Jak trudno ustrzec wielki płaszcz od błota;
Inny trud przy tym jest jak lekkie pierze.

Późna do skruchy była ma ochota,
Aż na Piotrową wezwany stolicę,
Dopierom poznał kłamliwość żywota.

Widziałem, że go nawet nie nasycę
Władzą, nad którą nic w życiu nie czeka,
Więc rozpałem duszę, miłośnicę

Drugiego życia; nędzna i daleka
Boga aż dotąd i dóbr była chciwa,
Za to, jak widzisz, w tej męce narzeka.

Czym jest łakomstwo, tu ci się wykrywa
W karze, co duchy znów z Bogiem jednoczy,
A bardziej gorzka kara tu nie bywa.

Jak zdane dobrom tego świata oczy

Nie wzlatywały ku niebieskiej stronie,
Tak nas Sąd Boży tu do ziemi tłoczy.

Jako zaś chciwość zgasła nam w łonie
Miłość ku dobru i wartość zasługi
Wydarła, tak Sąd stopy nam i dłonie

Wiąże, niewolnych rzuca na te smugi,
Jak długo będzie Sądem nakazano,
Bolesny mozół nasz tak będzie długi".

Zacząłem mówić i zgiąłem kolano,
Lecz on zaledwie po słów moich brzmieniu
Cześć zauważył sobie okazaną,

„Czemu przede mną gniesz się w ukorzeniu?" —
Spytał. „Szacunek ku dostojnej szacie —
Odrzekłem — tak mi każe, zacny cieniu".

„Sprostuj kolana, powstań z ziemi, bracie! —
Przerwał mi duch ów, co wnet miał być czysty: —
Wszyscyśmy słudzy Boga w majestacie.

Jeżeliś pomny słów Ewangelisty,
Które to: »Ni się żenia«, powiadały,
Sens ci mej mowy będzie oczywisty.

Teraz idź; stanie twoje u tej skały
Opóźnia płacz mój, którym winy myję,
Dopomagając skrusze niedostatej.

Mam ja na świecie wnuczkę Alagiję,
Dobrego serca, dopóki rodzina
Swym w niej przykładem cnoty nie zabije:
A ona mi tam została jedyna".

PIEŚŃ XX

Z mocniejszą wolą trudno iść w zawody,
Więc wbrew mym chęciom, ale jemu gwoli,
Niesytą gąbkę dobywałem z wody.

Ruszyłem; dróżką swobodną, powoli,
Wzdłuż ścian, prawie się ocierając o wał,
W dalszą Wódz ze mną odprawił się kolej.

Bo lud, co w kroplach przez oczy folgował
Złemu, wszechświata brudzącemu lica,
Aż do krawędzi gościniec zajmował.

Bądź ty przeklęta, prastara Wilczyca!
Większy łup bierzesz niż inne zwierzęta,
A chuć się twoja nigdy nie nasycą.

O Niebo, w wirach twoich jest zamknięta
Moc, która losu przewodzi odmianie;
Kiedyż ten przyjdzie, co potwór opęta?

Szliśmy powolnie i pomiarkowanie,
A jam na duchy poglądał w przechodzie,
Zważając to ich przebolesne łkanie.

„Maryjo!” — wołał leżący na przodzie,
A była w głosie taka rzewna trwoga,
Jako niewiasty wołanie w porodzie.

Głos ciągnął dalej: „Byłaś ty uboga,
Co się widziało po stajence lichej,
Gdzieś powijała Wcielonego Boga”.

Inny głos mówił: „Nie znałeś ty pychy,
Dobry Fabrycy, i z ubóstwem cnotę
Wolałeś niżli z występkiem przepychy”.

Ze słów tych taką czerpałem ochotę,
Że mię poniosła nagle ruchu żywość,
Ażebym poznał mówiącą istotę.

A głos ów znowu słał dobrotliwość,
Przez którą dziewczkom skłonionym na zgubę
Mikołaj dziewczą ocalił pocziwość.

„O duszo, której słowa takie lube,
Powiedz, kim byłaś? Czemu sama jedna
Czynów szlachetnych wypominasz chlubę?

U mnie twa mowa odpłatę wyjedna,
Jeśli tam wrócę, dobiec drogi krótkiej,

Która już dąży do swojego sedna".

„Odpowiem tobie — rzekł duch — nie z pobudki
Czekanych pociech, lecz że w twoim ciele
Żywym niezwykłych łask oglądam skutki.

We mnie swój korzeń miało podłe ziele,
Co tak zarosło chrześcijańskie ogrody,
Że owoc zdusi, gdy kto nie wypiele.

Gdyby moc większą miały Flandrii grody,
Już by mu była zemsta wymierzona;
Ja też u Boga tej dlań proszę szkody.

Nosiłem miano Kapeta Hugona;
Od synów moich: Filipa z Ludwikiem,
Na nowo teraz Francja jest rządzona.

Rodzic w Paryżu niegdyś był rzeźnikiem:
Gdy dawnych królów zgasło pokolenie
Aż do jednego, który zakonnikiem

Chciał żyć, rząd w moje dostał się dzierżenie.
Z dobytku tego taka wnet drużyna,
Tak mi urosły potęga i mienie,

Że do korony wdowiej głowę syna
Mojego jako następcy podano;
Odeń święcona rasa się zaczyna.

Jak długo wielkie prowansalskie wiano
Nie zdjęło z rodu mego uczciwości,
Znano w nim lichosć, lecz zbrodni nie znano.

Gwałtem i kłamstwem począł swoje złości
Rozbójcze; za czym pobrał za pokutę
Ponthieu, Normandii i Gaskonii włości.

Wpadł do Italii Karol; za pokutę
Wziął Konradyna sobie na ofiarę,
Tomasza w niebo posłał — za pokutę.

Lecz widzę czasu dopełnioną miarę:
Inny się Karol z Francji wysforuje,
Aby dał poznać siebie i swą wiarę,

Bez miecza wyjdzie: włócznieą on wojuje
Iskariotową, którą, gdy się złoży,
Brzuch wypuczony Florencji rozpruje.

Nie ziemi — grzechu i wstydu przymnoży,
A tym się bardziej w tej hańbie umaże,
Ile że sam ją między lekkie łoży.

Innego widzę jeńcem na galarze;
Wolny, wnet córki na targu pozbędzie,
Jak pozbywają niewolnic korsarze.

Chciwości, w jakim dusze wikłasz błędzie!
Truczna twoja tak w me plemię wnika,
Że nie ma nawet własnej krwi na względzie.

Na ulgę hańby, która nas potyka,
Widzę w Alagna wschodzącą lilią
I Chrystowego więzy namiestnika.

Widzę, powtórnie szydem go okryją,
Podadzą z żółci i octu napoje,
Między żywymi łotrami zabiją.

Widzę, jak nowy Piłat chuci swoje
Niesyte zwraca na nowe bezprawie
I chciwość wnosi w święcone podwoje.

O Panie, kiedyż oczy me zabawię
Tą zemstą, która, skryta w tajemnicy,
Ośladza gniew twój, nim zabłyśnie w jawie?...

To, com powiedział o Oblubienicy
Ducha Świętego i o co w sumiennej
Pytałeś chęci, wiedz, że dla różnicy

Znaczeń śpiewamy jeno w porze dziennej;
Natomiast, skoro dzienne światło skona,
W śpiewaniu naszym rodzaj brzmi odmienny.

Przypominamy wtedy Pigmaliona,
Jak ojcobójcą, zdrajcą i zbrodniarzem
Chciwość zrobiła go nienasyconą.

Skąpstwo Midasa opowieścią karzem,
Jak się dopytał biedy żądzą złota
I został wiecznym głupstwa luminarzem.

Tu brzmi rozgłośnie Achana głupota,
Co sobie łupy przywłaszczył krom prawa,
Za co go Jozue pozbawił żywota.

Safirę z mężem na wstyd się podawa,
O stratowanym śpiewa Heliodorze;
W krąg oblatuje tę górę niesława

Twojej niewinnej śmierci, Polidorze!
Śpiew Krassusowi brzmi urągowskim:
»Powiedz no, jaki smak w złotym likworze?«

Jeden wysokim, drugi głosem niskim

Wywodzi, w miarę, jaka myśl go wzruszy:
Zatem to z większym, to z mniejszym naciskiem.

Dobre przykłady, co w naszej katuszy
Brzmia, nie sam jeden głoszę, lecz z tej strony
Nie było innej śpiewającej duszy".

Jużem pożegnał ów cień rozżalony
I jako sił mych starczyło napięcie,
Z wodzem się parłem w wyższe regiony,
Kiedy się wstrzęsła góra w tym momencie
Jak od wielkiego mnącego ciała;
Więc ścierpłem jak człek, co idzie na ścięcie.

Pewnie tak góra delijska nie drżała,
Nim w niej uwiła swe gniazdo Latona,
Gdzie dwoje źrenic nieba spowijała.

Potem zakrzykła wrzawa podniesiona;
Jam struchlał, aż Mistrz słowem mię ochłóśnie:
„Póki cię wiodę, obawa twa płona".

„Chwała w niebiesiech Bogu!" —jednogłośnie
Śpiewały chóry, a tak blisko, że mi
Pieśń brzmiała w uszach jasno i donośnie.

Staliśmy w miejscu niepewni i niemi,
Jak słyszący je raz pierwszy pasterze;
Aż ustał śpiew ten razem z drżeniem ziemi.

Mistrz mój znów świętą drogę przedsięwzie;
Patrzym po marach leżących na drodze,
Ciągłe nucących swe rzewne pacierze.

Nigdy mię jeszcze nie bodła tak srodze
Ciekawość, rzeczy przenurtować ciemnie,
Jeśli dziś dobrze w to pamięcią godzę,

Jaka naówczas — zda się — była we mnie.
Ale z pośpiechu zapytać nie śmiałem,
A samo przez się dociekać daremnie,
Przeto zalekłem się i zadumałem.

PIEŚŃ XXI

Pragnienie wiedzy, co się w tym napoju

Jedynie gasi, którego wstydliva

Samarytanka prosiła u źródła,

Nurtuje we mnie i stopy podrywa,

Podczas gdy duchów leżących pokotem

Rzewnie mię wzrusza kara sprawiedliwa.

A nagle, jako Łukasz pisze o tem,

Że Chrystus w drodze dwu uczniów nawiedził,

Zmartwychpowstawszy z pierwotnym żywotem,

Cień się ukazał za nami i śledził

Gromadę, która tak nisko się korzy.

A nie spostrzegliśmy go, aż uprzedził,

Witając: „Bracia, pokój z wami boży”.

Wzrok obracamy na to powitanie;

Wergili zaraz cześć mu wzajem złożę

I rzecze: „Niechaj świętych obcowanie

Przeznaczę tobie te szczytne ustawy,

Co mnie skazały na wieczne wygnanie”.

„Jak to — rzekł tamten — czemu taki żwawy

Wasz krok, gdy Bóg was odtrąca od łona?

Kto wam pomaga do szczytnej przeprawy?”

Na to mój Doktor: „Wskażę ci znamiona,

Z których już tylko trzy nosi na czele,

Że mu wśród dobrych znaczy się korona.

Gdy nie doprzedła mu parka kądziele,

Co się każdemu snuje aż do grobu

Pod ręką Kloto w nieustannym dziele,

Więc jego dusza, siostrzyca nas obu,

Nie podołała stanąć na tym pięttrze:

Jej ziemskie oczy nie znały sposobu.

Ja go przywiodłem przez szerokie wnętrza

Piekieł i dokąd ziemską wiedza dopnie,

Sam jeszcze rzeczy pokażę mu większe.

Lecz powiedz, czy wiesz, czemu tak okropnie

Zadrżała góra i krzyk taki chodził

Aż po zwilżane morzem góry stopnie?”

Mistrz tym pytaniem jak w ucho ugodził

Igienne życzeń mych; wodą nadzieje

Pragnienie moje poniekąd ochłodził.

Ow rzekł: „Nie rządzą tutaj przywileje;
Wszystkie zjawiska zakon mają ładny,
Nic się nad zwykły porządek nie dzieje.

Odmiany tutaj nie obaczy żadnej;
Prócz praw, które Bóg z siebie — sobie głosi,
Nie ma tu innej siły samowładnej.

W tym świecie nie dżdży, nie śnieży, nie rosi;
Szron ni grad na te nie upada stoki
Wyżej, niż trójca stopni się podnosi.

Ni chmury gęste, ni rzadkie obłoki,
Ni grom, ni wstęga córy Taumantowej,
Co wam tak często odmienia widoki.

Suchy tu wyziew nie dosięga głowy,
Jak powiedziałem, ostatniego schodu,
Gdzie oparł stopy starosta Piotrowy.

Może drży więcej albo mniej od spodu,
Lecz wiatr jej nie tknie, co się w ziemi kryje,
Dlaczego? Nie wiem ni znajdę powodu.

Drży za to, gdy duch, który grzechy zmyje,
W sobie poczuwszy się, wstanie i leci;
W on czas to w niebo taki okrzyk bije.

O tym obmyciu sama chęć oświeci,
Która więc zdolnej byt odmienić duszy
Podbija skrzydła i ochotę nieci.

Nim to nastąpi, lubą chęć w niej głuszy
Sprawiedliwości bożej wygląkanie:
Jak wprzód do grzechu, bieży do katuszy.

I jam przeleżał w tym bolesnym stanie
Lat przeszło pięćset; dziś we mnie doścignął
Pochop wylotu na lepsze mieszkanie.

Oto dlaczego stóg góry się wzdrygnął;
W tych kręgach Boga sławiące narody
Prosiły Pana, ażeby je dźwignął".

Tak rzekł, a jeśli rozkosz z kubka wody
Niecierpliwością pragnienia się mierzy,
Zrozumieć łącno, czym doznał ochłody.

Tu Mistrz mój rzecze: „Dojrzałem więcierzy,
Które was łowią; wiem, jako je rwiecie,
Czemu radości dreszcz po stokach bieży.

Lecz powiedz, proszę: kim byłeś na świecie
I niech mi będzie prawda ukazana,
Czemuś tu leżał przez to pięćsetlecie?"

„W czasie gdy Tytus, mocą wsparty Pana,
Mścił się ran, z których śmiertelnymi tętny
Krew trysła, w zdradzie Judasza sprzedana,
Sławą rozgłośny, nazwiskiem pamiętny —
Takimi do nas duch przemówił słowa —
Żyłem, lecz jeszcze wierze obojętny.

W mym śpiewie tyle kryło się wymowy,
Że mię z Tuluzy wezwał Rzym, gdzie pieniem
Wysługiwałem dyjadem mirtowy.

W świecie mię zwano Stacjusza imieniem;
Pieśń ma o Tebach głosi i Achillu:
Śmierć przy ostatnim mię zaszła... Nasieniem

Dzielnym dla ognia były mego stylu
Iskry przez bożą wyrzucone świecę,
Co zapaliła już poetów tylu.

Rozumiem tutaj Eneidę, rodzicę,
Piastunkę moich niemowlęcych pieśni;
Bez niej by zeszła cześć ma na marnicę.

I bogdajbyśmy żyli równocześni,
Rada by dzisiaj przydać moja dusza
Rok więcej, niż jej liczono, tej cieśni".

Zwróć się ku mnie oczy Wergiliusza:
Zda się, chciał: „Zamilcz", wyrzec gestem twarzy,
Ale nie zawsze wolę się przymusza.

Bowiem śmiech i płacz z uczuciem się parzy,
Co je wywoła, a to tak najściślej,
Że im kto szczerzy, tym mniej wolą waży.

Skinąłem jak człek, który się domyśli,
Więc duch, zmilknawszy, spojrzał mi w źrenice,
Gdzie wyraz duszy najjaśniej się kreśli.

„Bodaj twa praca nie poszła na nice —
Rzekł — ale powiedz, czemu w twej zamkniętej
Twarzy ujrzałem śmiechu błyskawicę?"

W dwa ognie uczuć byłem teraz wzięty:
To milczeć każe, a to mówić błaga,
Westchnąłem jeno — i byłem pojęty.

„Przemów — Mistrz rzecze — niech cię strach nie zмага,

Odpowiedz na to duchowi prawdziwie,
Czego się z taką żywością domaga".

Więc ja powiadam: „Widzę, iż w podziwie
Pytasz przyczyny, co mój uśmiech budzi;
Lecz się zdumiejesz bardziej niewątpliwie.

Ten, za kim wzrok mój ku górze się trudzi,
Jest ów Wergiliusz, co twą pieśnią rządził,
Kiedyś opiewał i bogów, i ludzi.

Jeśliś uśmiechu mojego przesądził
Inną przyczynę, pozbądźże wątpienia;
To ci powiadam, ażebyś nie błądził".

On się do kolan chylił dla uczczenia
Mojego Mistrza, lecz ten przerwał: „Bracie,
Niechaj! Cień jesteś i mówisz do cienia".

A on, powstając: „Widzisz, w jakiej zna cię
Powadze miłość, jak mię prze ku tobie,
Kiedy nie pomnąc, w jakiej idziesz szacie,
Duchowi kłaniam jak żywej osobie".

PIEŚŃ XXII

W tyle została osoba Anioła,
Co nas na szóstym tarasie zostawił,
Skoro znów jedno znamię startł mi z czoła,

I zapałowi dusz pobłogosławił
„Sprawiedliwości pragnących”. Na słowie
„Pragnących” uciął i dłużej nie bawił.

A mnie jak gdyby z nóg spadły ołowie;
Znów lżejszy, niżli w poprzednim wyłomie,
Szedłem, gdzie szybcy wiedli mię duchowie.

Wergili zaczął: „Szlachetności płomień
Roznieca miłość; ta wzajem zapala
Miłość, lecz musi rozgorzeć widomie.

Mnie dobroć twoja wiąże i zniewala
Od chwili, kiedy, w sień piekielnej kaźni
Wszedłszy, oznajmił mi duch Juwenala

Twą czułość; za to tyle znam przyjaźni,
Ile znać można dla obcego ducha:
Toż mi po stopniach kroczyć teraz różnie.

Przez przyjaźń proszę: nie odwracaj ucha,
Daruj, że puszczam śmiałości wędzidła,
I przemów do mnie tak, jak druh do druha.

Skąd mogła potrwać w łonie twym obrzydła
Skąpstwa przywara? Przecz widząc, że grzeszy,
Rozum nie chwycił namiętności w sidła?"

Jego zdziwieniem Stacjusz się rozśmieszy,
Lecz zaraz rzecze: „Wszystka twoja mowa
Jako znak szczerej miłości mię cieszy.

Nieraz się w świecie rzecz zdarza takowa,
Która człowieka i myli, i ludzi,
Gdyż w niej z istotą kłóci się ośnowa.

Widzę, iż się w was przypuszczenie budzi,
Może po kręgu, gdzie mię znajdujecie —
Żem skąpstwem grzeszył, mieszkając wśród ludzi.

Wiedźcie, że skąpstwem przewiniłem w świecie
Do zbytku mało i ten właśnie zbytek
Tu mię uwięził na tak długie lecie.

Gdyby nie z ksiąg twych czerpany pożytek,
Gdzieś to powiadał, słusznym gniewem zdjęty

I strofujący ludzki rodzaj wszytek:

»Dokąd nie wieszysz, o złota przeklęty
Głodzie, śmiertelnych swym niemądrym szalem?«,
Ot, dziś bym toczył głaz przez piekiel skręty.

Pojałem wtedy, że skrzydłem zbyt śmiałem
Dłoń pchnąć się może na rozrzutne czyny.
Więc tej i innej wady żałowałem.

Iluż w dzień Sądu wyświeci łysiny
Z niewiedzy, że się grzech ten skruchą zbawia
Za życia albo ostatniej godziny!

A wiedz, że wina, która tu przedstawia
Modłę przeciwną z innym grzechem jakim,
Jedną z nich karą grzeszny miąsz wytrawia.

Jeżelim mieszkał więc pod skąpstwa znakiem
Śród tego ludu, by blask przybrać nowy,
To, żem przeciwnym w świecie grzeszył brakiem".

„Poeto, któryś bój śpiewał surowy
I Jokaścinej przyczynę boleści —
Przemówił śpiewak pieśni sielankowej —

Wezwanie Klio na czele powieści
Świadczy, żeś jeszcze nie czerpał w krynice
Wiary, bez której czyn jest marny w treści.

Więc jakie słońca i jarzące świece
Objasniły cię tak wielkimi blaski,
Żeś za Rybakiem płynąć — wzwiódł kotwicę?"

A on: „Tyś pierwszy na szczyt mię parnaski
Poniósł, bym w pięknym poił się potoku;
Tyś też do Bożej pierwszy przywiódł łaski.

Tyś był jak człowiek, który, idąc w mroku,
Za sobą światło trzyma; nie dogodzi
Sobie, lecz innym przyczynia widoku,

Kiedys powiadał: »Na nowo się rodzi
Świat; sprawiedliwość wraca z nowym ranem
Ludzkości; z nieba nowe plemię schodzi«.

Przez cię poetą, przez cię chrześcijanem
Stałem się, a jak, to ci mową żywą
Niby w obrazie podam malowanem:

Już był świat cały brzemienno prawdziwą
Wiarą, którą to posłanniki boże
Pozasiewały na obfite żniwo,

A wywrózone w twoich pieśniach zorze
Tak z ich nauką schodziły się w treści,
Żem ciekaw począł przebywać w ich zborze.

Wydali mi się święci, godni cześci,
Więc w prześladowań czas Domicjanów
Nie bywał płacz ich bez mej współboleści.

Pókim przebywał żywy wśród ziemianów,
Pomoc im niosłem; ich cne obyczaje
Obrzydziły mi pogańskich bałwanów.

Nim pod tebańskie przywiodłem ruczaje
Greków mej pieśni, święty chrzest przyjąłem.
Ze strachu długo nową wiarę taję

I z poganami jak wprzód żyję społem;
Za to w okręgu czwartym cztery wieki
Skazał mię Boży Sąd obiegać kołem.

A ty, coś moje rozchylił powieki
Na piękność, której wspomnienie mię wzrusza,
Powiedz, nim mety dojdziemy dalekiej:

Czyli spotkałeś kędy Terencjusza ?
Spotkałeś Plauta, Cecyla, Varrona?
Śali przekłęci? Gdzie żywie ich dusza?"

„Ci — rzekł — Persyjusz i ja pośród grona
Wielu mieszkamy z Greczynem, przyjaźniej
Wyhołubionym, niż kto, u Muz łona,

W pierwszym okręgu bezsłonecznej kaźni.
Tam się o owej bawimy rozmową
Górze, siedzibie stróżek wyobraźni;

Tam się Eurypid, Anakreon chowa,
Tam Symonidy, Agatona cienie,
Których zdobiła korona laurowa.

Z niewiast przez twoje rozślawionych pienie
Są: Antygona, Dejfile, Argija,
Przy smętnej jako za życia Ismenie.

Jest Izyfile, co Argiwom sprzyja,
I dusza Dafhy, Tyrezjasza córy,
I z siostrzycami swymi Dejdamią".

Zamilkł; szli dalej i po stoku góry
Wokół swobodne toczyli źrenice,
Za korytarza dostawszy się mury.

A już też czteryienne służebnice

Zostały w tyle, zaś piąta szła z przodu,
Kierując w górę płonącą głowicę,

Gdy Wódz rzekł: „Droga naszego pochodu
Tak się powinna odbywać, by prawa
Ręka zwrócona była do obwodu”.

Już się nam nawyk drogoskazem stawa;
Zatem my poszli po rozwadze krótkiej,
Jak poradziła owa dusza prawa.

Oni dwaj przodem poszli; ja samiutki
Ich rozhoworu, w trop idąc za niemi,
Słucham, do pieśni biorę zeń pobudki.

A wtem ich w miłej gawędzie oniemi
Widok Jabłonki, co wzrosła z pośrodku
Drogi, jabłkami pełna pachnącemi.

Lecz jeśli jodła szersza jest od spodku,
To ta przeciwnie: gałęźmi spadziście
Od góry szersza, dołem była wiotka.

Tam, gdzie się drogi zamykało wniście,
Spojrzę, a skała strużkę wody roni,
Która wycieka na korony liście.

Obaj poeci doszli do Jabłoni,
A wtem głos od niej wionący powiada:
„Z tego owocu pożywać się broni”.

I znów: „Maryja bardziej była rada,
By gościom w smak się potrawy udały
Niż własnym ustom, w których się zakłada

Człecza nadzieja; Rzymianki czerpały
Za napój wodę, a Daniel, honory
Kuchni wzgardziwszy, wiedzą nabył chwały.

Piękny zaiste był wiek złotowzory:
Głód wtedy bywał żołądzi przyprawą,
Napój z ponika smaczny jak likwory.

Miód i szarańcza były przecież strawą,
Którą Janowi przynosiła puszcza;
Przeto się okrył świętością i sławą,
Jak Ewangelii opowieść wyłuszcza”.

PIEŚŃ XXIII

Kiedym oczyma po gałęziach wodził
Na kształt myśliwca, który pośród liści
Poziera ptaszka, aby weń ugodził,

Ten, co mi więcej był niż ojcem: „Iść ci
Należy prędzej — rzekł — niedługie chwile
Ku niezbędniejszej obrócić korzyści”.

Więc krok przynaglę i twarzy nachylę
Ku Mistrzom, co szli, prawiąc tak uczenie,
Że stapać było i łatwo, i mile.

Wtem zabrzmiał płaczem przerywane pienie:
„Wargi me otwórz!” — w tak dziwnej muzyce,
Że budzi razem żal i upojenie.

„Ojcze mój — rzekłem — czym to słuch mój sycę?”
A on mi na to: „Lud jest, co wywleka
Swej powinności splątana pętlicę”.

Jak pielgrzymiego widzimy człowieka,
Gdy spotka obcych, w zadumie od ziemi
Oczy podniesie i przejdzie z daleka,

Tak przeszły szybko i niewidzącymi
Oczyma na nas spojrzwały widziadła
Ludzkie, duchowie nabożni i niemi.

Jama ich oczu ciemna i zapadła,
Twarz blada, postać była wycieńczona
Tak, że się skóra wprost na kościach kładła.

Nie sędzę, aby u Eryzychtona
Tak było wyschło ciało na szkielecie
W chwili, kiedy czuł, że go głód dokona.

„Chyba — myślałem — ci w bożym dekreście
Z Jerozolimy uszli oblężenia,
Gdzie matka z głodu jadła własne dziecię”.

Jako popsuty pierścień bez kamienia
Były ich oczy; kto chce czytać „OMO”,
W twarzy poznawał tu „M” bez wątpienia.

Jest nie do wiary rzeczą ni wiadomą,
Aby mógł człowiek wyschnąć aż do kości
Pragnieniem wody i jabłka oskomą.

Jeszcze dociekał, mocą jakiej czczości
Mogły dojść owe szkieletów obrazki

Takiej wysuszy i bezcielesności,
Gdy wtem duch jeden oczy z głębi czaszki
Na mnie obrócił, wpatrzył się i zdumiał,
I krzyknął głośno: „Skąd mi tyle łaski?”
Kto był zacz, z twarzy poznać bym nie umiał,
Ale dźwięk głosu odkrył niespodzianie
To, czego wzrok mój ciemny nie rozumiał.
W tym mi więc błysku rozświtło poznanie
Lic odmienionych, tak że na ostatek
Forese żywy w pamięci mej stanie.
„Niech cię — rzekł — suchość mych cielesnych szatek
Ani nie razi to ich odbarwienie,
Ni ten istoty mojej niedostatek.
Mów mi, kto jesteś, kto są oba cienie
Idące z tobą tym kamiennym wałem?
Stój, bodaj słówko niech z tobą zamienię”.
„Lica twe martwe niegdyś opłakałem,
A teraz znowu na płacz mi się zbiera,
Widząc zmienione tak — odpowiedziałem. —
Mów ty, przez Boga, kto z ciał was obdziera,
A mnie nie pytaj: póki dziw na oku,
Próżno się język mówienia napiera”.
On na to: „W wodę, co płynie ze stoku,
I w drzewo siła odcieleśniająca
Przesiąka z niebios wiecznego wyroku.
Wszystka ta rzesza, co śpiewa łkająca,
Niewstrzeźliwość w jadłe i napoju
Głodem i dusznym pragnieniem odmąca.
A zaś podniętą tego nieukoju
Są: zapach jabłek i ta jasna woda
Na zieleń drzewa kanąca ze źródła.
Nie raz jedyny wśród tego ogroda
Męki się naszej odnawia zgryzota;
Mówię: zgryzota, zamiast rzec: osłoda.
Ku drzewu prze nas ta sama ochota,
Która Chrystusa wiodła, by opłata
Swej krwi serdecznej kupił nam żywota”.
„O mój Forese — odpowiadam na to —
Od dnia gdyś stanął za wybrańszym progiem,
Nie upłynęło jeszcze piąte lato!

Jeżeli w tobie leżącej odłogiem
Skruchy dopiero zbudziła się władza
W dniu dobrej męki, co nas żeni z Bogiem,
Co cię tak prędko tutaj przyprowadza?
Owszem, liczyłem, że między niższymi
Bywasz, gdzie czasem czas się wynagradza".

A on: „Przywiodła mię, gdym zeszedł z ziemi,
Aby pić słodki piołun oczyszczenia,
Ta moja Nella łzami rzęsystemi.

Przez korne modły, gorące westchnienia
Wydobyła mię z czekania osto
I uwolniła od reszty cierpienia.

Bóg tyle bardziej rad wdoweńce mojej,
Którą kochałem tak czule i tkliwie,
Ile że w cnocie sama jedna stoi.

Bowiem Barbagia sardyńska prawdziwie
Skromniejsza w niewiast życiu i ubierze
Niż ta Barbagia, gdzie dziś ona żywie.

Bracie, cóż więcej powiem ci w tej mierze?
Lepsze oglądam czasy w jasnowidzie,
I niedalekie dzisiejszym, tak wierzę,

Gdy ku niewiastek florenckich ohydzie
Z ambon wyklinać będą księżę ręce
Taką, co piersi odsłania w bezwstydzie.

Jakież Germance, jakiej Saracence
Trzeba duchownej lub innej przestrogi,
Aby chodziła w przystojnej sukience?

Gdyby wiedziały, bezwstydne, jak w srogiej
Pomście Bóg na nie gotuje pociski,
Już by otwarły usta wyciem trwogi.

Jeżeli termin mych przeczuć jest bliski,
Zbledną, nim temu puch lica ustroi,
Co go dziś tuli śpiewka do kołyski.

Więc nie kryj, bracie, celu drogi swojej;
Nie ja, tłum cały już się twej osobie
Dziwi, która mu w polu słońca stoi".

Na to ja rzekłem: „Gdy przypomnisz sobie,
Jakośmy oba źle żyli, niestety,
Smutek w tej jeszcze owładnie cię dobie.

On, by mi pomóc do szczęśliwej mety,

Wyrwał z obłądu w chwili, gdy foremną
Tarczę jawiła siostrzyca planety —
Tum wskazał słońce. — Przez krainę ciemną
Prawdziwie zmarłych, skroś jej głębokości
Przewiódł mię w ciele, co tu weszło ze mną.
Z nim się po przykrej piąłem pochyłości
I po okólnej ścieżce w szczyt się ważę
Góry, co ziemskie skrzywienia w was prości.
A tak nam długo postępować w parze,
Aż dojdę, kędy Beatryks zasiada;
Tam mi samemu pozostać rozkaże.
Oto Wergili, w którym się zakłada
Moja nadzieja, drugi jest tym, gwoli
Któremu właśnie zadrżała posada
Waszego państwa, w znak, że go wyzwoli".

PIEŚŃ XXIV

Ni mowa krokom, ni krok szkodził mowie,
Więc równo czyniąc stopami i garły,
Szliśmy jak z wiatrem pomyślnym majtkowie.

Widma tak chude, jakby dwakroć zmarły,
Kiedy spostrzegły, że cień ściele dołem,
Jamami oczu podziw ze mnie żarły.

Zatem ja, ciągnąc dalej, jak zacząłem,
Mówię: „Ten trzeci umyślnie nie śpieszy,
Aby z osobą Mistrza kroczyć społem.

Lecz powiedz: jakim Piccarda się cieszy
Byłem? I jestli kto pamięci godny
Pośród tej, we mnie zapatrzonej, rzeszy?"

„Siostrze mej — odrzekł — dobrej i dorodnej:
Co bardziej, nie wiem, w szczycie olimpijskiem
Już dano wieniec i żywot pogodny.

Wolno każdego zwać tu swym nazwiskiem,
Bo w czczości tak się odmieniły twarze,
Iż ziemskich twarzy są urągowiskiem.

Ot, Buonagiunta z Lukki — i ukaże
Palcem — a tamten idący nieskorzej,
W którym się bardziej ziemskość rysów maże,
W ramionach niegdyś trzymał Kościół Boży,
Z Torso pochodził, a tu zbytki gładzi
W winie warzonych bolseńskich węgorzy".

Tak mię od jednych do drugich prowadzi;
Anim nie widział w nich z tego powodu
Niechęci; ród swój słyszeć byli radzi.

Widziałem: szczęką siekł powietrze z głodu
Ubaldin z Pila; przy nim duch prałata,
Co pastorałem pasł rzesze narodu.

Za nimi markiz, co, bywszy wśród świata,
W Forli mógł pijać przy mniejszym pragnieniu,
Choć nigdy nie dość pijał w owe lata.

Jak gdy kto patrzy, ale w zapatrzeniu
Myśl indziej zszyła, tak ja ducha z Lukki
Zważam, chęć ku mnie widząc w zacnym cieniu.

Zamruczał cicho, a między pomruki
Wyszłe z ust, co je Sąd Boski tak warzy,

Jakby się imię wyniknęło „Gentuki”.

„Maro — powiadam — zgaduję z twej twarzy,
Iż chcesz przemówić; mów, coś mówić rada,
I niech obojgu stąd się dobrze darzy”.

„Żyje dziewczeczka — odrzekł — nie nakłada
Jeszcze namitki; ta ci gród umili,
O którym taki dzisiaj źle powiada.

Z tą przepowiednią idź; w niedługiej chwili
Zagadkę przyszłość spełniona rozplecie,
Jeśli cię dzisiaj moja mowa myli.

Lecz powiedz: widzę-ż ja w tym naszym świecie
Tego, co stylu znalazł sposób nowy,
Pisząc: Wy, które miłość pojmujecie?”

Więc ja mu na to: „Człek jestem takowy,
Że gdy tchnie miłość, śpiewam i w tej mierze,
Jak mi dyktuje, wypowiadam słowy”.

„Bracie mój — westchnął — widzę ja obierzę,
Co Notariusza i mnie, i Gwittona
Ku nowej, słodkiej nie puszcza manierze.

Widzę, piór waszych tęgość wyprężona
Za wewnętrznym twórcą prosto leci strzałą;
Nasza tej drogi pewno nie dokona.

Kto się dziś wdzięczycić chce nutą przebrzmiałą,
Wyższości waszej chyba nie dostrzega...”
Zmilkł; że mię poznał, snadź go radowało.

Jak ptaki, które zimują wzdłuż brzegu
Nilu, ze stada czasem klucz narządzą
I cała rzesza lotem szybkim zbiega,

Tak owe duchy, co po dróżce błądzą,
Odwróciły się i pobiegły rącej,
Lekkie chudością i pośpiechu żądzą.

A jak przystaje człek szybko idący
I czeka, naprzód puściwszy przywódcę,
Póki nie schłódnie mu oddech gorący,

Tak zbiec pozwolił naprzód świętej trzódce
Forese, sam zaś stąpał ze mną w parze
I pytał: „Czyliż obaczym się wkrótce?”

„Nie wiem — odrzekłem — jak długo żyć każe
Bóg, lecz choć wcześniej bym umarł, już wcześniej
Tęsknotą z wami duszę mą skojarzę.

Bo w owej, gdzie mi żyć kazano, cieśni
Cnota codziennie chyli się i ginie,
Zapadła w smutek pustoszy i pleśni".

„Idź — odrzekł — zbrodzień winien tej ruinie,
Widzę: w strzemieniu po ziemi wleczony
Gna w przepaść, kędy nie ma łaski winie.

Coraz to szybciej pędzi zwierz szalony,
Aż z wiszącego dech wytrząsa zgoła
I trup odrzuca strasznie poraniony.

Niewiele drogi ubiegą te koła —
Tu spojrzął w niebo — a los ci ukaże
To, czemu mowa moja nie wydoła.

Teraz pozostań sam; czas w tym obszarze
Jest dla nas cenny, a ja zbyt go trwonię,
Kiedy tak z tobą, postępując, gwarzę".

Jako się wyrwie z hufców na wygonie
Rycerz i pędzi cwałem przed innemi,
Ażeby chwałę zdobyć w pierwszym gonie,

Tak ten poskoczył krokami prętszemi,
A na ścieżynie pozostali ze mną
Ci dwaj, tak wielcy niegdyś Mistrze ziemi.

Skoro zaś odbiegł tyle, że daremno
Chciały go spatrzyć oczy wyteżone,
Jak myśl za mową wyteżona ciemną,

Ujrzałem drugie drzewo, obwieszone
Owocem w liści zielonych osłonce;
Dotąd za kopcem góry miało schronę.

Widma gromadą całą ku jabłonce
Wznosiły dłonie i błagalne oczy,
Jak pacholęta chciwe i łaknące,
Kiedy się z nimi kto przekornie droczy
I by powiększyć oskomy i głodu,
Ponętnym jabłkiem, w górę dzierząc, toczy.

Odeszły, jak człęk, co dozna zawodu,
A my staniemy u dziwnej jabłoni,
Gardzącej jękiem błagalnym narodu.

„Kto idzie, niech się nie zbliża, niech stroni!
Wyżej jest jabłoń, z której jadła Ewa;
To jest latorośl pozostała po niej".

Ten głos zaszumiał wśród gałęzi drzewa;

Więc ja, Wergili i Stacjusz we troje
Skręcim, gdzie ściana wysterczała lewa.

„Znane wam — wołał — nieszczęśliwe znoje
Obłokotworów, gdzie lud winem syty
Dwoistą piersią wiódł z Tezejem boje.

Znani Żydowie, z Gedeona świty
Powykluczani i boju niewarci,
Który gotował na Madyjanity".

Kroczymy prawie do ściany przyparci,
Przysłuchując się, jakimi dopusty
Pan Bóg łakome i opile karci.

Więcej tysiąca kroków tak po pustej,
Stąpając luzem, uszliśmy drożynie,
Skupieni w sobie, z zamkniętymi usty.

„O czym dumacie wy trzej?" — taki spłynie
Głos ku nam. Zatem drgnę całą istotą,
Podobien płoczej, przelekłej zwierzynie.

Podniosłem głowę, chcąc obaczyć, kto to?
Zaprawdę bledszą kruszec w ogniu tygli
Jarzy się barwą purpurowozłotą

Niż on, gdy mówił:, Abyście się dźwigli,
Trzeba wam po tej obrócić się zboczy;
Tędy szli, którzy pokoju dościgli".

Widzenie jego porwało mi oczy,
Więc ku mym Mędrcom nachylałem głowy,
Jak człowiek ślepy, co za słuchem kroczy.

A jako zwiastun jutrzeńki, majowy
Wietrzyk nabrzmiały zapachami wionie,
Ssanymi z kwiecica łąki i dąbrowy,

Taki dech — czułem — omuskał mi skronie
Archanielskimi — czułem — zbudzon pióry,
I dał mi poczuć ambrozyjskie wonie.

Głos wtem powiadał: „Błogosławion, który
Tyle ma łaski Bożej, że mu dusze
Nie mącą chuci ponad mus natury.

Że jeno tyle pożąda, co słusze".

PIEŚŃ XXV

Czas było wyżej piąć się ku ostatku,
Gdyż słonecznego okręg południka
Stał już na Byku, a noc na Niedźwiadku.

Więc jako człowiek, co się nie umyka,
Lecz dąży prosto, gdzie mu zamiar każe,
Mimo że w drodze szkopuły spotyka,

Myśmy wstąpili w nowe korytarze
Jeden za drugim i na wąskie schody,
Co nie pozwolą postępować w parze.

Jak się poderwać chce bocianek młody
Z gniazda i nie śmie, i sam sobą trwoży,
I skrzydła zwija w obawie przygody,

Tak ja, gdy pełgła i zgasła tym skorzej
Chęć odezwania się w głos, bywszy w geście
Człowieka, który już usta otworzy.

Nie przestał gwarzyć, mimo zwawe przejście,
Mój słodki Ojciec i rzekł: „Wypuść strzałę
Mowy, napiętą po same żeleźce”.

Więc rzekłem, wargi rozchylając śmiałe:
„Jak się to może dziać, iż widma chudną
W bycie, gdzie winny być na głód wytrwał?”

„Jeśli przypomnisz — odrzekł — powieść cudną
O Meleagrze Jako z ogniem drewna
Wraz gorzał, pojąć będzie ci nietrudno.

Spójrz, jak w zwierciadle kształtów twych odzewna
Postać z twym ruchem jednako się śliznie,
A rzecz oporna stanie ci się pewna.

Lecz byś wybadał tych spraw głębie niżnie,
Masz tu Stacjusza; jego proszę grzecznie,
Aby lekarzem zechciał być twej bliźnie”.

Ów na to: „Prawa działające wiecznie
Wykładać, gdzie ty stoisz, mistrz nad mistrze?...
Ale posłucham, gdy każesz koniecznie —

I zaczął: — Jeśli myśl zrozumiesz bystrze,
Którą ci tutaj mój wykład podawa,
Światło twym mrokom wyblýśnie ognistsze:

Krew najwybrańsza, która się ostawa
Z soków, skoro mięsz ciała wykarmiły,

Jako zebrana ze stołu potrawa,
W sercu, nie indziej, czerpie twórcze siły
Na kształtowanie członków; a te składa
W ten sposób, co krew, która ciecze w żyły.

Coraz się czystsza klaruje, aż spada,
Gdzie przystojniejsza milczeć, i tam z inną
Krwia w przyrodzonym naczyniu się zsiada,

Obie się łączą skłonnością powiną
Źródłu, skąd biorą szlachetne poczęcie:
Jedna z naturą bierną, druga z czynną —

I zaczynają działać w tym momencie,
Naprzód formując, a potem tchnąc życie
W płód utworzony przez dwu krwi zajęcie.

Moc czynna duszą zwie się w nowym bycie
Jak w ziele, jeno że tam otrzymuje
Od razu, tu zaś urabia swe życie.

W dalszym istnieniu już rusza się, czuje
Na sposób morskich głębin zwierzkruwa
I zmysły ze swych pierwocin kształtuje.

To rozprzestrzenia się, to w jedno zlewa
Moc, co się z serca płodzącego bierze,
Kędy natura członki przyodziewa.

Lecz jak w człowieka przemienia się zwierzę,
Jeszcze nie widzisz: niech ci wstyd nie będzie,
Bo większy mędrzec zmylił się w tej mierze.

Uczy on — i tu widocznie tkwi w błędzie —
Że jest od umu dusza oddzielona,
Skoro nam umu niewidne narzędzie.

Ty prawdę z ust mych zdjętą przyjm do łona:
Ledwie się w płodzie materia ustroi,
Tyle iż mózgu budowy dokona,

Pierworuch Boży, z czynu ręki swojej
Zadowolony, tchnie weń pełen mocy
Duch i pierwotnym oddechem go poi.

Ten władze czynne w swej treści jednoczy,
Z których się tworzy jedna i jedyna
Dusza, co żyje, czuje, sobą toczy.

Byś lepiej pojął, jak się to poczyną,
Patrz na żar słońca, gdy w płynnej kąpieli
Jagód przemienia się na tęgość wina.

Aż kiedy Parce zabraknie kądzieli,
Dusza, zabrawszy tak ludzkie, jak Boże
Mocy, z cielesnej wyrывa się celi.

Władze zmysłowe osłabną w tej porze,
Za to pamięci, rozumu i woli
Moc wówczas w niej się powiększy i wzmoże.

Gdy sama przez się z ciała się wyzwoli,
Cudem przypada na jedno z wybrzeży
I tam poznaje swoją nową kolej.

Gdy ją ogarnie wiew krainy świeżej,
Moc promienieje twórcza z jej istoty,
Jak tam, gdy żyła wśród ziemskich rubieży.

A jak powietrze wilgotne w czas słoty
Pod wpływem słońca, co się w nim przeziera,
Siedmią barw krasi tęczy kołowroty,

Podobnie cała wokół duszy sfera
Powietrzna swoje kształtuje osnowy
Wedle form, które duch na nią wywiera.

Jak za płomieniem języczek ogniowy
Polata w górę śladem jego tchnienia,
Tak i za duchem kształt podąża nowy.

Z niego swój pozór biorąc, nazwę cienia
Nosi i daje właściwych narzędzi
Moc zmysłom, nawet zmysłowi widzenia.

Tu się więc śmieje i tu się gawędzi,
Tutaj się wzdycha i płacze, i smuci,
Jako to słyszysz na każdej krawędzi.

W miarę jak które budzą się w nas chuci
Albo niechęci, swój cień zmienia dusza;
I to jest, z czym się twój rozsądek kłóci".

Już tylko jedna została katusza,
W prawo ostatnie zbiegamy koleje;
Tu inny widok do baczności zmusza.

Cały bok góry płomieniami zieleje,
A zaś od brzeżka pęd silnej wichury
Na powrót spędza ognistą zawieję.

Wąziuchnym przejściem Mistrz i Stacjusz wtóry,
Ja trzeci krocym; groza mię opadnie:
To drzę, że spłonę, to, że runę z góry.

„Wędzidło wzroku niech tu sobą władnie —

Mistrz mi powiada; — miej się ku obronie,
Bo na tej ścieżce chybić można snadnie".

Boże wielkiego miłosierdzia!. —w łonie
Czerwonych żarów śpiewali pieśniarze,
Zmuszając oczy spojrzeć ku ich stronie.

Ujrzałem widma chodzące w pożarze;
Więc to na stopy swe patrząc, to na nie,
Na dwoje spojrzeń mych dzieliłem strażę.

Zaledwie rozjęk żałosny ustanie,
Gdy: „Męża nie znam" — brzmia głosy ogniste,
A po nich ciszej poprzednie śpiewanie.

Inny głos wołał: „Dyjana Kalistę
Wygnała z gaju, bo nimfie sromota
Splamiła duszę przez żądze nieczyste".

Potem niewiasty zacnego żywota
Były sławione i mężowie czyści,
Jak ich mieć życzy małżeństwo i cnota.

Tak to zawodzą, podczas gdy się iści
Ich odkupienie w ogniowej ostoi;
Takim to trudem ich wina się czyści

I taką maścią ich rana się goi.

PIEŚŃ XXVI

Kiedy idziemy jeden w ślad drugiego,
Coraz to do mnie rzecz Mistrz łaskawy:
„Baczność, gdy usta moje cię ostrzega”.

Słońce raziło mię w obojczyk prawy,
A na zachodzie całym już lazury
Szły w białość, z wolna gubiąc odcień bławy.

Ogień brał barwę ciemniejszej purpury
Od mego cienia; wędrowcy pożarni
Jęli poglądać na ten cud natury

I być zaczęło między nimi gwarniej:
„Snadź jego ciało — tak mówić poczęli —
Nie jest pozorne” — i z ogniowej parni

Niektórzy prosto ku mnie się pomknęli,
Zawsze stąpając uważnie i dbale,
Ażeby nie wyjść z płomiennej kąpieli.

„O ty, co z tyłu krocysz opieszale,
Może z szacunku dla tych, co cię wiodą,
Mnie, co się w ogniu i pragnieniu palę,

Odpowiedz; wszystkim będzie nam osłoda:
Bardziej się wieścią radujem w tym świecie
Niż Etiopczyk lub Ind chłodną wodą.

Skąd mogłeś murem stanąć wprzek planecie?
To-ć go cielesną przysłaniasz okrywą,
Jakbyś w śmiertelne jeszcze nie wpadł siecie!”

W te słowa ozwał się duch; ja co żywo
Chciałem mu odkryć siebie i swe miano,
Kiedy wtem inne zjawiło się dziwo.

Bo skróś płomieni buchających ścianą
Śpieszył lud jakiś naprzeciw tej trzódki,
Com jej źrenicą śledził zawahaną.

I poskoczyły z serdecznej pobudki
Objęcia siebie wzajemnym uściskiem,
I rade były uciesze, choć krótkiej.

Jak między jednym a drugim mrowiskiem
Mrówka, spotkawszy mrówkę — pyszczkiem tyka,
Niby pytając: „Skąd idziesz? Czy z zyskiem?”,

Tak one; potem każda się umyka
I śpieszy w drogę skwapliwa i skora,

I na odchodnym każda w głos wykrzyka.

Jedne wołają: „Sodoma, Gomorra!”,
Drugie śpiewają, jak w bezpiecznej sprawie
Chuć Pazyfay płodziła potwora.

A jako kluczem podwójnym żurawie,
To kraje zimne lubiąc, to upalne,
Lecą ku mroźnej lub ciepłej dzierzawie,
Tak te dwie rzesze: przez płomienie skalne
Jedna się zbliża, druga precz ucieka,
Ciągłe zawodząc swe pienie pożalne.

Z pośrodku ognia, który ich przypieka,
Podeszli owi, poprzód dziwem zdjęci,
I stali z gestem tłumy, który czeka.

Więc ja, com dwakroć był świadkiem ich chęci,
Zacząłem: „O wy, którzy już wnet gośćmi
Wiecznego miru będziecie przyjęci,

Nie pozostało między świata włości
Mężem pomarłe lub dzieckiem w kolebce
Ciało me; jest tu z krwią swoją i kośćmi.

W górę ja dążę, porzucając ślepce;
Łaskawa dla mnie Pani mieszka w szczycie;
Dla niej śmiertelną stopą kraj ten depcę.

Oby chęć wasza znalazła w dosycie
Najwyższą Łaskę na tych niebios dworze,
Które najszczęśliwsze tworzą rozpowiecie.

Powiedzcie, niechaj w moje księgi włożę,
Kto wy jesteście i kto jest ta rzesza,
Co się cofnęła od nas w ognia morze?”

Jak się góralczyk zdumiewa i miesza,
Kiedy, rzuciwszy skaliska i hale,
W mieście swe oczy po pałacach wiesza,

Tak osłupiały w pożarnym upale,
Lecz się ocknęły zaraz jasne mary,
Bo w mądrym podziw trwa niedługo wcale.

„Szczęśny ty, który ostatecznej kary
Zwiedzasz krainę — duch do mnie powie —
Ładunek wiedzy bierzesz na galary.

Zgrzeszyła owa wędrowna czereda,
Czym zgrzeszył Cezar po zwycięstwie doma,
Gdy go poddanym zwano Nikomeda,

Przeto odchodząc wołała: »Sodoma!«
Sama się karci takowymi słowy,
A skruczę iści, gdy się w ogniu sroma.
To-ć powiem jeszcze: grzech nasz był dwupłciowy;
Sklócić się z natury zakonem,
Idąc za chucią jako zwierz surowy,
Więc wstyd budzimy w sobie pieśni dzwonem,
W której śpiewamy nazwisko tej wstrętnej,
Co się zbestwiła w drewnie ubestwionem.
Wiesz już, jakimi znaczeń piętny;
Trudno by wszystkie ponazywać dusze:
Ni czas pozwoli, ni jam ich pamiętny.
Lecz sam się tobie przecież odkryć muszę:
Jam jest, masz wiedzieć, Gwido Guinizelli;
Tum wszedł, bo życia kres pędziłem w skrusze".
Jak w Likurgowym nieszczęściu bieżeli
Synowie matkę uściskać wbrew straży,
Tak jam się porwał biec przeciw zgorzeli,
Gdy mi się nazwał i przybliżył twarzy
Mój rodzic, rodzic najlepszych na ziemi,
Słodkich i lubych miłosnych pieśniarzy.
Tak mię zachwytem ujmie i oniemi,
Żem szedł i patrzył w postać lubej mary,
Jeno wstrzymywan żary ogniewemi.
A kiedy wzrok mój napasłem bez miary,
To mu oddałem służbę mą i chęci
W słowach zaklęcia, co zmusza do wiary.
On na to: „Tak się chowa w mej pamięci
Cudowność łaski, którą idziesz silny,
Że mi jej woda Letejska nie zmęci.
Lecz mamli ufać przysiędze niemyślnej,
Nie taj mi, proszę: z jakiej to przyczyny
Wzrokiem i mową mnie jesteś przychylny?"
Na to ja: „Póki wśród włoskiej dziedziny
Pieśń będzie żyła, twój wiersz miodopłynny
Cennymi czynić będzie pergaminy".
„O bracie — odrzekł — jest tutaj kto inny —
I wskazał palcem — bardziej godzien cześci,
Bieglejszy kowacz swej mowy rodzinnej,
W pieśniach miłosnych, w rycerskiej powieści

Przewyższył wszystkich; głupim zwać należy
Tego, kto wyżej Limuzyńca mieści.

Taki rozgłosem, nie wartością mierzy
Sztukę i nim go biegły sąd przekona,
Swemu błędowi nazbyt długo wierzy.

Ojcowie nasi wielbili Gwittona.
Aż sława jego, rozgłośna przed światem,
Została gwoli większych uszczuplona.

Jeśliś na górę tę wstąpił bogatem
W szczytny przywilej, a będziesz w klasztorze,
Gdzie jest sam Chrystus zakonu opatem,
Zmów z Ojczenaszu tyle w Imię Boże,
Ile brak jeszcze ku wiecznej pogodzie
Duszy, która być kuszona nie może".

Potem usunął się, bywszy na przodzie,
By puścić innych, i wraz wśród ogniska
Zapadł i zginął niby ryba w wodzie.

Jam jeszcze podszedł i stanąwszy z bliska
Nieznajomego, rzekłem mu, że zrobię
W sercu mym miejsce dla jego nazwiska.

A duch rozpoczął grzecznie w tym sposobie:
„Taką ponętę w prośbie twojej baczę,
Że się nie mogę ni chcę taić tobie.

Ja jestem Arnold, co śpiewam i płaczę,
Przypominając swój miniony szal,
Rad szczęścia dniowi, że go wnet obaczę.

Teraz przez Boga, co ci władzę dał
Wejścia w te świąty i na szczyt prowadzi,
Proszę, byś w porę o mnie pomnieć chciał".

Tu przepadł w ogniu, którym winy gładzi.

PIEŚŃ XXVII

Słońce tak stało, jak kiedy się świtem
Swych pierwszych blasków na Golgocie jarzy,
Gdy Ebro stoi pod Wagi zenitem,

A nurt Gangesu południe rozparzy.
Dzień już uchodził; prawie w tejże chwili
Zjawił się szczęśny Anioł z bożej straży.

Stanął u ognia, tam gdzie stok się chyli:
„Błogosławiony — mówił — sercem czysty —
Głosem dźwięczącym od naszego milej. —

Wprzód was ukąsać musi żar ognisty,
Duszycki święte, chcące do tej bramy;
Słuchajcie głosu Anioła-psalmisty".

Tak śpiewa do nas, którzy się zbliżamy;
Więc ja się cały w pomieszaniu słońię,
Jak człowiek żywcem rzucany do jamy.

Twarz pochyliwszy na splecione dłonie,
Poglądam w ogień i w mej wyobraźni
Widzę skazańca, jak na stosie płonie.

Aż towarzysze, świadki mej bojaźni,
Zwróca się do mnie: „Synu, próżna trwoga!
Nie śmierci tutaj czekaj, jeno kaźni —

Rzecz Wergili. — Wszak z Otchłani proga
Na Gerionie przewiozłem cię snadnie,
Cóż tu dopiero, gdzieśmy bliżej Boga?

Choćbyś lat tysiąc w tych płomieniach na dnie
Gorzał i płonął jako wiór paździerzy,
Wiedz, że włos jeden z głowy twej nie spadnie.

Jeśli dowodów żąda, nim uwierzy
Twój ludzki rozum, to pozbądź wątpienia,
Włóżywszy w ogień rąbek swej odzieży.

Obacz się w trwodze, ocknij z przerażenia
I przejdź bezpieczny skrós ognia powodzi..."
A jam stał ciągle wbrew głosów sumienia.

Kiedy się spostrzegł, że próżno podwodzi,
Nieco zmieszany rzekł: „Uważ, mój synu,
Od Beatryczy ta ściana cię grodzi".

Jak po spełnieniu rozpaczego czynu
Na imię Tysby Pyram wzniosł powieki,

Gdzie morwa brała kolory karminu,
Tak jam zmiękł nagle i do mej opieki
Obróciłem się, słysząc to w pamięci
Chowane imię, drogie mi na wieki.
Mistrz się uśmiechnie i głową pokręci,
Mówiąc mi: „Jakże? Długoż będziem stali?”
Jak matka dziecku, gdy jabłuszkciem nęci.
Potem wszedł pierwszy w głąb ogniowej fali.
„Idź ty ostatni!” — Stacyjusa wzywa.
A tak mię w środek wzięwszy, wstępowali.
Gdym się tam znalazł, do płynnego szkliwa
Byłbym rad skoczył, tusząc, że ochłódnę,
Tak mię owiała gorącość straszliwa.
On, umilając wędrowanie trudne,
O Beatryczy mówił mi natchniony:
„Widzę — powiadał — te jej oczy cudne”.
Głos jakiś wabił nas od tamtej strony;
Wysliśmy, w dźwiękach jego zatopieni,
Gdzie szlak prowadził w wyższe regijony.
„Pójdźcie tu do mnie, ubłogosławieni! —
Nucił z pośrodku blasku, co jaśniej
Tak, że lśnią oczy od jego promieni. —
Słońce zapada, barwa dzienna mdleje;
Nie przystawajcie, lecz krok pilcie chyży,
Dopóki zachód na skroś nie szernieje”.
Na wschód szła droga w granitowej nyży:
Ja nieprzezroczą osobą chłonałem
Promienie słońca, które biły z niży.
Ledwie po schodach z nimi iść zacząłem,
Gdy wszyscy troje, widząc, jak cień pierzchnie,
Że zejść musiało, pojęliśmy społem.
Więc zanim nieba rozległe powierzchnie
Ujednostajnią się w ciemnym kolorze
I nim dokoła widnokręgu zmierzchnie,
Z kamiennych schodów czynim sobie łożę;
Chęć w nas jest żywa, lecz sobą nie włada:
Takie w tym świecie rządzi prawo Boże.
Jak to kóz trzódka, szczęśliwa i rada
Dniowi, po skałach żeruje i hasa,
A potem, żując, cicho się pokłada

W cieniu, gdzie słońca gorącość przygasa,
Pozostawiona wśród tego wywczasu
W straż opartego na lasce juhasa;

Albo jak owczarz, co wewnątrz szalaśsu
Czuwa patrzący na owieczki swoje,
By nie rozprószył ich zwierz dziki lasu,

Takeśmy byli naówczas my troje:
Ja niby owca, oni moi stróże,
W wysokiej niszy mając swe pokoje.

Wąziutki skrawek nieba świecił w górze,
Gwiazd było tędy widać migotanie:
Lśniły niezwykle iskrzące i duże.

A kiedy dumam i poglądam na nie,
Sen mię ogarnął; sen przed wschodem słońca
Świadom częstokroć rzeczy, nim się stanie.

W chwili gdy dniowi wysłana za gońca
Cytera, gwiazda miłości, poranka
Pierwszym promieniem szczyt góry potrąca,

Przyśniła mi się nadobna młodzianka:
Chodzi po łące i kędy kwiat mija,
Tam się nachyla i bierze do wianka,

Nucąc: „Kto spyta, wiedz, że jestem Lija;
Tu się krzątają palce moje skore,
W mych pięknych rękach wianuszek się zwija.

Przed zwierciadłem w kwiaty się ubiorę;
Siostrzyczka Rachel stroi się a stroi
I u zwierciadła siedzi w każdą porę.

Ona się wdziękiem pięknych oczu poi,
Ja się zaś rąk mych zakrzęcaniem cieszę;
Jak ją patrzenie, tak mnie czyn pokoi".

Już też na wschodzie pierwszy świt się krzesze,
Świt pielgrzymowi tym miłszy wśród drogi,
Im bliżej zdąża ku rodzinnej strzesze.

Już też pierzchają cienie na rozłogi,
A mój sen z nimi; zerwę się czym skorzej,
Widząc, że Mistrze powstałi na nogi.

„Ród ludzki trudy niepomierne łoży
W poszukiwaniu, gdzie jest jabłoń słodka:
Ona dziś twoją oskomę umorzy".

Takimi słowy Wergili mię potka;

A były dla mnie tak lube i świeże,
Iż żadna z nimi nie zrówna łakotka.

Zatem ochotę z ochotą sprzymierzę
Iścia ku szczytom i wyruszam śmieiej,
Jakby u ramion wyrosło mi pierze.

Gdyśmy za sobą wszystkie schody mieli
I przestąpili stopień ostateczny,
Ku oczom moim Mistrz oczyma strzeli

I rzecze: „Ogień doczesny i wieczny
Poznałeś, synu; wstąp na ziemię jasną,
Gdzie hart mych źrenic jest niedostateczny.

Wolny, świadomy prawd, patrzący jasno;
Myśl niechaj teraz sama cię prowadzi
I niech wyleci poza przestrzeń ciasną.

Widzisz to słońce, co przed tobą wschodzi?
Widzisz te krzewy i kwiaty, i zioła,
Które ta gleba sama z siebie rodzi?

Nim przyjdzie ona, w oczach znów wesoła,
Co, płacząc ciebie, zeszła w padół cienia,
Usieść tu możesz lub chodzić dokoła.

Nie czekaj głosu mego ni skinienia:
Sąd twój dziś wolny, pewny, niezmącony;
Głupstwem by było nie iść w trop sumienia.

Ja ci udzielam mitry i korony".

PIEŚŃ XXVIII

Pragnąc czym prędzej dostać się do lasku,
Co swoim gęstym, żywym liściem chroni
Oczy od słońca zbytęznego blasku,

Brzeg porzuciwszy, poszedłem po błoni
I zapatrzony w tę rajska dąbrowę
Z wolna stąpałem wśród światła i woni.

Wianie łagodne, słodkie i miarowe
W skroń mię trącało, chodzące po sadzie
Tak delikatnie jak tchnienie majowe.

Zatem gałązki w pokorze i ładzie
Wszystkie tą stroną gięły swe badyle,
Gdzie święta góra pierwszy cień swój kładzie.

Lecz ich wiatr przecież nie odgarniał tyle,
Aby ptaszęcy rój na każdym drzewie
Przestawał pieśni swoich pod tę chwilę.

Owszem, kąpiąc się w porannym powiewie,
Z pośrodku liści nuciły radośnie,
A szelest wiatru był jak wtór w ich śpiewie.

Podobnie szumi w podraweńskiej sośnie,
W Chiassi na morskim brzegu, gdy sirokkim
Południe nagle powieje ku wiośnie.

Już się zaszyłem, wolnym idąc krokiem,
W starożytnego głębokości gaju
Tyle, żem wstępu nie dopatrzył wzrokiem,
Gdy mię wstrzymała przeszkoda ruczaju;
W lewo garnęły jego drobne fale
Zioła i kwiaty rosnące po kraju.

Wody w padolnej urodzone skale,
Choćby najczystsze, jakiś pył zamąca;
Ale w tej było czysto jak w kryształach,

Jeno że ciemną zdała się, płynąca
Pod ciemną gęstwą, która jako żywo
Nie puści słońca blasku ni miesiąca.

Stopami stałem, lecz źrenicą chciwą
Biegłem oglądać za rzeczutki tonie
Różnego kwiecia świeżość osobliwą.

Nagle zjawiła się po tamtej stronie —
Jako się zjawia rzecz niespodziewana,

Że swą dziwnością wszystek zmysł pochłonie —

Niewiasta; sama szła i rozśpiewana,
I zbierająca spośród kwiatów kwiecie,
Którym jej dróżka była malowana.

„O piękna pani, w miłosnej poświecie
Snadź wypieszczona, jak świadczy twe lice,
Które jest serca zwierciadłem w kobiecie:

Proszę cię, podejdź pod moją granicę —
Powiadam do niej — nad te czyste źródła;
Niech pieśni twojej osnowę pochwyć.

Patrząc na ciebie, w wyobraźni roję,
Że być musiała taką Prozerpina,
Kiedy żegnała dom i wiosnę swoją”.

Jak w tańcu młoda i smukła dziewczyna
Jedną przed drugą z lekka stawia nóżki
I ledwie naprzód sunąc, się przegina,

Tak więc sunęła ku mnie wzdłuż swej dróżki,
Skromnie w dół patrząc i jak wiotkie puchy
Depcąc czerwone i żółte kwiatuszki.

Aż prośbie mojej dodała otuchy,
Podszedłszy do mnie tyle, że jej pienia
Tak się wyraźne stały jak jej ruchy.

Skoro stanęła, gdzie w fali strumienia
Z brzegu rosnące ziele się kąpało,
Uraczyła mię podarkiem spojrzenia.

Nie wiem, czy równe światło zajaśniało
W oczach Wenery, gdy ją płocze dziecię
Nieuświadczoną ugodziło strzałą.

Potem, z uśmiechem, rękoma obficie
Garnęła barwny kwiat, co na tej glebie
Świętej niesiany wyrasta i kwicie.

Trzy kroki tylko dzielą nas od siebie,
Lecz fala Pontu, pyszałków wędzidła,
Brama Kserksesa w ostatniej potrzebie,

W oczach Leandra pewnie tak nie zbrzydła
Tam pod Abydos, jak mnie owa woda,
Że nie rozwarła się jak wrótne skrzydła.

„Gośćmi jesteście — rzekła pani młoda —
Na tej wybranej i czarownej niwie,
Gdzie miała gniazdo człowiecza przyroda.

Może mój uśmiech trzyma was w podziwie,
Lecz psalm: Cieszyłeś mię w stworzeniu, Panie!
Światłem cmy waszej będzie niewątpliwie.

A ty, jeżeli masz jakie pytanie
Na ustach swoich, mów; mój obowiązek,
Ku nasyceniu odpowiedzieć na nie".

„Ta woda — rzekłem — i ten szum gałązek
Rozum mi mącą, sprawiając, że niszcę
Dotychczasowych wierzeń moich związek".

A ona na to: „Pragnienie twe ziszczę;
Wskażę przyczynę, co dziw budzi w tobie,
Twoja zamglona myśl swój świt odzyszcze:

Najwyższe Dobro, co się lubi w sobie,
Stworzyło człowieka dobrym, te dziedziny
Na zakład miru dając w twórczej dobie.

Krótko bawiwszy tutaj z własnej winy,
Słodką uciechę, radość pełną ciszy
Zmienił na trudy padolnej krainy.

Aby wyziewy, którymi to dyszy
Woda i ziemię dokoła obleka
I których opar ciepłu towarzyszy,

Nie utrudzały pierwszego człowieka,
Strzelistej góry, tej od świętych dźwierzy
Począwszy, nie tknie burza, deszcz ni spieka.

A że powietrzna sfera wokół bieży
Za pierworuchem swym wspólnie krążąca,
Póki o krawędź jaką nie uderzy,

W tej wysoczyźnie, której nic nie zmaća,
W żywym powietrzu ruch okólny wieje
I dzwoni, kiedy w gęstwę lasu trąca.

A kiedy się las tym ruchem rozchwieje,
Powietrzu wokół moc nadaje płodną,
Ono nasiona po przestworach sieje.

Za czym na ziemi, gdzie znajdzie dogodną
Glebę lub sferę, rodzi i rozplenia
Drzew rozmaitych własność różnorodną.

Pozbądźcie zatem dziwu i zdumienia,
Jeśli najdziecie wśród ziemskiego płodu
Roślinę obcą z nazwy i siemienia.

Masz wiedzieć: gleba świętego ogrodu

Wydaje bujnie kwiaty i owoce,
Jakich nie uszczknął nikt z waszego rodu.

Woda, co widzisz, nie tryska w opoce,
Gdzie ją nasycą para oziębiona,
Jak strugę, co schnie albo wzrasta w moce;

Płynie z pełnego wciąż krynicy łona,
Tyle wzrastając, ile jej odpływa
W nurcie dzielącym się na dwa ramiona.

Jeden ma taką właściwość, że zmywa
Pamięć wszystkiego, co człowiek nabroi,
W drugim zaś pamięć cnych czynów odżywa.

Z tej strony Lety, a z drugiej Eunoï
Nosi nazwisko, ale nie skutkuje,
Aż się duch z obu strumieni napoi.

Nad wszystkie wody ta woda smakuje,
A choć już dusza twa musi być syta
I dalszych wieści mych nie potrzebuje,

Z łaski ci jedno dodam; ni poczyta
Za złe, ani też z tego dozna straty
Twój duch, jeśli mu na domiar zaświta.

Pieśniarze, co to śpiewali przed laty
O wieku złotym i szczęśliwym bycie,
W snach wieszczych może te widzieli światy.

Tu wiódł człowieczy szczep niewinne życie;
Tu był maj wieczny, owoc wiecznie żrzały:
To jest ów nektar, o którym gwarzycie".

Więc ja się na to obróciłem cały
Ku Wieszczom, którzy stali zasłuchani
W dźwięk słów, a oczy, widzę, im się śmiały.

Potem spojrzałem znów ku pięknej pani.

PIEŚŃ XXIX

Śpiewała ciągle niby rozkochana
Niewiasta, wreszcie skończyła w te słowa:
„Szczęśliwi, których wina jest zmazana”.

Jak nimfy, kędy cienista dąbrowa
Splata gałęzie, snują się po gaju,
Ta szuka słońca, ta się przed nim chowa,
Tak przeszła w górę prądu; ja na skraju
Fali, co moje hamowała chęci,
Równym z nią krokiem szedłem wzdłuż ruczaju.

Jeszcze nie zrobił kroków pięćdziesięci,
Kiedy się rzeka w łuk odginać zaczęła
I równo swoje oba brzegi skręci.

Za skrętem dalej uszliśmy nieznaczenie,
Gdy ona ku mnie swe podała lice;
„Mój bracie — rzekła — patrz i słuchaj bacznie”.

A wtem od jednej po drugą granicę
Ogromna jasność zaświeciła w lesie,
Przypominając sobą błyskawicę.

Ale gdy piorun, jak wypadł, tak rwie się,
Tu zaś blask ciągle wzrastał między drzewy,
Myślałem w sobie: „Co też dziw przyniesie?”

I oto słodkie rozebrzmiwały śpiewy
W jasnym powietrzu; zatem rozzalony
Przypominałem przeniewierstwo Ewy,

Bo gdzie słuchała ziemia i regiony
Niebios, tam jedna, zaledwie z rąk Pana
Wyszła podwika, nie zniosła zasłony.

Gdyby ścierpiała ją, skromnie poddana,
Dawniej i dłużej byłaby udziałem
Moim ta rozkosz niewypowiedziana.

Gdy tak pośrodku pierwocin stąpałem
Wiecznej uciechy, prężąc zmysłów strażę,
I jeszcze większych cudów wyglądałem,

Nagle przed nami zabłysło w pożarze
Wszystko powietrze pod gałęzi majem
I rozróżniłem pieśń w tonów pogwarze.

„O święte Panny, jeśli ja zwyczajem
Dla was niewczasy i chłody, i głody

Cierpiałem, wy mię dziś nagródźcie wzajem.

Niech mi Helikon sączy swoje wody,
Aż się me myśli trudne w rym ubiorą;
Niech mię Uranii wesprą korowody".

Ujrzałem niby Drzew Złotych Siedmioro,
Które sunęły k'nam od świętych włości,
Niedobadane w swym kształcie; aż skoro

Tak blisko owe podeszły jasności,
Że ich zewnętrzna postać nie trwonila
Żadnej ze swoich widzialnych własności,

Człowieczej duszy rozpoznawcza siła
Drzewa świecami, a pieśń z dźwięków mętu
Nagle wyraźnie „Hosanną" wykryła.

Łuna szła górą od pięknego sprzętu,
A oto światła świec jaskrawiej płoną
Niż księżyc w pełni pośród firmamentu.

Ja wzrok niepewny posyłałem stroną
Do Wergiliusza, ale on odprawi
Moje zdumienie żrenicą zdumioną.

Więc ku widziadłu wzrok podam ciekawiej,
Które się niosło krokiem tak niesporem,
Że panny młode nie stąpają żwawiej.

Widząc, że oczy wodzę za splendorem,
Rzekła: „Przec wzrok twój w żywym świetle tonie,
A nie dba o to, co mknie jego torem?"

Lud obaczyłem idący przez błonie
Jak za wodzami, ustrojony biało;
Równej białości nie ma w ziemskiej stronie.

Zwierciadło wodne światłem migotało,
U stóp mych leżąc od lewego boku,
I lewą moję stronę odbijało.

Kiedym postąpił na sam brzeg potoku,
Co odgraniczał owe święte szyki,
By lepiej widzieć, zatrzymałem kroku.

Naprzód się niosły ogniste płomyki
I smug za każdym snuł się malowany,
I wyglądały niby proporczyki,

Z których w powietrzu sklepił się świetlany
Łuk barwy, kładąc tak jedną po drugiej,
Jak tęcza słońca lub obręcz Dyjany.

W tył się ciągnęły kolorowe smugi
Dalej, niż wzrok je zgonił po przestrzeni;
Cały ten szyk był dziesięć kroków długi.

Pod baldachimem tęczowych płomieni
Dwudziestu Czterech Starców szło parami,
Wszyscy w liliowe wieńce ustrojeni.

„Błogosławionaś między niewiastami —
Śpiewali wszyscy — błogosławione
Niech będzie cudo twych wdzięków nad nami!"

Tak szli przez kwiaty i ziółka zielone,
Tuż naprzeciwko, nad samym ruczajem,
Czyniąc za sobą wolne i przestrone

Pole. Jak gwiazdy po zachodzie, skrajem
Wody kolejno Zwierząt weszło Czworo,
Wszystkie gałązek uwieńczone majem.

Na każdym było po skrzydeł sześcioro,
Wszystko oczastych; w tysiąc oczu zbrojny
Argus taką miał postać wielozorą.

Czasu nie staje ten ich wygląd strojny
Opisać w pełni; w rzecz ważniejszą godzę,
Więc tutaj w słowa nie mogę być hojny.

Ezechijela widzeniem nagrodzę
W jego wspaniałej księdze opisanem:
Jako z północy w wichrze i pożodze

Widział niesione ognistym rydwanem.
Z nim zgodny skrzydeł kształt i ornamenty,
Lecz liczbę zgodną mam ze świętym Janem.

Pośrodku, między Czterema Zwierzęty,
Wóz tryumfalny dwukólny pomykał,
Do szyi Gryfa misternie przypięty.

Gryf po trzy smugi skrzydłami przenikał,
Sam zaś pod nimi brał miejsce środkowe:
Do nieba sięgał, ale barw nie tykał.

Cudny twór złotą miał szyję i głowę,
A reszta ciała była barwy mlecznej,
Z którą się zlały barwy purpurowe.

Na takim wozie ni Scypion waleczny,
Ni August zacny wjeżdżał do stolicy;
Równego nie miał Faeton słoneczny,

Co z zodiakowej wyrwał się granicy,

Aż zakłęciami ziemi ubłagany
Jowisz go spalił w sądu tajemnicy.

Po prawej stronie wiodły skoczne tany
Trzy Młódki; jednej barwa purpurowa,
W której nie było od ognia odmiany;

Drugiej tancerki cielesna osnowa
Jakby szmaragdu urobiona wzorem;
Trzeciej tak biała jak śnieżna ponowa.

Raz biała wiodła rej, to znów kolorem
Szkarłatnym znaczna; w takt jej Tanecznice
Płasały krokiem to wolnym, to sporem.

Z lewej tańczyły Cztery przy muzyce
Pieśni, w najżywszym gorejąc szkarłacie;
Te trójczastą miały przodownicę.

Za tym orszakiem, jak go tu czytacie,
Szli Dwaj Starcowie różnego ubioru,
Lecz równi sobie w ruchów majestacie.

Jeden się uczniem wydawał ze zboru
Hipokratesa, co był od natury
Zesłany dla jej najmilszego tworu.

Odmiennej trosce świadczył starzec wtóry,
Dzierżąc miecz ostry, blaskami pogromny:
Sam jego widok sprawiał mi tortury.

Za nimi Czterech szło postawy skromnej;
Na końcu Starzec pochylony laty,
Śpiący, wpatrzony w jakiś wid ogromny.

Wszyscy siedmioro mieli równe szaty
Z pierwszą gromadką, a skronie ubrali
Nie jako tamci, w lilijowe kwiaty,

Lecz w kwiecie barwą róży i koralu;
Kto by poglądał z nieco dalszej mety,
Rzekłby, że ogniem ich czoło się pali.

Gdy rydwan wreszcie przybył na brzeg Lety,
Grom usłyszałem i wraz piękne mary,
Jakby komendą zatrzymane czety,

Z przodowniczymi stanęły sztandary.

PIEŚŃ XXX

Już ten siedmiogwiazd pierwszej nieb dziedziny,
Co nie zna Wschodu ni Zachodu, ani
Innych mgieł nie zna oprócz mgławic winy,
Tam zaś naucza, co czynią poddani
Swej powinności: jak ster Niedźwiedzicy
Uczy żeglarza, gdzie szlak do przystani,
Stanął; Dwadzieścia Czterej Przodownicy,
Co w ślad Świecznika szli za świętym Ptakiem,
Do Wozu przyszli, do miru stolicy.

Jeden z nich, jakby niebios był śpiewakiem:
„Pójdź, oblubiona z Libanu, pójdź” — woła.
Reszta wtór pieniem zawodzi jednakiem.

Jak w dzień ostatni na głos Archaniola
Błogosławiona gromadka powstanie
Z odzyskanego jestestwa wesola,
Tak w stu powstałi na świętym Rydwanie,
Posłuszni hasłu, które ich przyzywa,
Anieli, wróżbę śląc na zmartwychwstanie.

„Błogosławiony ten, który przybywa —
Śpiewali, kwiaty rzucając obficie: —
Kwieciem liliji niech się pookrywa!”

Jak wyglądają niebiosa o świcie,
Że wschodnia strona płonie barwą róży,
A reszta stoi w bladawym błękicie,
Tarcz słońca w parach porannych się mruży
I we mgle swego nie broni widoku,
Tak że jej oczy mogą zdzierżyć dłużej —

Podobnie tutaj w kwiatowym obłoku,
Którym okryły Wóz anielskie dłonie,
Sypiąc dokoła i z góry, i z boku;

Z wieńcem oliwnym na białej zasłonie
Stała Niewiasta w płaszczu barwy ziela,
Pod którym szata jak żar żywy płonie.

Stęsknił się duch mój, że od lat tak wiele
Cudem jej wdzięków nie był czarowany:
Cudem, co wabi i co onieśmiela.

Więc gdy mi błysnął kształt jej ukochany,
Przez moc tajemną, która od niej biła,

Dawnej miłości poczułem kajdany.

A gdy ujęła mię ta można siła,
Co po raz pierwszy, kiedym był młodziutki
Chłopczyna, zmogła mię i zniewoliła,

W lewo się zwracam, z tej samej pobudki,
Co dziecko, kiedy pod matczyne ramię
Ucieka koić wszelki strach i smutki,

Chcę Wergilemu rzec: „W serdecznej jamie
Krwi kropli nie mam, ażeby nie drżała;
Dawnych płomieni rozpoznaję znamię”.

Ale Wergili zniknął: moja cała
Radość, Wergili, co mi stał na straży,
Wergili, piastun duszy mej i ciała!

Nawet te cuda rajszych wiry darzy
Pomóc nie mogły, by zmyte od rosy
Znów nie szczyrniały kolory mej twarzy.

A ona rzekła: „Dante, chciały losy,
Byś sam pozostał; nie płacz żalem zdjęty:
Płakać cię zmuszają jeszcze inne ciosy”.

Jak na pomostku stojąc, swe okręty
Admirał z góry kieruje i pędzi
Słowem rozkazu i gestem zachęty,

Tak na Rydwanie, po lewej krawędzi
Widzę — gdym swego dosłyszał imienia,
Którego z musu tu wam się nie szczędzi —

Stała, wróżbami anielskiego pienia
Już przedtem sercu memu objawiona,
Śląc oczy ku mnie poprzez nurt strumienia.

Chociaż na twarz jej spadała zasłona
Z uzielenionej oliwami głowy,
Tak że mym oczom była utajona,

Jednak słyszałem, gdy z gestem królowej
Zaczęła mówić, patrząc mi w oblicze,
Jak człek, co wyrzut gotuje surowy:

„Przypatrz się! Jam jest, jam jest Beatrycze.
A więc raczyłeś wspiąć się na te schody?
Wiedziałeś, jakie w tym świecie słodycze?”

Oczy me padły na zwierciadło wody,
Lecz gdym się przejrzał, powiodłem po łanie
Kwiecia, bo wstyd mi ubarwił jagody.

Jak serce w dziecku na matki łajanie,
Tak się na głos jej we mnie onieśmieli,
Bo gorzkie w smaku jest politowanie.

Zamilkła; po niej śpiewali anieli:
W Tobiem, o Panie, położył nadzieję...
Nie dokończyli zwrotki i stanęli.

Jako na grzbiecie italskim topnieje
Śnieg i wśród borów zrazu w lód się zmienia,
Gdy od słowiańskiej strony wiatr powieje,
Kiedy zaś z łądów, gdzie brak czasem cienia,
Zadmie, wnet taje z gorącym podmuchem,
Jako gromnica taje od płomienia —

Tak jam bez westchnień stał i z okiem suchem,
Zanim poczęli śpiew święci duchowie,
Nucący zgodnie ze sfer wiecznym ruchem.

Lecz skorom czułość wysłyszał w ich mowie,
Z której dźwięczała nuta bardziej tkliwa,
Niż gdyby rzekli: „Czemu tak surowie?...”,

Lodowa serca mojego pokrywa,
Tchem się i wodą stawszy niespodzianie,
Westchnienie i łyżę ze mnie wydobywa.

Ona wciąż stojąc na swoim Rydwanie
Wyprostowana, niemieszkając dłużej,
Tak rzekła na ich litośne wołanie:

„W ciągłym czuwaniu wam się wzrok nie mruży
Ani krok jeden wam w ciemnościach ginie
Z tych, które czyni świat w ciągłej podróży.

Więc odgadnięcie, do kogo tu czynię
Przymówkę i słów zwracam ostre groty;
Chcę, aby skrucha była równa winie.

Nie tylko przez sfer niebieskich obroty,
Z których się pierwszy siew po ziemi sieje
Tam, gdzie każdego ziarna chcą przymioty,

Ale przez łaski Bożej przywileje,
Co deszcz swój czerpie z tak wysokiej chmury,
Że na jej drodze ziemskie oko mdleje,

On w wieku młodym otrzymał z natury
Tak wiele darów, że w rozumnej szkole
Byłby wypiękniał jak nie lada który.

Lecz im obficiej mieści w sobie pole

Soków żywotnych, bywszy bez uprawy,
Tym bujniej rodzi chwasty i kąkole.

Długo mój widok strzegł go od niesławy
I obrócony nań mój wzrok dziewiczy
Nie dał mu z drogi występować prawej.

Lecz gdy na średniej lat moich granicy
Śmierć dla drugiego życia mię zabrała,
Pokochał inną, a mnie znać nie życzy.

Ledwie na duszny byt wybiegłam z ciała,
Gdzie, owszem, wzrosły ma moc i uroda,
Tom się mniej lubą i ponętą zdała.

Na krzywą drogę zaraz krok swój poda;
Dóbr go doczesnych wabią złudne cienie
I obietnice, którym wierzyć szkoda.

Nic nie pomogło zsyłać nań natchnienie,
W snach go ostrzegać i przez inne próby
Wołać do siebie; w małej miał je cenie.

Tak nisko upadł, że wszystkie rachuby
Zbawienia spełzły na nic i zawiodły;
Zostało wieść go przez naród zaguby.

Przebyłam bramę z piekielnymi godły;
Do Przewodnika jego ze łąką w oku
W słowach błagalnych zanosłam modły.

Lecz szczerba w Bożym byłaby wyroku,
Gdyby mu wolno w załętejskie kraje
Przejść i kosztować wody z tego stoku,

Nie płacąc skruchą, co przez łzy się kaje".

PIEŚŃ XXXI

„Hej, ty zza wody — ciągnąc dalej, rzeczce
I zwraca ku mnie ostrze swej nagany,
Której sam brzeszczot dość boleśnie siecze; —
Prawdaż to? Prawda? — nastawa, bez zmiany
W surowym głosie. — Mów, niech się dokona
Własnym wyznaniem lek tej twojej rany".

Moc życia we mnie była tak stropiona,
Żem czuł, jak głos mój, zerwawszy się, mdleje,
Niezdolny wynieść z przywartego łona.

Czekawszy chwilę: „Co się w tobie dzieje? —
Spytała. — Wyznaj; wszak jeszcze w potoku
Niezmyta pamięć zna win swoich dzieje".

Więc tedy w uczuć przeciwnych natłoku
Ciche „Tak" jękiem z mych ust się wyrывa;
Żeby je pojąć, trzeba było wzroku.

Jak kusza pęka, gdy pod nią cięciwa
Zbyt się przeciągnie, więc puszczone z łęku
Pocisk mniej wartko powietrze przeszywa,

Tak jam się złamał pod ciężarem lęku
I pomieszania; głos się w łonie dławił
I wydobywał pośród łez i jęku.

A ona: „W zacnym porywie, co sprawił,
Żeś na kochanie dobra nie był głuchy,
Nad które świętszych nikt ci nie objawił,

Jakie to fosy i jakie łańcuchy
Wzbraniały tobie, byś w tej żądzy świętej
Tak wytrwałości pozbył i otuchy?

Jakie powaby znów, jakie ponęty
Na czyich licach tobie zaświeciły,
Żeś został wszystek ku nim pociągnięty?"

Gorzkie westchnienie zerwało me siły,
Głosowi z piersi wynieść było trudno,
Wargi przemocą w słowa go złożyły.

Płacząc, odrzekłem: „Ponętą ułudną
Doczesność moje przykłoniła chęci,
Zaledwie w grobie skryłaś twarz swą cudną".

„Czybyś był przeczył, czy chciał w niepamięci
Utaić — rzekła — wyjdzie na jaw wina,

Przed wielkim sędzią prawda się wyświęci.

Lecz gdy ją spowiedź własna wypomina,
Wtedy, jak Boże chce postanowienie,
Na własnym brusie jej ostrze się ścina.

By się ocknęło zgnębione sumienie,
By po raz wtóry w takie niepokoje
Nie wprawiły cię ponęty syrenie,

Zatamowawszy te żalosne zdroje,
Posłuchaj, dokąd winne raczej były
Zaprowadzić cię martwe szczątki moje.

Nigdy z naturą sztuka nie stworzyła
Rzeczy tak pięknej, jak ziemska osłona
Moja, co dzisiaj jest prochem mogiły.

A jeśli komu taka rozkosz skona,
Jaka śmiertelna piękność zdolna potem
Nową ponętą zakraść się do łona?

Ledwie-ś był pierwszym zadraśnięty grotem,
Do mnie, której już marne szaty prysły,
Potrzeba było uciekać z powrotem,

Ani pozwolić, aby pióra zwisły,
Pocisków czekać z oczu małolatki
Lub z innej rzeczy, która ludzi zmysły.

Młody ptak nieraz da się zwieść do klatki,
Ale na tego, co już porósł w pierze,
Darmo zastawiać potrzaski i siatki".

Jako się dziecko zawstydzi macierze
I słucha, oczy spuściwszy z pokorą,
I błąd uznawa, i żal czuje szczerze,

Tak stałem, ona zaś mówiła: „Skoro
Słuchać cię boli, podnieś twarz brodatą:
Zgryzota twoja wzrośnie w dziesięcioro".

Łatwiej dębinę wyrwie rosochatą
Wicher wiejący z ziem, gdzie wieczne lody,
Lub z ziemi Jarby, gdzie znów wieczne lato,

Niż ja na rozkaz jej wzniosłem jagody:
Wyrozumiałem jad w jej słowach skryty,
Skorom przymówkę słyszał do mej brody.

I wzrok podniosłem dotąd w ziemię wbity,
I obaczyłem, jak swój deszcz kwiecisty
Zahamowały owe pierwobyty.

A Beatrycze moja w mgle złocistej,
Z twarzą do Zwierza dziwnego zwróconą,
Gdzie jest byt jeden w naturze dwoistej,
W zasłonie białej nad wodą zieloną,
Tak Beatryczę ziemiankę zaćmiewa,
Jak tam ziemianek zaćmiewała grono.

Zatem mię żalu przypiekła pokrzywa,
Że którą serce moje ulubiło,
Tak mi się bardzo stała niezyczliwa.

Ostrze zgryzoty tak się we mnie wpiło,
Żem padł w omdleniu, nikt mi nie uwierzy
Prędzej niż ona, której dziełem było.

Kiedy nabrałem z serca mocy świeżej,
Widzę nad sobą piękną panią gaju:
„Dzierż się — woła — dzierz się mej odzieży!”

I zanurzywszy po szyję w ruczaju,
Wlokła za sobą, a sama po toni
Jak czołnko tkackie szła. Kiedym do skraju

Już się przybliżał czarodziejskiej błoni,
Pokrop mię, Panie — zabrzmią słodkie tony,
Jakich ni pióro, ni zmysł mój nie zgoni.

A piękna pani, objąwszy ramiony
Głowę mą, w wodę wcisnęła całego,
Tak żem się musiał napić, zanurzony.

I wyciągnąwszy tak umoczonego,
W Czworga Tanecznic postawiła chórze;
Wszystkie ramiona ich na mnie się zbiegą.

„Tuśmy nimfami, a gwiazdami w górze;
Nim na wasz padół zeszła Beatrycze,
Nam czterem była oddana pod stróżę.

Zaprowadzimy cię przed jej oblicze;
Wzrok ci wystalą te nasze Trzy Drużki,
Co patrzą głębiej w rzeczy tajemnicze”.

Tak wyśpiewują do mnie boże służki;
Do piersi Gryfa pod ręce mię wiodą,
Gdzie stała pani ma nad brzegiem strużki.

„Teraz ócz nie szczędź; paś się jej urodą,
W blaskach szmaragdu napój się łakomie,
Skąd Amor strzały ciskał w pierś twą młodą”.

Tysiąc pożądań gorących jak płomień

Do jej błyszczących oczu biegło lotem,
Które utkwiły w Gryfie nieruchomie.

Jako w zwierciadle słońce skier migotem,
Tak się w jej wzroku Zwierz, co wraz był Ptakiem,
Odbijał to tym, to owym przymiotem.

Pomyśl, czym zdumiał się nad cudem takim:
Oto w mych oczach przedmiot stał nietknięty,
A obraz kształtem mienił się dwojakiem!...

Gdy tak rozkoszą i dziwem przejęty
Duch mój kosztował tej rajskiej łakotki,
Co sycąc, razem wzmaga swej ponęty,

Owe spod znaków najwyższych Trzy Młódki,
Szczytną godnością strojne w każdym geście,
Podbiegły, tańcząc w rytmie świętej zwrotki:

„O Beatrycze, zlituj się nareszcie,
Zjaw święte oczy swemu kochankowi!
On tyle schodził, by stanąć w twym mieście.

Ukaż mu usta, niech łaska odpowie
Tej prośbie naszej, a on niech z tej łaski
Wtórą twą piękność pojmie i pozdrowi”.

Tak nuć. O wy słońc wieczystych blaski,
Choćby kto pracą wychudził swe lice,
Choćby się poił w krynicy Parnaskiej,

Tu by przekroczył możliwości granice,
Chcąc skreślić, jak się zjawiałaś dla oczu —
W kwiatów obłoku, w sferowej muzyce,
Zrozpowijana w powietrznym przezroczu!

PIEŚŃ XXXII

Tak chciwie na niej oczy me zawisły,
Dziesięcioletnie chcąc gasić pragnienie,
Że zapomniały mi się inne zmysły.

A nieowładne owo zapatrzenie,
Stanąwszy między światem a jej świętem
Obliczem, w dawne niewody mię żenie.

Kiedy tak pasę wzrok, jednym momentem
W lewo go wciągną trzy Niewiasty boże,
Wołając do mnie: „Olśnie ci ze szczętem!”

Wtem moc widzenia moja zaniemoże,
Jako to mdleją oczy oślepione
I znieczulone w słonecznym splendorze.

Aż kiedy w mniejszych jasnościach ochłoneę,
Powiadam: mniejszych przeciw jej urodzie,
Od której głos mię odwiódł w inną stronę,

Ujrzę: dostojne wojsko w swym pochodzie
Skręca na prawo, ukąpane w złocie
Słońcu i Świecach sunących na przodzie.

Jak rota bronna puklerzy namiotem
Skręca się, koło sztandaru zebrana,
Aż front odmieni zupełnym obrotem,

Tak te zastępy Niebieskiego Pana
W mych oczach łukiem gięły się na szlaku,
Zanim zawrócił kierownik rydwana.

Przy Wozie poszły Niewiasty orszaku;
Gryf ciągnął ciężar swój, tak lekki w chodzie,
Że jedno piórko nie drgnęło na ptaku.

A piękna pani, co mię zmyła w wodzie,
I Stacjusz, i ja szliśmy w trop za kołem,
Które łuk mniejszy kreśliło w obwodzie.

Tak snuł się pochód po gaju wesołem,
Pustym z win Ewy, co węża uznała;
W rytmach anielskich stąpaliśmy społem.

Bliżej, niż trzykroć wypuszczona strzała
Przeleci — stanął pochód ze sztandary:
Tam Beatrycze z Wozu zstępowała.

„Adamie!” — smutne rozebrzmiały gwary
Wokół rośliny, co ogołocona

Z liści nagimi sterczała konary.

Modłą przedziwną była jej korona
Szersza ku górze; rośliny tak sporej
Nie rodzą nawet indyjskie nasiona.

„Błogosławiony, Ty Gryfie, żeś kory
Z Drzewa nie uszczknął, choć w smaku miodowa;
Ktoś inny od niej wił się z bólu chory”.

Pod krzepkim Drzewem taka brzmiała mowa,
A Zwierz dwukszałtny wołał, gdy je zoczył:
„Sprawiedliwości siemię tak się chowa”.

Tedy do Wozu zwrócił się i toczył,
Aż go przyciągnął do wdowiego Drzewa,
I to, co z niego, do gałęzi troczył.

Jak w porze, kiedy słońce jasność zlewa
Z innąjasnością, która to w koronie
Zodiaku poza Rybą rozelsńiewa,

Pęcznieją zioła, aż każde zapłonie
Barwą z bożego daną mu dekretu,
Nim w innym znaku słońce sprzęże konie,

Podobnie, mniej niż barwą fioletu,
Więcej niż róży, ów pień się odnowi,
Stojący na kształt nagiego szkieletu.

Nie znam i nie wiem, czy gdzie słuch ułowi
Pieśń taką słodką jak ta, co tam biła;
Zmysł mój nie zdołał zdzierżyć jej czarowi.

Gdybym mógł pędzlem oddać, jak uśpiła
Okrutne oczy powieść o najadzie:
Oczy, dla których czujność zgubą była,

To sztuką, co się w żywych barwach kładzie,
Wyobraziłbym, jak wpadałem w ciszę;
Niestety, niemoc stoi mi na zdradzie.

Zatem od razu ocknienie opiszę:
Pękła zasłona snu; blask poszedł po niej;
„Wstawaj! Co czynisz?” — takie słowa słyszę.

Jak mając ujrzyć kwiateczki Jabłoni,
Której owocu anieli łakomi
I która Niebo upaja w swej woni,

Piotr, Jan i Jakub padli niewidomi
I znów powiekę podnieśli zemdloną
Na głos, co większe sny, bywało, skromi,

I zobaczyli uszczuplone grono —
Eliasz z Mojżeszem zniknęli w obłoku —
A szatę Mistrza swego przemienioną,

Tak jam się ocknął i podniósł z widoku
Tej rozżalonej nad zbłąkaniem moim,
Która mię przedtem wiodła wzdłuż potoku.

„Gdzie Beatrycze?” — pytam z niepokojem.
„Patrz — rzekła — siedzi na Drzewa korzeniu
Umajonego nowych liści strojem.

Przypatrz się, w jakim błyszczący otoczeniu;
Reszta za Gryfem już jest wniebowzięta,
Wzlatuje w słodszy i wznioślejszym pieniu”.

Czy jeszcze więcej mówiła ta święta,
Nie wiem, bo w oczach mych już tylko gości
Ona i wszystkie moje zmysły pęta.

Sama siedziała na ziemi szczerości,
W straż tej Kolaski pięknej zostawiona,
Którą Zwierz przywiózł jeden w dwuistości.

Wokół się plotła z Siedmiu Nimf korona:
Każda z nich w ręce jasny Lichtarz dzierży,
Nietrwożny Austru ani Akwilona.

„Krótko zabawisz; ze mną ci należy
Obywatelstwo wieczne w onym Rzymie,
Gdzie to sam Chrystus był pierwszym z rycerzy.

By świat poprawić, który zła się imie,
Na Rydwan patrzaj; co tutaj się stanie,
Wróciwszy na dół, opiszesz w swym rymie”.

Tak Beatrycze; ja zawsze poddanie
Wypełniający, cokolwiek poleci,
Wzrok i uwagę wieszam na Rydwanie.

Nigdy tak pędem gwałtownym nie leci
Piorun zza gęstej obłoków osnowy,
Skoro się w sferze płomienia roznieci,

Jak tutaj runął z góry Jowiszowy
Ptak i obszarpał na Jabłoni korę,
I omuskał z niej kwiaty i liść nowy.

Wtem całą mocą uderzył w komorę
Wozu; tak w okręt tłuką wodne masy,
Rozkołysane w nawałniczą porę.

Do tryumfalnej następnie Kolasy

Wkradł się Lis, cały wychudzony czczością
I na potrawę niezaznaną łasy.

Ale skarcony w swej brzydkiej chytrłości
Od pani mojej naganą surową,
Pierzchł, ile znieść go mogły chude kości.

Po chwili Orzeł, skąd spadł, stąd na nowo
Rzucił się pędem na Wozu rynsztunek
I zasłał pierza białością puchową.

Jak z łona, w którym tłucze się frasunek,
Tak z nieba ozwał się głos i żałował:
„O Łódzko moja, smutny twój ładunek”.

Między kołami grunt się rozstępował;
Z głębi Smok wyszedł i, kolcem oczosa
Spod spodu wiercąc dno, Kolaskę psował.

A jak swe żądło w siebie ściąga osa,
Tak je ściągała poczwara zjadliwa:
Część dna wyrwała i uszła z ukosa.

Jak pulchna ziemia runię się okrywa,
Tak Rydwan puchem bożego Sokoła,
Co go chęć może przyniosła życzliwa.

Szczęt zatem Wozu i dyszel, i koła
Otuliły się w te puszyste stroje
Szybciej, niżeli człowiek westchnąć zdoła.

Gdy tak Sprzęt boży zmienił kształty swoje,
Nagle mu z wnętrza Siedem Głów wynika:
Czworo po krańcach, a na dyszlu troje.

Na trzech po parze Rogów jak u byka,
Na czterech jeden w czele; tak bajecznej
Stwory wśród ziemi nikt nie napotyka.

Jako na góry szczycie gład bezpieczny,
Siedziała na niej, chryżymi oczyma
Strzelając, postać Niewiasty Wszetecznej.

A jako strażnik straż nad skarbem trzyma,
Stał nad nią Olbrzym z ohaydnym obliczem
I całował ją, a ona Olbrzymą.

Widząc, że ku mnie swym okiem zwodniczem
Strzelała, srogi ów gach nielitośnie
Od stóp do głowy siekł ją ostrym biczem.

Potem od razu gniewnie i zazdrośnie
Odwiązał potwór i powłókł do boru,

Który tam jak tarcz dzieląca mię rośnie
Od Nierządnicy i dziwnego Stworu.

PIEŚŃ XXXIII

Boże, w dziedzictwo Twe weszły pogany! —

Ten chórem raz trzy, raz cztery Dziewice

Psalm zawodziły, nucąc na przemiany.

Pani ma słucha, zapłakawszy lice,

A mnie się zdaje, gdy tak głowę kłoni,

Że widzę Bożą pod krzyżem Rodzicę.

Kiedy skończyły, wstaje spod Jabłoni,

Aby przemówić, i cała w rozświcie

Miłości, barwą ognia się zapłoni.

„Maluczko — rzecze — a nie obaczycie

Mię; zaś maluczko przeminie, a ono,

Siostrzyczki lube, znów mię obaczycie".

Przodem posłała Drużek śpiewne grono,

A ruchem dłoni stawiała w odwodzie

Mnie i Stacjusza, i niewiastę oną

Litośną; tak szła po rajskim ogrodzie.

Nie uczyniła dziesiątego kroku,

Kiedy oczyma w oczy me ubodzie

I tak łagodnie rzecze: „Na widoku

Bądź mi, ażebyś słuchał, gdy ci wskażę;

Pośpieszaj prędzej i chodź przy mym boku".

Tedy podbiegłem i stanąłem w parze,

A ona: „Bracie, skąd te lęki zbytnie?

Czemu nie wyznasz, co chowasz w zamiarze?"

Jak się podwładny zbliża czołobitnie

I ledwie bąka słowa przed zwierzchnikiem,

Bo mu się w ustach głos zalękły przytnie,

Tak ja niepewnym bąkałem językiem:

„Ty wiesz, co na mój pożytek wypada,

Bo, tak jak ze mną, nie współczujesz z nikim".

„Niechże cię — rzekła — trwoga nie owłada;

Zbądź zawstydenia; chcę, byś w tej krainie

Nie szedł jak człowiek, który we śnie gada.

Wiedz, że od smoka zepsute Naczynie

Było, lecz nie jest; niech się z pomstą liczy

Olbrzym, która go pewno nie ominie.

Zrodzi się Orlik i rząd odziedziczy

Po Orle, co Wóz obsypał swym puchem:

Wóz potwór Drzewu zabrany w zdobyczy.

To wam oznajmiam, co oglądam duchem:

Oto się w gwiazdach lepsza dola święci,

Niepowstrzymana przeciwnieństw łańcuchem,

Gdy od Pięciuset Pięci i Dziesięci

Na śmierć zdławiona będzie Rozbójnica

I Olbrzym, co z nią w sprośnej grzeszył chęci.

Może cię mięsza słów mych tajemnica,

Jak Temidzinej lub Sfinksa zagadki,

I dla twych oczu zakryte ma lica.

Lecz Lajadami wnet będą wypadki

Wypełniające to, co słowa wróżą,

Ani się tutaj użalą ich świadki.

Widzenie moje niech wiernie powtórzą

Twe usta ludziom, co żyją żywotem

Będącym ciąglą w kraj śmierci podróżą.

A kiedy pisać będziesz, pomnij o tem,

Żeś widział Drzewo, ku którego zgubie

Zamierzano się podwójnym nawrotem.

Kto zeń ukradnie lub kto go uskubie,

Ten bluźni czynem przeciwko Osobie

Boga, co święcił je ku swojej chlubie.

Lat pięć tysięcy miał czekać w żałobie

Duch utęskliwy waszego pradziada,

By Zbawca winę jego mścił na sobie.

Śpi chyba rozum twój, że nie dobada,

Czemu roślina tak wzwyż wystrzeliła

I swe konary tak wokół rozkłada.

Gdyby ci duszy nie zaskorupiła,

Na kształt wód Elskich, płochosć korą z głazu

Ni jej, jak Pyram morwę, poplamiła,

Po tych znamionach poznałbyś od razu

W sensie moralnym, jakie prawo boże

Tkwi w treści tego o Drzewie zakazu.

Lecz skoro umysł twój w kamiennej korze

Jest przyciemniony, jak owoc morwowy,

Tak że jasności słów mych znieść nie może,

Chcę, byś obrazem, jeżeli nie słowy,

Tę prawdę na swej zawiesił pamięci,

Jak na pielgrzymiej lasce liść palmowy".

Na to powiadam jej: „Na kształt pieczęci,
Która się w wosku powtarza odbita,
Mowę twą w duszy wyryły me chęci.

Lecz czemu wiedza twoja smakowita
Tak nad mój rozum wylatuje zgoła,
Że im ją bliżej goni, tym mniej chwyta?"

„Przeto, byś wiedział, jaka twoja szkoła
I jak daleko jej bystrość domierzy,
I jak mych wyżyn doścignąć nie zdoła —

Od bożej drogi tak daleko leży
Wasza, jaka jest odległość obręczy,
Po której niebo najszczytniejsze bieży".

„Nie pomnę — rzekłem — bym w dobie młodszej
Zaniechał wiedzy, co mię dziś zachwyca,
Ani mię o to me sumienie dręczy".

A na to ona, śmiechem kraszając lica:
„Ale ci przecież pamięć przypomina,
Że cię poiła Letejska krynica?...

Jak w dymie widna jest ognia przyczyna,
Tak tu ze skutku ten wniosek się snowa,
Że była zdrada i że była wina.

Odtąd już naga będzie moja mowa:
Widzę, że muszę wyświecić ją z cienia,
By jej dostrzegła źrenica surowa".

Już też jaskrawiej i wolniej w płomienia
Kręgu szło słońce torem południka,
Co dla każdego miejsca się odmienia.

Siedm Nimf stanęło na kształt przewodnika,
Który na czele kompaniji bieży
I nagle przedmiot nieznany spotyka.

Tam, gdzie cień konał na lasu rubieży,
Ciemny, jak owy, co pod rosochatem
Drzewem nad chłodną wodą w Alpach leży,

Ujrzałem — niby Tygrys z Eufratem
Płynące; jedno wydały je zdroje:
Rozstawały się z wolna, jak brat z bratem.

„Chwało ludzkiego rodu, światło moje —
Pytam — jak zwie się woda, co wypływa
Z jednego źródła, a nurt dzieli w dwoje?"

Na to odrzecz mi ta dobrotliwa:

„Spytaj Matyldy”. Więc ta przemówiła
Jak człowiek, co się z zarzutu obmywa:

„Te tajemnice, oraz innych siła
Już mu przeze mnie były wyjawione:
Chybaż ich woda Letejska nie zmyła”.

A Beatrycze: „Może w inną stronę
Podana baczność, w której pamięć ginie,
Na oczy duszy rzuca mu zasłonę...

Lecz spojrzysz: oto Eunoe płynie;
Jako z innymi czynisz, wiedź go do niej:
Niechaj się w swojej niemocy ochynie”.

Jako się dusza uprzejma nie broni,
Lecz cudzej woli swą czyni obrazem,
Skoro się w znaku widocznym odsłoni,
Tak ona dłoń mą z uprzejmym wyrazem
Wzięła i poszła naprzód, do Stacjusza,
Z pańskim skinieniem mówiąc: „Chodź ty razem”.

Gdybym mógł spisać, ile mię porusza
Tych chwil wspomnienie, śpiewałbym napoje,
Z których by wiecznie rada czerpać dusza.

Lecz oto pełne są już karty moje
Materią na śpiew o czyśćcowym kraju,
Więc cugiem sztuki ten zapęd pokoję.

Na brzeg wróciłem, w przeświętym ruczaju
Tak odrodzony jak rośliny nowe,
Okryte szatą zielonego maju —
Czysty i gotów wylecieć na gwiazdy.

RAJ

PIEŚŃ I

Majestat wszystkich rzeczy Wzruszyciela
W przestwory wnika i na światów skronie
Ustopniowaną jasnością odstrzela.

W niebie, co sporzej bożych iskier chłonie,
Byłem; widziałem, czego nie wyświęci
Słowami człowiek, choć był w tamtej stronie.

Bo, przybliżony do celu swej chęci,
Rozum nasz tak w nim przepaściście ginie,
Że nie pociągnie za sobą pamięci.

Ile z widzianych w przeświętej krainie
Cudów zaskarbić zdołał umysł gruby,
Obecnie treścią mych pieśni uczynię.

Dobry Apollo, u kresowej próby
Zrób mię naczyniem swej mocy i łaski,
Abym wysłużył wawrzyn tobie luby!

Dotąd wystarczał jeden szczyt Parnaski,
Teraz, gdy w szranki mam wstąpić takowe,
Z obydwu na mnie muszą spłynąć blaski.

Wnijdź w moje piersi, daj taką wymowę,
Jak gdyś wyniszczał w zwycięskiej zabawie
Z pochwy swych członków ciało Marsjaszowe!

O Boska Mocy, gdy przez ciebie sprawię,
Że ów kraj święty, widny wyobraźni,
Bodaj słów cieniem odbity wyjawię,

Pod twój pieszczony krzew podejść rażniej,
Wieńczyć skroń liściem, którym wyposaża
Dostojność treści i dank twej przyjaźni.

Tak rzadko, Ojczy, uszczknąć go się zdarza —
O wstyd, przez winę błędnej ludzkiej chuci! —
Na tryumf wieszczą lub tryumf mocarza,

Iż, pewnie tuszę, w radość się obróci
Bogowi z Delfu ta myśl, że krzewina
Penejska jeszcze w kimś pragnienie cuci.

Z małej się iskry wielki pożar wszczyną:
Po mnie skuteczniej ktoś w późniejsze lata
Będzie o łaskę prosił Apollina.

Przez rozmaite bramy lampa świata
Wschodzi śmiertelnym, lecz onym zaworem,

Co cztery kręgi w troje krzyżów splata,
Pod lepszą gwiazdą, ruchem bardziej skorem
Krok swój posuwa; w naszej ziemskiej glinie
Umiarkowańszym odbija się wzorem.

Tu więc był ranek, a wieczór w nizinie:
Czarność zapadła w ziemskiej półkulicy,
A świat wybielił przestworne pustynie.

Na Beatrycę spojrzę: ku lewicy
Zwrócona, oczy ze słońcem potyka
Bystrzej, niżeli zdoła wzrok orlicy.

Jak jeden promień z drugiego wynika,
Gdy załamany powrotnie ku górze
Odstrzela na wzór tęsknego pątnika,

Tak ja gestowi Beatryczy wtórę,
Który się odbił w moich źrenic szybie,
I w słońce patrzę wbrew ludzkiej naturze.

Snadź tam mi wolno, czego tu pochybię,
Dzięki przedziwnej mocy, rozesnutej
W rodu ludzkiego właściwej siedzibie.

I wytrzymałem słońce wzrokiem póty,
Aż mi się nagle iskrami zaroił
Jak od żelaza dobytego z huty.

Wtem zajaśniało, jakby się podwoił
Dzień i jak gdyby Ten, co pięknem darzy,
Niebiosą w słońce podwójne przystroił.

Zapamiętała w kół wieczystych zarzy
Stała Beatryks, ja zaś wzrok odjęty
Od kręgu słońca utkwilem w jej twarzy.

Tedym się począł od tej twarzy świętej
Mienić jak Glaukus, gdy zjadł pewne zioła
I między bogi — bóg skoczył w odmęty.

Przecławienie wyrazić się zgoła
Słowami nie da; przykładem bądź syty,
Nim Pan do takich przemian cię powoła.

Czym tam był w ciele, czyli duch dobytey
Z powłok sam biegał — ty wiesz, niebem włodne
Kochanie, światłem rwące mię w błękity.

Wtem z koła, co się znieśmiertelnia głodne
Uścisków Bożych, w mym słuchu się zbiorą
Dźwięki miarowe i harmonią zgodne.

Za czym niebiosa łunami rozgorą
Od blasku słońca; potoki ni deszcze
Nigdy się w większe nie zlały jezioro.

Więc pieśni nowe i blask takie dreszcze
Ciekawej żądz obudziły we mnie,
Że większych dotąd nie zaznałem jeszcze.

A ona, widząc, com myślał tajemnie,
Aby pragnienie me ukoić raźniej,
Nim się ozwał, rzekła: „Nadaremnie
Zabawiasz myśli fałszem wyobraźni;
Gdybyś otrząsnął z duszy widma mgliste,
Czego nie dojrzysz, widziałbyś wyraźniej.

Nie jesteś więcej na ziemi — zaiste!
A grom mniej wartko ze swej sfery leci
Niż ty, wracając w dziedziny ojczyste”.

Jak wprzód czułem, że w mym mózgu nieci
Jej uśmiechnięta mowa pierwsze świty,
Tak teraz nowe osnuły mię sieci.

„Jeden cud — rzekę — już mi jest odkryty,
Obecnie rozum odgadnąć się biedzi,
Jak mogę wzlatać ponad lekkie byty”.

Ona westchnęła w czulej odpowiedzi
I rozrzewniła swoje oczy hoże,
Jak nad dziecięciem, co w gorączce bredzi,

Potem zaczęła: „Rzeczy na przestworze
Są we wzajemnym ładzie; to jest modła
Dająca światu podobieństwo Boże.

W tym twory wyższe dopatrują godła
Mocy, co ma cel we własnym rozsądku,
Gwoli któremu prawo swe wywiodła.

Słuchają tego wiecznego porządku
Wszystkie istoty, wedle przeznaczenia
Bliższe lub dalsze swojego początku.

Po oceanie bytu bez wytchnienia
Do swej przystani gna ich ta potęga,
A każde z musu swego przyrodzenia.

Niż party, sfery księżycowej sięga
Płomień; zwierzęta ona ruchem darzy,
Ona miąższ ziemi jednoczy i sprzęga.

Nie tylko w twory niestojące w straży

Rozumu owy łuk swą strzałą godzi,
Lecz te, gdzie miłość z umem się kojarzy.

Opatrzność, która takie sprawy godzi,
Blaskiem pokoi do nieruchomości
Niebo, pod którym z nieb najrętsze chodzi.

Do ukazanej dekretami włości
Niesie nas siłą własną ta cięciwa,
Co w szczęsne sedno swoje strzały prości.

Prawda, że często forma nie pokrywa
Umyślnego od artysty wzoru,
Bowiem materia jest nieposkromliwa.

Częstokroć także od prawego toru
Stworzenie samo odegnie swe chęci,
A to za wiedzą wolnego wyboru —

Tak się i piorun z chmury na dół skręci,
Jeżeli duszę w przyrodzonym pędzie
Rozkosz fałszywa ku ziemi przynęci.

Niechże ci zatem w podziwie nie będzie
To, że się wznosisz, jak że popędliwy
Strumień w dół bieży przez skalne krawędzie.

To by dopiero były istne dziwy,
Gdybyś ty, wolen przeszkód, został w dole,
Gdyby na ziemi usiadł ogień żywy".

Rzekła i wzniosła swe oczy sokole.

PIEŚŃ II

Wy, co spragnieni słuchać, w wiotkim drewnie
Prujecie fale, poganiając biegu,
W ślad barki mojej płynącej tak śpiewnie,
Wracajcie sobie do waszego brzegu,
Ani puszczajcie się na wielkie morze,
Bo zginie, który nie dotrwa w szeregu.

Nikt nie biegł nurtem, kędy ja się wożę;
W żagl dmie Minerwa, Feb drogę odkryje,
Muzy poznać gwiazdami bezdroże.

O wy nieliczni, co prężycie szyje
Po chleb anielski, którym tu żywione,
Lecz syte usta nie były niczyje —

Popchnijcie za mną na te nurty słone
Łódź waszą, nim się zamknie srebrna smuga
I wyrównają wody rozdwojone.

Rzecz obaczycie, jakiej równa druga
Dziwiła chyba owe bohaterzy
W Kolchis, gdy naszli Jazona u pług.

Wrodzona człeku, bogokształtnej sfery
Oskoma wieczna jazdą taką żywą,
Jak ruch niebiosów, niosła nas w etery.

Beatryks w niebo, a ja w urodziwą
Twarz jej patrzyłem. Jako grot pocisku
Tkwi w sednie, ledwo że pchnięty cięciwą,

Jam nagle w dziwnym zawisnął zjawisku:
Wzrok mi porwało; więc ona, co do dna
Przegląda dusze w jednym myśli błysku,

Spojrzała na mnie piękna i pogodna.
„Podziękuj — rzekła — Dobroci Przedwiecznej,
Oto planeta pierwszym niebem włodna”.

Wtem mię ogarnął jakby obłok mleczny:
Tuman błyszczącej, gęstej, zbitej bieli,
Skrzącej jak klejnot w poświacie słonecznej.

W tę wiekuistą perlę my wpłynęli:
Tak woda promień słoneczny połyka,
Ale pod ostrzem jego się nie dzieli.

Jeślim tam żywy wszedł — choć się wymyka
Spod zmysłów ten wlot w księżycy struktury,

Bo wszak materia w materię nie wnika —

Zważ, czyśmy winni żarliwymi pióry
Dążyć do bytu, na którym dostrzeżem,
Jak się jednoczą w Chrystcie dwie natury.

Tam rozpoznamy, w co dziś tylko wierzem,
Bez argumentów, lecz z samoprześwitu,
Jak pierwsze prawdy, z których wiedzę bierzem.

„O pani — rzekłem — do niebiosów szczytu
Ślę korne modły i Panu dziękczynię,
Który mię wyniósł z padolnego bytu.

Odpowiedz, proszę: co za mgła to płynie
Po owym ciebie? Na ziemi z niej klecą
Powieść o ciernie noszącym Kainie”.

Ona się na to uśmiechnęła nieco:
„Gdzie klucze zmysłów tępe, tam istoty
Śmiertelne, widzisz, prosto w obłąd lecą.

Niech cię nie rażą zadziwienia groty,
Bo gdzie za wodze wybieramy zmysły,
Tam rozum musi mieć podcięte loty.

Lecz ty jak sądzisz? Od czego zawisły
Te rzekome plamy?” — „Sądzę, że je może
Miąższ wywołuje mniej lub więcej ściśły”.

A ona: „Zaraz ten błąd twój umorzę,
Jeżeli zechcesz pójść prostymi szlaki
Tych argumentów, które ci wyłożę.

Tam w sferze ósmej liczne gwiazd orszaki
Okólnym ruchem po przestworach płyną,
Rozmiarów oraz jaśni niejednakiej.

Gdyby gęstości stopień był przyczyną
Odmian, byłaby gwiazd na świecie władza
Różna nie treścią, lecz wielkością ino.

Ale wpływ różny gwiazd się wyprowadza
Z podstaw formalnych, którym, oprócz samej
Racji gęstości, twój wywód przeszkadza.

Jeśliby nadto tworzyła te plamy
Rzadkość materii, to albo by w zwartej
Masie planeta posiadała jamy,

Lub jak śród mięsa jest tłuszczyk rozpostarty,
Tak by i tutaj księżycowe ciało
Cieniem i światłem przeplatało karty.

W pierwszym wypadku to by się wydało
Podczas zaćmienia słońca, bo przez rzadszy
Miąższ by natenczas światło przeświecało.

Teraz się drugi wypadek rozpatrzy:
Gdy i ten zbiję w rozumnym wywodzie,
Tedy błąd uznasz. Jeżeli, wypadłszy
Ze słońca, promień na skróś nie przebodzie
Tego, co masą księżycową zowiem,
To, że grunt jakiś staje na przeszkodzie.

Od tego gruntu odbija się bowiem,
Jak się odbija przedmiotu widziało
Od szyby szklanej, podbitej ołowiem.

Odpowiesz może, iż światło zapadło
Bardzo głęboko w księżycowe luki
I że dlatego w tych miejscach przybladło.

Otóż w tym względzie zamiast mej nauki
Pospolitemu zawierz doświadczeniu:
Ono jest źródłem dla dzieł waszej sztuki.

Ustaw dwa lustra w równym oddaleniu,
A między nimi trzecie, dalej nieco;
Z tyłu za sobą, a na podniesieniu,

Umieścisz lichtarz z zapaloną świecą;
Niech blask wprost pada na zwierciadła owe
I wszystkie razem niech ci w oczy świecą.

Choć stoi dalej zwierciadło środkowe,
Ujrzysz, i o to nie stoczymy sporu,
Odbicie wszystkich światel jednakowe.

Jak płatek śniegu od słońca wigoru
Staje się nagim, bez postaci bytem,
Bo pozbawiony chłodu i koloru,

Tak się z umysłem twym stało, obmytem
Z błędu; więc teraz blask z mądrości źródłu
Fałsz tobie światłem zastąpi sowitem:

Pod niebiosami wiecznego pokoju
Toczy się sfera pewna; w możliwym wpływie
Na rzeczy mieści się treść jej ustroju.

W następnej, co tak błyszczysz migotliwie,
Ta treść na liczne byty jest dzielona,
Różne, lecz mknące we wspólnym porywie.

Poniższe kręgi nadają znamiona

Rzeczom odmienne, a tocząc się kołem,
Ku stałym celom sieją swe siemiona.

Owe narządy świata, wszystkie społem
Działają, widzisz, ze stopni na stopnie:
Przyjmują z góry, a oddają dołem.

Uważaj jeno, jak wiodę roztropnie
Myśl twą ku mecie pragnionej ponęty,
A już beze mnie reszty celu dopnie.

Ten obrót i wpływ kręgów rzeszy świętej,
Jak dzieło młota ze sztuki kowala,
Z błogosławionych bodźców jest poczęty.

Niebo, co tyłą światła się zapala,
Kształty swe bierze w krążącym Aniele
I w innych bytach jak pieczęć utrwala.

A jako dusza w waszym ludzkim ciele,
We wnętrzu całej przeniklszy postaci,
Po wszystkich członkach swoje władze ściele,

Tak owa Inteligencja bogaci
Dobrocią swoją gwiazdy we wszechbycie:
Dzieli się, jednak całości nie traci.

Moc różna — toż się wiąże rozmaicie
Z mnogością cennych ciał, na które wpływa;
Łączy się z nimi tak, jak z ciałem życie.

Dzięki pogodzie miejsca, skąd przybywa,
Ta moc anielska skroś gwiazdy prześwieca:
Tak się uciechą skrzy żrenica żywa.

Oto przyczyna, czemu tarcz księżycy
Niejednostajna; i nie rozrzedzenie
Sprawia, lecz podstaw formalnych różnica,

To, co wygląda jak światła i cienie".

PIEŚŃ III

Słońce, co pierwszy żar w mej piersi młodej
Zatliło, oto znowu mi odsłania
Słodką twarz prawdy mądrymi wywody.

Więc z jego łaski pełen rozeznania,
A niepewności wolen, wzniosłem głowy,
Ile się godzi dla potakiwania.

Wtem mi się nagle dziw ukazał nowy,
Który na oczy parł się z tak widoczną
Chęcią, że w ustach zapomniałem mowy.

Jako przez szybę gładką i przezroczną
Lub niegłębokie strumienie topieli,
Kiedy jej fale od wiatru wypoczną,

Ku patrzącemu własna twarz odstrzeli,
Lecz tak niepewna, że na czole białem
Perła się plamą wyraźniej szą bieli —

Taki tłum liców człowieczych ujrzałem:
Za czym popadłem w odwrotne złudzenie
Narcyza, co go cień ogarnął szałem.

Zaledwie spostrzegł te rzekome cienie,
Aby rozpoznać, skąd-li są i czyje,
Szybko za siebie rzuciłem spojrzenie.

Ale nie widząc nic, wykręcam szyję,
Ku mojej pani ślę wzroku narzędzie
I uśmiech tłący w świętych oczach piję.

„Niech ci mój uśmiech w podziwie nie będzie
Rzekła — nim prawdę słaby sąd odróżni,
Stopa twa jeszcze waży się w obłędzie

I zmysły twoje zawiesza na próżni.
Prawdziwie tutaj dusze ci się jawią
Ludzi, co ślubem swym zostali dłużni.

Mów z nimi, słuchaj, wierz w to, co ci prawią,
Bo zapatrzone w światło, które żywi,
Wbrew jego blaskom kroku nie postawią".

Za czym jam w ducha, który utęskliwiej
Pragnął przemówić, oczy moje wszczepił,
Jak ludzie chęcią przemożną lękliwi.

„O duchu błogi, coś się już pokrzepił
Słodczą blasków wiecznego żywota,

Której nie pojmie ten, co sam z nich nie pił,
Niechaj pozwoli łaska i ochota
Poznać twe własne i innych koleje..."

Z uśmiechem rajska odrzekła istota:

„Przychylność nasza otwiera wierzeje
Słusznym życzeniom i tak jest im skłonna
Jak boża: boży dwór myśl pańską sieje.

Jam była w świecie siostrzyczka zakonna;
Jeśli się swojej poradzisz pamięci,
Nie zakryje mię uroda pozgonna.

Jestem Piccarda; tu, gdzie inni święci,
W błogosławieństwie siedzę, sama święta,
W sferze, która się najpowolniej kręci.

Władzę uczucia jedyna nam pęta
Miłość Świętego Ducha; w naszym bycie
W taką rozkoszy normę jest ujęta.

Los nasz pozornie uboższym widzicie,
A jest nam dany, bośmy zaniedbali
Lub nie spełnili ślubów należycie".

A ja: „W tych waszych postaciach się pali
Jakiś blask boski i twarz waszą cudną
Od ziemskich stawia w nieskończonej dali.

Więc zrazu pamięć była mi obłudną;
Ze słów twych dzieje zdołałem odtworzyć
I rysy teraz przypomnieć nietrudno.

Lecz powiedz: szczęśni, którym dano zbożeć,
Czy pożądacie wyższego mieszkania,
By widok albo użycie pomnożyć?"

Na to uśmiechnie się duchów kompania,
A zaś Piccarda, szczęсна anielica,
Jakby w zapale pierwszego kochania:

„Bracie — powiada — chęć naszą nasycą
Zupełnie miłość, która chcieć nam radzi,
Co posiadamy: i to jest granica

Żądz naszych. Byśmy wyżej byli radzi,
Znalazłaby się wola nasza w sporze
Z wolą Onego, który los nasz łądzi.

Nieradość w sferach nieba być nie może;
W kochaniu Boga żywie, kto tu gości,
A miłość stąpa po zgodliwym torze.

Raczej jest formą naszej szczęśliwości
Trwać, kędy boża każe nam potęga,
Z wolą się bożą skupiać do jedności.

Ilu nas tu jest, od kręga do kręga,
Duch żaden na chęć inną się nie poda,
A Pan je wszystkie w swoją wolę wprzęga.

Bo wola Pana to nasza pogoda:
Ona jest morzem, dokąd spływa życie,
Które on tworzy lub przezeń przyroda".

Teraz mi nagle wybłysło odkrycie,
Że w całym niebie — raj, lecz Łaska rosi
Tutaj obficie, a tam mniej obficie.

A jak gdy służba potrawy obnosi,
Kto syty jednej, drugiej patrzy chutnie:
Tutaj dziękuje, a o tamtą prosi,

Tak ja spragniony i ciekaw okrutnie
Proszę słowami i gestami przy tem —
Pleść nici na tym niedotkanym płótnie.

„Większą nagrodą, doskonalszym bytem
Jest obdarzona ta, co w swym klasztorze
Mniszki welonem stroi i habitem,

Aby gotowe były w każdej porze
Dla Oblubieńca, co jest ślubom chętny,
Byle składanym w miłosnej pokorze.

Dzieweczce już świat wydał mi się wstrętny,
I poszłam za nią, jej przybrałam stroje,
Przyrzekłam żywot z jej świętymi piętny,

Ale przywiedli na mnie niepokoje
Źli ludzie; z cichych murów mię wyrwali —
Bóg wie, czym odtąd było życie moje...

Ta wtóra jasność, co w świetlanej fali
Obok mnie błyszczy i wszystkimi blaski
Tej naszej sfery płomiennej się pali,

Od losu równej doznała niełaski:
Mniszeczka była; jej też ludzie śmieli
Zedrzeć ze skroni cień świętej przepaski.

Lecz chociaż na świat wywlekli ją z celi
I wbrew jej ślubom welon zdarli z twarzy,
Z serca jej zasłon raz wziętych nie zdjęli.

To Konstancji' wielkiej duch się jarzy,

Co z Szwabii wichru wtórego na tronie
Wydała trzeci — kres rzymskich cesarzy".

Tak rzekła. Potem, słucham, z ust jej wionie
Ave Marija, i nucąc, przepadnie,
Niby rzecz ważka rzucona na tonie.

Wzrok mój, dopóki mógł ją ścigać snadnie,
Biegł za nią; skoro kształty jej się zwiały,
Na celu pragnień swoich znów się kładnie,

Ku Beatryczy obrócony cały.
Lecz grom piękności jej mię spiorunował
Tak, że źrenice zrazu nie zdzierżały,
I usta moje pytające skował.

PIEŚŃ IV

Prędej człek wolny głodem się zamorzy,
Nim z dwojga potraw, równo podniebienie
Nęcących, jedną na zębie położy.

Śród pary wilków równe zalęknienie
Uczuwa jagnię; z takimże namysłem
Staje pies czwany między dwa jelenie.

Jeślim więc milczał i w źródle wytryśłem
Wiedzy nie czerpał, ni wstyd, ni się szczycę,
Bo między dwiema chęciami zawisłem.

Milczałem, ale wydawało lice
Jaśniej, niż gdybym chciał użyć słów wiele,
Moje pragnienia i moje tęsknice.

A Beatrycze na sposób Daniela,
Co gniew ugłaskał Nebukadnezora
I pohamował wrózków karciciela,

Odgadłszy, rzekła: „Widzę, jak się pora
W tobie podwójna chęć i jak się stawa
Hamulcem myśli odmiennych przekora.

Wszak rozumujesz: jeśli wola prawa
Trwa w człeku, przecz-że gwałt, co ją pokona,
Ma jej ujmować do zasługi prawa?

Po wtóre: myśl twa jest zastanowiona
Dusz powracaniem do gwiazd, skąd ród wiodą
Wedle pewnego twierdzenia Platona.

Te dwie zagadki równo ciebie bodą,
Lecz przede wszystkim tobie się wyłoży
Mniemanie, które większą grozi szkodą.

Serafin, choć się najwewnętrzniej wboży,
Mojżesz, Samuel i święci Janowie,
Nawet majestat Marii, Matki Bożej,

Nie wyższe dzierżą krzesła w tej budowie
Raju ni dłuższą mierzą szczęście dobą
Niż ci, w tej chwili zjawieni duchowie.

Wszyscy pierwszego kręgu są ozdobą;
Większej lub mniejszej zaznają słodyczy,
W miarę jak na nich tchnie Bóg swą Osobą.

W niebie, które się niniejszym graniczy
Kręgiem, jawią się, by wskazać tym znakiem,

Że się ich szczęście do mniej szczytnych liczy.

Do was potrzeba gadać słowem takim,
Bo wasza wiedza przez zmysły się wszczyną,
Rozum zmysłowym jeno kroczy szlakiem.

Do pojęć waszych pismo się nagina,
Gdy Panu Bogu daje kształt człowieczy,
Choć, czym naprawdę jest, nie zapomina.

To samo Kościół Święty ma na pieczy,
Gdy Gabryjela lub Michała kreśli,
Albo Anioła, co Tobiasza leczy.

Co o człowieczych duszach Platon myśli,
Nie jest symbolem, jak w tutejszym bycie,
Gdyż co powiada, to rozumie ściślej.

Mówi, że dusza na gwiazdę w błękicie
Wraca, skąd była odjęta, jak wierzy,
By stać się formą na cielesne życie.

Może też inna w jego słowach leży
Myśl i rzekoma sprzeczność nią się godzi,
Wtedy powagę jej uznać należy.

Jeśli rozumie, że od gwiazd pochodzi
Wpływ zły i dobry, z naganą i chwałą,
Może łuk jego w cząstkę prawdy godzi.

Fałszywy wykład sprawił zła niemało:
Przezeń Jowisza, Marsa, Merkurego
Imiony gwiazdy się ponazywało.

Wtóre wątpienie, skroś którego biega
Twe myśli, słabszy jad wysącza z czary,
Niezdolen odwieść cię od boku mego.

Kiedy-ć się krzywdą wydadzą zamiary
Sprawiedliwości Bożej na padole,
To nie kacerstwa się imaj, lecz wiary.

Ponieważ jednak rozsądek wasz zdole
Wniknąć w tej prawdy głębiny przejrzyste,
Jako pożądasz, tak cię zadowolę:

Jeśli przemocą zwać się ma zaiste
Ten gwałt, co wolę przeciw woli zmaga,
To nie ze wszystkim te dusze są czyste.

Wola prawdziwa wytrwa, gdy się wzdraga;
Tak płomień ognia swego nie uroni,
Choć wiatr tysiąckroć kręci go i smaga.

Jeśli się wola choć cokolwiek skłoni,
Już służy sile; ich w tym wina głównie,
Że nie wróciły do świętej ustroni.

Gdyby w swej woli trwały tak hartownie
Jako Wawrzyniec brany na katusze
Lub Mucjusz, gdy kładł dłoń w płonąca głównię,
Wyrwałyby się światu i w otusze
Poszły po dawno przedsięwziętej drodze:
Ale są rzadkie takie silne dusze.

Jeśli wykładem moim trafnie godzę
W twoją pojętność, błąd ci się umyka,
Co by ci nieraz jeszcze dojadł srodze.

Teraz innego obłąd matecznika
Zagraża tobie: z jego kotłowiska
Nigdy nie wyszedłbyś bez przewodnika.

Już ci mówiłam, że duch, gdy pozyska
Raz świętość, kłamstwem brzydzi się koniecznie,
Jako że pierwszą Prawdę ujrzał z bliska.

Zaś od Piccardy wiesz, jak to statecznie
Welon w czci miała Konstancja pobożna,
Stąd możesz mniemać, że myślimy sprzecznie.

Padnieli, iż się inaczej nie można
Większej uchronić szkody, człowiek zatem
Wbrew chęci czyni rzecz, która jest zdrożna.

Alkmeon, ojca mszcząc, matki szkarłatem
Splamił się, ale z powinności syna:
Miłość synowska zrobiła go katem.

Kiedy więc wola sama się nagina,
Dopomagając sile, wtedy snadnie
Usprawiedliwić już się nie da wina.

Wola bezwzględna zawsze sobą władnie,
Ulega jednak, kiedy strach zagraża,
Iż przez oporność w złe większe popadnie.

Piccarda w swojej powieści wyraża
Tę wolę czynną, gdy ja opór bierny;
Najdzie w tym zgodę, kto dobrze uważa".

Tak to płynęła z przeświętej cysterny
Prawd wszelkich struga pięknego ponika,
Mir niosąc mojej tęsknocie niezmiernej.

„O ty, pierwszego ze wszech Miłośnika

Oblubienico — tak rzekłem — w poświęcie
Słów hojna, co mię do głębi przenika,

Jestestwo moje jest nie dość bogate,
By opłaciło łaskę należycie:

Ten, który może i wie, da zapłatę.

Nigdy nasz rozum nie będzie w dosycie,
Jeśli go Prawda Boża nie ucieszy,
Nad którą nie ma prawdy we wszechbycie.

W niej kwapi spocząć, jako zwierz w pieleszy,
Ledwie tam wróci; a powrócić zdoła,
Boć przyrodzona chęć ku wiedzy śpieszy.

W krąg prawd wątpienia rosną, jak dokoła
Pnia młode pędy, a natura święta
Ze szczytu na szczyt wstępować nas woła.

W tym ma otucha leży i zachęta,
O pani, pytać chcę pokornie dalej
O inną prawdę, co mi zasłonięta.

Chcę wiedzieć: śluby chybione ażali
Można zastąpić czym, co równo waży,
I czyli można takie kłaść na szali?"

Spojrzałem na nią, a jej wzrok się żarzy
Skrami miłości tak wielce boskimi,
Że nie zdzierżyłem, odwróciłem twarzy

I stałem błędny, z oczyma ku ziemi.

PIEŚŃ V

„Jeśli jaw ogniu miłości jarząca
Tak gaszę ziemski blask, iż władza wzroku
W nadmiarze moich żarów się zamąca,
Nie dziw, albowiem moc mego uroku
Bierze początek z pełni rozeznania
Prawd jasných, których używam widoku.

Widno mi, jak już tobie się odsłania
Wieczyste źródło, co gdy raz uświęci
Duszę, wiecznie ją do miłości skłania.

Jeśli was kiedy inny powab nęci,
To że skroś niego odbłysek nierozwiany
Pierwszego piękna tkwi w waszej pamięci.

Pytasz, czy można sposobem zamiany
Odkupić i ślub zastąpić jałowy
Tak, aby duszę zbawić od nagany?"

Tym Beatrycze zaczęła śpiew nowy
I jako człowiek, co go prze natchnienie,
Wiodła rozprawę świętą tymi słowy:

„Największe dobro, którym Bóg stworzenie
Darzy, litości Jego odpowiednie,
I które stawia sam w najwyższej cenie,
Jest wolność woli, którą samowiedne
Istoty były i są na przestworze
Obdarowane tylko one jedne.

Samo to już ci zrozumieć pomoże,
Jak wielce waży ślub, gdzie do twej chęci
Przyłączyło się pozwolenie Boże.

Człowiek umowę z Panem Bogiem święci,
Ofiarę składa przed najwyższym tronem,
Znak dobrej woli kładąc miast pieczęci.

W zamian — cóż można? I jest równie płonem
Chcieć dobrze użyć raz oddanej rzeczy,
Jak dobrze czynić nabytkiem kradzionem.

Oto się błąd twój najważniejszy leczy:
Ale bywało, Kościół ślub odwoła,
A to powyższej prawdzie rzekomo przeczy.

Więc trzeba tobie jeszcze trwać u stoła,
Bo karmi ciężkiej, którąś teraz spożył,

Umysł twój strawić od razu nie zdoła.

Trzeba, byś słowom mym posłuch otworzył
I przejął w siebie, bo źle wiedzę chowa
Ten, który słyszał, a w rozum nie wdrożył.

Dwie rzeczy w sobie zawiera osnowa
Ofiary, która ślubu nosi miano:
Jedną jest przedmiot, a drugą umowa.

Druga nie może nigdy być zmazaną,
Lecz się wypełnić musi; o dekrete
Owym dokładnie wyżej powiedziano.

Żydom kazano w ustawnej obietnicy
Dziękczynić Bogu, lecz Stare Przymierze
Ofiar zastępczych dozwalało przecie.

Przedmiot zastępczy można w pewnej mierze
Podstawić, jeśli tym się nie ukróci
Wartości ślubu danego w ofierze.

Lecz samowolnie jarzma nikt nie zrzuci;
Czekać potrzeba, aż ręka kapłana
Srebrny i złoty klucz w zamku obróci.

Jeśli nie będzie ustosunkowana
Wartość dwu danin jak cztery do sześci,
Nieważna będzie wszelaka zamiana.

Więc gdy ślub tyle ceny w sobie mieści,
Że każdy ciężar na szali przeważa,
Nie lza zastąpić niczym jego treści.

Nie czyńcie ślubów płocho, jak się zdarza;
Trwajcie w przysiędze, lecz nie bądźcie ślepi
Jak Jefte, gdy wiódł córkę do ołtarza.

Omyłkę wyznać było jemu lepiej,
Niż być jak Greczyn u Aulidzkiej fali,
Gdy na uczciwym ślubie głupstwo szczepi.

Stąd Ifigenia młodości się żali
I wszyscy się jej użalą urody,
Co o szalonym obrzędzie czytali.

Ważkiej wy bądźcie, chrześcijanie, przyrody,
A nie jak wiotkie na wiatr każdy pierze:
Was nie opłuczą lada jakie wody.

Toć macie Stare i Nowe Przymierze,
Wodza, który wam prawo przypomina;
To was wybawi i zguby ustrzeże.

Gdy się zła żądza w sercu waszym wszczyna,
Nie zwierzę w sobie czujcie, lecz człowieka:
Niech was nie potka pośmiejch Żydowina.

To-ć tylko jagnię, poniechawszy mleka
Macierzy, głupie uskoczy w komysze,
Gdzie się, igrając, nieszczęścia doczeka".

Tak więc mówiła do mnie, jak tu piszę;
Potem, ku stronie jutrztenkowych świtań
Tęsknie zwrócona, podała się w ciszę.

Jej oniemienie, brzask nowych rozkwitań
Z liców bijących nadziejską naturą —
Zahamowały żądze moich pytań.

Jak grot, z cięciwy poderwawszy pióro,
W cel wpadł, nim jeszcze struna się ułoży,
Tak myśmy w sferę wystrzelili wtórą.

W twarz mojej pani wpłynął taki hoży
Blask, ledwie w sferę oną przeleciała,
Że sam planeta rozpogodniał w zorzy.

A jeśli taka gwiazda się zaśmiała,
Jakże jam musiał rozpogodzić oczy,
Zdolen odmiany i z duszy, i z ciała!

Jako w sadzawce cichej i przezroczej,
Śród potworzonych od żeru pierścieni,
Tysiące rybek ściąga się i tłoczy,

Taką ujrzałem rzeszę jasnocieni;
A głos dolatał z każdego zjawiska:
„Oto, który w nas miłość rozpłomieni".

W każdej jasności, gdym się przyjrzał z bliska,
Tkwił cień; ja przedtem rzeczy nieświadomy
Poznałem, że to z niego radość tryska.

Pomyśl, jakbyś sam wiedzieć był łakomy,
Gdybym ja, co cię tą powieścią dziwię,
Nie zaspokoił twej słusznej oskomy,

A zgadniesz łącno, czylim czekał chciwie
Zrozumieć duchów ten stan niepojęty,
Gdym okiem spoczął na jarzącym dziwie.

„O ty, któremu mocą Łaski Świętej
Wiecznych tryumfów trony są odkryte,
Nim, żołnierz, ziemskie-ś rzucił regimenty,
Blaskami, co, w tym niebie rozpowite,

My zapaleni; więc naszymi żary
Paś się, aż oczy twoje będą syte".

Taki mi wionął głos od jasnej mary,
A Beatrycze: „Powiedz, powiedz śmieie
I daj tym boskim posłuch pełen wiary".

„Widzę, jak postać twa w gnieździe się ściele
Własnego światła, co-ć się z ócz dobywa:
Snadź nimi twoje wyblyska wesele.

Lecz nie wiem, kto ty, duszo urodziwa,
Czemu w tej gwiazdy mieszkasz kołowrocie,
Co nam ją światłość słoneczna zakrywa.

Tak się ozwałem przejasnej istocie,
Co pierwsza do mnie obróciła słowa:
Zabłysła, świadcząc wewnętrznej ochocie.

A jak na niebie żarkość południowa,
Gdy łagodzącym niekryte oparem
W białości własnej oczom słońce chowa,

Tak znikła, skryta radości nadmiarem,
Święta istota w jarzącej oponie
I niewidoma połała mię czarem

Słów, które w pieśni następnej wydzwonię.

PIEŚŃ VI

„Odkąd Konstantyn na wstecz słońca biegu
Eneaszowej zwrócił lot Orlicy,
Co przyleciała od wschodniego brzegu,
Lat przeszło dwieście na lądów granicy
Ptak boski skrzydła roztoczyste ważył
W rodzinnych swoich szczytów okolicy.

W cieniu piór świętych świata gospodarzył,
Coraz oddając władzę w ręce nowe,
Aż mnie na koniec berłem wyposażył.

Tam cesarz, tutaj Justynian się zowie;
Ja to z praw księgi, Pramiłością tknięty,
Powypleniałem zbytnie i jałowe.

Zanim ten zamiar we mnie był poczęty,
W Chryście naturę jedną uznawałem,
Pokojącymi złudzon argumenty.

Kiedym był takim ogarnięty szaleńcem,
Papież Agapit prawdę mi do sedna
Odkrył i moim uczynił udziałem.

Jam w to uwierzył, co mi dobył ze dna
Tajni tak pewnie, jak jest pewnym zgoła,
Że wśród dwu sprzecznych prawda tylko jedna.

Gdym stopy zrównał z krokami Kościoła,
Bóg owej księgi plan mi kreślił w łonie;
Oddałem mu się, ile duch podoła.

Belizarowi odstąpiłem bronie,
A tryumf jego był Bożym wskazaniem,
Że mi już pora odpocząć na tronie.

Tak więc skończyłem z tym pierwszym pytaniem,
Ale natura jego mię pozywa
Kilką głos jeszcze poszlakować za niem.

A to, byś wiedział, jak jest obelżywa
Rzecz, którą czyni Orłu ku zniewadze
Ten, co go zwalcza i co nadużywa.

Patrz, jaki szereg cnót jego powadze
Stawał podporą od tej pierwszej chwili,
Gdy Pallant konał, aby zdać mu władzę.

Przeszło trzy wieki w Albańskiej bastyli
Miał swoje gniazdo aż do dnia rozprawy,

Gdzie to trzej bracia przeciw trzem walczyli.

Od łez Sabineek aż po krzywdę prawej
Lukrecji, wiesz to, co pod siedmią panów
Zdziałał, sąsiednie zgarniając dzierżawy.

Wiesz, czego dopiął w ręku kapitanów,
Przeciwko hufcom niesion przed Rzymianym:
Brena, Pyrrhusa, królów, partyzanów.

Stąd Torkwat, Kwincjusz, »Czupurnym« przezwany,
I Decjuszów, i Fabiuszów zbroje,
Godnych, by mirrą owiać im kurhany.

On to arabskie zdeptał pyszne woje,
Co z Hannibalem zdobyły przełęcz
Alp, gdzie ty, Padzie, masz krynice swoje.

Pod nim święcili tryumf dwaj młodzieńce:
Scypion i Pompej; on miasto na stoku,
Pod którym wzrosłeś, wydał gorzkiej męce.

A potem blisko szczęśliwego roku,
Gdy świat miał zakwieść w niebieską pogodę,
Po woli Rzymu Cezar niósł go w toku.

Od Varu po Ren jak wiódł orły młode,
Wiadomo Sonie, Sekwanie, Izarze
I rzekom, kędy Rodan czerpie wodę.

Co po Rawennie, co po Rubikonie
Działał, przybrało tak wysokie loty,
Że tego piórem ni słowem nie zgonię.

To do Hiszpanii powiódł rzymskie rotę,
To na Durazzo i Farsalę runął,
Aż Nil gorący stąd zaznał zgryzoty.

Antandros, Simois zwiedził, skąd wyfrunął
Pisklęciem; z grobu Hektora na zgubę
Ptolemeusza dalej się posunął;

Stamtąd piorunem uderzył na Jube
I znowu nagle nad Zachodem krąży,
Kędy usłyszał Pompejańską tubę.

Nad tym, co działał następny chorąży,
Brutus z Kassjuszem z żalu w piekle wyje,
W smutek Modena z Perugią się grąży,

A Kleopatra łzami lica myje —
Uciekająca przed jego legiony
I śmierć biorąca od okropnej żmije.

Że Janusowy chram został zamknięty.
Ile wprzód zdziałał i jeszcze w przyszłości
Miał zdziałać znak ten, co mówić mi każe,
Pośród podległych jemu ziemskich włości,
Małym i ciemnym w jawie się okaże,
Gdy serce czyste i wzrok odsłonięty
Zatrzymają się na trzecim cesarze.
Bo Sprawiedliwość, którą wniebowzięty
Jestem, zleciła jemu w misji szczytnej,
By się narzędziem zdziałał zemsty świętej.
Słuchaj i niżej kłoń się, czołobitny:
Orzeł z Tytusem leciał mścić się Męki,
Co była pomstą za grzech starożytny.
A gdy się w Kościół lombardzkie paszczęki
Wgryzły, Karloman w orlich skrzydeł cieniu
Wsparł go pomocą swej zwycięskiej ręki.
Patrz, czy mam słuszność w jednym oskarżeniu
Łączyć tych wszystkich, na których grzech ciąży,
Iż są przyczyną waszemu strapieniu?
Ten przeciw godłu wszechcesarstwa pręży
Złote lilije, ów dla własnej chuci
Używa; nie wiem, kto z nich grzeszy ciężej.
Niech się gibellin pod inny znak rzuci,
Czyniąc swe sztuki, bo złej to natury
Służba, co z Orłem sprawiedliwość kłóci.
Niech nań z gwelfami swymi Karol wtóry
Nie godzi, a lew siłę Orła ceni:
Tęższe on grzywy bierał pod pazury.
Wielekroć byli synowie karceni
Za winy ojców; nie myśli on przecie,
Że Pan Bóg herb swój na lilie odmieni.
Ta drobna gwiazda pąsowi się w kwiecie
Duchów szlachetnych, co czyniły pilnie,
By po nich trwały cześć i sława w świecie...
Że chęci nasze dążyły omylnie,
Słabiej z nas Boże utęsknienie bieży
I promieniuje ku szczytom mniej silnie.
Lecz że tu każdy z nas nagrodę mierzy
Zasługą, a z jej wymiarem się godzi,
W zadowoleniu nasza rozkosz leży.

Tu sprawiedliwość tęsknotę łagodzi
I tak do pełna zaspokaja wolę,
 Że jej myśl żadna zdrożna nie odwodzi.
Śpiew słodki w dźwięków powstaje zespole:
Tak byty nasze rozmaitej skali
 Wdzięczną harmonię tworzą w niebios kole.
A oto w pierwszej tej perle się pali
Blask z Romeowych złożony promieni:
 Złem jemu niegdyś za dobre oddali.
Płaczą dziś przeciw niemu sprzysiężeni
Prowensałowie, bo w złe wpada tonie,
 Kto cudzą cnotę swoją krzywdą mieni.
Cztery miał córki — a wszystkie na tronie,
Rajmond Berlinghier: w takie ornamenty
 Skromny mu pielgrzym przyozdobił skronie.
Potem z poszeptów, nieufnością tknięty,
Cnego włódarza pozywał o zyski:
 On mu wykazał dwudzieste procenty.
Sam zaś ubogi, zgrzybiałości bliski,
Dwór pański żegnał; a gdyby wiadano,
 Jak mężnym sercem jadł z żebraczej miski,
To by go bardziej jeszcze uwielbiano".

PIEŚŃ VII

„Hosanna, święty Pan Bóg wojowników!
On wśród tych królestw na aniołów czole
Zapala sobą skry szczęsnych płomyków”.

Tak, nie ustając krążyć w swoim kole,
Zaczęła niebios bogomyślne pienie
Dusza w podwójną strojna aureolę.

W tan poszły razem wszystkie jasnocienie,
Mignęły niby iskier pobłysk rączy
I nagle skryło mi je oddalenie.

A ja mówiłem do się wahający:
„Powiedz — mówiłem — powiedz twojej świętej,
Która ci w duszę słodki napój sączy”.

Ale szacunkiem wszystek owładnięty,
Co sprawia, że drzę, słysząc „B” lub „ice” —
Schyliłem głowę jak człek snem ujęty.

Ulitowała się mnie Beatrycze,
W krasie uśmiechu taka urodziwa,
Że osłodziłaby katusz gorycze,

Rzekła: „Głęb duszy twej mi się odkrywa:
Myślisz, jakim to prawem spadać może
Za słuszną pomstę kara sprawiedliwa.

Ja ci wątpliwość tę rychło wyłożę,
Jeno uważaj pilnie: to są rzeczy
Zawierające wielkie prawdy Boże.

Zrywając uzdę, która ma na pieczy
Prawy bieg woli, człek nienarodzony,
Gubiąc się, zgubił cały ród człowieczy.

Odtąd lud ziemi niemocą złożony
Przez liczne wieki w obłędzie się mroczył,
Aż zeszło Słowo na ziemskie zagony.

A byt cielesny, który był odskoczył
Od swego Stwórcy, w jedynej Osobie
Aktem miłości z Bóstwem się zjednoczył.

Teraz bacz na to, co odkrywam tobie:
Ów byt złączony ze swoim Podmiotem
Dobry i szczery był w stworzenia dobie.

Lecz własnowolnie był wygnany potem
Z raj, stawszy się Bogu nieposłuszny,

Który jest drogą, prawdą i żywotem.

Zatem na krzyżu skon Chrysta katuszny,
Jeśli się zważy naturę przybraną,
Był ponad wszystkie godziwy i słuszny.

Ale też większej krzywdy nie widziano,
Zważywszy godność cierpiącej Osoby,
Która człowiecze wzięła na się miano.

Skutek podwójny wynikł z tej żałoby,
Bóg i Żydowie sąd przyjęli radzi;
Niebo radością drgnęło, smutkiem groby.

Teraz cię pojąć rozum doprowadzi,
Jak się to stało, że słusznie przyjęta
Kara słuszną się znowu pomstą gładzi.

Lecz widzę: myśl twa, jeszcze zaprzątnięta
Tokiem wyводу, w klubę weszła ciasną
I czeka, rychło węzeł się rozpęta.

Myślisz: »Com słyszał, to pojmuję jasno;
Nie pojmem, czemu dobroć Boża chciała
Zbawienie nasze krwią okupić własną?«

Ten dekret, bracie, przed oczyma ciała
Skryty jest temu, czyja mroczna dusza
W ogniu miłości jeszcze nie dojrzała.

Tej tajemnicy wielu się pokusza,
Nie każdy pojmie, czemu odkupienia
Środkiem wybrana została katusza.

Wiedz: Łaska Boża, w której nie masz cienia,
Pała i błyszczy, a kędy zaświeci,
Tam wieczne piękno z siebie wypromienia.

Wszystko, co się z niej bezpośrednio nieci,
Jest nieśmiertelne; żadna moc nie zmywa
Cechy, która się raz na nim wykwieci.

Wszelaka istność, która z niej wypływa,
Jest na wszem wolna, bo jej nie uciska
Swą doczesnością żadna rzecz pierzchliwa.

Bardziej jej luba dlatego, że bliska;
Bo ogień święty, co nad światem dnieje,
W podobnym sobie jaskrawiej wybłyska.

To są natury ludzkiej przywileje;
Jeśli jej tylko jednego zabraknie,
Już dostojęństwo jej karłowacieje.

W grzech wpadłszy, rychło wolności ułaknie,
Toż grzech w niej Boże podobieństwo skłóci;
Nie rozjaśnione bożym światłem — blaknie

I do godności swej póty nie wróci,
Póki przez skrucę nie odzyska maju
Łask, uwiędłego w gorącościach chuci.

Natura wasza we wszystkim rodzaju
Swoim zgrzeszyła i z tego powodu
Straciła prawa swe i rozkosz raju.

Zważ teraz pilnie: pomimo zachodu
Nie odzyskałaby straconych włości,
Wprzód nie przeszedłszy dwojakiego brodu:

Albo że Pan Bóg w swej wielkiej litości
Odpuściłby jej słuszne pokaranie,
Lub by sam człowiek odkupił swe złości.

Teraz-że zapuść źrenice w otchłanie
Tajników, ile zdołasz, człek padolny,
I daj mym słowom baczne posłuchanie:

W granicach władz swych nigdy nie był zdolny
Człowiek win zmazać ni zniżyć się póty
W upokorzeniu, Niebiosom powolny,

Ile wprzód w górę piął się, pełen buty;
I to jest powód, czemu płód człowieczy
Z mocy zgładzenia grzechu był wyrzuty.

Więc sam Bóg musiał śpieszyć pełen pieczy,
By człeku pełnię przywrócić żywota,
Z jednym lub dwojgiem tych środków k'odsieczy.

A że tym milsza jest mistrza robota,
Im się w niej żywiej jego duszy tętna
I jego uczuć odbija szczodrota,

Więc dobroć Boża, która swoje piętna
Nadaje światu, obiema sposoby
Ludzkość z upadku dźwigać była chętna.

Od pierwoświtu po noc kreśnej doby
Nie było sprawy tak nad wszelką miarę
Szczytnej. Bo oto Bóg z własnej Osoby

Człeku hojniejszą uczynił ofiarę,
Aby go dźwignął i znowu wanielił,
Niż gdyby z łaski odpuścił mu karę.

A darmo innym sposobem by celił

Wyrokom zadość uczynić do syta,
Gdyby sam w ludzką postać się nie wcielił.

Teraz chcę jeszcze, by-ć była odkryta
Zasłona jednej tajemnicy świętej:
Niech w niej two oko równo z moim czyta.

Powiadasz w sobie: »Cztery elementy
I elementów rozliczne złożenia
Są skazitelne, a byt ich ujęty
W granice czasu; jednakże istnienia
Są tworem ręki Bożej; dla tej cnoty
Być by powinny wolne od zniszczenia«.

Anioły, bracie, i te kołowroty,
W których szybujesz, czyste i świetlane,
Były stworzone z pełnią swej istoty.

Ale pierwiastki żywiołami zwane
I wszystkie rzeczy, które z nich się biorą,
Z mocy pochodnych są uformowane.

Stworzone ciało, które jest ich korą,
Stworzona jest moc, w kształtowaniu czynna,
A tkwiąca w gwiazdach, które tutaj gorą.

Dusza zwierzęca i dusza roślinna,
Która jest z miazgi zrodzona pośledniej,
Błyskom i ruchom gwiazd swą istność winna.

Lecz życie wasze w sposób bezpośredni
Tchnie Łaska Boża i rozmiłowywa
Tak, że już do niej tęsknicie po wsze dni.

Z tego się dla was argument dobywa
O zmartwychwstaniu, jeżeliś rozważał,
Z czego się wzięła cielesna pokrywa,
Gdy Pan Bóg waszych prarodziców stwarzał".

PIEŚŃ VIII

Mniemał świat, w zgubnej obłąkany wierze,
Iż piękna Kiprys miłością skalaną
Włada, po trzeciej rozpędzona sferze.

Zatem nie tylko jej samej składano
Korne modlitwy i ofiarne wonie
W owe obłądne człowieczeństwa rano;
Kupidynowi także i Dijonie;
Czczono jej matkę i czczono łucznika,
Co na kolanach siadywał Dydonie.

Po niej, która pieśń niniejszą odmyka,
Nazwano gwiazdę, co się słońcu wdzięczy,
Płasa-li przed nim czy za nim pomyka.

Jak w nią wpłynąłem, nie wiem, lecz mi ręczy
Za prawdę cudu to, iż się na twarzy
Mej pani wybił blask piękniejszej tęczy.

A jak w płomyku iskierka się żarzy
Lub ton wibruje wśród akordu brzmienia
I na harmonii strun niby się waży,

Tak ja ujrzałem iskry wśród płomienia
Żwawsze, wolniejsze, to bliżej, to dalej,
W miarę pełności ich jasnowidzenia.

Wiatr, co się z zimnych obłoków przewali,
Niosąc chłód albo pyły piasku wzdęte,
Pewnie wygląda w locie opieszalej

Temu, kto patrzył na płomyki święte,
Jak swe taneczne porzuciły rotę
U Serafinów wysokich poczęte.

W trop tych, co niosły najbliżej swe loty,
Brzmiało: „Hosanna”, tak słodkiej kapeli,
Żem po niej nigdy nie pozbył tęsknoty.

Wtem jeden płomień szybciej ku nam strzeli
I pocznie: „Na twą zdajemy się wolę;
Patrz w nas i niech cię nasz widok weseli.

Z Księżtwami nieba w jednym lecim kole,
Zjednani ruchem, celem, pożądaniem.

O nich śpiewałeś niegdyś na padole,
Że pędzą trzecie niebo pojmovaniem:
A tak cię lubim ja i me siostrzyce,

Że będziem szczęśni, gdy chwilę postaniem".

Ku pani korne podniosłem źrenice,

A gdy ucieszę je i gdy posilę,

Do światła, co mi taką obietnicę

Z siebie czyniło, cały się wychylę:

„Kto jesteś — pytam — duszyczko ogniowa?"

A głos swój wielką czułością umilę.

O, jakie świetne blaski radość nowa

Słońc aureolą kładła zolbrzymiałą

Na duchu, gdy te wymawiałem słowa!

„Śród ziemi waszej — odrzekł — żyłem mało;

Bogdajbym dłużej tam pomieszkał żywo,

Wiele by złego pewnie się nie stało.

Uciecha duszna osłania pokrywą

Promieniejącą kształty mej postaci,

Jak jedwabnicę kokonu przędzywo.

Tę miłość, jaką za miłość się płaci,

Dałeś mi; gdybym trwał między ziemiany,

Byłbyś z niej ujrzał coś więcej prócz naci.

Owy brzeg lewy, falami oblany

Rodanu, gdzie się z Sorgi nurtem godzą,

Miał niegdyś berłu memu być poddany.

Z nim róg Auzonii, który wokół grodzą

Zamki Gaety, Bari i Catony,

Gdzie Tronto z Verdem do morza uchodzą.

Jużem na czoło przymierzył korony

Z tej ziemi, co ją swym strumieniem płucze

Dunaj, niemieckie porzuciwszy strony.

Piękna Trynakria — nad którą mgły krucze

Nie Tyfej wzdyma, lecz siarka pod korą

Gruntu zatoki, gdzie się Eurus tłucze,

Między Paquino wiejąc i Peloro —

Raczej by prawych Rudolfa i Karła

Następców na tron czekała. Cóż, skoro

Tyrania, która tylekroć otwarła

Wrota niesnaskom, w sykulskiej stolicy

Okrzykiem: »Śmierć! Śmierć!«, rozjuszyła garła.

Gdyby brat przejrzał, że mu namiestnicy,

Ta katalońska łapczywa hołota,

Lud krzywdzą, byłby zapobiegł krwawicy.

Kto państwem rządzi, niechaj się kłopotą
O jego dobro: gdy z ładunkiem płynie
Zbyt ciężkim, zbędzie mienia i żywota.

Szczodrość rodzica zwyrodniała w synie:
Winien by takich wybierać włodarzy,
Co nie zgarniają pieniędzy do skrzynie".

„Miło mi wierzyć, że ty, twarzą w Twarzy
Pogrążon Bożej, oddychasz weselem,
Co dzięki tobie i na mnie się żarzy

I co dóbr wszelkich jest źródłem i celem;
Milej, że słów mych szczere znasz oblicze,
Boś jasnowidny duch przed Stworzycielem.

Ucieszyłeś mię, teraz przeto życzę,
Abyś oświecił, bo mię podziw ima,
Jak miód się może wyrodzić w gorycze".

Tak rzekłem, a on: „Niech się myśl zatrzyma
Na tym, co powiem, a ku prawd powadze
Będiesz stał twarzą, tak jak dziś plecyma.

Dobro sycące i dzierżące w wadze
Światy, po których wstępujesz do szczytu,
Opatrzność swoją zmienia w nich na władze.

A dba nie tylko o naturę bytu
Wszego Przezorność Boża doskonała,
Lecz o ład jego i pełnię dosytu.

Rzecz, która z tego łuku wybieżała,
Tak niezawodnie do swej mety chynie,
Jako do celu przejrzanego strzała.

Inaczej nieba, po których drabinie
Stąpasz, zmieniłyby ten świat ogromny
W twór nie cudowi rówien, lecz ruinie.

Co niepodobna, chyba że ułomny
Duch mają Wiedzy, tych gwiazd wzruszyciele,
I ów Pierwowied, mocą w nich przytomny.

Chceszli, tę prawdę jaśniej ci wybiele".
A ja: „Nie trzeba, wierzę bez dowodu:
Natura chybić nie może w swym dziele".

„Byłoby — dodał — dla ludzkiego rodu
Gorzej, gdyby żył w niespołecznym stanie?..."
„Tak — rzekłem — ani nie pytam powodu".

„A istniałby ten stan, gdyby ziemianie

Za rozmaitym powołaniem nie szli?"

„Nie i w tym jasne stoi Mistrza zdanie".

Te racje podał i dołożył: „Jeśli

Tak jest, to przeto, że na przeznaczonym

Są miejscu, jak je na świat z sobą wnieśli.

Ten się Kserksesem rodzi, ten Solonem,

Melchizedechem lub tym, czyj junaczy

Syn chciał się w chmury wzbić lotem szalonym.

Siła okrężna niebios własnym znaczy

Piętnem воск ziemski z odwiecznego prawa,

Lecz na stan ani krewieństwo nie baczy.

Jakub się rdzennie różni od Ezawa,

Romulus idzie z tak ciemnego rodu,

Że mu się Marsa za ojca podawa.

Nie byłby różny płodzący od płodu

I twórca zawsze odbiłby się w tworze,

Gdyby nie czujność Bożego zachodu.

Na prawowitym stoisz teraz torze;

Aby zaś dowieść, żem ci jest po woli,

Na domiar jeszcze jednego dołożę:

Jeśli z przyrodą los się nie zespoli,

Płód wyda lichy dobrocią i trwaniem,

Jak ziarno siane w niewłaściwej roli.

Gdyby świat chodził w parze z przykazaniem

Natury ową przejrzaną koleją,

Sami by dobrzy rodzili się na niem.

Lecz tam przyrody słuchać nie umieją,

Czyniąc kapłanem, kto stworzon do miecza,

A królem, kto miał zostać kaznodzieją.

Na błędnych ścieżkach jest stopa człowiecza".

PIEŚŃ IX

Tak mię pouczał twój Karol zwycięski,
Piękna Klemencjo, a potem przed oczy
Przesunął przyszłe domu swego klęski,
Lecz ostrzegł: „Zmilcz je, niech się dola toczy”.

Więc milczę, tyle jednakże odsłonię:
Za krzywdy wasze słuszną zemsta kroczy.

Już też istota mieszkająca w łonie
Świętego blasku zapadła wesoła
W słońce dobroci, co dla wszystkich płonie.

O wy, stworzenia bezbożne i zgoła
Omyłne, które tym dobrem gardzicie
I ku próżności podajecie czoła!

A oto wtóra z tych dusz w błogim bycie,
Na okazanie, że jestem jej miły,
Błysnieniem ognia przebiła spowicie.

Oczy mej pani, które we mnie tkwiły,
Uśmiechnęły się jak wprzód; po nich zgadłem,
Że każe ustom, aby przemówiły.

„O szczęśny duchu, skoro twą posiadm
Łaskę, wynagrodź moję chęć i dowiedź,
Że mych pożądań raczysz być zwierciadłem!”

Tak rzekę. A duch ze swych jasnych powić,
Śród których nucił, jak człek w dobrem żwawy,
Tę na wezwanie moje dał odpowiedź:

„W owym zakęcie nierządnej dzierżawy
Italskiej, która Rialtem jest zawarta,
A wraz źródłami Brenty i Pijawy,
Staneła góry niewysokiej warta,
Gdzie to zatliła się głównia, w pożodze
Rychło na cały kraj ów rozpostarta.

Z jednej z nią iskry, masz wiedzieć, pochodzę:
Cunizza zwałam się; tu w blaskach żywię,
Bom za tą gwiazdą stapała w swej drodze.

Radośnie patrzę dziś i pobłaźliwie
Na przeszłość moją; iż mię to nie dręczy,
Żem w niższym niebie, będzie wam w podziwie.

Ów cenny klejnot, który na obręczy
Naszego nieba blisko mnie się złoci,

Wielką się sławą na padole wieńczy
I będzie, zanim wiek się spięciokroci.
Patrzże: by pamięć swą przekazać wiekom,
Do jakiej trzeba podnieść się dobroci!
Od tak poważnych myśli jest daleko
Rzesza sieczona katorżnymi chrusty
Nad Tagliamentu i Adygi rzeką.
Rychło znów Padwa otworzy upusty,
Aby Vicenzę grześć w wodnej mogile,
Bo jest niekarny lud i twardousty.
Tam gdzie z Cagnanem jednoczy się Sile,
Włada i głową niebiosów domierza
Ktoś, komu pętlę plotą pod tę chwilę.
Feltro powtórnie na złego pasterza
Zdradę zapłacze; będzie tak mizerna,
Że nie widziała lichszych Malty wieża.
Być by musiała pojemną cysterna,
Co by zmieściła wszystką krew Ferrary —
Na uncje mierzyć, praca niepomierna —
Którą wytoczy ten grzeszny wikary,
Gwoli stronnictwu swemu umilony;
Snadź są w zwyczaju ówdzie takie dary.
Wyżej są Żrzadła, wy mówicie: Trony,
W których sądzący Pan Bóg nam odsłania
Przyszłość; uwierz więc wróżbie przerzeczonej".
Zmilkła i żeby dać mi do poznania,
Że w innych myślach chce utonąć ninie,
Wpłynęła w sferę krążącą kochania.
A duch radosny, co tak w świecie słynie,
Nagle mi błysnął w zachwycone oczy;
Właśnie jak słońce jarzące w rubinie.
W niebiosach radość z blaskiem się jednoczy
Jak tu z uśmiechem; za to tam w Gehennie
Im duch smutniejszy, tym się bardziej mroczy.
„Widzi Bóg — mówię — i tobie promiennie
Wid swój odsyła, duchu rajem syty;
Więc znasz pragnienia moje nieodmiennie.
Dlaczegoż głos twój, cieszący błękity
Wraz z pobożnymi ogniami na niebie,
Co z sześci skrzydeł wkładają habity,

Tak jest niełaskaw mej dusznej potrzebie?
Ja bym nie czekał twojego proszenia,
Gdybym tak samo umiał wnikać w ciebie".

A na to były słowa jasnocienia:
„Największa z dolin, wody schłaniająca
Po oceanie, co świat opierścienia,
Śród wrogich brzegów, przeciw biegu słońca
Tak się wydłuża, iż u wschodniej ściany
Południk czyni z widnokręgu końca.

Na tym wybrzeżu byłem ja chowany,
Wpół między Ebru a Makry strumykiem,
Który Genuę dzieli od Toskany.

Prawie pod jednym leżą południkiem
Buggia i gród mój, co nurt swej przystani
Widział krwawiący pod Rzymianów szykiem.

Folco mię zwali ziomkowie wsłuchani
W me pieśni; dziś mię sfera trzecia chowa:
Czym ona dla mnie wprzód, jam dziś jest dla niej.

Mniej rozgorzała córka Belusowa,
Z duchem Sycheja i Kreuzy zwaśniona,
Niż ja, póki mi nie zsiwiała głowa;

Ni Rodopeja, niegdyś uwiedziona
Od Demofonta, ni Alcyd, gdy Joli
Obraz kochany zamknął w głębi łona.

Tutaj się cieszym, nie że nas nie boli
Wina, bo ta nam już się nie odzywa,
Ale że żyjem tak po Bożej Woli.

Tutaj nam jawią się najwyższe dziwa
Stworzone sztuką; poznajem ustroje,
Przez które wyższy świat na niższy wpływa.

Lecz by poczęte tu pragnienia twoje
Uciszyć pełną wiedzą doskonałej,
Dalszym cię jeszcze słowem zaspokoję.

Chcesz wiedzieć, kto się w tym światelku pali,
Które tu blisko swój płomień kołysze
Jak smuga światła w przezroczystej fali?

Oto wiedz, że w nim przyucza się w ciszę
Raab pośród nas, a gwiazda Wenera
Najwyższe piętno na jej bycie pisze.

Do tego nieba, gdzie się cień opiera

Ziemią rzucany, pierwsza przed innemi
W chwale Boskiego weszła Bohatera.

Bo należało dźwignąć ją z podziemi
Na jedną z tych sfer, ją, zwycięstwa znamię
Wywalzonego dłońmi złożonemi.

Ona to wsparła Jozuego ramię,
Kiedy dobywał sławnie Ziemi Świętej,
Nad którą papież dzisiaj rąk nie łamie.

Twój gród, od ducha pysznego poczęty,
Co pierwszy stanął przeciw Majestatu
I niekarnością wszczął świata lamenty,

Jest rozsadnikiem nieszczęsnego kwiatu,
Który obłąkał trzodę wśród bezdroży,
Z pasterza wilka czyniąc na złe światu.

Więc Ewangelia i wielcy Doktorzy
W pogardzie; górą za to dekretały,
Na których pismak swoje glosy mnoży.

Nimi się para papież, kardynały;
Do Nazaretu ich myśl nie popłynie,
Gdzie archanielskie skrzydła powiewały.

Toteż Watykan i inne świątynie
Rzymu, które się zmieniły w cmentarną
Sadybę Piotra Świętego drużynie,
Rychło się z tego nierządu wygarną".

PIEŚŃ X

Niewysłowiona Moc, patrząc na Syna
Oczyrna tego świętego Kochania,
Które się z obu od początku wszczyna,
Wszystko, na co wzrok albo myśl się skłania,
Wprawia w ład taki, że rozkosz bez liku
Płynie z samego tych praw oglądania.

Więc czoło teraz podnieś, czytelniku,
I wzrok twój niech się w tym miejscu zatrzyma,
Kędy przechodzi zodiak po równiku.

I niechaj pierś twa zachwytem się wzdyma
Nad sztuką Mistrza, co tak swego tworu
Strzeże, iż tkwi w nim ustawnie oczyma.

Patrz, jak się odgiął od prostego toru,
Przeto, że ziemia jego władz przyzywa,
Owy zwierzyniec niebieskiego dworu.

Gdyby nie była droga jego krzywa,
Wiele sił nieba zesłoby na nice
I moc by żadna nie została żywa.

Gdyby choć nieco zboczyła z granice
W prawo lub lewo, ład by znikł w dzierzawie
Świata, szczelby ziemskie półkulice.

Siedźże, słuchaczu, teraz na swej ławie,
Rozpamiętywaj nad ucztą przedsmakiem:
Ja zanim znużę, wprzód cię zabawię.

Pchnąłem cię naprzód; idź wskazanym szlakiem,
Bo oto chłonie wszystkie me zachody
Materia, której zostałem śpiewakiem.

Owy najwyższy namiestnik przyrody,
Który odstrzela światu boże raje
I blaskiem swoim znaczy godzin chody,
Przyszedłszy na te dwu kręgów rozstaje,
Zaczął posuwać się spiralnym kołem,
Po którym chodząc, co dzień raniej wstaje.

Już byłem w słońcu, lecz jak w nie wpłynąłem,
Tegom nie dostrzegł; tak człowiek nie zbieży
Wybłysku myśli, jeno z myślą społem.

O, w jaki blask się ustroiła świeży
Ona — po stopniach piękności wodząca

Szybciej, niż miarą czasu się wymierzy —

I jaka była cała jaśniejąca!

A już mi sztuki i dowcipu braknie,

By rzecz opisać, widną wewnątrz słońca

W blasku, nie barwie; pod piórem mi blaknie

Obraz i słowa stają się nieskładne;

Lecz ten uwierzy, kto oglądać łąknie.

Nie dziw, że w takich wyżynach nie władnę

Pamięcią, by z niej mieć wiernego świadka:

Wzwyż słońca oko nie wybiegło żadne.

Tam mi jawiła się czwarta czeladka

Boża, którą już wieczyście nasycą

Odkryta Trójcy najświętsza zagadka.

Więc Beatrycze: „Wzniesź dziękczynne lica,

Słońce aniołów chwal, że szczęsnej pory

Tym dotykalmym cudem cię zaszczyca”.

Nigdy człek w sercu nie był taki skory

Do uwielbienia Boga ni tak chętny

Dank mu wdzięczności składać i pokory,

Jak ja, kiedy mię w jakiś żar namiętny

Bożej miłości pchnęła jej zachęta:

I trwałem, pani mojej niepamiętny.

Nie zadąsała się, lecz uśmiechnięta

Spojrzała; od jej uśmiechów uroku

Znów się skupiona moja myśl rozpęta.

Rój światła widny w słonecznym otoku

Ogniskiem czynił nas swojego kręga,

Słodszy dla ucha niż widny dla wzroku.

Czasem wygląda tak Dyjany wstęga,

Gdy z pary wodnej splecioną obrozę

Wokoło tarczy księżycowej sprzęga.

Tam, skąd wróciłem, na niebieskim dworze

Jaśnieją piękne i drogie klejnoty:

Nie lza ich wywieść za Królestwo Boże.

Tak wyglądały te śpiewacze rotty:

Ten chce w niemowie mieć nowin zwiastuna,

Kto ku nim nie wzbił się własnymi loty.

Słońc gorejących rozśpiewana łuna

Trzykroć nas brała w swoje błyskawice,

Krążąc jak gwiazdy wokoło bieguna.

Tak rozbiegane w p[ł]asach tanecznicze
Razem przystaną i, pełne skupienia,
Uchem chwytają nowy rytm w muzyce.

A z wewnątrz ten-ci brzmiał g[ł]os jasnocienia:

„Gdy promień łaski, który miłość płodzi,
Co się w kochaniu jeszcze rozpłomienia,

Do takich granic swą czułość przywodzi,
Że ci pozwala stąpać po drabinie,
Po której nikt bezpowrotnie nie schodzi,

Kto by ci bronił zmaczać usta w winie
Zbawienia, byłby tak wolności próżny,
Jak woda, która do morza nie płynie.

Życzysz usłyszeć, jaki kwiat przeróżny
Sklada girlandę, rozwitą w urodzie
Pani, co krzepi w tobie trud podróżny?

Wiedźże: owieczką byłem w świętej trzodzie
Dominikowej, co jeżeli czynu
Nie zaniedbywa, nie sypia o głodzie.

Ów z prawej strony duch jasny, o synu,
Bratem i mistrzem mi był; to z Kolonii
Albertus Wielki; jam Tomasz z Akwinu.

Jeżeli pragniesz, że ci się odsłoni
Inne w tym wieńcu nieśmiertelne miana,
Obracaj oczy za wodzą mej dłoni.

Ów blask pochodzi z uśmiechu Gracjana,
Co tak skutecznie praw pogodził dwoje,
Że stąd uciecha była w raju Pana.

Czwarty zdobiący te święte pokoje
Jest ów Piotr, który jak wdowa uboga
Zdał Kościołowi wszystko mienie swoje.

Ta piąta jasność, nad wszystkie tu droga,
Z takiej miłości tchnie, że w ziemskiej stronie
Każdy rad wiedzieć, jak żywie u Boga.

Taka w niej mądrość przepaścista płonie,
Że póki prawda prawdą, równej sławy
Mąż się nie rodził na ziemskim wygonie.

Poza nią widzisz tu blask, co pojawia
Wziąwszy cielesne, śród ludzi najręcej
Poznał naturę anielską i sprawy.

A w tym maleńkim światełku się wdzięczy

Owy obrońca chrześcijańskich ołtarzy,
Którym się, było, Augustyn wyręczy.

Jeśli po blaskach innych luminarzy
Myśl twoja tropem mych pochwał śladuje,
Zapagniesz poznać, co się w ósmym żarzy.

W nim oglądaniem Boga się raduje
Duch mędrca, który sercu, co go słyszy,
Marności świata tego ukazuje.

Ciało, skąd został wygnany, tam w niszy
Leży Cieldauru; z wygnania, z mozołu
Tutaj się dostał do miru i ciszy.

W ognistym wieńcu krążyli pospołu
Izydor, Beda i ów Ryszard z nimi,
Który był więcej niż człkiem padółu.

Ostatni z duchów jasných tak szczytnemi
Zadumaniami miał zajętą głowę,
Że mu dłużyło się ulecieć z ziemi.

To jest wieczyste światło Sigierowe,
Co nauczając w Słomianej ulicy,
Głosił budzące zawiść prawdy nowe".

Wtem, jak o świecie, gdy Oblubienicy
Boskiej, spragnionej świętego kochania,
Śpiew budzi Męża miłego w łóżnicy,

A zegar kółka toczący wydzwania:
„Dzień, dzień", tonami pieszczoty tak słodkiej,
Że się w niej sam duch od lubości słania,

Tak krążąc w światła wirownicy wiotkiej,
Grali pieśń swoją przesławni lutniści,
W której nikt jeszcze nie pochwycił zwrotki,
Jeno tam, gdzie się rozkosz wiekuiści.

PIEŚŃ XI

O bezrozumne zabiegi człowiecze,
Jakaż tkwi w waszych sylogizmach wada,
Że się wam skrzydło tak poziomo wlecze!

Ten księgi prawne, ów lekarskie bada,
Ten chce w kapłańskiej pysznieć świętej krasie,
Ten sztuką rządzi, a ów siłą włada.

Ten się rozbojem, ów urzędem pasie,
Znów inny zmysły rozkoszą mozoli,
Inny w gnuśności żyje i wywczasie.

A ja wyrwany z tej wszystkiej niewoli
Otom był w raju, gdzie mię Beatrycze
Wyniosła z sobą w gwiezdnej aureoli.

Już też duchowie, na swoje stanice
Po kręgach blasku wróciwszy, stanęli
W miejscu, jak w swoich lichtarzach gromnice.

Potem z pośrodku ogniowej topieli
Głos mi się ozwie, już słyszany skorzej,
I w znak radości światłem jaśniej strzeli:

„Wszystko ja — mówił — widzę w łunie Bożej.
Toż zapatrzony w to wieczyste płomień
Wiem, jaki teraz niepokój cię trwoży.

Wątpisz i czekasz, że ci uświadomię
I nieomylnym wywodem rozjaśnię
Tak, że w nim przejrzysz, wątpliwości kromie,

Znaczenie słów tych, że »głodnym nie zaśnie«
I o tym, co był »niezrównany wiedzą«:
Oto rozróżnić tutaj trzeba właśnie.

Opatrzność, która nad tą ziemską miedzą
Czuwa rozumem takim, że żrenicy
Moce się zwichną, zanim dna dośledzą,

Chcąc oto miłość wzmóc Oblubienicy
Ku Małżonkowi, który z nią wesele
Odprawiał w jęku i świętej krwawicy,

Pragnąc, by szła doń i ufnie, i śmieie,
Dwu książąt wybrał w ziemskich mężów gronie
Na przewodników jej w podwójnym dziele.

Jeden miał ogień seraficki w łonie,
A w drugim taka mądrość się zebrała,

Że od niej blaskiem cherubina płonie.

O jednym powiem, bo jednego chwała

Obu dotyczy, a ich powołanie

W jednym kierunku i znaczy, i działa.

Między Tupinem a wodą, co kanie

Ze wzgórz, gdzie pamięć Ubalda jaśnieje,

Stok żyzny kłoni się po górskiej ścianie.

On to Perugię raz ziębi, raz grzeje

Od strony Porta Sole; w tyłach wzgórza

Gualdo z Nocerą pod uciskiem mdleje.

W miejscu, gdzie stromość z lekka się wydłuża,

Słońce tam weszło człowieczego rodu,

Jak owo, co się z Gangesu wynurza.

Kto więc wspominać chce owego grodu,

Nie mówże: »Asyż«, bo rzekłbyś za mało,

Lecz: »Wschód«, bo słuszna zwać go mianem Wschodu.

Na niebie jeszcze niewysoko stało,

Gdy plemię ludzkie z zasług jego cnoty

Już pierwszych błogich skutków doznawało.

Bo on chłopięciem, wbrew ojcu, w zaloty

Biegł do tej pani, co nie wszystkich nęci,

Podobnie jak śmierć, dla swojej brzydoty.

Przed trybunałem duchownym swe chęci

Zgłosił et coram patre dał jej słowo,

A potem co dnia kochał ją goręcej.

Po pierwszym mężu swoim była wdową

Tysiąc więcej stu i kilkoma laty,

Aż ją ten oto poślubił na nowo.

Bo nie pomogło, aby zwabić swaty,

To, że w rybaka chacie nie zadrzała

Na głos Cezara straszącego światy.

A taka była wierna i wytrwała,

Że razem z Chrystem zawisła na krzyżu,

Gdy nawet Matka u stóp pozostała.

Lecz byś nie błdził, będąc już w pobliżu

Prawdy, odkryję myśli osłonięte:

To z panią Biedą Franciszek z Asyżu.

Zgoda małżonków, lica uśmiechnięte,

Miłość przedziwna, wzrok pełen pogody

Budziły wkoło zadumania święte.

Pierwszy się rozzuł bieżący na gody
Bernard czcigodny i jeszcze się wstydzi,
Że śpieszy mało... O dobro bez szkody,
O skarbie wieczny! Więc rozzuł się Idzi,
Rozzuł Sylwester za pierwszym małżonkiem,
Taka im luba małżonka się widzi.

Tak poszedł ojciec i mistrz ze swym gronkiem
Dobranym: z panią i czeladką chętną,
Już opasaną pokornym postronkiem.

Ni mu chmurzyło czoła wstydu piętno,
Choć się urodził synem Bernardona
I miał urodę oczom nieponętną.

Lecz po królewsku zamiarów dokona,
Odkrywszy trudny plan przed Innocentem,
I bierze pierwszą pieczęć i znamiona.

Gdy trzódka rosła, w trop za mistrzem świętem
Krocząc, którego żywot nad pojęcie
Godniej chwalono by nad firmamentem,

Papież Honoriusz, na Ducha zakłęcie,
Ozdobił chwałą powtórnej korony
Arcypasterza szczytne przedsięwzięcie.

A że był palmy męczeńskiej spragniony,
Chrystusa głosić jął i Apostołów
Przed sułtańskimi, nie zadrżawszy, trony.

Lecz widząc próżne owoce mozołów,
A lud ów twardym i wierze niezdarnem,
Wrócił brać żniwo z italskich padołów.

Pośród skał, które Tybr okrąża z Arnem,
Ostatnią pieczęć, od Chrystusa wziętą,
Dwa lata nosił na ciele ofiarnem.

Gdy Bóg, który mu taką pracę świętą
Wyznaczył, po tej ziemskiej poniewierce
Przygotowywał dlań wieczyste święto,

Na brać swą, mienia słuszne spadkobierce,
Zdał opiekuństwo swej małżonki miłej,
Każąc, by wierne jej chowali serce.

Z jej łona zstąpił potem do mogiły;
Gdy dusza do swej wzlatała dzierzawy,
Zwłoki mar innych sobie nie życzyły.

Pomyśl, jakim był drugi sternik nawy

Piotrowej, którą z nim razem prowadzi
Przez dzikie morza do przystani prawej.

To patriarcha nasz; o kim on radzi
I kogo służba, i trud nie przestrasza,
Dobry ładunek na swą barkę ładzi.

Lecz trzodę nowa ponęciła pasza,
Więc tak łakoma stała się bez miary,
Że po manowcach dla niej się rozprasza.

A gdy odbiegnie w gąszcze i czahary
Precz od pasterza, co tak o nią stoi,
Z pustym wymieniem wraca do koszary.

Niejedna przy nim trwa; szkody się boi:
Lecz tak ich mało, że się wszystkim łącznie
Ze sztuki sukna kaptury wykroi.

Jeśliś za myślą mą nie szedł omacnie,
Jeżeli słowa moje masz w pamięci,
Jeśli słuchając, roztrząsałeś bacznie,

Już nieco swojej dopełniłeś chęci:
Widzisz, z jakiego drzewa strugam wióry
I co się w słowach rzemiennika święci,
Gdy mówi: »Syty, kto do dzieła skory«".

PIEŚŃ XII

Zaledwie przerzekł swe ostatnie słowo
Błogosławionej ognik aureoli,
Święty krąg począł wirować na nowo.

Lecz zanim jeszcze pełną odbył kolej,
Już się krąg drugi w pierwszą tęczę wplata,
Słowo ze słowem, dźwięk z dźwiękiem zespoli.

Dźwięk, do którego w tych nadniebnych świata
Organach tak się mają ziemskie tony,
Jak do pierwosłońc ich ziemską poświata.

Taki jest właśnie na rozkaz Junony
Z barw równoległych wity łuk dwutęczny
Na wiotką chmurę w powietrze rzucony.

Ze środkowego wystrzela zewnętrzny,
Jak głos tej nimfy, co niby opary
W słońcu, zmarniała w miłości niewdzięcznej.

Weń poglądając, ludzie są tej wiary,
Że to znak boży pisany na chmurze,
Jako nie spuści więcej równej kary.

Tak więc naokół nas wieczyste róże
W girlandzie toczą swoje korowody,
Zewnętrzna średniej wtórując w tym chórze.

Aż gdy te wielkie i radosne gody,
Owe migoty i owa muzyka
Światła, lubości pełna i pogody,

Za zgodną wolą, która w ruch przenika,
Zmilkły tak razem, jak obie połowy
Powiek się razem zwiera i odmyka,

Znienacka łono jednej jaśni nowej
Sprawiło, pieśnią nagle się rozpększy,
Żem się k'niej na kształt igły magnesowej

Zwrócił. Śpiewała: „Miłość, co mię piększy,
O drugim wodzu powiadać mi każe:
Przez niego pierwszy w czci zajaśniał większej.

Słuszna, by z jednym drugi chodził w parze,
Bo jak walczyli pod sztandarem wspólnie,
Niech się i sława ich razem pokaże.

Wojsko Chrystusa, zebrane mozolnie
Po pierwszych klęskach, formowało cugi

Chwiejne, nieliczne, ciężko i powolnie.

Więc Władca wieczny opatrzył swe sługi
I podparł słabe Kościoła obrońce
Według swej Łaski, nie zaś ich zasługi.

I jak już rzekłem, posłał swej Małżonce
Z odsieczą tych dwu przedziwnych szermierzy,
Aby skupili wojska błakające.

W tej ziemi, kędy wstaje Zefir świeży
Rozwijać zioła na poczęciu roku,
Z których Europa ma ruń swej odzieży,
W pobliżu Oceanowego skoku,
Za którym słońce, zszedłszy w dal od proga
Łądów, z ostatnich ziem ginie widoku,

Błogosławiona leży Callaroga
Pod czułą strażą tej tarczy potężnej,
Gdzie się na wieże lwia wspina załoga.

Tam się urodził ten nowo zaciężny
Miłośnik wiary, ten zapaśnik święty,
Dla swoich słodki, na wrogów orężny.

A w duszy taką mocą był zaklęty,
Że matka ogniem proroczym owiana
Sny o nim śniła, ledwie był poczęty.

Gdy wziął ślub z Wiarą i tytułem wiana
Obojej stronie u świętej krynice
Nierozwiązalność była warowana,
Niewiasta, co zań składa obietnicę,
We śnie ogląda owoc ów dostały,
Co miał wzrósć z niego i przejść na dziedzicę.

Aby w imieniu samym się streszczały
Duszy znamiona, Anioł go w swej zjawie
Kazał zwać »pańskim«, bo w Panu był cały.

Zwał się Dominik, a ja o nim prawie
Jak o rataju wezwanym od Chrysta,
By mu pomagał w ogrodzie uprawie.

I widno, że był przeciwnikiem Chrysta,
Bo pierwszą miłość i pierwszą swą wolę
Zwrócił ku myśli zesłanej od Chrysta.

Nocą piastunka trafiała pacholę
Na ziemi, pełne niemego skupienia,
Jakby mówiło: »Na tę-m skazan dołę«.

Rodzicu jego, »Szczęsny« bez wątpienia,
O matko jego, w istocie »Joanno«,
Jeżeli los wasz wyklądać z imienia.

Nie żądzą ziemskiej mądrości naganną
Wiedzion za głośnych kanonistów wzorem,
Lecz by prawdziwą nasycić się manną,

Rychło zasłynął przedziwnym doktorem
I począł chodzić około winnicy
Pod złym hodowcą nawiedzanej morem.

Nie o to prosić szedł świętej stolicy,
Która spełniała miłosierdzia cnotę,
Gdy szafarzyli w niej lepsi skarbnicy —

By pozwalała brać z sześci trzy złote
Albo zagarniać kościelne prebendy,
Albo z dziesięcin obdzierać biedotę;

Lecz by posłała go karczować błędy,
Ratować ziarno, skąd na naszej roli
Dwudziestu czterech drzew wyrosły pędy.

Potem jak strumień, nim się z gór wyzwoli,
Z swą apostolską misją czekał do pór,
Kiedy się poczuł i w wiedzy, i w woli.

Do heretyckich krzów przykładą topór,
A usilnością tam żywiej nastaje,
Kędy zaciętszy napotyka opór.

Z niego rozliczne wytrasty ruczaje:
Tak katolicka zagroda skrapiana
Drzewka swe stroi w zawsze jasne maje.

Gdy tak ci kreślę jedno z kół rydwana,
Z którego Kościół w domowej rozprawie
Bronił się i skąd gromił wrogów Pana,

To ci tym samym przed oczyma stawię,
Czym był ów drugi niebieski najmita,
O którym Tomasz mówił tak łaskawie.

Lecz kolej przezeń w szczycie kół tych ryta
Przemieniła się na manowce kręte,

A gdzie był winny osad, pleśń zakwita.
Rodzina jego, porzuciwszy święte
Tropy, już dzisiaj tak opacznie czyni,

Że stawia palce, gdzie on stawia piętę.
Sama się lichej uprawy obwini

W dniu owym, gdy to zapłaczę wydarty
Kąkol, że się go nie daje do skrzyni.
Prawda, że waszych ksiąg przejrzawszy karty,
Znajdę takiego, którego pochwalę,
Że dziś jest tyle co i dawniej warty.
Nie z Acquasparta jednak, nie z Casale,
Bo tam spaczona reguły istota:
Ten ją zaostrza, ów pełni niedbale.
Ja z Bagnoreggio jestem: duch żywota
Bonawentury, dostojnik w kościele;
Przed ziemską wrzawą zamykałem wrota.
Z Illuminatem swoje szczęście dzielę
I z Augustynem; to pierwsi w pokorę
Żebraczą strojni Boga przyjaciele.
Hugo z San Victor i Piotr Mangiadore,
Piotra Hiszpana duch cię tutaj wita:
W dwunastu księgach jego słowo gore.
I Natan prorok, i Metropolita
Chryzostom, Anzelm, Donat blaski toczy,
Z którego dzieł wam pierwsza sztuka świta.
Rabanus tu jest, a obok rwie oczy
Duch Joachima, Kalabрії opata,
Co mowę pełną miał mocy proroczej.
Wysławiać tylu paladynów świata
Oto żarliwa uprzejmość mię skłania
Oraz wymowność przeroztropna brata
Tomasza, a z nim ta święta kompania".

PIEŚŃ XIII

Kto chce oglądać własnymi oczyma,
Com teraz ujrzał, niech w myśli posplata
I jak kształt ryty w pamięci zatrzyma
Te piętnaścioro gwiazd najżywszych świata,
Tak gorejących, że śród mgławic mętu
Mrok się najgęstszy przed nimi odmiata.

Niech wyobrazi wóz, który zakrętu
Pełnego w jednej dokonywa dobie,
Nie schodząc nigdy za skraj firmamentu.

Niech uście rogu wyobrazi sobie,
Które w pobliżu tego punktu płonie,
Kędy tkwi biegun w lazurowym globie.

Niech je pomyśli w podwójnej koronie,
Tak ułożone między gwiazd kurzawą,
Jak się złożyły po Ariadny skonie.

Niechaj przedstawi sobie taką sprawą
Ześrodkowane te niebios ozdoby,
Że jedna w lewo, druga bieży w prawo —

A ujrzy duszy oczyma jakoby
W widmie obrazu te płąsy i tany,
Co się toczyły wokół mej osoby.

Widok z ziemskimi tak nieporównany,
Jak Pierworuchu szalone wichury
Z powolnym chodem naszej swojskiej Chiany.

Tam nie Apollem, nie Baccchem brzmia chóry:
Sławi się Osób Trzech przyrodę bożą,
Sławi w Osobie jednej dwie natury.

A wtem się tańce i śpiewy ułożą;
Duchy skłonię z kolistego szlaku
Ku nowej trosce myśl zwracają hożą.

Potem milczenie zgodnego orszaku
Przerwie ów płomień świętego ogniska,
Co mi powiadał o bożym żebraku.

„Gdy jedna słoma sprzątniona z boiska
I do śpichlerza ziarno już zesute,
Miłość mi drugi snop pod cepy ciska.

Myślisz tak: w łonie, skąd było wyprute
Żebro na zaczyn owej gładkiej twarzy,

Co świat na taką przywiodła pokutę,
I w owym pchniętym włócznią dzikiej straży,
Które, ściągając na się pomsty ramię,
Przeszłą i przyszlą winę równoważy —
W nich obu, to jest w Chrystcie i w Adamie,
Tyle wmieściła wiedzy twórcza władza,
Ile dopuszcza człowieczeństwa znamię.
Przeto też dziwno tobie, jak się zgadza
Z tą prawdą moje rzeczenie poprzednie,
Że nie ma równia światło, które chadza
W piątym płomieniu. Utkwijże wzrok w sednie
Mej myśli; tak z nią twoją wiarę złożę,
Iż będą jako dwa koła spółśrednie:
To, co umiera i umrzeć nie może,
Jest jeno ziemskie idei odbicie,
Którą kochaniem rodzi tchnienie Boże.
Bo światłe Słowo, które bierze życie
Od swej Prajaśni, a zawsze się jedna
Z nią i z Miłością, złączone w Trójbycie,
Promienie rzuca z dobroci bezedna
Na dziewięciorga sfer wiry okolne,
Ustawnie trwając jako istność jedna.
Potem zstępuje w tworzywa padolne
Stopień po stopniu — aż na byty schodzi
Krótkotrwałego jeno życia zdolne.
Przez byty owe rozumieć się godzi
Te, co je wirem Pierworuchu sfera
Z nasienia albo i bez niego płodzi.
Lecz miazga bytów i moc, co ją zbiera
W kształt, są nierówne, toż spod ich osnowy
Typ idealny nierównno przeziera.
Stąd też pochodzi, że niejednakowy
Owoc, gdzie drzewa gatunek jednaki,
I że są tępsze i bystrzejsze głowy.
Gdyby ta miazga była bez poszlaki
I pełnia wpływów szła z niebiosów toni,
W bytach by żadne nie istniały braki.
Ale natura dużo blasku roni,
Tworząc swe dzieło, właśnie jak artysta,
Który zna kunszt swój, lecz jest słabej dłoni.

Za to jeżeli Miłość płomienista
W dzieło jasnością Pierwomocy tchnęła,
To się w nim jawi doskonałość czysta.

Tak w owej glinie stworzonej do dzieła,
W które spłynęły wszystkiej kraszy zdroje;
Tak w Płodzie Panny, co z Ducha poczęła,

Słuszne jest zatem powiedzenie moje,
Że nigdy dotąd nie było śród ziemi
Tak doskonałych tworów, jak ci dwoje.

Gdybym nic nie rzekł więcej, słuszna, że mi
Zadasz pytanie, co znaczyło ono:
Iż nie ma równia między żyjącymi.

By ci odsłonić, co jest pod zasłoną,
Uważ, kim on był i czego to w darze
Żądał, kiedy mu żądać dozwolono.

Mniemałem, że ci w mych słowach ukażę,
Iż on był królem i mądrości życzył
Od Boga, by był władcą nad mocarze,

Nie zaś, by niebios ruchadła policzył
Lub dwu przesłanek, co są sobie sprzeczne:
Musu z przypadkiem następstwo wytoczył,

Zgadł, są-li dźwignie ruchu ostateczne,
Wkreślił w półkole trójkąt, gdzie by wcięcie
Kąta prostego nie było konieczne.

Zebrawszy wszystko, wiesz, żem w tym momencie
Mądrość królewską przez ową wspaniałą
Wiedzę rozumiał, godząc w twe pojęcie.

Jeśli cię słowo »wzniósł się« pomieszało,
Wiesz, że na celu miałem ukazanie,
Iż królów wielu jest, lecz dobrych mało.

Z tym objaśnieniem przyjmij i patrz na nie.
I niech w pamięci twojej tak ostaną
Nasz pierwszy rodzic i nasze Kochanie.

A miej u nogi kulę ołowianą
I stąpaj z wolna, jak człowiek znużony,
Zanim osądzisz rzecz nieoglądaną.

Bo gorzej głupca będzie poniżony,
Kto zbyt dorywczo rozstrzyga i sądzi,
Nie odróżniwszy wprzód lepszej strony.

Taki się zmiesza zwykle i pobłądzi:

Nazbyt pochopnie bieży ku fałszowi,
Przy czym uczucie już rozumem rządzi.

Kto, swej nie znając sztuki, prawdę łowi,
Próżno zarzuca na głębinach wędy,
Bo wynik jego chęciom nie odpowie.

W takie to właśnie popadli obłądy
Parmenid, Melis, Brissos, inny taki,
Którzy kwapili się, nie wiedząc kędy,

Sabeliusz, Ariusz i owe pismaki,
Którzy dla Pisma byli jak te miecze
Czyniące z twarzy dorodnych — pokraki.

Nie bądź więc w sądach zbyt rączy, człowiecze,
Ani nie szacuj zboża na rozłogu,
Zanim się ziarno na słońcu wypieczę.

Widziałem nieraz wiosną badyl głogu,
Który wyglądał suchy i chropawy,
A potem kwieciem róż wdzięczył się Bogu.

A znów widziałem skut piękny i żwawy,
Jako po fali szedł w wielkiej paradzie,
A potem tonął przy końcu wyprawy.

Niech więc nie sądzi lada kto w gromadzie,
Mówiąc: »Ten darzy Kościół, ów okrada«,
Iż już do wnętrza zajrzał bożej radzie,
Gdyż ów się może podnieść, gdy ten pada".

PIEŚŃ XIV

W krągłym naczyniu dwojgiem fal się mąci
Płyn, które na się zachodzą wzajemnie,
Gdy się go z zewnątrz i z wewnątrz potrafi.

Podobny obraz ujawnił się we mnie,
Gdy duch żywota niegdyś Tomaszowy
Zapadł w milczenie; bo się tak foremnie

Układał teraz pogłos jego mowy,
Ku nam falując, z głosem Beatryczy,
Która więc tymi ozwała się słowy:

„Choć on nie wyrzekł jeszcze, czego życzy,
Ani chęć nawet w głowie mu nie świta,
Potrzeba jemu nowych prawd zdobyć:

Blask, którym wasza substancja zakwita,
Wiecznie-li będzie trwał, czy też docześnie,
Póty aż się wiek wypełni do syta?

A jeśli przetrwa dzień, gdy człowiek wskrześnie,
Jakim sposobem, w ciele cierpiętliwem
Płonąc, nie będzie ócz raził boleśnie?”

Jak uniesiony radosnym porywem,
Płając w kole, cały chór taneczny
Objawia afekt swój gestem i śpiewem,

Tak po tej prośbie naglącej i grzecznej
Zawirowały z radosnymi głosy
Dwa święte kręgi obręczy słonecznej.

Kto z was się skarży na śmiertelne ciosy,
Które raj dają po ziemskiej rozłące,
Nie wie, jak luby chłód niebieskiej rosy.

Jedność i z Dwójcą Trójca, wiecznie tchnące
A władne w Trójcy, w Dwojgu i w Jedności,
Nieogarnięte, wszechogarniające,

Trzykroć śpiewane były pośród włości
Niebios tak słodko, że najlepszy zgoła
Do większych nagród prawa nie urości.

I usłyszałem wśród mniejszego koła
W zbożniejszym świetle pełen umilenia
Głos, jak ów Marii zwiastuna — anioła:

„Dopóki w raju te płąsy i pienia
Trwać będą, póty miłość, co w nas tleje,

Wyiskrzać będzie te szaty z płomienia.

W miarę zapалу blask nasz potężnieje,
A zapal w miarę patrzenia tym silniej,
Im więcej łaska na nas mocy zleje.

Gdy dawne ciała mieszkańce mogilni
Przywdziejem, wtedy w tej chwalebnej korze
Bóg będzie na nas poglądał przychylniej.

Przez to się równie nasza jasność wzmoże,
Co ją wysiewa niebieska skarbnica
I dzięki której patrzymy w lica Boże.

Widzeń się naszych rozrośnie granica,
Rozrośnie ten żar, który z nich się nieci,
Rozrośnie promień, co się w nich nasycą.

Jak węgiel, kiedy płomień go ukwieci,
Swoją łupinę ogniową przebija
I pośród światła czerwonością świeci,

Tak przez tę jasność, która nas spowija,
Kształt nasz cielesny lśnić będzie z pożaru,
Dziś jeszcze skryty w grobie, co przemija.

Ani nie będziem zmęczeni od skwaru:
Organ cielesny będzie dosyć silny,
Aby nie zemdleć z rozkoszy nadmiaru".

Tedy słyszałem, jak bardzo był pilny
Zawołać: „Amen", każdy ognia płatek,
Spragnion dostania swej szaty mogilnej,

Nie tyle dla się, ile dla swych matek,
Ojców i wszystkich, których w tamtym bycie
Kochali, zanim zbyli ziemskich szatek.

A oto mi się zjawily w rozkwicie
Nowe jasności nad tęczę pierwszą parą,
Niby na rąbku niebiosów o świetle.

Jak na sklepieniu nieb godziną szarą
Zamajaczeją coraz błyski nowe,
Widniejąc w oczach ni jawą, ni marą,

Podobne błysły przez mgielną ośnowę
Światła i jeły toczyć swe obroty
Ponad dwie inne obręcze tęczowe.

O szczere Ducha Świętego błyskoty,
Utkwiony w waszej ognistej koronie
Wzrok mój lśnął, rażon gwałtownymi groty.

Wtem Beatryczy piękność mi rozplonie
Uśmiechem między światłości ruczaje,
Tak że mej wizji opisem nie zgonię.

Czułem, że wzrok mój nowych sił dostaje
I że jak gdyby potężnymi pióry
Jestem z mą panią rwany w wyższe raje.

Czułem to, żeśmy lecieli do góry,
Po roześmianiu gwiazdy purpurowym,
Czerwieńszym niż ton jej zwykłej purpury.

Modlitwą serca, tym spólnym duchowym
Językiem, Bogu składałem ofiary
Po Jego łaski objawieniu nowym.

A nie ostygły jeszcze we mnie żary
Całopalenia, gdym miał niewątpliwy
Dowód, że przyjął Bóg me korne dary.

Bo tak szkarłatny, świątły nad podziwy
Zalśnił kształt w głębi tęczowego kręga,
Żem wołał: „Helios, jakżeś urodziwy!”

Jak owa, która dwa bieguny sprzęga,
Gwiazdami siły różnej świecąc światu,
Niewybadana wiedzą mleczna wstęga,

Tak pośród Marsa pełen majestatu
Znak mi się jawił, złożony w te linie,
Co razem tworzą przekątnie kwadratu.

Tutaj ma sztuka z pamięcią się zminie,
Bo w krzyżu raz w raz wybłyskał znak Chrysta:
Wszelka wybłyków modła wobec ginie.

Lecz kto krzyż bierze, naśladując Chrysta,
Przebaczy mowie mojej niedojrzałej,
Gdy kiedyś ujrzy sam łyskanie Chrysta.

W ramionach krzyża, tam gdzie się mijały
Lub gdzie schodziły święte błyskawice,
Zaraz się skrzyło żywszymi zapały.

Jako przez nie dość szczelne okiennice
Wciska się iskier gromada drgająca
Pasem świetlanym w komnaty ciemnicę

I cząsteczkami ognia cień roztrąca,
Co go człek sobie sztucznie dla osłony
Uczynił, chroniąc się nadmiaru słońca;

Lub jako w gęśli albo wielostronej

Harfie ze zgodnych uderzeń wykwitną
Miłe, choć w słowa nieubrane tony,
Tak ja w me zmysły przejmowałem szczytną
Muzykę światła, która się zbierała
W ramionach krzyża melodią niechwytną.

Śpiewana była snadź najwyższa chwała:
„Powstań”, „Zwyciężaj” — jeno mię doleci
Z pieśni, która się w swoim wątku rwała.

Zatem się we mnie taka miłość nieci,
Że ośwładnęła całą duszą moją —
Nigdy nie byłem brany w słodsze sieci.

Może te słowa nieopatrznie roją,
Mając przepiękne oczy w niepamięci,
Co były dotąd mych tęsknot ostoją.

Ale kto zważy, iż żywe pieczęci
Piękna, im wyżej, tym działają żywiej
I że w tej chwili do nich wszystkie chęci

Miałem zwrócone, ten usprawiedliwi,
W czym uchybiłem, albowiem dowiodę,
Iż się jednemu drugie nie przeciwi:

Wszak ona wzrosła tymczasem w urodę.

PIEŚŃ XV

Ta dobra wola, w której się wykrywa
Miłość będąca z wolą boską w mirze,
Jak jest w rozterce wola niegodziwa,
Milczenie słodkiej nakazała lirze,
Pokojąc struny w szczytnym instrumencie,
Na których sam Bóg swoje nuty niże.

Mogłybyż modłom moim stać na wstręcie
Istoty, które zgłuszyły swe pienia,
Ażeby moje usłyszeć zakłęcie?

Taki doczeka duszy potępienia,
Kto się pozbywa sam miłości czystej
Dla rzeczy marnej, dla rozkoszy cienia.

Jako przez lazur cichy i przejrzysty,
Ciagnąc za sobą zadumane oczy,
Nagle przebieży lotem smug ognisty

I zda się gwiazdą, która z drogi zboczy,
Tylko że tamta, w miarę jak się zniża,
Gaśnie, a ta trwa ani się nie mroczy —

Tak porzuciwszy prawe ramię krzyża,
Od konstelacji, gdzie mieszka, jak strzała
Do stóp krzyżowych zbiegła iskra chyża.

Ni się od wstęgi perła odrywała;
Z bieli jarzącej swój ognik wyłoni
I jak za płytą alabastru pała.

Potem się ku mnie jak Anchiz przykloni,
Wedle powieści poety, tą chwilą,
Gdy syna ujrzał na Elizjum błoni.

„O ty, krwi moja, obsypana tyłą
Łask Bożych, komuż tak szczęście jak tobie
Po dwakroć wrota niebios się odchyła?”

Tak rzekła światłość. Więc w jasnej osobie
Wzrok utkwie i znów pani mojej lice
Podziwiam; dwojgiem kras swój zachwyt zdobie.

Takim uśmiechem grały jej źrenice,
Żem się swoimi zdał zapadać do dna
Po łask i rajów ostatnie granice.

W słuchaniu słodka, w widzeniu pogodna
Postać zaczęła mówić dziwne rzeczy:

Ich sensu moja myśl była niewłodna.

Nie przeto, by duch tajność miał na pieczy,
Ale że nabył przez swe wniebowzięcie
Znamion szczytniej szych nad umysł człowieczy.

Lecz gdy gorącej miłości napięcie
Tak odtężało, że tajników zjawia
Zdołała w moje utrafić pojęcie,

Pierwsze, co mi się wyrozumieć dawa,
Było: „Sławię cię, Trójjedną Istotę,
Żeś była dla mej krwi taka łaskawa”.

A dalej: „Słodką i dawną tęsknotę,
Wyrosłą z wróżby zapisanej w księdze,
Kędy konieczność nie chybia na jotę,
Koisz, przechodząc za jasne wrzeciędze
Bytów niebiańskich, dzięki tej, co z twego
Świata wyniosła cię nad ludzką nędzę.

Ty wiesz, że ku mnie myśli twoje biega
Odbite z Boga i obraz zeń wstaje
Twych chęci, jako cyfr szereg z jednego.

Nie pytasz zatem, ktom ja, przecz się zdaję
Płonąć jasnością czerwieńszych koralu
Niż inne duchy zdobiące te raje.

I wiesz prawdziwie, bo wielcy i mali
Tych nieb sąjedno odbiciem zwierciadła,
Gdzie ledwie błysnie ich myśl, już się pali.

Lecz aby miłość, która mną owładła
I ma wnet moją tęsknotę uzdrowić
Za twą osobą, w pełni cię posiadała,
Szczерze, wesoło, umie śpiesz wysławić,
Jaka się w tobie myśl i chęć poczęła;
Wiedz, że gotowa już im jest odpowiedź”.

Na Beatrycę spojrzałem; pojęła,
Nim rzekłem słowo; uśmiechu wymowa
Wraz prędkie skrzydła mym chęciom przypięła.

Potem zacząłem: „Odkąd Pierwsza owa
Równość wam błyska, wszak się w was kochania
I wiedzy zdolność stała jednakowa?

Bowiem je Słońce grzeje i rozstania
Ciepłem i światłem w takiej równej mierze,
Iż między nimi nie ma stopniowania.

Za to chęć, a moc w naszej ziemskiej sferze,
Z powodów, które poznali niebianie,
Mają w swych skrzydłach różnej mocy pierze.

W tym ja śmiertelny znajduję się stanie,
Przeto jedynie sercem niosę do cię
Za twój ojcowski afekt dziękowanie.

Topazie żywy, który w tym klejnocie
Niezrównanymi blaskami wykwasz,
Mów mi, jak zwałeś się w ziemskim żywocie?"

„Szczepie mój miły, że tu wnet zawitasz,
Czekałem. Jam jest twego rodu korzeń —
Tak począł mówić niebieski dygnitarz. —

Ten, który żyjąc wśród padolnych stworzeń,
Dał ci nazwisko i sto lat z okładem
Już błądzi w pierwszym kręgu upokorzeń,
Był synem moim, a twoim pradziadem;
Słuszna, żebyś mu w tej ciężkiej przygodzie
Modłami rajski wypraszał dyjadem.

Florencja w starym mieszcząca się grodzie,
Skąd jej jak dzisiaj wydzwaniały wieże,
Podówczas żyła w skromności i zgodzie.

Nie były modne kosztowne odzież, e,
Manele, wieńce, trzewiczki i pasy:
Jeszcze je liczka zaćmiewały świeże.

Córka, rodząc się, rodzica nie straszy,
Że wyjdzie za mąż, nim doczeka pory;
Zamiast posagu wystarczało krasy.

Nie stały pustką pałace i dwory
Ani był znany kunszt Sardanapala,
Który znieprawia małżeńskie komory.

I nie prześcigał jeszcze Montemala
Uccellatoio, a nie tak upadła
Roma, jak on się upadkiem pokala.

Szlachta, jak Berti, pas rzemienny kładła
Z kościaną sprzączką; niewiasty wstawały
Z nieubieloną twarzą od zwierciadła.

Nerli, Vecchietti w proste samodziały
Chodzili strojni; żony, u wrzeciona
Siedząc, z kądzieli nitki wysnuwały.

Szczęśna z nich każda, że w ojczyźnie skona

Lub że od męża, samotna w izdebce,
Dla dziewczek z Francji nie będzie rzucona.

Inna, bywało, ślęczy przy kolebce
I ową gwarą właściwą dziecinie,
Kołysząc, słowa pieszczotliwe szepce.

Ta u przędzicy długą nitkę winie,
Snując powieści, tak wieczór ulata,
O Troi, Rzymie, fiezolskiej dziedzinie.

Tak trudno było spotkać w owe lata
Cianghellę albo Lapa Saltarella,
Jak dziś Kornelę albo Cyncynata.

Do tej siedziby miru i wesela,
Do tego cnego, wiernego narodu
Powołała mię na obywatela

Maria, od matki mej w bólach porodu
Wzywana; imię i chrztu szatę nową
Brałem w kościele chrzcielnym twego grodu.

Bracia się moi Elizeusz zową
I Moront; żony ojczyzna nad Padem;
Po niej wywodzisz swą nazwę rodową.

Potem chadzałem z cesarzem Konradem;
On mię pasować raczył na rycerza,
Tak za mą prawą służbę był mi raden.

Lud wojowałem, co święte wybrzeża
Fałszywą wiarą plugawi, w zdobyczy
Zabrane z winy niecnego pasterza.

A potem byłem od szkaradnej dziczy
Zbawion żywota, który w mętным zdroju
Da czerpać duszom ułudnej zdobyczy,

I z męki wszedłem do niebios pokoju".

PIEŚŃ XVI

O krwi człowieczej dostojeństwo liche!
Pytam ja, czyli dziwić się wypada,
Że tu na ziemi wzbijasz człeka w pychę,
Gdy porywami swych uczuć nie włada,
Skoro tam, gdzie mu prosto dano latać,
Jam zaczął pysznieć świetnością pradziada!
Jesteś jak ten płaszcz, co go ciągle łątać
Potrzeba, bowiem czasu go nożyce,
Krażąc wokoło, nie przestają płatać.
„Was — tym wyrazem tok mowy pochwyć,
Który był czczony w twym mieście, o Tewrze!
Lecz zaniechali go Rzymian dziedzice,
Tu Beatrycze uśmiechem odewrze
Usta, znak dając na porozumienie,
Jak niegdyś owa służebna Ginewrze. —
Was — tak powiadam — swoim ojcem mienię;
Przez was mi wzrasta mówienia otucha,
Przez was podnoszę się nad przyrodzenie.
Radość mi pełnią strug napełnia ducha;
I znów się cieszę, że pod tak bogatem
Plonem nie pęka ta skorupa krucha.
Szczycie dostojny, powiedzcie mi zatem,
Kto dziady wasze; do winnicy pańskiej
Duch wasz z prabytu którym zstąpił latem?
Mówcie mi, ile trzody świętojańskiej
Było podówczas. Jacy luminarze
Przyozdabiali w chwałę gród mieszczański?"
Podczas kiedy ja tak pochlebnie gwarzę,
Coraz się jasność jego rozrozumienia
I jak od wiatru węgiel, staje w żarze.
A jak w mych oczach piękniej się przemienia,
Tak mi łacińską mową ucho pieści,
Pełną słodsze i miłszego brzmienia:
„Od dnia, gdy Marii anioł przyniósł wieści,
Do dnia, gdy matce mojej, dzisiaj świętej,
Przyszło mię rodzić w lęku i boleści,
W obiegu po raz pięćset pięćdziesiąty
Trzydziesty gwiazda, co przed tobą płonie,

Głowicą swoją Lwiej dotknęła pięty.

Dom nasz stał w miejscu, gdzie w dorocznym gonie
Na ostateczną trafiają dzielnicę
Do swojej mety rozpędzone konie.

Kto byli moich rodziców rodzice,
O tym zamilczeć tutaj skromność każe,
Tym, com rzekł dotąd, niech cię już nasycę.

Od chrzcielnic po most, gdzie Mars trzyma strażę,
Mieszkańców zdatnych do walnego szyku
Pięćkroć mniej niż dziś było na obszarze.

Lecz krew ludności, co dziś jest na zniku
Zlana z krwią Campi, Certalda, Fegghiny,
Czysta w najlichszym była rzemieślniku.

Bogdaj nie były wcielone do gminy!
Galuzzo albo Trespiańska przykopa
Bogdajby nasze kończyły dziedziny!

Nie trzeba by wam znosić odór chłopa
Z Aguglion albo rodzonego w Signie,
Co rad brać cudze do swojego snopa.

Gdyby ten, co dziś ku przepaści chynie,
Nie był dla swego Cezara macoszy,
Lecz się w nim kochał jako matka w synie,

Taki florentczyk, co się dziś panoszy
Handlem, powracałby do Simifonti,
Gdzie to dziad żebrał do torby trzech groszy.

Trzymaliby się w Montemurlo Conti,
Cerchi by żyli w prowincji Acone,
A w Valdigreve może Buondelmonti.

Stadła małżeńskie źle postanowione —
To zło, skąd czyha na państwo zagłada,
Jak z potraw, gdy są w żołądku skłócone.

Ślepy byk prędzej, potknąwszy się, pada
Niż ślepe jagnię; byle z dobrej stali,
Lepiej niż pięć szpad siecze jedna szpada.

Przyjrzyj się Lunie, przyjrzyj Urbisaglii,
Jako zginęły; patrz, śmierci zarody
Nie od dziś w Chiusi tkwią i Sinigaglii.

Że z biegiem czasu upadają grody,
Niechaj ci dziwne nie będzie odkrycie;
Mają swój koniec państwa i narody.

Wszystko ma swą śmierć, lecz ta czasem skrycie
Przychodzi i kres przed oczyma chowa,
Gdy jest leniwsza niżli ludzkie życie.

A jak, wirując, sfera księżycowa
Raz wraz to zniża, to podnosi fale,
Tak się Florencji dola różnie snowa.

Przeto nie będzie tobie dziwno wcale,
Że się tu mężów florenckich przypomni,
Pokłoni skrytej w łonie czasu chwale.

Catellinowie, Ughi mi przytomni,
Filippi, Greci, Ormanni, Albrichi:
Już wyrodzeni, a jeszcze ogromni.

Wielcy dziadowie, rodów naczelniki:
Owi z Sannella oraz owi z Arki,
Toż Soldanieri, Ardinghi, Bostichi.

Nad bramą, która obciążyła barki,
Dźwigając takiej podłości brzemiona,
Że wróżą zgubę przepelnionej barki,

Ród Ravignanów siadł, skąd rozpleniona
Familia Guida i liczni dziedzice
Stawnego niegdyś mianem Bellinciona.

Pan z Pressy znał już wtedy tajemnicę
Rządów pomyślnych; już dom Galigajo
Ozłocił miecza gardę i głowicę.

W górę wyrosła już kolumna z Vajo,
Sacchetti, Giuochi, Fifanti, Baruci,
Galii i ci, co korca się sromają.

Ów szczep, z którego wyrosli Calfucci,
Strzelił wysoko; do krzesel się wspięły
Kurulnych: Sizich ród i Arrigucci.

Niejedne własną dumą się zwichnęły,
Podczas gdy w złotych kulach było ładnie
Florencji strojnej przezacnymi dzieły.

Takimi czyny doszli chwały snadnie
Przodkowie onych, co dzisiaj w kościele
Sierocym, spadłszy, pasą się gromadnie.

Zgraja zuchwała, co się smoczy śmieie
Na pierzchających, lecz gdy jej kto kłami
Lub kieską błysnie, jak owca się ściele,

Już się wznosili — drobni ludzie sami:

Na teścia dąsał się Ubert Donato,
Że mu ród lichą parentelą plami.

Już Caponsacco osiadł się bogato,
Zszedłszy z Fiesole; już wzmogła uczciwa
Praca ród Giudi i ród Infangato.

Rzecz to zaiste dziwna, lecz prawdziwa:
Do miasta wrota ubożuchne wiodły,
Co je od rodu Pera lud nazywa.

Kto tylko zdołał tarcz pięknymi godły
Cnego barona, któremu brzmi sława
Włączona w święto — Tomaszowe modły,

Szlachectwo razem brał i wszystkie prawa
Choć dziś się z ludem brata ktoś, co złotej
Frędzli do belek na herbie dodawa.

Już Importuni kwitli, Gualterotti;
Już wreszcie Borgo żyłoby spokojnie,
Gdyby przybysze zostali za wroty.

Dom, co początek dał zabójczej wojnie
Przez pomstę słuszną za niecne zachody,
A was przymusił czuwać ciągle zbrojnie,

Cny był sam i cne związane z nim rody;
O Buondelmonte, czemuż cię widzieli
Na inne stamtąd śpieszącego gody!

Ci, co dziś smutni, byliby weseli,
Gdybyś, do miasta jadąc, spoczął w Emie
Przez dopust boży na wodnej pościeli.

Lecz było trzeba, by florenckie plemię
Poświęciło cię w miru dni ostatnie
Głazowi, który u stóp mostu drzemie...

Widziałem zatem w jedno plemię bratnie
Czule spojona Florencję w tej porze,
Zanim się nad nią pomsta Boża zatnie.

Z onymi rody w jednym sławnym zborze
Lud sprawiedliwy tak, że lilii kwiaty
Na drzewcu lancy zawsze były w górze
Ni odmieniały bieli na szkarłaty".

PIEŚŃ XVII

Jak ten, co biegał, dawszy słuch obmowie,
Badać Klimenę o swe pochodzenie —
Odtąd są skąpsi dla synów ojcowie —

Tak jam się kwapił i tak me pragnienie
Pojęli ona i duch świętej chęci,
Co ku mnie zstał po krzyżowej ścieżce.

Więc Beatrycze rzekła: „Tchnij goręcej
Pożądań twoich wewnętrznymi żarą,
Znając je cechą serdecznej pieczęci.

Bo choć nam nie są tajne twe zamiary,
Chcę, byś się uczył, sam będąc niesytem,
Prosić, aby ci dopełniono czary”.

„O pniu ojczysty, coś nieb dosięgł szczytem
I rzeczy przyszłe leżące w bezkresie
Oglądasz, jaźnią złączony z prabytem;

Któremu każdy dzień dzisiejszym zwie się
Tak nieomylnie, jako jest niemylnie
To, że rozwartych dwóch trójkąt nie zniesie;

W czas, gdy mię ramię Wergilego silne
Wiodło ku górze, co lekuje skazy,
I gdym zstępował w ciemnie zamogilne,

O losach swoich słyszałem wyrazy
Srogie, choć dusza, jak skała ciosana
W sześcian, nie baczy na fortuny razy.

Oto chcę wiedzieć od samego rana,
Jaka się dola stanie mym udziałem,
Bo mniej dokucza strzała przewidziana”.

Tak się do iskry świętej odezwałem
I jak mi jasna moja pani każe,
Pragnienia duszne otwarcie wyznałem.

Nie w tej dwuznacznej dawnych wieszczków gwarze,
Jak nią wróżyli, zanim był zabity
Baranek, który grzechy świata maże,

Lecz w mowie prostej, jasnej i niekrytej
Dziad mój najmiłszy ozwał się łaskawie,
Widny mi, chociaż w uśmiechu spowity.

„Wszelkie zdarzenie, co w świata ustawie
Za pojęć waszych materiją leży,

W oczach się Boskich kreśli jak na jawie.

Lecz się z przedwiedzą Boską nie przymierzy
Zdarzeń konieczność; tak wzroku narzędzie
Przez się nie sprawia, że łódź z falą bieży.

Jak ucho słyszy organ, który gędzie
Słodką harmonię, tak i wzrok mój chwyta
Na toni czasów to, co z tobą będzie.

Więc jak wygnały niegdyś Hipolita
Z Aten macochy nieczne obyczaje,
Tak i ty wyjdiesz z Florencji banita.

Już tego pragnie ktoś i już nastaje
Na cię, i wnet się twą krzywdą nasyci
Pan ziem, gdzie co dzień Chrysta się sprzedaje.

Winę, jak zwykle, poniosą pobici,
Lecz pomsta, która za zbrodnią ugania,
Wyda, po której stronie prawowici.

Naprzód porzucisz najśłodsze kochania:
To pierwsza będzie z twych losów przygody
Strzała puszczona po łuku wygnania.

Poznasz następnie, jakie gorzkie gody
Spożywać cudzy chleb; jak uciążliwa
Droga wstępować na nie swoje schody.

Lecz co ci bardziej dopiecze do żywa,
Będzie kompania, którą zły los wnęci
W twe obcowanie, dzika i złośliwa,

Niewdzięczna, głupia, bez czci i pamięci
Nieprzyjacielsko stanie przeciw tobie,
Ale też nie ty, lecz ona kark skreśli.

Jej zbydlęcenie poznasz po sposobie,
Jakim ci będzie czynić swoje wstręty:
Chwała-ć, bo stworzysz stronnictwo sam sobie.

Pierwsza gościna, gdzie będziesz przyjęty,
W chesnej wielkiego Lombarda ostoi:
Ponad schodami u niego ptak święty.

Taka go hojność i uprzejmość stroi,
Taka łaskawość w dobrodziejstwie skrzętna,
Że nim poprosisz, już prośbę ukoi.

Z nim ujrzysz chłopię, które wzięło piętna
Od szczęsnej gwiazdy w urodzin godzinie,
Iż wiekom będzie jego cześć pamiętna.

Nie wiedzą jeszcze dzisiaj o chłopczynie,
Bowiem zaledwie lat dziewięć, nie dłużej,
Jak wokół niego słońca krąg się winie.

Gaskon wielkiego Henryka nim zdurzy,
Blask cnót młodzieńca świata się objawi;
Złota niechciwy, przed trudem nie stchórzy,

A dobroć jego tak się rozesławi
Przez usta wielu po świata połąci,
Że jej wróg nawet milczeniem nie zdławi.

On cię też kiedyś wesprze i wzbogaci:
To zdziała jego nad ludem opieka,
Że stan zamienią biedni i bogaci.

Słuchaj, co niesie przyszłość niedaleka,
Lecz nie głoś... — rzeczy dodał niesłychane;
Cudem się zdadzą temu, co doczeka.

Oto są — mówił — glosy przypisane
Do wróżb o tobie; oto niekorzyści,
Których masz doznać przez losów odmianę.

Nie przeto oszczędź bliźnim nienawiści,
Trwalsze po tobie wieńce wawrzynowe
Niż pomsta, co się na twych wrogach ziści".

Gdy dusza święta zakończyła mowę
I tak ucięła nić w onym przedziwie,
Skąd snuła wątek na moją ośnowę,

Zacząłem jak ktoś, co wygląda chciwie
Jakowejś rady od osoby drogiej,
Która wie i chce, i kochaniem żywie.

„Ojcie mój, widzę, czas w pełne ostrogi
Pędzi przeciw mnie, a cios tym boleśniej
Uderza, im kto jest pełniejszy trwogi.

Toż muszę tarczą osłonić się wcześniej,
Bym skoro los mi ojczyzny nie życzy,
Reszty nie stracił z winy moich pieśni.

Tam, w owym świecie bezmiernej goryczy
I na jej góry pięknej krętym szlaku,
Skąd mię porwały oczy Beatryczy,

I tutaj w niebie z gwieźdnego orszaku
Szły mi w słuch rzeczy, które gdy powtórzę,
To niejednemu będą przykre w smaku.

Gdy zaś przed prawdy oznajmieniem stchórzę,

Lękam się stradać przyszłego żywota
Śród tych, dla których zmiany losu wróżę".

Tedy klejnotu mojego jasnota
Uśmiechem w snopy wybłyśnie ogniste,
Jako od słońca tarcz zwierciadła złota.

I doda: „Tylko sumienie nieczyste,
Z własnych lub cudzych win, twoich orędzi
Surowość przykro poczuje — zaiste!

Ty jednak z prawdy dróg nie schodź ni piędzi:
Opowiedz w pieśniach wszystką twoją zjawę,
A niech się taki skrobie, kogo swędzi.

Chociaż użali się na cierpką strawę,
Posmakowawszy, potem z jej dosytu
Soki wynikną na zdrowia poprawę.

Wołanie twoje będzie wiatr u szczytu
Gór, co najwyższe potrząsa konary,
A to ci doda nie lada zaszczytu.

K'temu to w niebie i w wieczystej kary
Dolinie, i tam na górze umorzeń
Ukazano ci sławne w świecie mary.

Bo nie buduje się duch ludzkich stworzeń
Ani przykładom wierzyć nie jest zwykły,
Co mają skryty i nieznany korzeń.

I nie znęci ich żaden dowód nikły".

PIEŚŃ XVIII

Już zadumanie własnym się ukoił
Błogosławiony wid, a jam, radości
Ze smutkiem plotąc, swe marzenia roił,
Gdy pani, co mię wiodła ku boskości,
Rzekła: „Myśl odmień; bacz, jak niedalece
Siedzę tej mocy, która krzywdy prości”.

Na głos ten spojrzę ku mojej opiece:
Jaką miłością wzrok jej święty gore,
Niecham rzec, bowiem mową nie dolecę.

Nie tylko przeto, że słów nie dobiorę,
Lecz że nie zdołam odwołać w pamięci,
Jeżeli ktoś mię nie podeprze w porę.

Tyle rzec jeno wspomnienie mię nęci,
Że gdym poglądał na nią, w tym zachwycie
Roztopiły się wszystkie inne chęci.

Aż z jej lic piękna wiecznego odbicie,
Pośrednio ku mnie odstrzelone, daje
Mym zachwyconym zmysłom nowe życie.

Gdy tak od światła jej uśmiechu taję,
Rzekła mi: „Obróć się i spójrz po stronie:
Nie tylko w moich oczach błyszczą raje”.

Gdy duszę wszystką jakaś myśl pochłonie,
To się ją łącno odgaduje z twarzy,
W której jak gdyby jasnym ogniem płonie.

Toż widząc, jak się płomyk święty żarzy
I tym zarzewiem w uśmiech przyodziewa,
Znak w tym poznałem, że ze mną pogwarzy.

Płomień rzekł: „Na tym piątym piętrze drzewa,
Co z góry czerpie sok, nie traci liści,
A owoc na nim ustawnie dojrzewa,

Siedzibę mają duchowie ogniści,
Co zasłużyli, nim doszli podwyża
Tych sfer, by już ich sławili lutniści.

Lecz spojrzysz teraz na ramiona krzyża:
Kogo zawołam, zleci taki ruchem,
Jak po obłoku spada iskra chyża”.

Gdy patrzę, ognia wyrwie się okrucem
Na wzew: „Jozue!”, jedna jasna dusza;

Prędzej ją okiem pojąłem niż uchem.

Potem na wtóry wzew Machabeusza

Druga zaczęła w lot okrążyć polem:

Jako bicz frygę, radość ją porusza.

Więc za Rolandem i Wielkim Karolem

Biegła mi w tropy żrenica rozwartą,

Jak po powietrzu za lotem sokołem.

Potem widziałem Wilhelma, Renwarta;

Goffreda dusza mknęła świętym szlakiem

I Gwiskardzina, od krzyża oddarta.

Zjednany z duchów krążących orszakiem

Ów wid mówiący pokazał nareszcie,

Jak dzielny w chórze niebian był śpiewakiem.

Obróciłem się ku świętej niewieście

Po mej prawicy, tusząc, że pochwycę

Rozkaz zjawiony w słowie albo geście.

Ujrzałem wtedy jej czyste żrenice:

Nigdy nie była strojniejsza w pieszczotę

Ani weselej jaśniały jej lice.

Jak, dobrze czyniąc, wzmaga się ochotę

I rozkosz dobra, a wśród tego społem

Człowiek spostrzega, że urasta w cnotę,

Tak zapatrzony w piękny cud pojąłem,

Że ja i ze mną wszystka niebios chwała

Coraz to szerszym toczymy się kołem.

Jak w jednej chwili rumieńcem zapala

I znowu, skoro ze wstydu ochłonie,

Szkarłaty zwiewa niewieścia twarz biała,

Tak ją ujrzałem, obróciwszy skronie;

Nagle w jasności złagodzonej zbladła,

Gdy szósta gwiazda wzięła nas w swe tonie.

W tej Jowiszowej żagwi się układała

Miłość błyszcząca płomiennymi znaki

W kształcie łacińskiej mowy abecadła.

A jak siedzące po wybrzeżu ptaki,

Ciesząc się swojej wygrzebanej strawie,

Zlatują w chmary lub w długie orszaki,

Tak pośród światła migocą jaskrawie

Duchy, pieśń nucąc, aż sobą wypiszą

D. I. L. na mgieł jarzącej kurzawie.

Naprzód w takt śpiewu chwilę się kołyszą,
A potem w każdej literze zatknionej
Na niebie cicho, nieruchomie wiszą.

O boska Muzo, która bijesz w dzwony
Geniuszom, długi wiek im niosąc w darze,
Gdy oni darzą nim Państwa i Trony —
Pokrzep me siły, niechaj się odważę
Skreślić tę ogniów mowę jasnowzorą:
Niech w szczupłych wierszach twa moc się ukaże.

Ujrzałem tedy pięć razy siedmioro
Głosek wiązanych ognistym zaplotem:
Rozpalają się kolejno i górą.

„Diligite justitiam” — z swym przedmiotem
Słowo wybłysło w tej pierwszej kwaterze;
„Qui judicatis terram” — stało potem.

Gdy wiersz dopełnił kresu na literze
M, wtedy Jowisz zdał się srebrny cały,
A tylko złotem tkane miał obrzeże.

Na szczyt owego M pozlatywały
Iskry i pieśnią zaczęły wymownie
Sławić Moc, co je wiodła do swej chwały.

Jak gdy potrącis zapaloną głównię,
Tysiąc się iskier zaraz z niej rozleci,
Z których gmin ciemny wróży — tak ponownie

Trysła kurzawa ognistej zamieci;
Tutaj opada, tam się w górę wzbija,
W miarę jak skinie słońce, co ją nieci.

A gdy iskrami całe tło wyszyje,
Tedy patrz: gwiazda utkana przy gwieździe
Złożyły głowę orlicy i szyję.

Ten, kto tam jeździ, wodza swojej jeździe
Nie zna; sam wozi, wydzielając onę
Moc, co się formą czyni w każdym gnieździe.

Chór, co skwapliwie układał koronę
Z lilij ponad M, kilkoma obroty
Spłynął w orlicy kształty spłomienione.

O słodka gwiazdo, ilomaż klejnoty
Świadczysz, że prawo ziemskie się wywodzi
Z nieba zdobnego twoimi błyskoty.

Więc błagam kornie Myśl, z której się rodzi

Twój ruch i władza, niech odpędza chmurę
Złości, bo cień jej twoim łunom szkodzi.

Niechaj zapłonie gniewem po raz wtóry
Na tych, co hańbią kupczeniem Dom Boży,
Z męczeństw i cudów mający swe mury.

Wojska niebieskie, przed wami się korzy
Duch mój: módlcie się za ten ród człowieczy,
Co pod złym wodzem błądzi wśród bezdroży.

Dawniej się w wojnie używało mieczy;
Dziś się odkrada od ust Chleb Prawdziwy,
Którego ojciec nikomu nie przeczy.

Ty klątw miotaczu, które-ś mazać chciwy,
Wiedz: żywie Paweł — i Piotr za winnicę,
Którą pustoszysz, umęczon — też żywy.

Odpowiesz: „Ja się wizerunkiem syce
Świętego, który zamieszkał pustkowie
I na śmierć wydan był przez tanecznice,
A jacyś Paweł i Piotr mi nie w głowie!...”.

PIEŚŃ XIX

Lśniło przede mną z rozwartymi pióro
Piękne zjawisko; zgodą słodkich pieni
Radowały się w nim związane chóry.

Każda duszyczka, rubinek w czerwieni,
Słońcem odbitym tak gorzeć poczęła,
Że miałem pełne źrenice płomieni.

Co tutaj wejdzie do mojego dzieła,
Nie było z pisma znane ni ze słuchu,
Ani go ludzka fantazja powzięła.

Orzeł przemawiał; w powietrznym podmuchu:
„Ja”, „Moje” — brzmiało powiadane głośno,
Gdy „My” i „Nasze” brzmiało w jego duchu.

„Żem sprawiedliwą czynił i litośną,
Ku wielkiej jestem podniesiony cześci,
Dokąd pragnienia żadne nie dorosną.

Pozostawiłem czyny takiej treści,
Że je człek lichy bliźniemu zachwala,
Choć w ślad nie kroczy tych o mnie powieści”.

Jak z mnóstwa główni jeden się rozpala
Żar, tak z miłości wielu w tym płanecie
Jedna się z głosów dobywała fala.

Więc się ozwałem: „Nieśmiertelne kwiecie
Wiecznej radości, wy, co wszystkie wonie
W jedno zebrane wdychać mi dajecie,

Tchnieniem ukójcie głód, co w moim łonie
Wciąż się odzywa od młodości rana,
Bo dlań pokarmu nie ma w ziemskiej stronie.

A gdy tu w niebie sprawiedliwość Pana
Inne królestwa czyni swym zwierciadłem,
O ileż jaśniej wam jest ukazana.

Wiecie, jak chciwie tu słuchać przypadłem,
Co mi rozjaśnić raczycie, i która
To strawa, co jej tak dawno nie jadłem”.

Jak sokół, kiedy pozbywszy kaptura,
Wykręca głowę i krasą się chwali,
I okazuje wigor, bijąc w pióra,

Tak wstrząsnął sobą znak, w którym się pali
Łask Bożych chwała, i zabrzmiał w muzyce,

Której klucz owi tylko święci znali.

„On, co przyłożył cyrkiel swój w granice
Świata — tak brzmiało — i na jego scenie
Rozmiescił wszystkie jawy i tajnice,

Nie mógł swej mocy znamion na stworzenie
Przenieść do tyła, aby jego słowo
Nie było zawsze wyższe nieskończenie.

Dlatego duch ten, co był stworzeń głową,
Upadł przez pychę, jak owoc zielony,
Bo nie chciał czekać na chwilę wschodową.

Więc tymże bardziej twórz niedokształcony
Nigdy wielkiego Skarbu nie doceni,
Co sam jest miarą sobie — niezmierzony.

Wzrok nasz, jakkolwiek jest jednym z promieni
Tej Myśli, która wypełnia krawędzie
Wszelakich bytów na świata przestrzeni,

Z natury własnej tych sił nie dobędzie,
By się mu jawił w pełni Bóg przestworza:
Zawsze dlań mniejszy niż istotnie będzie.

Tym bardziej waszym sprawiedliwość boża
Tak płytko właśnie odsłaniana bywa,
Jak płytko sięga w głębokości morza.

Dno widzi z brzegu, tam gdzie fala spływa.
Lecz go nie widzi na morzu szerokim:
A przecież dno jest, lecz je głęb zakrywa.

Nie jest światłością, co nie płynie tokiem
Nie zamąconej jaśni; jest ciemnością
I jadem ciała albo jego mrokiem.

Oto — że tobie nad sprawiedliwością
Prawdziwą sklepień zasłona odkryta,
Coś jej dociekał z taką usilnością,

Mówiąc: »Mieszkaniec znad Indu koryta,
Z nie uznającej Chrystusa dziedziny,
Kędy nikt o nim ni pisze, ni czyta:

Sądząc rozumem pobudki i czyny,
Przypuśćmy, że jest bez wszelkiej przywary,
Żywot i mowa jego są bez winy —

Jakiż sąd słusznej nań dopuści kary,
Jeżeli umrze w pogańskim obłędzie?
Gdzie wina, skoro nie był naszej wiary?...«

A któż ty jesteś, co siadasz za sędzię
I badasz tysiąc mil odległe sprawy
Sądem mierzącym za ledwie na pięcie?

Gdyby nie Pisma świętego ustawy,
Zaiste, miałby powód do wątpienia,
Kto by się ze mną w takie wdał rozprawy.

O twory ziemskie, o mózgi z kamienia!
Najwyższa Wola, Dobroć pierworodna,
W swym dobru trwając, dróg swych nie odmienia.

Ta rzecz jest słuszna, która z nią jest zgodna;
Promieniowaniem ziemskie byty płodzi,
Jej zaś nie ciągnie żadna rzecz przygodna".

Jak tuż nad gniazdem krążący się wodzi
Bocian, gdy swoje wykarmił pisklęta,
A ród bocianków za nim wzrokiem chodzi,

Tak poruszała się figura święta,
Mymi tęsknymi oczyma ścigana,
Na tylu chęciach zjednanych rozpięta.

Krążąc, nuciła: „Jak jest nieprzejrzana
Pieśń nasza, której nie zgadniesz tajników,
Tak dla śmiertelnych sprawiedliwość Pana".

Gdy się uciszył rój światłych płomyków
Ducha Świętego, nie burząc figury,
Co świat pod stopy kładła rzymskich szyków,

Głos mówił: „Nie siadł między orła pióry
Nigdy człek ziemi nie wierzący w Chrysta,
Przed czy po wzięciu człowieczej natury.

Lecz patrz: niejeden wykrzykuje Chrysta,
Co go w dzień sądu będzie tak daleki,
Jak bliskim inny, chociaż nie znał Chrysta.

Chrześcjan zawstydzi syn Nilowej rzeki,
Kiedy się obie rozdziela drużyny:
Tu bogacz wieczny, tam nędzarz na wieki.

Co królom waszym wytkną Tatarzyny,
Kiedy się zjawi w księdze prawda naga,
Gdzie wypisane będą ich złe czyny?

Tam z rąk Alberta zadana zniewaga
Wnet piórem bożym będzie zapisana:
Przez nią boleje spustoszona Praga.

Tam fałsz, na który żali się Sekwana

Cierpiąca, że jej znieprawia pieniądze
Ktoś, kogo czeka śmierć kłami zadana.

Tam się obaczy tę wyniosłą żądzę
Nadymającą Anglika i Szkota,
Która ich kusi za swych bram wrzeczadze.

Tam też ropusta i gnuśność żywota
Królów hiszpańskiej i czeskiej dzierzawy,
Którym nieznana i niemiła cnota.

Jeruzalemu monarcha kulawy
M-tą mieć będzie znaczone swe złości,
A tylko Jotą swoje zacne sprawy.

Tam znajdzie wyrok chciwstwa i podłości
Ten, co ognistą wyspę ma pod stróżą,
Gdzie leżą w ziemi Anchizowe kości.

Jego przepychy nikogo nie zdurzą:
Będzie miał żywot kreślony tytlami,
Które na małym wypisują dużo.

Wuj jego i brat żyw stanie przed wami,
Których nieczyste dzieło antenaty
Zacne i piękne dwie korony plami.

Król Portugalu w niecnotę bogaty
I król Norwegii, i ten król Dalmata,
Co źle fałszował weneckie dukaty.

O szczęsne Węgry, gdyby z ręku kata
Wydrzeć się mogły; szczęsny kraj Nawarry,
By jej ustrzegła Pirenejów czata!

W zapowiedź tego, co tamtej na bary
Spadnie, Nikozja łka i Famagosta,
Uciemieżona od własnej poczwary,
Której złość innych okrucieństwu sprostą".

PIEŚŃ XX

Kiedy ta gwiazda, co jest lampą świata,
Za widnokręgu zasunie się ścianę
Tak, że brzask za nią ostatni ulata,
Wprzód jednym jasny, przez taką odmianę
Strop tysiącnymi błyska ornamenty,
Które są wszystkie słońcem malowane.
Tom miał widzenie, gdy zamilkł dziób święty
W godle, które się rozpostarło chwałą
Nad niskim światem i jego książęty.
Bo nagle mrowie ogników zadrżało
I zabłysnąwszy, wzniosło antyfonę,
Już dzisiaj w mojej pamięci zwątlą.
Kochanie słodkie, w uśmiechu opone
Zasnute, jakie rzucałś płomienie
Skroś pieśni duchów tchnących w Bożą stronę!
Skoro już drogie, jarzące kamienie,
Którymi iskrzy się planeta szósty,
Na rajskich nutach pokładły milczenie,
W słuch mi uderzą niby wód upusty,
Które ze skalnych, nabrzmiątych garłuszy
Wyrzucają się kamiennymi usty.
A jak gitary dźwięk nabiera duszy
U rękojeści lub wiatr wydmuchnięty
Staje się tonem w otworach pastuszej
Fletni, tak rozgwar tej orlicy świętej
Natychmiast szumem dziwnym zaszeleścił
Przez gardziel szyi jak gdyby wydętej.
W głębi się począł i głosem obwieścił
Przez dziób i słowa przemówił takiemi,
Jak pożałowało serce, gdzieś je mieścił:
„Na ten mój narząd, którym orły ziemi
Wzierają w słońce — głos do mnie powiada —
Ile potrafisz bystro, patrzajże mi.
Śród iskier, z których mój kształt się układa,
Owy rój duchów, co nim w oku świecę,
Stopień i godność najwyższe posiada.
Ognik, co moją stanowi źrenicę,
Był niegdyś Ducha Świętego lutnista:

Ze świętą skrzynią obchodził stolicę.

Teraz wie, skoro z zasługi korzysta,
Jaka jest wartość w jego pieśni czynie,
W tej części, co jest jego osobista.

Z piątki, która brwią nad okiem się winie,
Duch, co nad samym mym dzióbem się żarzy,
Jest ten, co cieszył wdowęnkę po synie.

Teraz wie, kiedy wspomnieniem kojarzy
Z dolą dawniejszą to dziś słodkie życie,
Jak ciężko Chrysta niepoznanie waży.

Ta iskra, co się sadowi na szczycie
Brwi, umierając, dopraszała zwłoki,
Aby pokutę odbyć należycie.

Teraz wie, jak są niezłomne wyroki
Boskie, choć z łaski szczerego pacierza
Od dziś do jutra zatrzymują kroki.

Ów trzeci, pewny, iż dobre zamierza,
Zabrawszy z sobą znak mój i statuty,
Zgreczył się, miejsce czyniąc dla pasterza.

Teraz wie, jako zły skutek, wysnuty
Z dobrych zamiarów, nieba mu nie wzbroni,
Choć przezeń świata mir został popsuty.

Ów, co po łuku brwi schodzi ku skroni —
Wilhelm; ten sam kraj płacze nad nieżywym,
Co przez dwu innych żyjących łzy roni.

Teraz wie, jak się w królu sprawiedliwym
Kochają nieba, bo swą czułą wolę
Rozpłomienieniem wskazują żarliwym.

Któż by chciał wierzyć na błędnym padole,
Że tu Ryfeusz trojański się złoży
Piątym ognikiem w owym duchów kole?

Teraz wie, że się w głębiach Łaski Bożej
Tak niezbadana tajemnica mieści,
Że jej, choć święty, przecież nie otworzy".

Jako skowronek naprzód się obwieści,
Pieśnią na skrzydłach drgając — i, od razu
Ścichnąwszy, dźwiękiem ginącym się pieści,

Takie więc miałem widzenie obrazu
Wieczystej woli, która wszelkie ciało
Wedle swojego formuje przykazu.

A choć wątpienie moje przezierało
Przez mą istotę jak barwa przez szkliwo,
Na pouczenie milczkiem nie czekało,
Lecz z ust słowami: „A co to za dziwo?” —
Wypadło mocą własnego ciężaru
I zaraz iskry jęły błyszczyć żywo.

A potem, w oczach swoich pełne żaru,
Tak przemówiło znamię orła święte,
By mię wyzwolić z osłupienia czaru:

„Widzę, twej wierze daje to zachętę,
Że ja powiadam: wewnętrzne znamiona,
Chociaż i wierzysz, są ci niepojęte.

Czynisz jak człowiek, co poznał imiona
Rzeczy, lecz nie treść; gdy kto nie pokaże,
Znana mu tylko ich zewnętrzna strona.

Królestwa niebios hart w miłości żarze
I w tej otusze żywej się odpręża,
Co samej woli bożej giąć się każe.

Nie tak jako mąż w bitwie zgina męża,
Ale poddaje się z własnej ochoty
I, zwyciężona, przez dobroć zwycięża.

Podziw sprawiły tobie dwa żywoty:
Pierwszy i piąty, które w naszej sferze
Malują sobą anielskie namioty.

Z ciał swych nie wyszły, jak mniemasz, w niewierze;
Chrześcijanami grzebła ich mogiła:
Ten ufał w przyszłej, ów przeszłej ofierze.

Bo jeden z piekieł, skąd nie wiodła siła
Własna nikogo, wrócił do swych kości,
A to mu żywa ufność wyprosiła;

Ufność, pacierzom która drogę mości
Ku Panu; a On folgi mu udziela,
By mógł akt spełnić wiary i miłości.

Więc się w swój zewłok sławna dusza wciela:
Tak długo bawi między ziemskie rzesze,
Aż uwierzyła w swego Cieszyiciela.

A wiara taki ogień z niej wykrzesze
Miłości szczerej, że po wtórym skonie
Okazała się godna tej uciechy.

Wtóry duch z łaski tryskającej w łonie

Krynic tak tajnych, że żadne stworzenie
Nie zajrzy głębiej niż po zwierchnie tonie,
W sprawiedliwości skupił wszystko chcenie;
Więc z łaski w łaskę Bóg go tak nawidził,
Iż mu ukazał przyszłe odkupienie.

On w nie uwierzył i zaraz obrzydził
Zaduch pogaństwa, a ludziom ujętym
W niewolę błędu — jego fałsz zozydził.

Z trzech niewiast brał moc przy swoim chrzcie świętym;
Widziałeś wszystkie na prawo Rydwana:
Istniały tysiąc lat przed sakramentem.

O przeznaczenie, głębia nieprzebrana
Dzieli twój korzeń od wzroku mieszkańców
Globu, któremu pierwsza jaźń nieznana!

Nie sądziez rąco — wy do ziemie krańców
Przykuci, gdy my, oglądacze Boga,
Zliczyć niezdolniśmy jego wybrańców.

Ale niewiedza bytom naszym błoga,
A dobro nasze w tym dobru ma źródło,
Że z wolą bożą jest nam wspólna droga".

Oto jak, lecząc słabe oczy moje,
Owy uroczy wizerunek Pana
Pić mi podawał miodowe napoje.

A jak trącąc struny teorbana,
Dobrym śpiewakom dobre grajki wtórzają,
Skąd pieśń pięknieje zharmonizowana,

Tak podczas mowy orla iskier różą
Rozogniały się dwie święte pochodnie —
I jako razem powieki się mrużą,
Iskry i słowa falowały zgodnie.

PIEŚŃ XXI

Ja tedy, oczy znów wiążąc z obliczem
Mej pani, ducha mego za nią wodzę —
W zachwycie myśleć nie mogę o niczem.

Zahamowała swego śmiechu wodze
I mówi do mnie: „Jeśli się zaśmieję,
Zginałeś, jako Semele w pożodze,
Bo piękność moja, krocząc przez wierzeje
Pałaców wiecznych, wciąż rośnie widomie
I jak oglądasz, coraz potężnieje.

Jeśli bijących z niej skier nie uskromię,
To moc twa ziemską w ostrzu jej promieni
Pęknie jak gałąź w piorunowym gromie.

Do siódmej gwiazdy jużśmy wzniesieni,
Co pod pierściami Lwa gorejącego
Swoim i jego żarem się płomieni.

Zatem w trop oczu niechaj myśli biegaj
Źrenice uczyn tych widzeń zwierciadłem,
Co się w zwierciadle planety zażegą”.

Gdy kto pomyśli, jakim słodkim jadłem
Karmiłem zmysły, tonąc w cudnej twarzy,
Kiedy to duszą gdzie indziej przypadłem,

Pojmie, skoro te dwie rozkosze zważy:
Wzroku i słuchu, jak chętnie i szczerze
Oddawałem się mej niebiańskiej straży.

Wewnątrz kryształu, który w świata wirze
Kraży, a zwie się jak król Pierwobytu,
Co pod nim człowiek odpoczywał w mirze,

Z barw złota pełnych słonecznego świtu
Wysnuta, biegła ku górze Drabina
Taka, że wzrok mój nie dobiegał szczytu.

Patrząc, po szczeblach zstępuje drużyna
Świetlana; rzekłbyś, że w swe kształty bierze
Wszelaką jasność, co się w niebie wszczyzna.

Jak kawki, nocne porzuciwszy leże,
Swoim zwyczajem kupiąc się u sioła,
Aby się rozgrzać, potrząsają pierze;

Te odlatują, by nie wrócić zgoła,
Te, skąd wzleciały, ściągają z powrotem,

Inne na miejscu zataczają koła —

Takim przede mną wzlatywały lotem
Gromadnie owe migotliwe roje,
Aż na swych szczeblach przystanąły potem.

Wtem duch najbliższy mnie w cudowne stroje
Przejasnych blasków ubrał się od razu:
Snadź chciał okazać mi kochanie swoje.

Lecz ta, od której czekałem rozkazu
Słów czy milczenia, ścichła nieruchoma,
Więc ja wbrew chęci stałem bez wyrazu.

Potem snadź życzeń mych dusznych wiadoma,
Widnych w Nim, co mu widne tajń i jawa,
Rzekła: „Mów śmiało, jaka twa oskoma”.

A ja: „Zasługą nie zdobyłem prawa
Prosić, byś do mnie obrócił orędzie;
Lecz przez tę, co chce, by mię rajska strawa

Karmiła, duchu, żyjący w oprzędzie
Własnej uciechy, co się blaskiem wieńczy,
Mów: schodząc ku mnie, co miałeś na względzie

I czemu w światów tych jasnej obręczy
Niechają śpiewu rajskie służebnice,
Gdy indziej pieśń ich tak nabożnie dźwięczy?”

On na to: „Ziemski twój słuch i źrenice;
Śpiew zmiłkł przed tobą z tej samej przyczyny,
Dla której uśmiech wściąga Beatrycze.

Ja sam po szczeblach tej świętej Drabiny
Witać cię blaskiem i słowem łaskawszym
Zstąpiłem spośród uciechnej drużyny.

Nie większa miłość czyniła mię żwawszym;
Równa lub większa tam górą się żarzy,
Strojąc duszyczki płomieniem jaskrawszym.

Lecz szczytna Miłość, co nas ma we straży
Posłami woli, która światem włodnie,
Tym oto do cię poselstwem mię darzy”.

Na to ja: „Wiem już, w twą świętą pochodnię
Patrząc, iż wolna wola na tym dworze
Z boskim rozkazem może stąpać zgodnie.

Lecz jeszcze rozum mój pojąć nie może,
Czemu na tego radosnego gońca
Ciebie wybrało przeznaczenie boże?”

Jeszcze nie dobiegł mowy mojej końca,
Gdy zatoczyła krąg świetlny opona
Duszy, jak młyński kamień wirująca.

A głos miłosny wyleciał z jej łona:
„Upadłszy na mnie, promień Łaski Bożej
Przez szaty we mnie wnika; a gdy ona

Potęga światła z mym wzrokiem się złoży,
Dotąd mię wznosi, aż mi się ukaże
Ów Byt najwyższy, który światło tworzy.

Z niego radosny blask, co się nim żarzę,
Bowiem z jasnością mojego widzenia
Jasność ogniowej szaty staje w parze.

Lecz najświatlejszy nawet duch płomienia,
Najzapatrzeńszy w Bogu seraf święty
Pytaniu twemu nie da rozstrzygnięcia.

Bo tajemnica ta w takie odmęty
Zapada wiecznych niebieskich wyroków,
Że wzrok stworzenia jest od niej odcięty.

Skoro znów staniesz pośród ziemskich mroków,
Powiedz swej braci: niechaj po próżnicy
Ku takiej mecie nie ruszają kroków.

Myśl, co tu świeci, tam jest we mgławicy.
Więc uważ: który śmiertelnik odpowie,
Gdy tu nie mogą boży namiestnicy?"

Tak skoro tamę naznaczył mej mowie,
Musiałem zmiłknąć, pokarmu niesyty;
Jednak pytałem kornie, jak się zowie.

„Wpółród Italii ciągną się granity
Gór stromych grzbietem, twej ojczyzny blisko;
Grom bije niżej, niż sterczą ich szczyty.

Przełącz tam leży, Katrii ma nazwisko;
Pod nią święcona pustelnicza grota,
Jedynobożnych wyznawców siedlisko —

W ten sens poczęła raz trzeci istota
Święta i wiodła dalej: — Tak żarliwie
Czyniłem Bogu ofiarę z żywota,

Że na potrawach przyprawnych w oliwie,
Było, przeżywam upały i chłody
I zapatrzeniem bożym jeno żywię.

Plon wydawały nabożne ogrody

Niebu obficie; dziś są pustym mianem,
Ich marność prędko poznają narody.

Na świecie byłem Piotrem Damijanem —
Zaś Piotr Pokutnik w domu Bożej Matki
Mieszkał, nad falą Adrii zbudowanym —
Gdym już przeżywał żywota ostatki,
Powołano mię do tego honoru,
Co wiedzie w coraz groźniejsze upadki.

Wszak Cefas, a z nim Naczynie Wyboru
Ducha Świętego szli, bosi i chudzi,
Żebrzący strawy od dworu do dworu.

Dzisiejszy pasterz tak się nie utrudzi:
Ma po pacholku z tyłu i na przedzie,
Z prawej i lewej wspiera go dwóch ludzi.

Pod jednym płaszczem koń i jeździec jedzie,
Tak że dwie bestie chodzą w jednej skórze:
O cierpliwości, gdzie nas to zawiedzie!"

Gdy mówił, światła wyiskrzzone w górze
Schodziły, krążąc, i przez szybkie ruchy
W coraz jaśniejsze zmieniały się róże.

Otoczywszy go, przystanęły duchy:
Wraz runął okrzyk w wyższe regiony,
Jakich człowiecze nie słyszały słuchy...

Nie pojąłem go, hukiem zwyciężony.

PIEŚŃ XXII

Nachyliłem się przerażony wielce
Ku mojej pani; tak dziecię się wiesza
U ramion swojej czułej rodzicielce.

Ona jak matka, gdy pomóc pośpiesza
Swojej pobladłej, przelekłej dziecinie
I pieszczotliwym głosem ją pociesza,
Rzekła: „Czy nie wiesz, żeś w rajskiej krainie,
I czyli nie wiesz, że raj wszystkim święty
I że tu wszystko z żarliwości płynie?

W co by cię mego uśmiechu ponęty,
W co by cię śpiewy szczytne obróciły,
Gdy cię krzyk jeden w te wprawia zamęty?

Gdyby modlitwy ich odkryte były,
Poznałbyś, że już pomsta niedaleka:
Ujrzysz ją, zanim zstąpisz do mogiły.

Miecz boży bowiem ni śpieszy, ni zwleka:
Temu się żmudny wydaje lub żwawy,
Który go chutnie albo trwożnie czeka.

Teraz uwagę zwróć na inne zjawy:
Duchów dostojnych tu obaczysz roje,
Gdy za mym gestem wzrok podasz ciekawy".

Gdzie chciała, oczy obróciłem swoje;
Ujrzałem krążków sto, co na się wzajem
Rzucały światła promieniste stroje.

Stałem, jak kiedy zawahani stajem,
Tłumiąc pragnienie duszne, i w obawie
Natręctwa, z siebie wynieść mu nie dajem.

A wtem największy z błyszczących jaskrawie
Rajskich klejnotów ku mnie się przywionie,
Aby mię sobą nacieszyć łaskawie.

„Gdybyś to widział — mówi — jaki płonie
Ogień w mieszkańcach naszego planety,
Już byś chęć wydał, którą nosisz w łonie.

Lecz byś, zwlekając, do wysokiej mety
Nie spóźnił lotu, ja twej niewyznanej
Chęci oznajmię mych losów sekrety:

Wierzchołek wzgórza, gdzie u stromej ściany
Przylgnęło drobne murami Cassino,

Lud zamieszkiwał krnąbrny a zbłąkany.

Jam pierwszy dobrą darzył go nowiną
O nim, co światu głosił prawdy dziwo,
Za którym dusze dziś w górę się winą.

Bóg mi dozwolił widzieć trudu żniwo,
Bom ponawracał grody okoliczne
Spętane wiarą zwodną i fałszywą.

Owe ogniki to są duchy liczne
Kontemplatywne; pod świętymi żary
Wydały kwiaty i owoce śliczne.

To jest Romuald, a tamten Makary;
Bracia to moi, co trwali w klasztorze,
Stopą tam wrosli i duchem ofiary".

A ja do niego: „Czułość, co w ferworze
Słów twoich tętni, i ochota szczera,
Którą tu płoną na niebieskim dworze,

Serce me taką ufnością otwiera;
Jak słońce różę, aż się całkowitą
Koroną w blaskach jego porozpiera.

Więc proszę, ojcze, i pytam cię, czy to
Doznam tej łaski, aby lice w lice
Oglądać istność twoją niezakrytą?"

On na to: „Bracie, niebiańskie tęsknice
Ukoi w tobie sfera ostateczna,
Gdzie wszechstworzenie i gdzie ja się syć.

W niej pełna, żrzała, całości bezpieczna
Wszelaka żądza; ona nie odmienia
Miejsca, w niej każda cząstka jest stateczna.

Biegunów nie zna ni rozprzestrzenienia;
Nasza Drabina tonie w jej bezmiarze
Za granicami twojego widzenia.

Już patriarcha Jakub w sennej marze
Widział wierzchołek tej samej Drabiny:
Stąpały po niej uskrzydłone straże.

Dzisiaj brać moja piąć się na wyżyny
Nie śpieszy, jeno, regułę z ferworem
Kopiując, psowa drogie pergaminy.

Mury, co niegdyś miały być klasztorem,
Są dziś jaskinią, a kaptury mnisze
Stały się mąki zapleśniałej worem.

W obliczu Boga lichwa się zapisze
Mniej ciężko niżli kościelne bogactwa,
Do których serce zakonników dysze.

Bo ten depozyt to własność biedactwa,
Ilekróć żebrać w Imię Boże będzie;
Nie krewnych ani różnego plugactwa.

Mdłe ludzkie ciało: choć w zacnym zapędzie
Poczyna, prędzej mija mu ochota,
Nim młody dąbek urodzi żołądzie.

Piotr rozpoczynał bez srebra i złota,
Jam stawiał zakon modlitwą i postem,
Franciszek swoje pokorą żywota.

Ty, coś znał prątek, widzisz, jak ze wzrostem
Karłowacieje konar na krzewinie
I wykrzywia się to, co było prostem.

Lecz Jordan, kiedy cofnął się w pustynię,
Morze, gdy pierzchło z bożego wyroku,
To był cud większy — więc i tu nie minie".

Rzekł i spłynął się na Drabiny stoku
Ze swą drużyną; zbite w jasną chmurę
Frunęły w szczyty i znikły z widoku.

A słodka pani popchnęła mię w górę
Po szczeblach owych za światel orszakiem;
Moc jej przemogła mą ziemską naturę.

Nie wstępowały wstępowaniem takim
Na żaden ziemski schód stopy niczyje,
Jak moje, com się stał nadziemskim ptakiem.

Że prawdę mówię, niechaj tak zażyję
Rajskich tryumfów, dla których bezliku
Łzami się zlewam i w piersi się biję.

Bo oto palec sparzony w płomyku
Mniej prędko zemknie, niżli ja wleciałem
W znak konstelacji świecący po Byku.

Gwiazd świetna paro, o blasku nabrzmiałym
Potężną mocą; z was był formowany
Geniusz, który się moim stał udziałem.

Z wami wstępował i schodził w rumianej
Zorzy rodziciel śmiertelnego bytu
W dniu, gdym tchnąć zaczął powietrzem Toskany.

Potem, gdym zaznał łaski i zaszczytu,

Przejęty w sferę, która z wami krąży,
Los mi was zdarzył na drodze do szczytu.

Ku wam nabożnie dusza moja ciąży
I mocy swoje posila, i wzwyż,
Zanim się w wielkim zachwycie pogrąży.

„Pora ostatnich wyzwoleń się zbliża —
Rzekła Beatryks. — Czujna w przyszłym dziele,
Żrenica twoja niech tu leci chyża.

Zanim cię przecież w ten świat nowy wcielę,
Przypatrz się, oczy potoczywszy dołem,
Jakie to światy pod twe stopy ściele,
Abyś pogodnym sercem i wesołem
Witał wspaniałą rzeszę planetarną,
Co tu radosnym polatuje kołem”.

Za czym sfer siedem oczy me ogarną
I glob tak nikły w swojej ziemskiej zjawie,
Żem śmiechem cisnął w jego bryłę marną.

Tym ci ją wyżej człowieka postawię,
Im mniej go ceni; lecz kto w wyższe strony
Patrzy, takiego iście zbożnym sławię.

Spostrzegam córę płonąca Latony,
Lecz bez plam ciemnych, co była przyczyna,
Żem dopatrywał tam miazgi zgęszczonej.

Na twego patrzę, Hiperionie, syna,
Nie mrużąc oczu; i jak się świetlany
Maj i i Diany krąg w niebie rozpina.

Tam mi się jawi Jowisz miarkowany
Pomiędzy ojcem a synem; tam widzę
Ich położenia kolejne odmiany.

Za czym oglądam siedem planet w lidze,
Jak która wielka, jakim torem biega,
W jakiej oddali. Ta, której się wstydzę,

Bryłka, co ziemską dzikość w nas zażega,
Kiedym tak krążył z wiecznymi Bliźnięty,
Była mi widna od brzegu do brzegu.

A potem w oczy spojrzałem mej świętej.

PIEŚŃ XXIII

Jak ptak w osłonie lubionych gałęzi
Siedzi na gnieździe pośród miłych dziątek,
Kiedy noc jeszcze ziemię w cieniach więzi,
I żeby zebrać pokarmu dostatek —
Słodkim trud wszelki dla takiej korzyści —
Pragnieniem z głębi zielonych komnatek
Czas wyprzedzając, który światło ziści,
Patrzy, czy zorza wschodu nie roztrąca,
I czeka świtu przez gęstwinę liści —
Tak moja pani stała czekająca,
Utkwiwszy oczy w niebios okolicę,
Gdzie najmniej chyżym zdaje się bieg słońca.
Widząc, że się jej zapalało lice,
Byłem jak człowiek, który się wysila,
Aby nadzieją uciszać tęsknice.
Niedługo jeszcze trwała owa chwila
Czekania, kiedym ujrzał, że pożarną
Zorzy jasnością niebo się rozchyła.
A Beatrycze: „Oto już się garną
Rzesze z tryumfu Chrysta; oto w toku
Sfer wirujących wyłuskane ziarno”.
Twarz swą ubrała w płomienie, a w oku
Zatliła takiej radości kagańce,
Że nie potrafię skreślić jej uroku.
Jak na księżycy pełni Diana tańce
Wyprawia z nimf swych nieśmiertelnym gronem,
Co rozpogadza wszystkie nieba krańce,
Tak obaczyłem nad iskier milionem
Słońce; tamtejsze światy tak nim płoną
Jak naszym gwiazdy w stropie wyiskrzonym.
Pod przezroczystą i jasną przeponą
Lśniła substancja światłości tak wielka,
Żem nie mógł oczu obrócić tą stroną.
O Beatrycze, luba wodzicielka!...
Oto mi rzekła: „Władze twe rozprzęga
Ta Moc, przed którą mdleje władza wszelka.
To owa Mądrość i owa Potęga,
Co szlak otwarła od ziemi ku górze,

Po którym niebios tęskna dusza sięga".

Jak ogień rwie się, uwięziony w chmurze,
Co go nie zdoła objąć, więc wypruty
W dół się przewala, wbrew swojej naturze,

Tak duch mój, pasion na biesiadzie sutej,
Zolbrzymiał w sobie i tak wybiegł z ciała,
Że już nie pomni zdarzeń tej minuty.

„Podnieś powieki, spójrz, jakam się stała;
Z wielkich widoków nabrałeś tej mocy,
Że zdzierzysz patrzeć, jak mój uśmiech pała".

Czekałem czegoś jak ten, co po nocy
Był nawiedzony cudną senną marą
I pragnie włudzić ją znowu na oczy,

Gdy ucieszyła mię piękną ofiarą,
Wartą wdzięczności tak wielkiej i trwałej,
Że jej nie zgubi pamięć żadną miarą.

Choćby języki wszystkie pomagały,
Które Polimnia z siostrami na mlecznym
Napoju w niebie swoim wychowały,

Trudno by pieniem tym wielojęzycznym
Rzec, czym był uśmiech kraszący jagody
Mej świętej i czar w tym uśmiechu ślicznym.

Więc opisując owe rajske grody,
Święcone dzieło przeskokami biegnie,
Jak ktoś, co w drodze spotyka przeszkody.

A ty, zważywszy ciężar, który zegniesz
Najtęższe siły w każdym ziemskim tworze,
Nie gań, że duch mój niekiedy przylegnie.

Nie dla maleńkich łódek jest to morze,
Gdzie płynie barka moja niespożyta;
Lękliwy żeglarz wiosłem go nie porze.

„Czemu twarz moja tak cię czarem chwyta?
Patrz indziej, gdyżes u ogrodu proga,
Który w Chrystusa promieniach zakwita.

Tu rośnie Róża, w której Słowo Boga
Ciałem się stało; tu Lilije wonne
Zapachem wiodą, kędy prawa droga".

Tak Beatrycze; a myśli me, skłonne
K'jej woli, nowe widowisko chłoną;
Na żar obracam źrenice niebronne.

Jak pod obłoku spękaną zasłoną
W słońca kurzawie, która przez nią leci,
Z oddali widno łakę umajoną,

Tak się przede mną mrowie iskier kwieci
Pooświecanych blaskiem gdzieś z wysoka;
A nie wiem, jakie ognisko je nieci.

O szczytna Mocy, co kształtem obłoka
Wzniosłaś się w górę, ażeby, zbyt nisko
Pałając, mego nie oślepić oka!

Słyszac to kwiecia pięknego nazwisko,
Którego wzywam zmierzchem i o świcie,
Spojrzę w największej iskry palenisko.

A ledwo że się w oczach mych odbicie
Żyjącej gwiazdy odmalować zdoła,
Co tam króluje tak jak w ziemskim bycie,

Gdy wtem Żagiewka gdzieś od niebios czoła
Zleci i w jasny wieniec się zaplata,
I w lot osnuwszy ją, krąży dokoła.

Nawet najśłodsza melodyja świata,
Co dusze więzi w zgodnych dźwięków mirze,
Zgrzytem się wyda, który z chmur wylata,

Przeciwstawiona tej niebiańskiej lirze,
Co tu klejnoty świetnymi jaśnieje
W najprzezroczystszym niebiosów szafirze.

„Ja jestem radość anielska, co sieje
Górną uciechę, a z żywota płynie,
Który gospodą był naszej Nadzieje.

I będę krążył, pókiś Ty przy Synie,
Pani Niebieska, i póki w obręczy
Najwyższej blask Twój ponad inne słynie".

W ten sens okrężna melodyja dźwięczy,
A inne światła imieniem: „Maryja",
W chórze śpiewały za tym, co ją wieńczy.

Ów płaszcz królewski, co sobą spowija
Wszechświata warstwy i żar w siebie bierze
Boski, i jego tchnień najwięcej spija,

Tak swoich ogni najniższe obrzeże
Kreślił wysoko ponad świata zwoje,
Żem poznał, iż go oczyma nie zbieżę

I że nie zdołam w niebieskie pokoje

Zdążyć dość szybko, gdzie się uwieńczona
Jasność podniosła, śledząc plemię swoje.

A jak dziecina, kiedy nakarmiona,
Gestem wskazując, co jej w duszy świta,
Do matki swojej wyciąga ramiona,

Tak owa duchów rozgorzałych świta
Prężyła w górę swych płomieni kiście,
Miłością Marii cała rozpowita.

Na oczach moich gorzała rzęsiście,
Regina caeli nucąc, trzódka gwarna:
Tak mi w pamięci została wieczyście.

O jakże dobrym plonem jest ciężarna
Każda z skrzyń owych, co na ziemskiej roli
Rozsuła niegdyś takie zdrowe ziarna!

Tutaj się żyje i czerpie do woli
Z układanego umartwieniem plonu,
Co w babilońskiej powstąpił niewoli.

Tak u stóp Chrysta i u Marii tronu
Zwycięstwa swego używa bezpieczny,
Pospołu z Radą obojga zakonu,

Ten, co ma klucze od radości wiecznej.

PIEŚŃ XXIV

„Bractwo wezwane na wielką wieczerzę
Baranka, co tak waszych łaknień baczy,
Iż wam wydziela wszystko w pełnej mierze;
Skoro za łaską Bożą on się raczy
Tym, co się z chleba waszego odkruszy
Wcześniej, niż się mu z Opatrzności znaczy,
Niech was niezmierny głód jego poruszy;
Otrzeźwicie go rosą; wszak czerpiecie
Z krynic, skąd trysła istność jego duszy”.

Tak Beatrycze. Wtem każdy w tym świecie
Uweselony duch stał się jak fryga
I skrą błysł żywszą, podobny komecie.

Jak się rząd kótek zrzeszonych prześciga
W zegarze: małe, zda się, w miejscu stoi,
Duże wiruje, że tylko się miga —

Podobnie duchy niebieskiej ostoj
Obracały się to wolno, to żwawiej,
Wedle wymiaru niebiańskości swojej.

Z wieńca, co mi się najpiękniejszy jawi,
Wytrysnął promień tak szczęsnej ekstazy,
Że żaden wokół nie błyszczał jaskrawiej.

W krąg Beatryczę owionął trzy razy,
A brzmiało z jego ust tak boskie pienie,
Że nie opiszę żadnymi wyrazy.

Ominę piórem rzecz nad przyrodzenie;
Nie głos, fantazję nawet zbyt mam ostrą,
By odmalować gry wiotkie odcienie.

„O ty nabożna, czuła, święta siostro!
Patrz, jak mię wabią za szczytne regiony
Prośby twe, gdy się przede mną rozpostrą”.

Tak, przystanąwszy, wid błogosławiony
W twarz Beatryczy z ognia błyskawicy
Tchnął i takimi odezwał się tony.

A ona: „Wielki cieniu jasnolicy
Męża, co klucze pańskie w swe władanie
Przyjął, zniesione z tej uciech stolicy,

Zadaj mu łatwe lub trudne pytanie:
Dowiedz się, czyli w wierze nie szwankuje,

Z którą tyś stąpał przez morskie otchłanie,
Wprawdzie, wierzy-li, ufa-li, miłuje —
Nie skryte tobie, gdyż wzrok twój dostawa
Tam, gdzie się obraz wszechrzeczy maluje;

Ale że wielu nabyło tu prawa
Obywatelstwa wciąż dla wiary świętej,
Przygodzi mu się o wierze rozprawa".

Jako się szkolarz zbroi w argumenty,
Słuchając mistrza słów, by jego wzorem
Sylogizować na temat podjęty,

Tak śród tej mowy jam się czynił skorem
Zacząć dysputę i wystąpić godnie
Przed tak dostojnym egzaminatorem.

„Chrześcijaninie, z przekonaniem zgodnie
Mów, co nazywasz wiarą?" Wzniosłem lice
I popatrzałem w mówiącą pochodnię.

Potem utkwilem oczy w Beatrycę;
Ona mi gestem dawała odpowiedź,
Kaząc, bym otwarł swych myśli krynice.

„Łaska — zacząłem — która mi tę spowiedź
Pozwala odbyć przed wodzem naczelnym,
Niech też pomoże myśli me wysłowić:

Jako napisał piórem wierzytelnym
Brat twój, co z tobą po ścieżynach prawa
Wodził lud rzymski i czynił go dzielnym,

Wiara jest rzeczy czekanych podstawa,
Wiara — argument rzeczom niepojętem;
Oto czym mi się jej istność wydawa".

Głos na to: „Stąpasz po dobrze wytkniętem
Szłaku, jeśli wiesz, dlaczego jest ona
Tutaj podstawą, a tam argumentem".

Ja na to: „Rzeczy tajnia niezgłębiona,
Którą mi dano oglądać w tej sferze,
Przed wzrokiem moim tak jest utajona,
Że ich byt wszystek polega na wierze,
W której nadzieja szczytna się zakłada,
Przeto podstawy nazwę słusznie bierze.

A że z jedynej wiary nam wypada
Sylogizować bez innej podpory,
Słusznie dowodu miano jej się nada".

Głos na to: „Gdyby tak pewnymi tory
Prawd dochodzono pośród ziemskiej włości,
Nie byłyby tam potrzebne doktory —

Te słowa tchnęły z płomiennej miłości
I jeszcze: — Już się zbadało do znaku,
Jakiej twój kruszec próby i ciężkości.

Lecz powiedz: masz-li tę monetę w saku?"
„Zaiste — rzekłem — lśniąca i toczona;
Widzę jej stempel bez wady i braku".

Potem zabrzmiało ze światłości łona
Gorejącego: „Perła prawowita,
Na której wszelka moc jest założona,
Skąd ci się bierze?" — „Ta struga obfita
Ducha Świętego, która z każdej karty
Starych i nowych pergaminów świta,
Taki stanowi dowód nieprzeparty
I tak niezbiecie w mój umysł się wkowa,
Że przy nim inny jest tępy i zdarty".

Na to głos prawił: „Ta stara i nowa
Tradycja, która tak twą wiarę stali,
Przecz ci w niej Boże wydają się słowa?"

„Dowodem mi są te, cośmy czytali
Cuda, dla których dłoń ziemskiej przyrody
Nie grzała ani nie kowala stali".

Głos pytał znowu: „Gdzie widzisz dowody,
Że cuda działały się? Czy nie w tym właśnie,
Czego chcesz dowieść?" — „Jeżeli narody —

Rzekłem do ducha, co pytał tak jaśnie —
Nawróciły się bez cudów, to-ć przecie
Był cud, przy którym wszelki cud zagaśnie.

Tyżeś szedł biedny i głodny po świecie,
Kiedyś siał ziarno dobrego rodzaju,
Co wzrosło winem, a dziś w cierń się plecie".

Gdym skończył mówić, cały dworzec raju
Pieśnią Te Deum zabrzmiał przez obszary
Na nutę, jaka tam jest we zwyczaju.

A owy książę, co po drzewie wiary
Wspierał z gałęzi na gałąź me loty,
Widząc już bliskie ostatnie konary,
Mówił: „Do myśli twej Łaska w zaloty

Idąca, w onej o wierze rozprawie,
Już pozwoliła ci dojść jej istoty.
Ja ci to w pełni uznaję i sławię.
Teraz, w co wierzysz, powiedz mi w rozłące,
I na której się opierasz podstawie?"
„O święty ojczy, o tchnienie widzące
Rzecz, w którą wierzysz; coś u grobu Pana
Zwyciężył niegdyś stopy bardziej rące;
Chcesz, by słowami była ci podana
Suma prawd, które wyznaję skwapliwie,
I na czym wiara ma jest fundowana:
Wierzę w jednego Boga, który żywie
Wiecznie i wzrusza świat, sam niewzruszony,
Budzący miłość, gdy tchnie miłościwie.
Nie przyrodzony, nie nadprzyrodzony
Dowód sam skłania me wierzące chęci,
Lecz i ta prawda, którą był natchniony
Mojżesz, Psalmista i prorocy święci,
I Ewangelia, ty, druhowie twoi —
Pisarze Ducha żarem owionięci.
Więc w Trójkę osób wierzę, co się troi,
Wiecznie zostając jedną w swoim składzie,
Tak że jej »są«, »jest« zarówno przystoi.
Prawdę o Trójcy tej przepastnym łądzie,
Niby pieczęci niemyłne odbicie,
Na myślach moich Ewangelia kładzie.
To źródło moje; iskra, co w rozświcie
Coraz szerszymi ogniami się pali
I jest mą gwiazdą na nieba zenicie".
Jak pan, któremu miłą wieść przystali,
Miłego posła bierze w uściśnienia
I tę nowinę szczęsną sobie chwali,
Tak błogosławiąc, wśród rajskiego pienia
Trzykroć mię ognia okręcił zawojem
Ów apostolski nosiciel płomienia:
Snadź mu wlubiłem się mówieniem swoim.

PIEŚŃ XXV

Jeśli poemat święty, co doń społem
Ziemia i niebo przykładają dłoni,
Który lat tyle układam z mozołem,
Zwycięży srogość, co mi wstępu broni,
Pięknej owczarni, gdzie bytem jagnięcem
Żyłem, wróg wilków szturmujących do niej —
Z inną ja mową, choć już nie młodzieńcem,
Wrócę poeta; u chrzcielnego źródła
Czoło umaję wawrzynowym wieńcem.

W wierze tam wszedłem, która do pokoju
Wiedzie; w nagrodę święty Piotr z płomyków
Uwił mi glorię jasnego zawoju.

A wtem spośród rozśpiewanych szyków
Tryśł promień i szedł na gromady czele,
Skąd powstał pierwszy z Chrysta namiestników.

W oczach mej pani zatliło wesele:
„Przypatrz się, widzisz rajskiego magnata,
Co dlań dziś pątnik zwiedza Compostellę”.

Jako to gołąb do gołębia złata,
Puszy się, grucha, kroczy dookoła
I pieśczośliwie skrzydła z nim zaplata,
Tak tu apostoł witał apostoła,
Jeden drugiemu miłość niosąc w darze
I chwając strawę z niebieskiego stoła.

A gdy skończyli obaj luminarze
Witać, stanęli przede mną — jak świece,
Tacy ogniści, że lśnąłem w pożarze.

Zaś Beatrycze, umiliwszy lice:
„Przesławny bycie, któryś pisał dzieje
Źródeł hojności w rajskiej bazylice,
Spraw, niech się tutaj wymówi nadzieję;
Ty ją przedstawiasz, ilekroć swą chwałą
Zwiększoną Chrystus wam trzem zajaśnieje”.

„Podnieś ty zatem głowę i patrz śmiało;
Co tu przybywa z śmiertelnej natury,
Trzeba, by w naszych promieniach dojrzało”.

Tę mi pociechę tchnął ów ogień wtóry;
Wzniosłem więc oczy zmrużone w poświęcie

Na dwie tłoczące mię ogromem góry.

„Skoro-ć pozwolił Władca w majestacie
Przed śmiercią rajskich oglądać baronów
W najskrytszej swego pałacu komnacie

I skoroś poznał prawdę jego tronów,
Nadzieję teraz, która miłość nieci,
W innych umocnij, a sam w sobie ponów,
Wyznając, czym jest i jak się nią kwieci
Twa dusza, i skąd ku tobie przybywa".
Ten głos drugiego ognia mię doleci.

Gdy to usłyszysz pani dobrotliwa,
Ku wzlotom skrzydła moje hartująca,
Natychmiast tak się do ducha odzywa:

„Jak wyczytałeś w skrach naszego Słońca,
Nie chowa sytszych nadzieją żołnierzy
Cała Kościoła armia wojująca.

Dlatego jemu z egipskiej obierzy
W jerozolimskie dano wstąpić wrota,
Gdy mu czas jeszcze wojowania bieży.

Dwa punkty inne, gdy pytać ochota —
Nie g'woli wiedzy, lecz by niósł ludowi
Wieści, jak tobie jest miła ta cnota —

Jemu zostawiam; tuszę, że odpowie.
Ani stąd będzie dawał folgi pysze;
Niech Łaska Boża w tym go postanowi".

Stałem jak ogień, który chęcią dysze
I czeka, w sobie gotów na pytanie,
Pewien, że swoją sztuką się popisie:

„Nadzieja — rzekłem — jest oczekiwanie
Chwały niechybnej, która mi z zasługi
Własnej i z Łaski Bożej się dostanie.

Z licznych gwiazd biorę te jasności strugi,
Lecz kto najhojniej nalał mi z tej czary,
Był śpiewak, pierwszy między pańskie sługi.

Powiada w hymnie: »Ufają bez miary
Ci, którym nie jest skryte imię Twoje« —
A komuż skryte, kto jest mojej wiary?

Oglądam potem przelane te zdroje
Do twego Listu; oto mię przesysca
Taka obfitość, że spragnionych poję".

Podczas gdym mówił, ta żywa zbiornica
Światła migała ze swego ogniska
Często i prędko, niby łyskawica.

I tchnął głos: „Miłość, co ze mnie wytryska
K'nadziei, która mi towarzyszyła
Do męczeńskiego zejścia z bojowiska,
Żąda, bym wezwał cię, skoro tak miła
Tobie ta cnota, abyś łaską silny
Wyznał, co ciebie tuszyć nauczyla”.

„Jest w Piśmie świętym — tak rzekę — niemylny
Cel jej wskazany: oglądam go ninie.
O duszach, którym Pan Bóg jest przychylny,

Mówi Jezejasz, że w swojej krainie
Kiedyś dwoista oblacze je szata,
A kraj swój to ten, co słodkością płynie.

Jeszcze wyraźniej u twojego brata
Owo widzenie szat świetności białej
Z tym się proroka objawieniem splata”.

Gdym skończył mówić, gromkimi hejnały
Wionęło: Sperent in te, znad mej głowy;
A wszystkie kręgi echem powtarzały.

Wtem spośródka nich strzelił promień nowy;
Gdyby Rak tyle miał jasnej urody,
Dniem by ustawnym był miesiąc zimowy.

Jak wstaje, stąpa i wchodzi na gody
Dzieweczka hoża, nie by się pochwałą
Ucieszyć, ale ku czci panny młodej,

Tak w mym widzeniu zjawienie stąpało
Ku parze duchów, co się kręgiem toczy,
Jak ich żarliwym miłościom przystało.

Wtem się głos jego z ich pieśnią zjednoczy;
A moja pani, jak oblubienica,
Stoi bez ruchu, wlepiwszy w nich oczy.

„Oto ten, który skłaniał niegdyś lica
Na Przenajświętsze łono Pelikana
I z Krzyża wybran Matce na dziedzica”.

Tak rzekła; ani w niej przemiana,
Bo ciągle wzrok swój obracała bacznie
Na płomień, w słowa pieśni zasłuchana.

Jak, patrząc w słońce, spostrzegać się zaczyna,

Że się powoli w tarczę zmienia ciemną,
Bo z nadmiar blasku widzi się opacznie,
Tak ja, w żar patrząc, co gorzał przede mną
I mówił: „Czemuż wysilasz się tyle
Rzecz widzieć, której tu szukać daremno?
Pyłem jest ciało moje w ziemskim pyłe
I póki liczba nie będzie spełniona
Wybrańców bożych, trwać musi w mogile.
Dwa tylko światła spośród duchów grona
Z ciałem wstąpiły w niebieskie pokoje;
Ponieś to między tve ziemskie plemiona”.
Gdy skończył mówić, splomienione zwoje
Zatrzymały się, wraz z harmonią ładną,
Którą tworzyli ci święci we troje.
Tak wiosła, rafę ominąwszy zdradną,
Naborykawszy się z nurtów nawałem,
Na głos gwizdawki od razu opadną.
Jakże się nagle ogromnie zmieszałem,
Kiedy, chciawszy się przyjrzeć Beatryczy,
Zwrócony ku niej — już jej nie ujrzałem.
Choć była przy mnie w tym kraju słodczy.

PIEŚŃ XXVI

Gdym nad ślepotą moją stał w żałobie,
Z ognia, którego uległem pożodze,
Tchnął duch i ciągnął uwagę ku sobie,
Mówiąc: „Zanim twój zmysł odzyska wodze,
Co się od blasku mojego podarły,
Stratę rozmową tobie wynagrodzę.

Mów: na jakim się fundamencie wsparły
Kochania twoje? Niech cię nie przestrasza
Ciemność; omdlały wzrok twój, nie umarły.

Bo pani, co cię w te światy zaprasza,
Ma w swoim wzroku moc, którą na chore
Żrenice miała dłoń Ananijasa". —

„Niechże uleczy — rzekłem — w każdą porę
Oczy me dla niej jak wrota otwarte,
Którędy wniosła ogień, co nim gorę.

Dobro, na ten dwór wszystek rozpostarte,
Jest mego ducha alfą i omegą,
Ilekcioć Miłość tchnie na jego kartę".

Usta, com przez nie zbył przestachu mego,
Upewnion, że mię nie tknęła ślepotą,
Znów mię do dalszych wyjawień podżegą:

„Przez gęstsze — prawi — siać musisz rzeszota
I wyznać, czyjej to dłoni napięcie
Ku prawym celom twoje strzały miota?" —

„W filozoficznym prawdy argumencie
Oraz w powadze, co się zeń wyłania,
Ta miłość swoje utrwała pieczęcie.

Dobro, pojęte z chwilą rozeznania,
Im więcej w sobie zawiera dobroci,
Tym do większego pobudza kochania.

Więc do Istoty, w której się stokroci
Dobro do tyła, że wszystko, co żywie
Poza nią, w jej się aureolach złoci,

Bardziej niż indziej musi każdy chciwie
Dążyć, kochając, kto się ubezpieczy,
Że swój sylogizm ułożył prawdziwie.

Tej prawdy nabył mój umysł człowieczy
Od mędrca, który miłość uznać każe

Za pierwszą pośród nieśmiertelnych rzeczy.

Nabył od Stwórcy, co w świętym rozgwarze
Z Mojżeszem mówił, rozumiąc o sobie:

»Oto ja wszystko dobro ci pokażę«.

W tej też powieści wzniosłej ją sposobie,
Gdzie się najwyższa tajemnica słowi
Z nieba zniesiona stworzeniom na globie".

Tu usłyszałem: „Wierząc rozumowi,
Wierząc powadze, co się z nim nie mija,
Ku Bogu miłość najwyższą rozpowij.

Ale wprzód jeszcze jedno powiedz: czyja
Moc cię ku Bogu ciągnie swymi pęty?
Ila się zębów miłość w ciebie wpija?"

Chrystusowego Orła zamiar święty
Nie był mi tajny; czułem krom wątpienia,
Dokąd mię wodził w trop swojej zachęty.

Za czym mówiłem: „Wszystkie ukąszenia
Ku Bogu w słodkiej bodące katuszy
Zbiegły się moje podsycać pragnienia.

Istota świata, istota mej duszy,
Śmierć, którą poniósł On, bym ja był żywy,
I to, co wiarą pozyskać się tuszy,

I wiedza prawdy, której byłem chciwy,
Sprowadziły mię z wód miłości grząskiej
I postawiły na brzegu prawdziwej.

Miłuję wszystkie te bujne gałązki
Rozwite w sadzie, kędy niepojęty
Ogrodnik wcielił wszechdobra zawiązki".

Kiedy umilkłem, poprzez firmamenty
Śpiew brzmiał, a pani mojej słodkie tony
Wtórem wołały: „Święty, święty! święty!"

Jako się budzi człek światłem rażony —
Bo się duch wzroku jego z blaskiem zmaga,
Przenikającym od błony do błony —

I w przedmiot bliski poglądać się wzdraga,
Całkiem nieświadom swojej wzrocznej siły,
Póki go znowu nie wesprze rozwaga,

Tak z moich żrenic wszelkie mroczne pyły
Zwiała pani ma swymi żrenicami,
Które na tysiąc mil wkoło świeciły.

Wtem śród migotu, który w oczach gra mi,
Wzrok mój na nowe dziwo się otworzy:
Oto błysk czwarty zaświtał przed nami.

A Beatrycze rzekła: „W tej tu zorzy
Wdzięczy się Stwórcy pierwsza dusza męża
Na świat z potęgi wywołana bożej”.

Jako gałązka, gdy ją wiatr zwycięża,
Szczytem się zgina, ulegając sile,
I znowu własnym nerwem się odpręża,

Tak ja zdumiony ku światłu się chylę;
Po czym mię zaraz prostuje na nowo
Zapał słuchania niezgasły na chwilę.

„Jabłko, coś było stworzone gotowo,
Ojczy, któremu wszelaka podwika
Po Ewie córką była i synową,

Mów do mnie, prośba moja cię potyka;
O czym — nie wskażę, bo pragnę co żywo
Słuchać; sam wzrok twój w moje myśli wnika”.

Jako to owad, kiedy popędliwą
Chęcią wiedziony, co go lecieć zmusza,
Chęć tę objawia, drżąc skrzydeł pokrywą,

Podobnie owa pierworodna dusza
Okazywała, skrząc w jasnym oprzędzie,
Jak ją radosny ku mnie pęd porusza,

I tchnęła ku mnie: „Zbyteczne orędzie;
Chęć twa widniej sza przed moim obliczem
Niż tobie, kiedy rzecz najbliższa będzie.

Gdyż ja w zwierciadle widzę niezwodniczem,
Gdzie się odbija każdy twór przyrody,
A samo się zaś nie odbija w niczem.

Chcesz wiedzieć: kiedy Pan Bóg mię w ogrody
Rajskie wprowadził, skąd ona cię z ciałem
Uczyła wkraczać na wyniosłe schody;

Jak długo w rajskich uciechach wytrwałem;
Za co tak srodze Pan Bóg mię strofował
I jaką mową w raju rozmawiałem.

Nie to, synu mój, żem z drzewa kosztował,
Było przyczyną wywołania mego,
Ale żem Bożej przestrogi nie chował.

Tam, skąd twa pani wzięła Wergilego,

Cztery tysiące trzysta dwa obroty
Słońca tęskniłem; lat, które z nim biegą,
Wschodząc wszystkimi zodyjaku wroty,
Narachowałem dziewięćset trzydzieście
W czasie pobytu na ziemi zgryzoty.

Język dany mnie i pierwszej niewieście,
Masz wiedzieć, wygasł, zanim się poczęło
Niedokonalne w Nemrodowym mieście.

Bowiem w rozumie ludzkim wszczęte dzieło,
Gnąc się z afektem poddanym wpływowi
Płanet, trwałością nigdy nie słynęło.

Rzecz przyrodzona jest, że człowiek mówi,
Lecz wybór mowy jemu zostawiono;
Natura sama o tym nie stanowi.

Kiedym zstępował z ziemi w piekiel łono,
Szczyt Dobra zwał się Jot; z niego się leją
Te blaski szczęścia, co są mą oponą.

Potem znów Eli — zwyczajną koleją:
Bo zwyczaj ludzki jako drzew ubiory —
Odrastające, gdy stare zetleją.

Na szczycie falą okolonej góry
Żyłem niewinny — do pozbycia cześci,
To jest od pierwszej godziny do wtórej,
Następującej po godzinach sześci".

PIEŚŃ XXVII

Ojca i Syna, i Świętego Ducha
Raj cały zabrzmiał niemilknącą chwałą:
Upajać musi zmysły, kto jej słucha.
Uśmiechem mi się wszechświata wydało
To, com oglądał; słodkie upojenie
Przez wzrok i przez słuch we mnie wstępowało.

O radość, szczęście, o niewysłowienie
Piękny kochania i miru żywocie!
O wolne żądzę i bezpieczne mienie!

Stały przede mną, zatlone w ochocie,
Cztery pochodnie. I jęła ta, która
Pierwsza przybyła, rzucać iskier krocie.

Przeobrazila się wtem jej natura:
Jakby z Jowiszem Mars, postać lataczy
Przybrawszy, wzajem zamienili pióra.

Opatrzność, z której każdemu się znaczy
Kolej i służba, nakazała ciszę
Wszystkiej naokół gromadzie śpiewaczej.

„Żem pąsem spłonał — takie słowa słyszę —
Nie dziw się, bo gniew, co we mnie dygoce,
Barwę sromoty na każdym wypisze.

Ten, co przywłaszczył sobie na Opoce
To moje miejsce, moje miejsce, moje
Miejsce — w obliczu Chrystusa sieroce,
Zmienił mych kości cmentarne pokoje
W krwi i plugactwa cuchnącą kałużę,
Ucieszne ducha upadłego zdroje”.

Jakie w wiszącej przeciw słońcu chmurze
Rankiem lub zmierzchem barwy widzieć można,
Takie na niebie w krąg wykwitły róże.

A jak niewiasta o siebie nietrwożna
Złęknie się przecie i wstydem zapala,
Gdy ją doleci czyjaś wina zdrożna,

Tak Beatrycze wszystka pokraśniała:
Podobna była ciemność firmamentu,
Gdy Moc najwyższa na krzyżu konała.

Duch mówił tonem żałoby i wstrętu;
Jak mu się przedtem zasępiły lica,

Teraz dźwięk głosu zmienił się do szczętu:

„Po toż karmiła się Oblubienica
Pańska krwią moją, i Lina, i Kleta,
Że swe łakomstwo dziś złotem nasycą?

By dojść tu, gdzie jest życia szczęsna meta,
Syksta, Pijusa, Kaliksta, Urbana
Krew się poląła w męce. Nasza nie ta
Intencja była, aby armia Pana
Przez naślédników na dwojaką stronę:
Prawą i lewą, była roztargana.

By klucze straży mojej powierzone
Miast godeł świętych na sztandarach szyto,
Które się wodzi na ludy ochrzczone.

By wizerunek mój w pieczęciach ryto
Na fałszowane, kupne przywileje —
Dlatego na mnie wstydu barwy kwitą.

W skórach pasterzy wilki wyszły z knieje;
Kolejno wszystkie zwiedzają owczarnie...
O zemsta boża, czemu nie pośpieje!

Już z Kaorzanem Gaskończyk się garnie
Spijać krew naszą: o początku prawy,
Jak się tu musisz dokonywać marnie!

Jednak Opatrzność, która rzymskiej sławy
Obrońcę świata dała w Scypijonie,
Jak tuszę, prędkiej dokona naprawy.

Ty, synu, gdy cię ku padolnej stronie
Ciało znów ściągnie, nie chowaj języka
I nie osłaniaj, czego ja nie słońię".

Jako się na dół od nieba pomyka
Zamrożonego powietrza płat biały
W porze, gdy słońce Kozioróżca tyka,

Taki się czynił eter pełny chwały,
Gdy górą płatki tryumfalne ronił,
Które tam z nami przez chwilę gadały.

Wzrok mój światelka znikające gonił,
Aż wreszcie przestwór porwał je za progi
Mego widzenia i pościgu wzbronil.

Pani ma, widząc, żem od skier pożogi
Oderwał oczy, rzekła: „Pochyl głowę
I obacz, ile już ubiegłeś drogi".

Ziemia, odkąd ją oglądałem, nowe
Jawiła lice; snadź hakiem zwrotnika
Już pierwszej sfery ubiegłem połowę.

Stąd me spojrzenie za Gadem spotyka
Szlak Ulissesa szaleństw; stąd znów morze,
Gdzie słodki ciężar siadł na karku Byka.

Więcej bym odkrył miejsc na ziemskiej korze,
Lecz pod mą stopą okrężnymi loty
Słońce o jeden znak zbiegło w tej porze.

Myśl do mej pani lecąca w zaloty
Kieruje mymi oczyma, że muszą
Ciągle pożądać jej spojrzeń pieszczoty.

Kunszt i natura, co się o to kuszą
Czy w kształcie żywym, czy w kreślonym dziele,
Aby przez zmysły zawładnąć nad duszą —

Razem zebrane nie miały tak wiele
Władzy, jak cud ten, którym mię olśniła,
Kiedy zajrzałem w jej oczu wesele.

A jej spojrzenia potajemna siła,
Z gniazda mię Ledy wyrwawszy, w regiony
Najrozpędliwszej sfery wprowadziła.

Jej najgórniejsze czy najniższe strony
Tak jednolite są, że nie obliczę,
Gdziem był od pani mojej postawiony.

Lecz ona, widząc, czego w sercu życzę,
Rzekła — a taka była z niej poświata,
Jakby Bóg szczęsny wstąpił w jej oblicze:

„Natura ruchu, który środek świata
Trzyma w bezwładzie, a resztę w pęd rączy
Wprawia, stąd, jako z swych krańców, wylata.

Z niczym to niebo swych wirów nie łączy
Prócz z Myślą Bożą; z niej miłość wynika,
Co pędzi światy, moc, co się w nie sączy.

Miłość i blask je swym kręgiem zamyka,
Jak ono mniejsze kręgi; po swej chęci
Wszystkie dłoń wodzi światów Kierownika.

Samo się ruchem niewymiernym kręci;
W nim inne ruchy mieszczą się wymiennie,
Tak jako piątka i dwójka w dziesięci.

Oto jak czasu krzew rośnie misternie:

Korzeń zapuszcza w tym szczytnym wazonie,
W niższych rozwija kwiat, liście i ciernie.

Chciwości, wir twój śmiertelników chłonie:
Kto weń popadnie, pewny jest zatrąty,
Niezdolen głowy już dobyć nad tonie.

Pięknymi kwitnie wola ludzka kwiaty,
Lecz ustawiczny deszcz zawiązki psowa,
Śliwę zamienia w owoc guzowaty.

Wiara, niewinność dziś chyba się chowa
Śród dzieci: zanim broda stanie w krasie,
Już się poplami ta szata godowa.

Ów, który dzieckiem pościł, w prędkim czasie,
Gdy przyjdzie piątek, głodem się nie morzy:
Tłustą potrawą chciwe gardło pasie.

Ów, który dzieckiem przed matką się korzy,
Ledwo językiem władać się nauczy,
Patrzy, rychło ją do trumny ułoży.

Tak się to z białych szat w czarne obłóczy
Córa planety, co przed sobą pędzi
Poranek, a zmierzch za sobą zawłóczy.

Mowa ci moja pytania oszczędzi:
Oto ród ludzki wnet prawdy odwyknie,
Bo brakło wodza śród ziemskich krawędzi.

Za to nim styczeń w szczyt z zimy wyniknie,
Dzięki tej drobnej części poniechanej,
Świat naszych kręgów górnych tak zaryknie,

Iż los od wszystkich nas oczekiwany
W kierunku rufy dziób obróci statku
I nawa pomknie prosto przez bałwany,
A kwiecie owoc prawy da w ostatku".

PIEŚŃ XXVIII

Tak to przede mną świata obyczaje
W całej nagości występu odkrywa
Ta, co mą duszę w szczytne wiedzie raje.

Jak za plecyma zatlone łuczywa
Zgadnie ktoś, trafem spojrzawszy w zwierciadło,
Nim je wzrok jeszcze i myśl podejrzywa,

A zwróciwszy się, widzi, że przypadło
Widmo do rzeczy w zwierciadlanej szybie,
Jak nuty z rytmem powiązane stało —

Tak jam się zwrócił — bodaj nie pochybię
Pamięcią, skorom zajrzał w jej źrenice,
Skąd Amor na mnie w swych potrzaskach dybie.

A gdy tak patrzę i spojrzenia syce
Tym, co tam widne pośród sfer obszaru
Oczom puszczone po niebios granice,

Promieniejącą ujrzę iskrę żaru;
A tak mi w oczach przenikliwie pała,
Że je zasłaniam od blasków nadmiaru.

Gwiazda niebieska nieskończenie mała,
Gdy ją się przy tym punkciku postawi,
Księżycem by się ogromnym wydała.

W tym oddaleniu, w jakim ci się jawi
Wkoło płomienia krąg świetlanej tęczy
Na zgęślej parze, strojny w kolor pawi,

Dokoła punktu maleńkiego, ręcej
Niżli najszybszy ruch dokoła świata,
Wirował ciągle pas jasnej obręczy.

Spojrzę, a nad nią drugi krąg polata,
Trzeci i czwarty wolniejszymi gony,
Za nimi piąty i szósty się splata.

Za szóstym siódmy, smugą roztoczony
Taką szeroką, w przestrzeni się pali,
Że nie ogarnie jej służka Junony.

Ósmy, dziewiąty — a tym opieszalej
Każdy z tych kręgów swoją wstęgę wije,
Im od Jedności odsadził się dalej.

Żar najświecniejszy z tej obręczy bije,
Która najbliższa czystej Iskry leży:

Snadź ze strug prawdy najobficiej pije.

Pani ma, widząc, że mię kłopot świeży

Trapi: „Od tego — powiada — ognika

Niebo i cała przyroda zależy.

Spojrzyj na koło, co go prawie tyka:

Miłości żar w nim gore niespożyty

I przeto ruchem tak chyżym pomyka".

Na to ja mówię: „Gdyby wszystkie byty

Trwały w tym ładzie, co te sfery sprzęga,

Twym objaśnieniem byłbym w pełni syty.

Ale w granicach, dokąd rozum sięga,

Im sfera dalsza jest centralnych zniczy,

Tym obrót szybszy od kręga do kręga.

Więc gdy spragniony duch mój poznać życzy

Wszystek ład w dziwnym tym anielskim chramie,

Który z miłością i światłem graniczy,

Spytam: przecz prawom przyrodzonym kłamię

Obraz, gdy wzoru nie odtwarza wiernie?

Nad tym na próżno myśl moja się łamie".

„Jeśli twe palce na taki misternie

Splątany węzeł za słabe — nie dziwo:

Niedotykany, zaciął się niezmiernie —

Tak rzecze pani ma i doda: — Żywo!

Mą wiedzę nasycić głód, co cię pożera,

Wyostrz rozumu władzę przenikliwą:

Każda niebiosów tych widzialna sfera

Ma obwód różny wedle mocy Bożej,

Która we wszystkie ich części przeziera.

Gdzie większa dobroć, tam i szczęścia sporzej;

Sporsze z obfitszych źródeł się wyłania,

Lecz żadna cząstka nie smakuje gorzej.

Więc niebo, które w swoje wirowania

Wciąga świat cały, kołu odpowiada

Najpełniejszemu wiedzy i kochania.

Kto ład tutejszy wedle mocy bada,

Nie według tego, jak szerokim kołem

Każdy z tych światów swą istotność wyklada,

Ujrzy świat duchów i materii społem

Krążące: z niższym mniejszy, z wyższym większy,

A każdy okręg za swoim Aniołem".

Jako się w górze rozjaśnia i piększy
Strop wypukłonej lazuruwej czary,
Gdy z Boreasza wiatr powieje miększy,

I spod powłoki rozprószonej pary,
Co się całunem kładła na błękicie,
Wyniebieszczą się piękności bez miary,

Tak mnie się stało, kiedy mi odkrycie
Przez nią zstąpiło, bo tegoż momentu
Pojąłem trudną prawdę znakomicie.

A gdy ucichły jej słowa do szczętu,
Z rzędu kół iskiek wytrysły ruczaje
Jak z rozgrzanego do białości prętu.

Za każdym pożar bił na nieba skraje:
A iskiek tyle szło, ile zdwajana
Stawka na polach szachownicy daje.

Z chóru do chóru bieżała: Hosanna,
Ku chwale punktu, co dzierży te zwoje
Tęcz, po swej drodze mknących z woli Pana.

Ona, myśli mej nowe niepokoje
Widząca, rzekła: „Te dwa pierwsze skrety
To Serafinów i Cherubów roje.

Każdy związany z Nim silnymi pęty
Wylata wbożyć się weń, ile zdoła,
W miarę o ile mu jest odsłonięty.

Dalsze w kochaniu wirujące koła
Zowią się Trony, bo dla Boga stoją:
To pierwszy ternar od niebiosów czoła.

Wiedz, że rozkoszą o tyle się poją,
Ile się każdy w otchłani zanurzy
Prawdy, gdzie wszystkie wiedzy się pokoją.

Poznałeś, jaki akt narzędziem służy
Błogości rajskiej: oto zapatrzenie,
A nie zaś miłość, bo ta jeno wtórzy.

Miarą błogości są zasług strumienie
Płynące z Łaski i z własnej dobroci;
Tak z stopnia w stopień rośnie nieskończenie.

Następny ternar, w którym się stokroci
Krzew tej wieczystej wiosny, co go z liści
Nocny Barana znak nie ogołoci,

To w trój melodii nucący lutniści

Wieczne: Hosanna, w trzech stopniach wesela,
Którym się owa hierarchia troiści.

Na trzy włodarstwa zatem się rozdziela:
Po pierwsze — Państwa, drugie — Mocy, trzecie
Mocarstwa — cała ta boża kapela.

Więc z Archaniołów i Książąt się plecie
Krąg przedostatni, a w ostatnim krążą
Pląsy Aniołów, tęsknych ku swej mecie.

Te wszystkie stopnie z szczytem oczy wiążą,
A w dół panują, tak że w Bożą stronę
Świat pociągają, dokąd same dążą.

Już Dyjonizy myśli utęsknione
Zwracał do duchów tych górnego rzędu:
Nazwy ich, cechy były mu zjawione.

Grzegorz się rozszedł z nim, lecz gdy oprzędu
Ciała pozbywszy, tu otwarł źrenice,
Jakże się musiał śmiać z własnego błędu!

Jeśli zaś mędrzec niósł tę tajemnicę
Ludziom, to przeto, że mu ktoś dyktował,
Co ją oglądał tutaj lice w lice

I w inne jeszcze prawdy się wpatrował".

PIEŚŃ XXIX

Ile upływa mgnień od chwili onej,
Gdy wszedłszy pod znak Wagi i Barana,
Przejasna para Bliźniętek Łatony
Trwa, horyzontem wspólnym opasana,
I stoi w równej dali od zenitu —
Do chwili, gdy się przeważy w dwie strony,
Tyle milczała Beatryks do szczytu
Zwrócona, gdzie się tlił punkt przesłoneczny,
W twarzy swej pełna radosnego świtu.
Potem zaczęła: „Pytać trud zbyteczny:
Twoje pragnienie stamtąd mi widnieje,
Gdzie czas i miejsce mają kres swój wieczny.

Nie, by radości własnej przywileje
Zwiększyć, lecz by blask, co z niej się wyłania,
Mógł, świecąc, wyrzec o sobie: »Istnieję«,
W beczasie wiecznym, za granicą trwania
I pojmowania, z woli swej podmuchu
Pramiłość nowe stworzyła kochania.

Ani też przedtem nie trwała w bezruchu,
Bo nie istniało ni »przedtem«, ni »potem«,
Gdy nad wodami się niosła Moc w Duchu.

Jako trój struny łuk potrójnym grotem,
Tak wola boża wystrzeliła w czynie
Ciałem i formą, i wraz ich zaplotem.

A jak w kryształach, szkle albo bursztynie
Od chwili, kiedy promień je otworzy,
Do chwili, kiedy w ich przeźroczach wpłynie,

Przerwy nie widno, tak tu z ręki bożej
Dzieło trój kształtne od razu bez zmiany
Całe się, było, i zupełne złoży.

A równocześnie substancjom był dany
Ład i to one są stworzenia czołem,
I w nich jest czysty Akt ufundowany.

Czysta Potencja podążyła dołem;
Potencja i Akt, w pośrodku natury
Ściśle złączone, osiadły się społem.

Pisze Hieronim, że anielskie chóry
Były stworzone na wiele stuleci

Przedtem, nim wyszedł z rąk bożych świat wtóry.

Ta sprawa ci się rzetelniej wyświeci,
Gdy się rozpatrzysz w tych pisem osnowie,
W których się Ducha Świętego żar nieci.

Ale poza tym sam rozum ci powie,
Że niepodobna, by stworzone dźwignie
Miały tak długo istnieć bezcelowie.

Gdy się twa bacność do mej myśli przygnie,
Poznasz, jak były stworzone anioły —
Trzecia żądz twoich gorączka ostygnie.

Niedługo jednak świetlanymi koły
Krążyli owi duchowie bez błędu:
Część ich wnet ziemskie skłóciła żywioły,
Część pozostała i swego urzędu
Jęła dopełniać rozkoszą przejęta
I do tej pory nie zwolniła pędu.

Powód upadku ich była przeklęta
Pycha zbudzona w doskonałym tworze,
Co go dziś ziemia swym brzemieniem pęta.

Ci, których widzisz, uznali w pokorze,
Że to im dobroć boża pomagała
Wspiąć się na szczytne poznanie poroże,
Więc też żrenica ich dzielna się stała
Zasługą własną oraz Łaską Bożą,
A wola wzrosła i pełna, i stała.

Niechaj me słowa tę prawdę ci wdrożą,
Że Łaska Boska na stworzenia spływa,
W miarę jak ku niej swe serca otworzą.

Jeśliś dokonał pilnie swego żniwa
Wiedzy, już rozum twój sam z siebie zdole
Wyrozumować tajemnic ogniwa.

Lecz że na ziemi uczą w waszej szkole
To o aniołów niebieskich naturze,
Że mają rozum i pamięć, i wolę,

Zatem ci jeszcze wyraźniej powtórzę
Prawdę zepsutą wykładem zwodniczem
I dzięki mędrcom okutaną w chmurze:

Twory te, odkąd Boga są obliczem
Szczęsne, wpatrują się w majestat wieczny,
Któremu nikt się nie ukryje z niczem.

Nie chodzą myśli ich na żaden wsteczny
Szlak, bo ich jedna myśl zajmuje zbożna —
Toteż pamięci dar im jest zbyteczny.

Śni taki mędrzec na jawie, rzecz można,
Co ucząc, wierzy w tamto lub nie wierzy,
Jeno że w drugim wino bardziej zdrożna.

Po różnych ścieżkach tam u was się bieży,
Filozofując, bowiem wami rządzi
Miłość pozorów i pustej lubieży.

A i to jeszcze w niebie się osądzi
Z większą pogardą, kiedy kto wyraca
Pismo, niż gdy w nim po niewoli błądzi.

Nie baczy, jak się krwawicą opłaca
Prawd siejba w świecie i jak Pan Bóg sprzyja
Temu, kto za nim korny krok obraca.

Więc by zabłysnąć, w księgach się rozwija
Własne wymysły, a ksiądz z kazalnicy
Powtarza; za to Ewangelią mija.

Więc: że się księżyc cofnął, aby lice
Słońca skryć sobą przy Chrystusa skonie
I ciemność spuścić na ziemskie granice.

Inny, że przez się stanęła w zasłonie
Światłość, ażeby mrok rozpostrzec gruby
W Hiszpanii, Indach i tam, w judzkiej stronie.

Rzadsi nad Arnem Bindowie i Kuby
Niż owe, które do kazań się miesza
I w pergaminach spisywane duby.

Tymczasem wiernych nieświadoma rzesza
Wraca z pastwiska wiatrem napasiona;
Lecz nieświadomość z winy nie rozgrzesza.

Chrystus nie mówił: »Ponieście nasiona
Bredni«, kiedy swe w świat rozsyłał ucnie,
Lecz dał nauce ich mocne bierwiona.

Oni głosili i jawnie, i hucnie,
Bojując słowem, aby wiarę dźwigli:
Tarcz z Ewangelii czynili i włócznię.

Dziś kaznodzieje z baraszek i figli
Kleczą naukę i byle śmiech pusty
Zbudzić, dmą w kaptur, bo celu dościgli.

Gdyby tłum wiedział, co za złotousty

Ptaszek się mieści pod mniszą kapicą,
Mało szacowałby jego odpusty.

Oni to ziemię takim głupstwem sycą,
Że nim się pewnym dowodom poruczy,
Za lada jaką goni obietnicą.

Wieprz się świętego Antoniego turzy,
A za nim tacy, gorsi niżli wieprze,
Sieją monetę, w której mosiądz huczy.

Aleśmy zeszli z drogi, więc na lepsze
Sprawy obróćmy czas nam pozostały,
Uwagę twoją niechaj chęć podeprze:

Rzesze anielskie w swych stopniach do chwały.
Tak są przeliczne, że nie ma języka
Ani wyrazu, co by je nazwały.

Gdy zważysz, jak w swym proroctwie odmyka
Te tajemnice Daniel, pojmiesz snadnie,
Że ścisłych liczby określić unika.

Kiedy Pramiłość w ich naturę wpadnie,
Różnymi z nią się sposoby kojarzy,
W miarę iloma promieniami owładnie.

A że za aktem zapatrzenia w twarzy
Boskiej wraz skutek kroczy, więc i wstęga
Miłości w każdym inaczej się żarzy.

Patrz, jak rozległa jest Boża potęga,
Skoro zwierciadeł tyle w sobie wszczyna,
W każdym na liczne części się rozprzęga,
Mimo to w sobie zostaje jedyna".

PIEŚŃ XXX

Gdy sześć tysięcy mil od nas godzina
Szósta najwyższą gorącością zionie,
A ziemia cień swój do poziomu zgina,
Zaś u nas niebo w swej najgłębszej stronie
Czyni się takie, że w nim gwiazda srebrna
Bledszym i coraz bledszym światłem płonie,
Stąpi-li słońca przejasna służebna
Jeszcze krok dalej, to, idąc, wypruwa
Do ostatniego gwiazdnych iskier stebna.

Tak ów korowód, gdy ciągle przefruwa
Dokoła punktu, co mię spiorunował,
A zda się wsnutym w to, co sam osnuwa,
Błądł jak te gwiazdy u niebieskich pował;
Więc miłość i gwiazd zdziałało zniknięcie,
Żem ku mej pani znów oczy kierował.

Gdybym to wszystko chciał w jednym momencie
Skupić, co o jej powiedziałem krasie,
Jeszcze byś słabe miał o niej pojęcie.

Tak zmysły ziemskie zwycięża, iż zda się,
Że tylko jeden On, co dał ją światu,
Jej cudem w pełni święty wzrok napasie.

Bardziej się czuję od jej majestatu
Przybity niżli w którąkolwiek porę
Komik lub tragik od swego tematu.

Jako się słońca lęka oko chore,
Tak ja, uśmiechu jej rażon postrzałem,
Tu z wyobraźnią własną rozbrat biorę.

Od dnia pierwszego, gdy jej twarz ujrzałem
Na naszym świecie, do tych chwil zachwyty
Sławić ją nigdy się nie zawahałem.

Teraz nie mogę iść dalej, bo mi tu
Siła ustawa poetyzująca,
Tak jak artyście, kiedy dobiegł szczytu.

Taką przepiękną kiedyś głośniejsz brzmiąca
Tuba wysławi niż to samo pienie,
Które wieść musi rzecz trudną do końca.

Z głosem i gestem, jak wódz nad stworzenie,
Mówiła: „Otośmy z najszerszej włości

Wlecieli w jaśni przeczystej przestrzenie.

W jaśnię duchową a pełną miłości,
Miłości dobra, które trwa w ucieście,
Ucieście wyższej nad wszystkie słodkości.

Tu ujrzysz obu wojsk niebiańskie rzesze:
Jedną tak, jak się przystroi do lotu
W ów dzień, gdy rzuci swe ziemskie pielesze".

Jak się duch wzroku od słońca migotu
Rozprzęga, po czym przestaje być czuły
Na kształty nawet dużego przedmiotu,

Tak gdy mię żywe jasności osnuły,
Żrenica ślepie i nic nie dostrzega
W owych rozłogach bez dna i kopuły.

„Miłość kojąca od brzegu do brzegu
To niebo, wita błyskiem każdą świecę,
Bo tak ją łącniej w swych ogniach zażega".

Zaledwie krótkie te słowa pochwyć,
Gdym poznał, że się w mej górnej podróży
Wynoszę poza sił ludzkich granicę.

A wzrok mój nabrał takiej mocy dużej,
Tak stał się zdolny wszelkiego widoku,
Że odtąd w żadnym blasku się nie zmruży.

Ujrzałem światłość w postaci potoku:
Światłość ognistą między brzegów dwoje,
Malownych barwą wczesnej pory roku.

Ze strugi iskier wytryskały roje
I zapadały w ukwieconej błoni,
Niby rubiny w złociste zawoje.

Potem jak gdyby omdlałe od woni
Zanurzały się znowu w cudną pianę:
To wynikały, to ginęły w toni.

„Szczytne tęsknoty, po których w nieznane
Kraje wylatać taki żar cię piecze,
Tym mi są miłsze, im bardziej wezbrane.

Napić się musisz wody, co tu ciecze,
Nim swoje wielkie ugasisz pragnienie —
Tak do mnie słońce moich oczu rzecze. —

Rzeka, topazów przezrocze kamienie
W nurtach wędrowne, zieleń uśmiechnięta,
To przyszłych cudów są zwiastuny — cienie.

Nie, by rzecz była przez się niepojęta,
Lecz to ci pełne widzenie zakłóca,
Że nosisz jeszcze lęklivości pęta".

Nigdy dziecina, kiedy się ocuca
W późniejszej, niżli jeść zwykła, godzinie,
Tak się skwapliwie do piersi nie rzuca,
Jak ja, zwierciadło kiedy z oczu czynię
I całym ciałem chylę się po leki
Ku fali, co na lek dla oczu płynie.

A ledwo z niej się napiły powieki
I duch mój ledwo z niej światłości zarwie,
Gdy mi się kula czyni z owej rzeki.

Jak w czasie zapust człek chodzący w larwie,
Skoro ją zdejmie, zmieniawszy pozory,
Wraz przed oczyma w innej staje barwie,
Tak się zmieniły we wspanialsze twory
Iskry i kwiaty — i oto widziałem
W okazałości dwa niebieskie dwory.

O Blasku Boży, przez który widziałem
Królestwa prawdy chwałę nadobłoczną,
Daj mi opisać tak, jak ją widziałem.

Światłość to zatem, czyniąca widoczną
Twarz Stworzyciela poprzez stworzeń wzrokiem,
Które w nim jednym, wiedzą, że odpoczną.

A rozciąga się kolistym otokiem
Tyle, że całe jego rozpowiecie
Byłoby słońcu pasem zbyt szerokiem.

Całe z promieni, przegląda się w szczycie
Owego Pierworuchowego koła,
Co bierze odeń i władzę, i życie.

A jak pagórek od stóp aż do czoła
Odbija w wodzie kształt swój, gdyż mu miło
Widzieć się strojnym i w kwiaty, i w zioła,

Tak ponad światłem wokół się piętrzyło
W tysiąc tysięcy stopni każdą stroną
To, co zostaje z nas poza mogiłą.

A gdy najniższe stopnie tyle chłoną
Wielkiego światła, pomyśl, jak go wiele
Chłonie ta Róża całą swą koroną!

Ile więc liści wszecz i wzdłuż się ściele,

Tyle mi widne było w swej postaci,
W liczbie i jaśni to rajskie wesele.

Dalekość ani bliskość tam nie płaci,
Albowiem w sferze Boga majestatu
Moc swoją prawo przyrodzone traci.

W ośrodek żółty wieczystego kwiatu,
Co się rozrasta, piększy i śle wonie
W cześć słońca, które wiosnę daje światu,

Jak ten, co milczy, ale chęcią płonie
Mówienia, rwanym był od Beatryczy:
„Patrz — rzekła — ile białych szat tu wionie.

Zmierz, ile gród nasz w głąb i wokół liczy;
Patrz, tak są świętych pełne nasze ławy,
Że już niewiele dusz się tutaj życzy.

Na wielkim krześle, któregoś ciekawy,
Bo się w królewskim błyszczy dyjademie,
Nim ty sam rajskiej pokosztujesz strawy,
Zasiędzie dusza Henryka; on ziemię
Italską przyjdzie ratować z ruiny
I niegotowe do poprawy plemię.

Chciwości ślepa, z czyjej władasz winy?!
Przez ciebie ludzie równi z niemowlęty:
Głodne, a nie chcą ssać piersi matczynej.

A będzie siedział na stolicy świętej
W on czas ten, który cesarzowi wszędzie
Jawnie i tajnie zechce czynić wstręty.

Ale go krótko na szczytnym urzędzie
Pan Bóg zachowa; strącon do otchłani,
Tam gdzie mag Szymon w wiecznym gore swędzie,
Przywali sobą onego z Anagni".

PIEŚŃ XXXI

W postaci jasnej różanej korony
Święci wojacy mi się ukazali,
Krwią Chrystusową poczet poślubiony.

Tuż wzłata drugi, ogląda i chwali
Wielkość Onego, co w nim miłość nieci,
I Dobroć wieczną, co go doskonali.

Jako rój pszczelny raz po raz się wkwieci
I znów polata nad pąkiem kuliście,
Miód urabiając z kwiatu słodkiej śnieci,

Tak owy hufiec między piękne liście
Wpadał i wzłatał, i ginął w bezmiarze,
Gdzie miłość jego mieszka wiekuiście.

Z płomieni żywych były jednych twarze,
A skrzydła złote; drugi huf był w bieli:
Żadna biel śnieżna z nim nie stanie w parze.

Stopień po stopniu schodzili anieli
W głąb Róży: gońce miru i pogody,
Które powiewem skrzydeł wciąż garnęli.

Nie stanowiły dla wzroku przeszkody
Ani dla światła te przez blasków morze
Ciągłe płynących aniołów pochody.

Bo skroś wszechświata wnika Światło Boże
I wedle zasług różnie się rozdziela,
A nic mu stanąć oporem nie może.

Owo królestwo ciszy i wesela,
W lud starożytny i w lud nowy strojne,
Wzrok i myśl swoją w jeden cel zestrzela.

O ty w jedynej skrze światło potrójne,
W którym się miłość duszyczek zażega,
Spójrz, w jaką padół nasz wplątany wojnę!

Jeśli z dzikiego barbarzyńcy brzega,
Który Helice gwiazda w jednej dobie
Z najukochańszym swym synem obiega,

Widząc Rzym w hardej pałaców ozdobie,
Zdumiewali się gmachom Lateranu,
Który był wówczas przedniejszy na globie —

Mnie, com z ludzkiego do bożego stanu
I z doczesności leciał wieczność witać,

Z florenckich granic w kraj oddany Panu,
Jakież musiało osłupienie chwytać!
Zdumiony, szczęśliw, zapatrzone w Róży,
Czekałem, nierad ni słuchać, ni pytać.

Jak pielgrzym, stając u celu podróży —
U ślubowanej świątyni, wesoło
Układa sobie, co doma powtórzy,

Tak ja, ku żywym blaskom wznosząc czoło,
Po stopniach kwiatu wzrok puszczałem strażą
W górę i na dół, i znowu wokoło.

Widziałem lica, co się kochać każą,
Własnym uśmiechem i Skrą Bożą śliczne,
Z gestem, gdzie godność i wdzięk się kojarzą.

Znałem już raju architektoniczne
Kształty, lecz skupić się chciałem daremnie;
Pociągały mię piękności zbyt liczne.

I nowa chęć się zapaliła we mnie,
Aby zapytać o coś mojej pani,
Co mi świeciło w myśli nieforemnie.

Jednemu czekał — drugie wziąłem w dani:
Oto w jej miejscu stał mąż siwobrody,
W bieli jak owi duchowie wybrani.

Szczęściem kraszone oczy i jagody,
A gest miał taki jak ojciec do dzieła
Przynaglający swe czułe zachody.

„Gdzie ona?” — pytam, widząc, że zniknęła.
„By ci ukoić ostatnie tęsknoty,
Z siedzib mię moich Beatrycze pchnęła —

Tak rzekł i dodał: — Spójrz w szczyt Róży złotej;
Tam w rzędzie trzecim ujrzysz ją na tronie,
Który zdobyła zasługą swej cnoty”.

Milcząc ku owej obracam się stronie:
Widzę ją w blasku, co naokół krąży,
I w światła własnych ognistej koronie.

Od wyżyn nieba, które piorun drąży,
Aż po najgłębsze dno morskiego łona,
Krótszą zapewne drogą promień dąży,

Niżli ode mnie teraz była ona;
Lecz mimo przestrzeń tę postać mej pani
Była mi widna, niczym niezmacona.

„O święta moich porywów przystani!
Aby mię zbawić, ponosiłaś trudy;
Pozostawiłaś swe ślady w otchłani.

Jeśli mi dano dziwami i cudy
Wzrok cieszyć, mocy twej i uprzejmości
Zawdzięczam łaskę tę dzisiaj i przody.

Przez cię z niewoli wszedłem do wolności,
Stąpając wiernie po każdej ścieżynie,
Która pod duszy swobodę się mości.

Wspieraj mię, czuła, teraz i w godzinie,
Gdy dusza moja, od cię wzięwszy leki,
Z ciała się mego ku tobie wywinie".

Tak się modliłem; a ona z dalekiej
Strony uśmiechnie się i znów do źródła
Twarz swą obraca, płynącego w wieki.

A starzec do mnie: „Byś po długim znoju
Z łaski mych uczuć oraz jej pacierzy
Ostatecznego ujrzał cel pokoju,

Niech wzrok po stopniach wirydarza zbieży,
Bo tak, hartowny w najjaskrawszym żarze,
Łacniej z promieniem boskim się sprzymierzy.

Królowa Niebios, której niosłem w darze
Serce, pozwoli; łaska jej obfita.
Wiedz, Bernard jestem, który z tobą gwarzę".

Jako gromadka pielgrzymów, gdy wita
Twarz wierzytelną Chrysta w Weronice
I w wizerunek, patrzenia niesyta,

Pogląda, pasąc nim chciwe źrenice:
„O Panie Jezu, o Boże prawdziwy,
Tak wyglądało Twoje święte lice?..."

Taki ja byłem, patrząc w płomień żywy
Miłości męża, co przez zapatrzenie
Na świecie mirem rajskim był szczęśliwy.

„O synu Łaski! Ubłogosławienie —
Tak mówił starzec — znane ci nie będzie,
Póki pogładasz na dół między cienie.

Lecz spójrz ku górze; tam w najwyższym rzędzie
Obaczysz Panią, którą za królowę
Uznają święci po niebios krawędzie".

Podniosłem oczy; a jako wschodowe

Części niebiosów o godzinie świtu
Są bielsze, niż gdzie słońce skłania głowę,
Tak, niby z dolin patrząc do gór szczytu,
Punkt ujrzę w szczycie różanego pręgu,
Jaśniejszy listek Róży wśród rozkwitu.
A jak tam, gdzie ma wzejść dyszel zaprzęgu,
Co nim Faeton władał niedołężny,
Blask bije przeciw reszcie widnokręgu,
Tak sztandar miru tej niebieskiej księżnej
W środku rozbłyskał, gdy w bledsze purpury
Stopniowo schodził cały strop okrężny.
A w owym środku z rozwartymi pióry
Anieli w liczbie płasali bezkreśnej,
Każden odmiennych blasków i figury.
Do tych igraszek anielskich i pieśni
Śmiała się piękność, a to jej wesele
Brali w swe oczy duchowie niebieśni.
Choćbym wymowę tę dostał w udziale
Co wyobraźnię, jeszcze te najświętsze
Rozkosze będę opiewał nieśmiele.
Bernard, me oczy na najwyższym piętrze
Widząc utkwione w żarów jego żary,
Sam zwrócił ku niej źrenice gorętsze,
Za czym i moje rozploną bez miary.

PIEŚŃ XXXII

Cały pogrążon w swej świętej rozkoszy,
Nauczyciela urząd biorąc na się,
Ów kontemplator tak mój zachwyt spłoszy:

„Ranę zadała w raju ludzkiej rasie,
Potem zgojoną dłońmi Matki Bożej,
Ta, co u stóp Jej siedzi w takiej krasie.

O jeden stopień niżej, u podnóży
Siedzi Rachela przy twojej Nadziei —
W obręczy, którą szereg trzeci tworzy.

Sara, Rebeka, Judyt i z kolei
Prababka piewcy, co, kając się w błędzie,
Wołał do Pana: Miserere mei!

Jak je wymieniam tu, grzęda po grzędzie,
Wzrok swój zatrzymaj na każdej figurze;
Pionem zstępując, siedzą w jednym rzędzie.

Zatem od stopnia siódmego ku górze
I od siódmego w dół Żydówki siedzą
I na połowę dzielą wszystką Różę.

Albowiem wedle praw, o których wiedzą
Wierzący w Chrysta, te niewiasty iście
Dla schodów świętych są dzielącą miedzą.

Oto z tej strony, gdzie są Róży liście
W pełni rozwite, ci miejsca zajęli,
Którzy ufali w Chrystusowe przyście.

Po drugiej stronie, tam gdzie się kwiat dzieli
Próżnymi krzesły, Bogiem się nasycą
Rzesza Chrystusa żywego czcicieli.

Jak z tamtej strony Maryji stolica
I dolne krzesła na rozwitym kwiecie
Znaczą, gdzie idzie dwu połów granica,

Z tej tron wielkiego Jana, co na świecie
Był zawsze święty i znosił pustynię
I mękę, i był w otchłani dwie lecie.

Przy Benedykcie i przy Augustynie
Siedzi Franciszek; stworzona z ich tronów
Podobna miedza w pół Róży się winie.

A teraz serca uwielbienie ponów
Dla mocy bożej, która swoje służy

Do raju z obu wybiera zakonów.

Wiedz też, że idąc w dół od owej smugi,
Która przecina środkiem oba działą,
Duchy zasiadły nie z własnej zasługi,

Lecz z zasług cudzych; a weszły do chwały
W warunkach, w których możebne zbawienie,
Zanim wyboru same dokonały.

Zrozumiesz, słysząc ich dziecinne pienie
I patrząc na ich twarzyczki dziecięce,
Że to są chłopiąt małych jasnocienie.

Lecz jeszcze wątpisz i jesteś w udręce,
Zatem posłuchaj mojego wyводу;
Pętlicę, która cię ciśnie, rozkręcę:

Pośród obszarów rajskiego ogrodu
Żadna przygodna rzecz się nie nachodzi,
Jako żałości, pragnienia lub głodu.

Wszystko tu prawo boża wola rodzi,
Stosując jedno z drugim tak roztropnie,
Że jako pierścień do palca się godzi.

Więc dziatkom, co tak zleciały pochopnie
Ku życiu prawdy, ta sama przyczyna
Sprawia, że różne są ich szczęścia stopnie.

Król, przez którego niebieska kraina
Trwa w tym pokoju, miłości, dosycie,
Że wyżej żaden poryw się nie wspina,

Stwarzając dusze w swoich spojrzeń świcie,
W łaskę je stroi to skąpiej, to suciej:
Czemu — tego się nigdy nie dowiecie.

Stary Testament wykłada to króciej
W figurze pary bliźniąt, co się w łonie
Matki o prawo pierworództwa kłóci.

Ciemniej lub jaśniej ubarwiła skronie
Dzieciątek szczytna promiennność żywota,
W znak stopnia łaski, co nad nimi płonie.

Zatem nie większa albo mniejsza cnota,
Ale na stopnie odmienne tu dzieli
Zdolność wglądania za niebieskie wrota.

Dość dla zbawienia, gdy w niewinnej bieli
Pierwszych lat swoich zeszły do mogiły,
Wyznając wiarę swoich rodzicieli.

Kiedy się pierwsze wieki wypełniły,
Już niemowlętom męskim obrzezanie
Potrzebnej na lot dodawało siły.

Lecz dziś w okresie łaski, w nowym stanie,
Jeśli nie przez chrzest doskonały Chrysta,
Już niewiniątkom raj się nie dostanie.

Teraz spójrz znowu w lica, co do Chrysta
Tak są podobne; ich jasność jedynie
Pozwoli przenieść ci oblicze Chrysta".

Spojrzę, a na Nią radość z góry płynie
Przez owe święte Myśli wysiewana,
Stworzone latać po tamtej wyżynie.

Żadna mię piękność dotąd ukazana
Nie zadziwiła urodą tak przednią
Ani tak bliskim podobieństwem Pana.

Ta sama Miłość, co zesłała poprzednio
Ze słowem: „Witaj, łask pełna Maryja”,
Teraz swe skrzydła roztoczyła przed nią.

Wtóruje pieśni słodka melodyja
Całego błogosławionego dworu;
Na wszystkich licach większy blask wybija.

„O święty ojczy, co do mnie z przestworu
Zlatasz, rzucając swą słodką stolicę,
Która ci dana z bożego wyboru,

Kto jest ten anioł, tak czule w źrenice
Patrzący naszej niebieskiej królowej,
Że się zapala od niej jak gromnice?"

Takimi oto znowu pukam słowa
Do wiedzy mędrca, co się w Matce Bożej
Piększy jak w słońcu poseł porankowy.

A on tak do mnie: „Wdzięk i zapal hoży,
Jakie być mogą w duszy i w aniele,
Są w nim — a to nam naszą radość mnoży.

Marii zwiastował zwycięstwa wesele,
Kiedy Syn Boga na się ludzkie złości
Brać raczył, aby odkupić je w ciele.

Teraz niech za mną twój wzrok się wyprości,
A ja ci wszystkich mocarzy wymienię
Tej sprawiedliwej i nabożnej włości:

Dwa najszczęśliwsze nieba jasnocienie,

Jako że Pani dostojnej sąsiedzi,
To jakby Róży rajskiej dwa korzenie.

Owy, patrz, który po lewicy siedzi,
To rodzic, smaku nieznanego chciwy:
Przezeń się człowiek dziś w goryczy biedzi.

Ów zaś na prawo to ojciec sędziwy
Kościoła, co mu Chrystus dla opieki
Powierzył klucze Róży urodziwej.

Ten, co przed skonem w łzach widział powieki
Oblubienicy zdobytej ofiarnie
Na krzyżu lancą i krwawymi ćwieki,
Jest przy nim; a do tamtego się garnie
Wódz ludu, co go wykarmiła manna,
Co żył niewdzięcznie, zmiennie i niekarnie.

Naprzeciw Piotra oto siedzi Anna
Tak zapatrzona radośnie w swej córce,
Iż jej nie płoszy aniołów Hosanna.

A naprzeciwko patriarchy w chórze
Łucja, co-ć niosła ratunek tak rączy,
Kiedyś się chylił w przepaść tam na górze.

Lecz czas uśpienia twojego się kończy;
Bądźmy jak dobry krawiec, co oblicza
Wedle ilości sukna krój opończy.

Ku Pramiłości obróćmy oblicza:
Ty, poglądając, bacz, byś oczy wszczepił,
Ile wydołasz, w płomień jego znicza.

Aby cię jednak pożar nie oślepił,
Byś nie padł, myśląc, że się w górę ważysz,
Trzeba, abym cię pacierzem pokrzepił,

Prosząc o łaskę; więc nim wyposażysz
Siły, uczucie niechaj w tobie wzbierze;
Ty sercem memu wołaniu towarzyszyć".

Po czym tak zaczął swe święte pacierze:

PIEŚŃ XXXIII

„Dziewico Matko, Córo swego Syna,
Korna, a w takiej u aniołów cenie,
Ostojo, w której pokój się poczyzna;
Ty uzacniłaś ludzkie przyrodzenie,
Tak że Stworzyciel, zszedłszy z majestatu,
Nie wzgardził wmieszać się między stworzenie.

W twym łonie miłość zapłonęła światu,
A nią rozgrzany i wiecznym pokojem
Obronny wyrósł pąk cudnego kwiatu.

Tyś nam jest światła południowym zdrojem,
Ty śmiertelnikom na porze spiekoty
Jesteś nadziei żywiącym napojem.

Pani, tej jesteś mocy i szczodroty,
Że kto chcąc łaski, do cię nie ucieka,
Taki bez skrzydeł waży się na loty.

A tak jest wielka twoja dla człowieka,
Który cię wzywa, uczynność i dbałość,
Że go ratuje, ani prośby czeka.

W tobie jest zbożność i w tobie wspaniałość,
W tobie dobroci poryw miłosierny,
W tobie wszelaka stworzeń doskonałość.

Ten, co od świata najgłębszej cysterny
Dotąd, gdzie oczom widne rzeczy wieczne,
Żywota duchów zwiedził kraj niezmierny,

O siły oto błaga dostateczne,
Aby mógł zrzucić kryjącą zasłonę
Tu, gdzie zbawienie znajdzie ostateczne.

Żądzą zjawienia mniej dla siebie płonę
Niżli dla niego; błagam, niech cię wzruszą
I niech nie będą prośby moje płone.

Mgły doczesności niech się w nim rozprószą -
To mu u Boga sprawi twa wymowa —
I szczytna rozkosz niech błysnie przed duszą.

Jeszcze cię o to proszę, o Królowa,
Za której wolą idzie czyn w pokłonie,
Niech po zjawieniu zmysły swe zachowa.

Stłum namiętności ludzkie w jego łonie;
Patrz, Beatrycze śród świętego wiana

Dla mej poparcia prośby składa dłonie".

Jej drogie oczy, ulubieńce Pana,
Utkwione w mówcę, zaraz znać mi dały,
Że korna prośba była wysłuchana.

I znów je zwraca do wieczystej Chwały —
Ani się może pomieścić w rozumie,
By mógł stworzenia wzrok być taki śmiały.

A ja w tej chwili już pewny, że tu mię
Cel ostateczny mych tęsknot nie minie,
Żar pragnień w sercu przyciszam i tłumię.

Bernard uśmiechnie się do mnie i skinie,
Bym patrzył w górę, lecz mię już nie wspiera
Znak cudzy; własnym popędem tak czynię.

Bowiem źrenica otwarta i szczerza
Coraz się w szczytnym świetle prawdy piększy
I coraz głębiej w jej otchłanie wзира.

Od owej chwili mój wid stał się większy,
Niż ludzka mowa potrafi mu sprostać,
I pamięć mdleje, grozy się ulękłszy.

Jak temu, co śniąc, widzi cudną postać,
Wrażenie miłe trwa, choć sen uciecze,
Ani w nim inna myśl nie może powstać,

Tak mnie: z pamięci mojej nadczłowiecze
Pierzchają mary, a jeszcze mi rzadki
Posmak do serca z onych widzeń ciecze.

Słońce odkształca tak śniegowe płatki,
Tak podmuch wiatru rozprasza kłęb liści,
Gdzie były ryte Sybilskie zagadki.

O szczytne Światło, błyszczące gwiazdziściej
Ponad pojęcie, wspieraj mię w zamiarze,
Niechże mój język coś z mych widzeń ziści!

Niechże obficie zaczerpnę w twym żarze:
Jeśli choć jedna iskra zeń odpryśnie,
Dość już rodowi ludzkiemu przekażę.

Jeśli choć nieco z moich marzeń wyśnię
I zdołam oddać szukanymi tony,
Już mu twój tryumf potężnie zabłyśnie.

Tak w owej chwili byłem porażony
Żywym promieniem, iżby mię oślepił
Każdy blask, co by z innej przypadł strony.

Tu pomnę owszem, iż się mi pokrzepił
I zahartował wzrok tak doskonale,
Żem go bez lęku w Moc najwyższą wszczepił.

O hojna łasko, przez którą zuchwale
Ku nieśmiertelnej zbliżam się potędze
I wszystkim się w niej rozprzegam i palę!

W jej łonie widzę wszystkich bytów przedzę:
Kochanie wiąże jednolitym splotem
To, co oddzielnie stoi w świata księdze.

Treść i przejawy rzeczy z ich przymiotem,
Złożone razem w takie pełne dziwo,
Że z mojej mowy trudno sądzić o tem.

Uniwersalnych praw wieczne ogniwo
Musiałem widzieć, bo wspomnienie zjawy
Rozkosz mi daje nieprzepamiętliwą.

Zbladła, jak blednie dziś pamięć wyprawy
Sprzed wielu wieków, gdy pierwszego razu
Neptun cień widział Argonautów nawy.

Nieporuszony stałem, bez wyrazu,
A myśl skupiona i w jeden Punkt wbita
Zapalała się od widzeń obrazu.

Skoro to światło raz duszy zaświta,
To niepodobna, gdy się z nim zespoli,
By gdzieś widokiem innym była syta.

Bowiem szczęśliwość, cel najwyższy woli,
Tam jest zupełna; co się tam nie wszczyna
I tam nie kończy, jest pełne niedoli.

Ile się nawet z chwil tych przypomina
Pamięci mojej, słowem nie pochwycę:
Niedołężnym się wyznam jak dziecina.

Nie przeto, by miał kształty wielolice
Ów Blask ogromny, w który-m patrzył baczenie,
Gdyż jeden będzie poza lat granice,

Lecz wzrok mój, który mocy nabrał znacznie,
Gdy się tak mienię, w istocie spoistej
Wielokształt jakiś rozpoznawać zacnie.

Oto w głębinach materii przejrzystej
Światła zjawił się rys Trojga Obręczy,
Równych w obwodzie, lecz barwy troistej.

Jeden z drugiego Krąg, jak tęcza z tęczy,

Zdał się odbity, a w trzecim pałało
Jak ogień, który z dwojga się wywnętrzy.

Słabą zaiste mową, nieudałą
Do moich myśli, te widzenia mącę
I nie wystarcza tutaj rzecz: za mało!

Zarzewie wieczne, samo w sobie tkwiące,
Samo-pojętne, samo-pojmowane,
W tym się pojęciu własnym kochające!...

Na owym Kole, które, z siebie brane,
Zda się promieniem z promienia odbitym,
Teraz oczyma moimi przystanę.

W nim, ale własnym malowany świtem,
Zjawił się Twarzy Człeczej Wizerunek...
Żrenice w niego wpoilem z zachwytem.

Jak geometra wykreśla rysunek
Na kwadraturę koła i zestawia
Z nieupewnionych danych swój rachunek,

Tak mnie zjawienie nowe zastanawia:
Podpatrzyć chciałem, jako się sprzymierza
Figura z Kręgiem i jak się weń wjawia.

Lecz nie wystarczał lot ziemskiego pierza...
Wtem grom mię raził; myśl w cudo się grąży,
Czułem, że wola Jego w nią uderza.

Dalej fantazja moja nie nadaży.
A już wtórzyła pragnieniu i woli
Jak koło, które w parze z kołem krąży,
Miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy.